



ALAN CAMPBELL

BOG ZEGAROW

Tom III Kodeksu DeepGate

CAMPBELL ALAN

Kodeks Deepgate #3 Bog

zegarow

ALAN CAMPBELL

God of Clocks

Kodeks Deepgate: Tom III

Przełożyła Anna Reszka

Moim braciom Neilowi i Aleksowi

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Simonowi, Peterowi, Juliet i Davidowi.

Chłopcu zadano zagadkę i obiecano mu, że jeśli znajdzie odpowiedź, zrozumie tajemnicę wszechświata i w ten sposób pozna boga. Zagadka brzmiała tak:

„Mężczyzna i jego nowa żona odeszli razem od ołtarza, przemierzyli nawę, trzymając się za ręce, i dotarli do drzwi kościoła w tej samej chwili. Które z nich przebyło większy dystans w czasie tego krótkiego marszu?”.

„Zapiski uciętej ręki Poloniusza”.

Kodeks Deepgate, rozdz. 339

Kiedy umierałem na polu bitwy, obsiadły mnie kleszcze. Zostało we mnie jeszcze tyle życia, że oderwałem ich małe napęczniałe odwłoki, głowy jednak zostały w środku. Przeżyłem, ale rany zagoiły się nad tymi lepками i teraz są one częścią mnie na zawsze, czymś w rodzaju kanapek dla duszy.

„Opowieść Toma Grangera”.

Kodeks Deepgate, rozdz. 88322

PROLOG

PRZYGOTOWANIA DO UCZTY

W mrocznym sercu wielkiego drewnianego statku Cospinola gotowano półboginię. Wcześniej młotami połamano jej skrzydła i nogi, by zmieściły się w żelaznym kotle -- wiedźmowej kuli wzmocnionej w taki sposób, żeby wytrzymała duże ciśnienie pary. Postawiono ją na piecu, ściśniętą potężnym imadłem. Przez otwór w powłoce z metalowych płyt doprowadzono ołowianą rurą karbol. Drugim przewodem dusza półbogini sphywała do szklanego kondensatora.

Przez pięćdziesiąt dni niewolnicy dorzucali do pieca i pompowali wodę, a nad nimi majaczyły czerwone cienie niczym w jakimś piekielnym przedstawieniu lalkowym. Deski za przewodem kominowym poczerniały od wieków żaru. Para buchająca z zaworów osiadała na smołowanych grodziach, ale robotnicy nie pocili się ani nie skarżyli. Widać było, że nie pierwszy raz wykonują takie zadanie. Pracowali sprawnie i w milczeniu. Wokół nich cały *Rotsward* kołysał się gwałtownie i dygotał. Desperacka ucieczka jego kapitana na zachód mocno nadwerężała wszystkie spawy.

Niewolnicy obserwowali, jak połyskujący płyn zbiera się w kolbie kondensatora niczym koloid gwiazdnego światła, pełźnie w górę po szkle i spada z powrotem na dno w kaskadzie wściekłych błysków. Ciecz szeptała głosami nabrzmiałymi szaleństwem. Gdy tylko kula zaczynała drżeć albo huczeć, robotnicy sprawdzali szczęki imadła. Poprzedniego dnia przynieśli młoty i, choć była to słaba broń, położyli je w miejscu, gdzie łatwo mogli po nie sięgnąć w pośpiechu. Dorzucili do pieca więcej koksu i podsycili ogień miechami. Łomot stał się głośniejszy. To Carnival miotała się w swoim więzieniu, kopiąc od wewnątrz w jego ściany.

Chłopiec z hakami zamiast palców obserwował proces duszenia z niskiego korytarza technicznego biegnącego nad sufitem kajuty. W półmroku słabo rysowała się jego mała czerwona twarz. Dlaczego półbogini jeszcze nie umarła? Nigdy nie widział, żeby niewolnicy Cospinola tak długo grzebali się z gotowaniem. Dopiero kiedy wycieknie z niej bąbelkami całe światło, wyleją wodę z kuli i pozwolą mu napelnić czajnik. Na cały jego dobytek składało się sześć rzeczy, a czarne blaszane naczynie było jedyną z nich, której nie ukradł. Teraz popatrzył na nie oskarżycielskim wzrokiem. Nadal pozostawało żałośnie puste.

Jeszcze przez jakiś czas obserwował, co się dzieje na dole, a potem wydrapał kolejną kreskę na belce stropowej, łącząc cztery krótkie pionowe nacięcia długim poprzecznym. Następnie odwrócił się i zaczął człożyć w stronę, z której przyszedł.

Dym z miasta płonącego w dole wdierał się do wnętrza zniszczonego drewnianego kadłuba. Prądy powietrza bezlitośnie miotały statkiem. *Rotsward* kolebał się i trzeszczał, jakby wkrótce miał się rozpaść. Chłopiec zanucił fragment marszu bojowego, który kiedyś usłyszał. Powtarzał wciąż te same nuty, żeby zagłuszyć inne przerażające dźwięki. Rękawem wytarł załzawione oczy. Jego koszula śmierdziała morską wodą.

Pełznąć dalej przed siebie w głąb labiryntu brudnych przewodów i korytarzy, usłyszał głosy dobiegające z rufy: gniewny boga morza i mgły, i drugi, należący do kobiety o obcym, miękkim akcencie. Pokonał kolejny zakręt i znalazł miejsce, skąd mógł spojrzeć w dół przez jedną z wielu dziur w podłodze.

--...Asasyńska wszystko widziała -- mówił Cospinol. -- Coreollis jest zrównane z ziemią, pałac Rysa obrócony w popiół przez jakiś nieznany kataklizm. Moi bracia nie żyją czy po

prostu coś knują? -- Chodził wzdłuż rzędu okien znajdujących się w drugim końcu kajuty. Jego zbroja z krabich skorup chrzęściła przy każdym kroku. Pasma prostych włosów koloru guana opadały wokół szlachetnej twarzy i sięgały wgłębienia między skrzydłami. Za oknami było widać tylko mgłę i niewyraźne zarysy szubienic *Rotswarda*. - Wszyscy ludzie Rysa zginęli albo uciekli. Wyrzutkowie Pollacka również. Wojna się skończyła, kiedy król Menoa rzucił do walki swoich arkonitów.

--Wojna jeszcze się nie skończyła, lordzie Cospinolu -- rozległ się kobiecy głos. -- Miej trochę wiary w opatrzność.

Chłopiec przesunął się nad otworem, żeby zobaczyć mówiącą. Bezpośrednio pod jego kryjówką siedziała kobieta w szarej szacie z kapturem i czerwonych rękawiczkach. Tulila do piersi małego psa. Ale kiedy chłopiec przyjrzał się uważniej, zobaczył, że to wcale nie są rękawiczki: nieznajoma miała szklane łuski zamiast skóry.

Mesmerycka wiedźma?

Cospinol się zatrzymał. Na jego twarzy malowało się napięcie i uraza, jakby słowa rozmówczyni zadały cios jego dumie.

--Jaką opatrzność? -- warknął. -- Chodzi o moją matkę Ayen? A może masz na myśli moich nieobecnych braci? Naprawdę zaginęli czy coś knują? Zresztą to bez znaczenia. Mirith jest szaleńcem, tchórzem i nie ma pojęcia o wojowaniu. Rys, Hafe i Sabor mieli pewne umiejętności na polu bitwy, ale wszyscy przebywali w bastionie Rysa, kiedy ten padł. Prawdopodobnie ich dusze są teraz w Piekle. A Hasp jest dla nas bezużyteczny. -- Odwrócił wzrok od kobiety. -- Bez obrazy, Hasp.

Ze swojego miejsca chłopiec nie widział trzeciej osoby przebywającej w kajucie, ale usłyszał burkliwą, gwałtowną odpowiedź:

--Bardzo dobrze znam swoją wartość dla ciebie, Cospinolu. Kobieta również popatrzyła na niewidocznego rozmówcę, a następnie wróciła spojrzeniem do starego boga morza i powiedziała:

--Twoją własną opatrzność, lordzie Cospinolu. Musisz odzyskać kontrolę nad sytuacją. Wielu ludzi północy Rysa uciekło z pola bitwy w Larnaig. Wojska Hafe'a są teraz pozbawione dowódcy, a poza tym jest jeszcze milicja. Dziesięć tysięcy ludzi, uzbrojonych i gotowych do walki.

Cospinol wyrzucił w górę ręce.

--Jakiej walki? Arkonitów Menoi nie można zabić. Przekonaliśmy się o tym w Skirl.

--Jeśli ty ich nie zwerbujesz, panie, z pewnością zrobi to Menoa.

Bóg prychnął.

--Menoa po prostu ich rozpuści albo zabije.

--Nie jest aż takim głupcem. Zniknięcie Rysa pozbawiła tych wojowników dowódcy, celu i dochodów. Jak teraz wykarmią rodziny?

--Naprawdę myślisz, panie, że ci żołnierze okażą się zdrajcami i będą walczyć dla swojego zaprzysięgłego wroga?

--Tak, chyba że będą woleli umrzeć z głodu. -- Kobieta postawiła swojego pupila na podłodze. Psiak nasiusiał i obwąchał kałużę. -- Menoa posługuje się kłamstwem i perswazją. W Piekle wykorzystywał zmarłych do swoich celów i zrobi to samo w tym świecie. Lordzie Cospinolu, jeśli sam nie zwerbujesz tych ludzi, arkonitów wkrótce wesprze liczna piechota. Nie

potrzeba nam więcej wrogów.

Bóg morza pokręcił głową.

--Jak mam utrzymać armię? Pożrą zapasy *Rotswarda* jak plaga wołków zbożowych, opróżnią moje kufry ze złotem. A kiedy zabraknie nam jedzenia i pieniędzy, przyjdą po perły dusz, zapamiętajcie moje słowa. -- Parsknął gorzkim śmiechem. -- Ale muszę zatrudnić tych bezużytecznych ludzi, żeby nie wykorzystano ich przeciwko mnie. Legiony kombatantów, którzy nie są w stanie zagrozić moim prawdziwym wrogom.

--Nie mogą walczyć z arkonitami Menoi, ale są zdatni do walki.

--Z kim?! -- wykrzyknął bóg.

Pies zawarczał i trącił nosem nogę swojej pani. Kobieta znowu wzięła go na rękę.

--Ponieważ jesteśmy pokonani, źle wyposażeni i uciekamy, żeby ratować życie, proponuję, żebyśmy podjęli walkę z nowym wrogiem.

Cospinol tylko na nią popatrzył. Z głębi kabiny dobiegł gromki śmiech. Chłopiec nie widział trzeciego rozmówcy, ale usłyszał głęboki głos:

--Chyba rozumiem, do czego zmierzasz. Och, Mino, proponujesz nam cel, który wstrząśnie historią!

Dyskusja trwała dalej, ale chłopiec stracił zainteresowanie. Przez chwilę obserwował żuka pełzającego po ciemnej drewnianej podłodze korytarza. Otoczył go stalowymi palcami, chwytając w pułapkę.

Żuk zaczął badać więzienie, poruszając czułkami i pajęczymi odnóżami. W końcu chłopiec wziął go w garść, wsadził do ust i zjadł. Potem zaczął wydrapywać labirynt na ścianie korytarza. Kiedy tym zajęciem również się znudził, popęzł dalej w jeszcze głębszy mrok. Gdy przeciskał się przez poszarpany otwór, jego spodnie z płótna żaglowego zahaczyły o nierówne brzegi. Monk czekał na niego w ciasnej niszy między wewnętrzną grodzia a kadłubem *Rotswarda* podziurawionym przez armatnie kule.

Monk twierdził, że jest astronomem, ale nosił stary mundur muszkietera i wyglądał jak pomocnik grabarza. Siedział w kucki, tak że brudne kolana przeświecające przez dziury w spodniach przypominały częściowo wykopane z ziemi czaszki. Jego gałki oczne były wilgotne jak kule żabiego skrzeku, czarne źrenice drżały, kiedy starał się przebić wzrokiem otaczające go cienie. Ścisnął w rękach drewnianą miskę i łyżkę.

--Kto tam? -- rzucił drżącym głosem. -- Chłopiec? Nie skradaj się tak w ciemności. Gdzie moja zupa?

--Jeszcze ją gotują -- odparł chłopak, wzruszając ramionami.

--Dwadzieścia dni?

--Pięćdziesiąt, a ona nadal miota się w kotle.

Monk zmarszczył brwi i odstawił miskę.

--Mogłeś zabić dla mnie mewę -- mruknął.

--Tutaj nie ma mew -- powiedział chłopiec. -- Za dużo dymu w powietrzu. Ale są kruki. Na polu bitwy i w mieście. Słyszać je z dolnych szubienic.

--Nie pójdę na szubienice, żeby słuchać jakiegoś krakania.

Astronom nie żył od stu pięćdziesięciu lat, a przynajmniej tak twierdził. Nie chciał wracać na szubienice *Rotswarda* po wieczności spędzonej obok zawodzącego najemnika z Cog. Przenigdy. Na pewno znowu by go powiesili, gdyby stąd wyszedł, tak czy nie? Nie, najlepiej

przycząć się tutaj i siedzieć cicho. Musimy trzymać się razem, chłopcze. Dzielić się owadami i ptasimi jajami, które znajdziemy.

Ale Monk nigdy nie znajdował żadnych żuków ani ptasich jaj. Nigdy nie opuszczał swojej kryjówki. Jeśli wstawał, to tylko po to, żeby poczłapać chwiejnym krokiem do dużej wyrwy w kadlubie, gdzie trzymał swój muszkiet i zniszczoną starą lunetkę.

Teraz poszedł za wzrokiem chłopca.

--Nie było gwiazd zeszłej nocy -- powiedział ze smutkiem.

--Może już nigdy nie będzie gwiazd -- odparł chłopiec. -- Może wszystkie spadły, tak jak Cospinol, i Pandemia jest teraz pełna bogów, a niebo czarne i puste?

--Nie sądzę, żebyśmy byli w Pandemii -- stwierdził Monk. -- Ostatnio widziałem świat, kiedy odcięli mnie z szubienicy, żebym walczył w Skirl. -- Wzrok mu się zamglił na to wspomnienie. -- Potrzebowali nas, weteranów, żebyśmy walczyli z pierwszym gigantem króla Labiryntu. Gwarantowali wolność tym, którzy staną przeciwko niemu z bronią. -- Mówił teraz ożywionym, drwiącym tonem. -- Żadnych więcej pętli, taka była obietnica. -- Splunął na podłogę. -- Wielka mi łaska! Nie można zabić istoty, której nie da się zabić. Na dodatek w tej cholernej mgle nie mogliśmy nawet w nią dobrze wycelować.

Monk służył w Pandemii w oddziale muszkieterów Shelagha Benedicta Coopera. Twierdził, że czytał z gwiazd samemu Shelaghowi i zastrzelił siedmiu mesmerystów.

--Nie widziałem gwiazd -- ciągnął weteran. -- Żaden z nas nie mógł opuścić mgły, jeśli nie chciał rozplynać się Piekło. Zaczęliśmy znikać, gdy tylko opuścili nas z pokładu *Rotswarda*, a kiedy nasze stopy dotknęły ziemi, na polu bitwy staliśmy się zwykłymi duchami, zjawami wlokącymi muszkiety, które ledwo mogliśmy unieść. Przeciwko arkonicie ze Skirl byliśmy równie skuteczni jak pierd.

--Bo Cospinol zjadł wasze wieczne dusze?

Monk pokiwał głową.

--Tak zrobił. Zabrał mi nawet gwiazdy.

--A ja nie chcę stąd odchodzić -- oświadczył chłopiec. -- Podoba mi się tutaj.

--Lubisz drażnić boga morza -- zauważył Monk. -- Uważaj, bo obetnie ci głowę, kiedy cię złapie.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

--Wtedy zrobię sobie nową, metalową.

--Zmiennokształtni -- westchnął Monk. -- Myślicie, że potraficie zrobić wszystko, co tylko zechcecie. Jak zamierzasz wyhodować sobie nową głowę, skoro nie będziesz miał mózgu, żeby wyobrazić sobie jej kształt, hę? To nie to samo co dorobienie sobie nowych palców. -- Wykonał tnący ruch ręką. -- Jeden zręczny cios i będzie po tobie. Cospinol wcale się nie zmartwi, że straci jedną duszę na rzecz Labiryntu, skoro ma tylu wisielców na szubienicach.

Chłopiec wruszył ramionami. O tym nie pomyślał.

--Nie rozumiem, dlaczego choć raz nie możesz zmienić się w coś pożytecznego -- zrzędził dalej astronom. -- W coś, co pomogłoby twojemu staremu przyjacielowi Monkowi zabić czas. -- Zmrużył oczy. Jego źrenice były małe jak łebki szpilek. -- Może w broń albo... coś miększego.

--Nie jestem zmiennym ostrzem! -- krzyknął chłopiec.

Starzec przygryzł wargę.

--Nie, jesteś dobrym chłopcem, który przynosi swojemu przyjacielowi Monkowi garnki

zupy. Tylko że nie ma żadnej zupy, bo aniela z bliźniami nie chce umrzeć w tym przeklętym kotle. Pięćdziesiąt dni? Co, do diabła, jest z nią nie tak? -- Uważnie przyjrzał się chłopcu. -- Chyba nie masz przede mną tajemnic?

--Nie.

--Nie okłamywałbyś swojego starego przyjaciela Mońka?

--Nie.

--Więc nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy razem na nią spojrzeli?

--Ale... -- Chłopiec przez chwilę zbierał splątane myśli. -- Nigdzie nie pójdziesz.

--Na to właśnie liczyłeś? -- Starzec rzucił się do przodu, złapał go za kark i ściągnął z powrotem na dół po wewnętrznej części kadłuba. Jego siwe włosy były nastroszone i sztywne jak druty.

Chłopiec wpadł w panikę i zaczął się zmieniać. Sam nie wiedział, w co, ale czuł, że jego kości zaczynają mięknąć.

Monk zdzielił go pięścią w twarz.

--Nic z tego! -- warknął. -- Choć raz zachowasz ten kształt, który dostałeś przy urodzeniu.

Pod wpływem uderzenia w głowie chłopca powstała pustka. Młody zmiennokształtny zaczął wdrapywać się na wewnętrzną grodz, pazurami żłobiąc głębokie rysy w drewnie. Ale Monk złapał go, wepchnął do wąskiego przejścia jak kupkę szmat i zapytał:

--W którą stronę? W lewo czy w prawo?

Jeszcze oszołomiony, chłopiec skręcił w lewo. Obaj zaczęli się hałaśliwie posuwać do przodu na kolanach i łokciach.

Gdy dotarli do korytarza technicznego, Monk odepchnął chłopca i spojrział w dół przez otwór w podłodze. Mosiężne guziki na jego epoletach lśniły w blasku pieca, koniec haczykowatego nosa błyszczał. Stary astronom milczał.

Chłopiec zerknął na kociołek wiszący na haku nad dziurą do szpiegowania, a potem na głowę towarzysza.

--Wiedźmowa kula -- wyszeptał Monk. -- Wzmocnili ją. -- Zmarszczył brwi. -- Wiedźmowe kule nie otwierają się od środka i nie pękają. Są tak zaprojektowane, że mogą pomieścić cały świat męki. -- Zasepił się jeszcze bardziej. -- W takim razie po co zadawać sobie trud, żeby ją wzmocnić?

Nagle z dołu dobiegł potężny huk. Z pęknięcia w powłoce kotła buchnęła para. Astronom drgnął.

--Właśnie dlatego -- powiedział chłopiec. Monk przez chwilę wpatrywał się w mrok.

--Ona po prostu wierzgnęła, jak dziecko w łonie.

--Mówilem.

Starzec otarł pot z czoła i z ponurą miną wrócił spojrzeniem do kotła.

--Szczęki imadła umieszczone na środkowych płytach są na tyle mocne, że wytrzymują ciśnienie pary -- stwierdził. -- Ale kleszczy w górnej części nie przymocowano jak należy. Metal wiedźmowej kuli źle się spawa. To najslabszy punkt. Chodź tutaj, mały, pokażę ci.

Chłopiec zobaczył wiedźmową kulę zawieszoną nad piecem, gorące węgle, rury, zawory i sieć parujących żelaznych klamer. Niewolnicy Cospinola wrzucali łopatami koks do pieca i pompowali powietrze skórzanymi miechami. W kolbie kondensatora wrzało białe światło, na podłogę padały długie cienie.

--Płyty są połączone ze sobą sworzniami wbitymi w przeciwległe rogi. Widać, gdzie przyspawano nakrętki do kołnierzy. To tylko zwykła stal. -- Astronom podrapał się po brodzie. -- Natomiast klamry są umocowane tylko na zewnętrznych końcach, a w tej parze spawy już zaczęły rdzewieć. Wystarczy porządny cios młotem, żeby je roztrzaskać.

--Ale wtedy ona się wydostanie.

Monk przez dłuższą chwilę patrzył na wiedźmową kulę, przygryzając wargi.

--Kula zacznie przeciekać, a wtedy my napelnimy kociołek, zanim niewolnicy znowu ją wzmocnią. -- Wzruszył ramionami. -- Natomiast jeśli się wydostanie, to się wydostanie. -- Uśmiechnął się szeroko. -- Właśnie to nazywają cudzym kłopotem.

Rozdział 1

TRZY GODZINY WCZEŚNIEJ

Dwunastu aniołów wypuszczono na świat z Dziewiątej Cytadeli Piekła i mieli tam wrócić dopiero w ślad za całą ludzkością. Ziemia drżała i rozstępowała się pod ich stopami z kości zakutych w żelazo. Silniki dudniły w ich czaszkach i w opancerzonych klatkach piersiowych, nadal parujących po przejściu przez bramę. Zmiażdżyli wojowników Rysa na polu bitwy w Larnaig, po czym ruszyli na Coreollis. Anioły-zjawy na cienkich nogach podążały przez falujące, szerniałe łąki, wypalony las i błoto zasłane trupami. Kości ich skrzydeł rysowały się czernią na tle krwawego blasku zachodu, nisko stojące słońce przeświecało przez nie jak wizja apokalipsy.

Obrońcy miasta, który pozostali wierni lordowi Rysowi, podtoczyli katapulty pod mury. Beczki z siarką poleciały wysokim łukiem i rozbiły się na gigantach, a następnie spadły płonącymi żółtymi kaskadami na domy Coreollis. Ale po bitwie stoczonej i przegranej w Larnaig w tych budynkach zostały już tylko wdowy i sieroty.

W końcu dwunastu golemów, skąpanych w czerwono-złotej poświacie, wlokących siarkowe łańcuchy ulicami Coreollis, stanęło pod pałacem oblężonego boga. Po drodze miażdżyli szczyty domów i dachy stalowymi gołeniami. Kominy się przewracały, dachówki fruwały w powietrzu i roztrzaskiwały się na bruku wśród tumanów czerwonego pyłu i siarkowych płomieni koloru cytryny.

Pół mili dalej na wschód Rachel Hael stała na blankach opuszczonej wieży wznoszącej się na nasypie ziemnym w kształcie ściętego stożka. Ten bastion z, drewna i ziemi zbudowali wiek wcześniej żołnierze Rysa, żeby obserwować Czerwoną Drogę. Palisadę otaczającą dziedziniec zdobiły teraz głowy pandemiańskich zdrajców i mesmeryckich demonów. Rachel urządziła sobie skromny piknik za szansem, układając na ławce chleb, masło i owoce.

Trzymając jabłko w zębach, była asasynekka uniosła lornetkę do oczu i poszła za bezokimi spojrzeniami ponurych strażników nabitych na pale. Przyjrzała się czarnej drodze, zrytej ciężkimi buciorami żołnierzy króla Menoi, a potem przesunęła wzrok na metaliczne różowe wody jeziora Larnaig. Podobną do muszli linię brzegową porastały kępy białych wierzb o starych pniach stłoczonych w czerwonym cieniu. Na wschodzie stalowe szyny linii kolejowej Skirl lśniły jak rtęć pod niebem ciemnym jak atrament. Tory dzieliły na pół skupisko spalonych budynków stacji, mieszczącej się na północnym brzegu, i kończyły na pirsie Larnaig. Parowiec Sally Broom, który przywiózł traktat pokojowy Menoi do tego portu, leżał teraz roztrzaskany na końcu głębokiego wąwozu na Polu Larnaig, trzysta jardów od miejsca, z którego go rzucono.

Za jeziorem, niebieskawymi warstwami skarp, zębów i stożków podobnych do świątyń, wznosił się ku chmurom masyw Moine. Trochę bliżej, zaledwie milę na północny wschód, mniej naturalna mgła przesłaniała liściasty las, zdradzając położenie statku Cospinola, który szybko oddalał się od Coreollis. Przez dłuższą chwilę Rachel obserwowała czarnoksiężski całun *Rotswarda*, a następnie skierowała lornetkę na zachód. Tutaj Pole Larnaig było zasłane trupami i niezliczonymi częściami ciał, zarówno ludzkich, jak i mesmeryckich. Spalone i pokryte błotem, rozrzucone w śmiertelnych pozach po przeklętej ziemi, wyglądały jak skamieniałości ludzi i zwierząt wyrzucone na powierzchnię przez jakiś kataklizm.

Żyłki ciemniejszego błota łączyły te obrazy przemocy, wywołując wrażenie, że sama skóra

świata zestarzała się i zrobiła cienka jak pergamin. Kurz pokrywał metalowe szprychy kół, miecze nadal ściskane w rękawicach albo pazurach, włócznie, piki, młoty, maczugi i palki nabijane ćwiekami. Osypywał się po pagórkach kości, suchych zębów i żelaznych kończyn zmienionych ludzi, urwanych albo wygiętych, po klatkach piersiowych, spalonych, czarnych ciałach. Wszędzie wały się porozrzucane części silników: koła zębate, sworznie, łańcuchy, obejmy, zwoje drutu, ciemne od mineralnego tłuszczu, który wsiąkł również w ziemię. Fragmenty stalowych płyt albo kolczug lśniły wśród hełmów z biało-niebieskimi pióropuszcami, brudnych szmat i wnętrzości.

Całe pole bitwy było usłane szczątkami koni, ogarów i szakali o różowo-czarnych językach, a także częściowo zjedzonymi korpusami pancernych turów, niezliczonymi stosami trupów wojowników o niebieskich ustach, lepkich twarzach i oczach rojących się od much.

Rachel ugryzła jabłko.

W samym sercu poboju znajdowała się brama do Piekła Menoi, czerwony krater, który zaczynał się kurczyć i zapadać do środka jak rana. Wkrótce miał się zamknąć całkowicie. Żeby mógł powstać, zginęło sto tysięcy wojowników. Dwunastu arkonitów wysssało z niego całą moc.

Nad Coreollis unosiły się smugi dymu i opływały kości przerażających gigantów.

Już dotarli do pałacu. Najpotężniejszy z Dwunastki przekroczył mur o wysokości sześćdziesięciu stóp, opasujący dziedziniec, i spojrzał w dół na białe pinakle bastionu obleżonego boga i balkony ozdobione różami. Pozostali arkonici trzymali się z tyłu. Ich golenie lizał ogień, cienkie skrzydła połyskiwały jak strugi deszczu. Rozżarzone węgle zasypywały ich z natarczywością os. Pierwszy golem schylił się i podniósł coś z dziedzińca.

Kiedy Rachel próbowała wyostrzyć obraz, gigant zmiażdżył znalezisko i rzucił je na ziemię. Potem znieruchomiał, jakby na coś czekał.

Podczas gdy asasynka obserwowała całą scenę przez lornetkę, dwunastu kapłanów patrzyło oczami bezrozumnych ambasadorów wykutych w Labiryncie. Rachel przypuszczała, że Rys będzie się targował o swoją duszę. Ale co takiego miał do zaoferowania bóg kwiatów i noży, skoro król Menoa wszystko mógł po prostu wziąć siłą? Na pewno nie tutaj rozstrzygną się przyszłe losy świata.

Asasynka ugryzła jabłko, a następnie przyjrzała się oknom bastionu w poszukiwaniu śladów życia.

Jej ograniczone pole widzenia zasnul dym. Opuściła lornetkę w samą porę, by zobaczyć, jak nad dachami Coreollis leci płonącymi lukami kilkadziesiąt pocisków. Obrońcy miasta wznowili atak z murów z nowym wigorem, jakby porzucili wszelką nadzieję na uratowanie swoich domów. Z oddali dobiegła seria eksplozji, a po nich donośny trzeszczący dźwięk. Potem zapadła cisza. Pióropusze żółtego siarkowego dymu wkrótce rozwiały się na wietrze.

Rachel wypluła pestkę.

Jeden z arkonitów płonął, ale trwał w bezruchu, z przepastnymi oczodołami skierowanymi ku pałacowi Rysa. Pozostałe automaty stały sztywno obok niego, górując nad pałacem jak cytadele z nagich kości.

Na dziedzińcu pod wieżą wierzchowiec Rachel zarżał i wierzgnął, szarpiąc wodze jak niecierpliwego pana domagającego się uwagi. Asasynka przyłożyła palec do ust i potrząsnęła głową. Ten koń należał kiedyś do jeźdźców Heshette i kiedy go od nich dostała, był obrazem nędzy i

rozpaczy: chudy, zabiedzony, przykryty brudnym płóciennym czaprakiem. Mimo swego nędznego pochodzenia i stanu nadal lypał na nią z wyuczoną pogardą. Rozpoznawał w niej świątynną asasynekę Spine z Deepgate. Przez całą drogę do wieży nie słuchał jej poleceń, a kiedy niezdarnie próbowała go okiełznać, dwa razy omal jej nie zrzucił.

Rachel dokończyła jabłko i rzuciła ogryzek nieszczęsnej szkapie.

Nagła zmiana w fakturze światła przyciągnęła jej uwagę z powrotem do pałacu Rysa. Jedenastu arkonitów Menoi oddalało się od niego, -- machając skrzydłami niczym wielkimi przezroczystymi żaglami. Pierwszy i największy z nich klęczał przed bastionem boga w błagalnej pozie. Rachel przystawiła do oczu lornetkę.

Na najwyższym tarasie stała postać z białymi skrzydłami. Na lśniącą stalową zbroję miała narzuconą pelerynę w róże, tak jaskrawoczerwone jak żywe kwiaty, które spadały kaskadą z balkonu. Szklane drzwi prowadzące do prywatnych komnat były otwarte. Miriady szybek połyskiwały niebiesko. Rys pojawił się, żeby błagać o życie.

Gestykułował gniewnie, ale choć Rachel miała lornetkę ustawioną na maksymalną odległość, nie widziała jego twarzy na tyle wyraźnie, żeby czytać mu z ust. Nie słyszała również słów, które kierował do klęczącego giganta. Ale po chwili odpowiedź arkonity rozbrzmiała wyraźnie jak grzmot przetaczający się po niebie, głęboka jak echo wydobywające się ze wszystkich grobów świata.

--Król Menoa z góry odrzuca twoją propozycję, lordzie Rysie, bo podejrzewa, że dusze twoich braci tak naprawdę nie należą do ciebie, więc nie możesz nimi kupczyć. Dlatego żąda, żeby w geście dobrej woli stawili się oni przed zgromadzonymi ambasadorami. Pan Labiryntu jest wspaniałomyślny. Nie ukarze takich godnych przeciwników. On tylko domaga się, by wszyscy synowie Ayen weszli do Piekła, zanim brama zniknie. Jako gościom Dziewiętej Cytadeli oszczędzi wam okropieństw Labiryntu i nie odmówi żadnych jego przyjemności.

W rzeczywistości arkonita nie potrafił mówić, bo jego usta były jedynie atrapą. Głos wydobywał się z metalowej, sztucznej krtani, a myśli ukryte za tymi słowami zrodziły się w cytadeli zbudowanej pod innym niebem.

Golem mówił o braciach Rysa: Mirithu, Hafe'em i Saborze. Rachel nie była zaskoczona tym, że bóg kwiatów i noży próbował sprzedać swoją rodzinę, ani tym, że król Menoa proponował im schronienie. Gdyby synowie Ayen zostali zabici na tym świecie, ich dusze zagubiłby się w bezmiarze Piekła. Najwyraźniej pan Labiryntu wolał mieć ich pod ręką.

Rys bez wątpienia zorientował się, że ta oferta to kłamstwo, bo odwrócił się plecami do anioła i spojrzal przez drzwi balkonowe do wnętrza pokoju. Przez chwilę Rachel widziała w środku innego archonta w zbroi, identycznego jak Rys. Możliwe, że było to tylko jego odbicie w szklanych drzwiach. Peleryna w róże zafalowała, uniesiona gorącym podmuchem, który napłynął od płonącego miasta. Bóg kwiatów i noży nagle skłonił głowę i wszedł z powrotem do swoich komnat.

Gdy słoneczna tarcza dotknęła krawędzi świata, pałac Rysa eksplodował i zmienił się w biały pył tuż przed wielkim, klęczącym obserwatorem. Od huku, który zaraz potem nastąpił, Rachel aż zadzwoniło w uszach. Wałący się bastion i jego wieże strażnicze jednocześnie przechyliły się w lewo, zmieniły w duchy samych siebie i zaczęły rozwiewać się na wietrze.

Rachel posmarowała masłem kromkę chleba. Naprawdę była świadkiem ostatniego starcia bogów w świecie ludzi? Jej zdaniem, bóstwa, uważane przez ignorantów za gwiazdy, które

spadły z nieba, zbyt łatwo poświęciły swoje dusze. Wyczuwała tutaj jakieś oszustwo. Odbicie Rysa w szklanych drzwiach wyglądało... dziwnie. Coś ją niepokoiło, ale sama nie bardzo wiedziała co i dlaczego. Czyżby Cospinol celowo wysłał ją ze swojego statku spowitego mgłą, żeby na własne oczy zobaczyła to przedstawienie?

Kłęczący arkonita wstał i dołączył do swoich jedenastu towarzyszy. Siarkowe płomienie ogarnęły nogi dwóch golemów, ale oni najwyraźniej się tym nie przejmowali, może nawet nie zauważyli ognia. Cała dwunastka ruszyła na północ, gdzie mgła Cospinola jaśniała słabo w ostatnich promieniach słońca.

Król Menoa w końcu skierował uwagę na *Rotswarda*.

Rachel włożyła do ust ostatni kawałek chleba, zgarnęła resztki pikniku do torby i zeszła z szanca po drewnianych stopniach. Następnie kolejnymi schodami zbiegła na dziedziniec i odwiązała swojego wierzchowca.

Bydłę próbowało ją ugryźć, ale asasyńska chwyciła je za grzywę i wsadziła stopę w strzemień. Usadowiła się w siodle i wbiła pięty w boki zwierzęcia. Koń zarżał i wierzgnął.

--Ruszaj! -- krzyknęła Rachel.

Koń parsknął i stanął dęba.

Rachel szarpnęła wodze.

--Ruszaj!

Wierzchowiec zaczął iść do tyłu.

--Do przodu. Ruszaj, ty uparty Heshette... -- Wbiła mocniej pięty w bok wierzchowca. -- Dobrze wiesz, jakie polecenie chcę wydać. Wio!

Bestia popędziła w stronę bramy.

Czas działał przeciwko Rachel. Arkonici zmierzali w tę samą stronę, więc żeby dotrzeć do *Rotswarda* przed swoimi wrogami, musiała jechać szybko. Popędziła konia do galopu, z całych sił starając się utrzymać w siodle. Zwierzę pognało bitym traktem, wrywając kopytami kępy błotnistej trawy. Jego luźna skóra przesuwiała się po żebrach, które Rachel ścisnęła kolanami. Szlak biegł stożkowatym trawiastym pagórkiem, pozostałościami po dawnych fortyfikacjach, teraz porośniętych brzoza i krzakami jeżyn. Dalej droga znowu skręcała na północ, w stronę mrocznego tunelu prowadzącego przez mglisty, liściasty las. Arkonici pokonywali swą trasę długimi, powolnymi krokami, w tempie, którego nie mógł dotrzymać wierzchowiec Heshette, ale Rachel miała nad nimi jakieś pół mili przewagi... i pomoc taumaturga czekającego na pokładzie *Rotswarda*.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Postaraj się, Mino.

Na zachodzie, nad polem bitwy unosiła się nowa mgła. Wydobywała się z ust dziesięciu tysięcy zabitych ludzi i demonów niczym ostatnie zimne tchnienie. Niewiele krwi zostało w tych wojownikach, ale Mina Greene znajdująca się na pokładzie *Rotswarda* dobrze ją wykorzystała. Pasma mgły połączyły się nad trupami, tworząc cienką szarą zasłonę, a ta rozrosła się i potoczyła nad Polem Larnaig jak morska fala, okrywając magicznym całunem pagórki, zabudowania stacji kolejowej, jezioro i ciągnące się za nim równiny. Skłębiła się nad murami Coreollis i pochłonęła las, zlewając się z mgłą, która zawsze otaczała *Rotswarda*.

Kiedy Rachel wpadła w leśną gęstwinię i pogalopowała duktem podobnym do tunelu, tętent kopyt wyraźnie przycichł. Za plecami miała słaby krąg światła znaczący prześwit między

drzewami, którym wjechała do lasu, natomiast przed sobą tylko gęsty mrok. Nie widziała wyraźnie ścieżki i, pędząc prosto w tę nieprzeniknioną szarość, czuła się jak w malignie. Splątane gałęzie uginały się pod ciężarem mokrego, brązowego listowia, przetykanego tu i ówdzie nitkami pajęczyn albo jaśniejszymi kępami jemioli. Pnie dębów i wiązów odcinały się czernią na tle szarości albo pochylały nad wąskim szlakiem jak ponurzy starcy. Mniejsze gałązki chłostały Rachel po twarzy, pędzące powietrze, zimne i wilgotne, wyciskało jej łzy z oczu. Koń sapał i parskał, tratując niepodkutymi kopytami miękką ściółkę.

Nagle z tyłu dobiegł przeciągły dźwięk rogów. Rachel popędziła wierzchowca i ku jej zdumieniu bestia zareagowała. Może myśliwski zew w końcu przemówił zwierzęciu do rozumu, bo, wyczuwając pośpiech jeźdźca, z dudnieniem pogalopowało leśną drogą jak prawdziwy bojowy rumak Heshette, którym kiedyś było.

Gdy przeskoczył przez zwalone drzewo pokryte białymi grzybami niczym zbroja poległego Ikaraty, Rachel poczuła, że zaczyna zsuwać się z końskiego grzbietu. Kurczowo przywarła do parującego karku zwierzęcia. Jej nozdrza wypełnił silny zapach spienionej sierści. Koń oddychał chrapliwie, ale zamiast wierzgnąć, trochę zwolnił i pozwolił jej wciągnąć się z powrotem na siodło.

--Dzięki -- wyszeptala asasynka.

Bydlę wyrwało do przodu, omal jej nie zrzucając. Rachel zgrzytnęła zębami.

Szlak okrążył wielki omszały głaz i zakończył się na polanie porośniętej paprociami koloru piwa, młodymi leszczynami i bujną trawą pieniającą się między granitowymi wychodniami. Otaczające ją drzewa majaczyły we mgle jak stalowe siatki. Rachel usłyszała śpiew. Ściągnęła wodze.

Pośrodku polany siedział na skale John Kotwica i nucił jakąś melodię, ostrząc patyk krótkim mieczem, który w jego wielkich łapskach wyglądał jak zwykły nóż. W leśnym mroku przypominał ogromnego czarnego niedźwiedzia.

Gruba konopna lina, która łączyła wielkoluda ze statkiem pana, biegła od upręży na jego plecach prosto do nieba. Oprócz niej nie było tutaj innych śladów obecności *Rotswarda* unoszącego się w górze nad nimi ani jego licznych pasażerów. Kotwica podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

--Rachel Hael.

--Myślałam, że nie cierpisz mieczy -- powiedziała asasynka, patrząc na jego ręce.

--Tylko w bitwie -- odparł Kotwica. -- Heshette dali mi tę broń na pożegnanie. Należała do ojca Ramnira, ojca jego ojca, i tak dalej. Jest bardzo użyteczna, jak widzisz.

--Co robisz?

--Jeszcze o tym nie myślałem. Może podpalkę. -- Olbrzym wstał ze skały i spojrział w mrok lasu. -- Ściga nas dwunastu, tak?

Rachel kiwnęła głową.

Kotwica milczał przez chwilę, nadstawiając ucha ku niebu. Lina na jego plecach nagle zadrżała.

--Cospinol pyta, czy lord Rys próbował sprzedać swoich braci.

--Jasne.

--I co się z nim stało?

Rachel powiedziała, jak pałac boga kwiatów i noży rozsypał się w proch. John Kotwica

wysłuchał jej uważnie, a potem znowu odczekał dłuższą chwilę. W końcu skinieniem głowy wskazał na niebo.

--Teraz się klóć -- powiedział. -- To może trochę potrwać. -- Wrócił do ostrzenia patyka. Była asasynka wzruszyła ramionami.

--Nie spiesz się, Cospinolu -- mruknęła. -- Zbliża się do nas tylko dwunastu arkonitów.

Zsiadła z konia. Wierzchowiec parsknął i zaczął skubać trawę. Rachel poklepała go niepewnie po szyi i spojrzała w las, wypatrując Dilla. Mimo jego obecnych rozmiarów nie zobaczyła w jednolitej szarości nic oprócz niewyraźnych zarysów drzew. Mgła Cospinola spowijała go tak dokładnie, jak resztę świata.

Na zachodzie znowu zabrzmiał róg. Jego dźwięk dochodził z bliska. Rachel wyjęła z worka dwa jabłka i podała jedno Kotwicy.

--Szybko się przemieszczają -- stwierdziła. Zatrzymała wzrok na uprząży wielkoluda, na mięśniach jego szerokiej piersi. Lina znowu zabrzęczała. Rachel przewiesiła worek przez ramię, cisnęła ogryzek jabłka koniowi i wytarła ręce w skórzane spodnie. -- Jak szybko możesz ciągnąć statek?

--Mogę biec z *Rotswardem*, kiedy Cospinol tego potrzebuje -- odparł Kotwica, gryząc jabłko. -- Ale teraz twoja taumaturg z Deepgate powiększyła zasięg mgły. Łąd jest całkiem zasłonięty, tak? Od ziemi do nieba. Nie ma potrzeby, żebym biegł. Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do Coreollis niepostrzeżenie.

--Coreollis? -- Rachel spojrzała ponad jego ramieniem. -- Dlaczego mówisz o Coreollis, John? Przecież oni stamtąd właśnie idą.

John Kotwica wsunął miecz w otwór w drewnianej uprząży, a po chwili namysłu schował również naostrzony patyk.

--Arkonici Menoi nie męczą się ani nie da się ich zabić -- powiedział. -- Musimy więc iść do Piekła i zabić kapłanów, którzy nimi kierują, prawda?

Rachel tylko na niego popatrzyła.

--Dobrze się składa, że brama prowadzi bezpośrednio do cytadeli króla Menoi. -- Wielkolud uśmiechnął się jowialnie. -- Czyli nie musimy iść daleko.

--Chyba nie zamierzasz zaciągnąć *Rotswarda* i wszystkich na jego pokładzie do Piekła?

--Nie wszystkich -- odparł Kotwica. -- Alice Harper zaprowadzi Cospinola i mnie do Dziewiętej Cytadeli, bo dobrze zna Piekło, ale twoja taumaturg zostanie tutaj z tobą.

Rachel poznała Harper na polu bitwy Larnaig, martwą kobietę, która najwyraźniej czuła się swobodniej wśród niedobitków mesmeryckich demonów niż wśród żywych. Od tamtej pory metafizyczka ukrywała się w jednej z kabin *Rotswarda*. Nie chciała mieszać się do sporów i podejmowania *decyzji*.

--Harper zgodziła się wrócić do Piekła?

Kotwica pokiwał głową.

--Jest martwa. Tam jest jej miejsce. -- Jego oczy zabłysły wesoło. -- Ale Mina Greene wymyśliła następną misję dla tych, którzy zdecydują się tu zostać. Mój pan zgodził się z jej pomysłem... Jak to powiedzieć? Całą głową? Musimy się rozdzielić. Cospinol postanowił wypowiedzieć wojnę Piekłu i Niebu.

Rozdział 2

ZSTĄPIENIE DO PIEKŁA

W ostatnich chwilach zmierzchu gęsty mrok spowił las. Gdzieś zahukała sowa. Odpowiedział jej daleki krzyk innego nocnego ptaka. Rachel stała tuż obok Johna Kotwicy, ale w ciemności widziała tylko białka jego oczu. Nieruchomy, czarny gigant był równie imponujący jak dęby, które ich otaczały. Przeszli ćwierć mili dalej na północ, na spotkanie z Dilem. Anioł z kości i metalu znajdował się w pobliżu, ale Rachel nie potrafiła stwierdzić gdzie. Równie dobrze mógł stać dziesięć jardów od nich.

Najpierw usłyszała skrzywienie, a dopiero potem zobaczyła windę *Rotswarda* materializującą się wśród koron drzew. Był to prosty kosz zawieszony na linach, które ciągnęli niewolnicy na śródokręciu. Stało w niej dwoje pasażerów: Mina Greene i Hasp. W swoich szarych szatach z kapturami wyglądali jak dziwna para niebiańskich ambasadorów. Czerwone ręce ze szklanych łusek trzymali splecione przed sobą.

Rachel uświadomiła sobie, że się na nich gapi.

Delikatni jak wazy, pomyślała. Pospiesznie odwróciła wzrok.

Kosz wylądował z cichym stuknięciem na ziemi. Hasp wyskoczył z niego dziarsko, najwyraźniej nie dbając o to, że wystarczy jedno pęknięcie w zbroi wykutej w Labiryncie, żeby stracił krew i żeby jego dusza wróciła do Piekła.

Mina postawiła małego demonicznego psa Bazylisa na leśnej ściółce, a potem ostrożnie wysiadła za Haspem.

Szczeniak obwąchał stopy Kotwicy i podskakując, pobiegł w mrok.

--Niewolnicy Cospinola przenieśli zapasy i złoto z *Rotswarda* - powiedziała Mina. -- Nasz przyjaciel arkonita doskonale się nadaje na konia jucznego. Worki z pszenicą i suszonymi rybami umieścili w jego klatce piersiowej, a kufry ze złotem w ustach. -- Uśmiechnęła się. -- Cospinol nie był szczęśliwy, rozstając się ze swoim skarbem. Teraz jego nastrój odpowiada naszej czarnoksiężskiej pogodzie.

Rachel zerknęła na Haspa. Pan Pierwszej Cytadeli uniósł z posępną miną ręce i mocno objął nimi szklany hełm, jakby nagle rozboleła go głowa. Zamrugał i obnażył zęby.

--Hasp? -- odezwała się Rachel ostrożnie.

Zignorował ją.

Silne bóle dręczyły Haspa od chwili, kiedy król Menoa umieścił pasożyta w jego czaszce. Mały demon z miedzi i ciała zmuszał pana Pierwszej Cytadeli do wypełniania rozkazów mesmerystów. I biedny archont, który kiedyś stanął sam przeciwko całej armii Piekła, został ujarzmiony przez najsłabszego ze sług Menoi.

Teraz zacisnął zęby i mamrotał pod nosem przekleństwa.

Taka okrutna kara. Menoa pozbawił Haspa wszystkiego, co dla niego najważniejsze. Rachel zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej pozwolić mu po prostu umrzeć. Podniosła wzrok, ale nie zobaczyła ani nie usłyszała, co się dzieje na górze.

--Co z Dwunastką Menoi? -- spytała, zwracając się do Miny. -- Wyczuwasz ich obecność?

Taumaturg wzięła głęboki haust wilgotnego powietrza.

--Mogę ich obserwować, dopóki pozostają we mgle -- odparła z wahaniem. -- Czterej czekają na zachodnim skraju lasu. Kolejni dwaj stoją na Polu Larnaig na południe od Coreollis i

strzegą bramy. Pozostałych sześciu zmierza na północ. Prosto na nas.

--Ścigają Dilla czy Cospinola?

--Chyba obu.

--Jak długo dasz radę utrzymać tę mgłę?

Greene wzruszyła ramionami.

--Wszystko zależy od Bazylisa. -- Wzięła na ręce paskudne małe stworzenie, przytuliła je do piersi i pocałowała w ucho. -- Prawda, skarbie?

Pies zawarczał.

Kotwica uśmiechnął się szeroko.

--Muszę ruszać w drogę do Piekła. Kapłani, którzy kierują tymi golemami, sami się nie zabijają, prawda? Powodzenia z Ayen, Mino Greene.

Rachel spojrzała na wielkoluda, a potem na taumaturg.

--Piekło to jedna sprawa, ale z Niebem rzecz wygląda zupełnie inaczej -- stwierdziła. -- Nawet synowie Ayen nie uważali się za dość potężnych, by wkroczyć do królestwa matki. Bogini światła i życia wszystkich nas zabije.

--Ale przy okazji również wrogów -- powiedziała Mina.

Młoda taumaturg chciała wykorzystać Dilla, żeby przypuścić atak na Niebo, bo założyła, że kiedy bogini światła i życia uzna jednego arkonitę za zagrożenie, zabije też pozostałych. Niestety, nawet syn Ayen Cospinol nie wiedział, jak znaleźć bramę do Nieba ani jak ją sforsować, żeby dotrzeć do matki. Najwyraźniej w jego rodzinie nie dzielono się tą wiedzą. Plan Greene był niczym więcej jak skokiem w otchłań. Ale i tak lepszego nie mieli.

--Przeszukamy pałac Sabora -- dodała Mina. -- A potem Miritha. Jeśli ktoś wiedział, jak dotrzeć do bogini, to tylko oni. A musieli coś wiedzieć, skoro sami planowali szturm na Niebo.

Na zachodzie rozbrzmiał róg myśliwski.

John Kotwica klasnął w ręce.

--Hasp, Mina, nie uściskaj waszych szklanych dłoni, ale muszę już iść. Piekło czeka.

Mina podbiegła do wielkoluda i objęła go na pożegnanie, natomiast Rachel tylko skinęła głową. Hasp utkwił spojrzenie ciemnych oczu w Kotwicę.

--Przekaż moje pozdrowienia królowi Menoi -- powiedział.

Olbrzym roześmiał się i ruszył przez polanę. Po chwili zniknął między drzewami okrytymi mgłą. Wielka lina ciągnęła się za nim, wycinając ścieżkę w koronie drzew. Trzask pękających gałęzi było słychać jeszcze długo po tym, jak olbrzym zniknął im z oczu. Potem zaczął śpiewać.

Tak według niego wygląda skradanie się? Rachel pokręciła głową. Mgła ukrywała *Rotswarda* i Kotwicę, ale nie tłumiała hałasu. Jak on może się ludzić, że umknie myśliwym i niepostrzeżenie zaciągnie statek do Piekła?

Nie wierzyła, że jest aż taki naiwny. Gdy tylko przekroczy bramę, król Menoa będzie od razu o tym wiedział, ale olbrzym z Burzliwego Wybrzeża najwyraźniej cieszył się na myśl o konfrontacji.

A ona została w lesie w tej dziwnej krainie, z taumaturgiem, psem i pokonanym bogiem w szklanej zbroi. Znowu odezwały się rogi myśliwskie, tym razem bliżej. Hasp skrzywił się i chwycił za głowę, ale nic nie powiedział.

Dilla spotkali kilkaset kroków dalej na północ. Albo raczej natknęli się na jego golenie wśród dębów i wiązów. Reszta arkonity kryła się wysoko w szarej mgłę. Zatrzymali się obok

jego stopy i spojrzeli w górę. Z nieba dobiegał szum maszynierii.

--Dill! -- zawołała Rachel.

Przez gałęzie przebiła się koścista pięść i utworzyła kołyskę tuż przy ziemi. Wszyscy troje weszli na odwróconą dłoń automatu.

Rachel przywarła do kłykcia Dilla, kiedy szybowali w górę przez kopułę lasu w chłodnym, wilgotnym powietrzu. Drzewa wkrótce zostały w dole i zniknęły we mgle. Kiedy sunęli wzdłuż miednicy i kręgosłupa arkonity, po lewej stronie ukazały się wielkie kości powleczone metalem. Ich żółte, nierówne powierzchnie były pokryte takimi samymi skomplikowanymi wzorami, jakie asasynka widziała na kadłubie Zęba w Deepgate. W klatce piersiowej giganta z dudnieniem pracowała maszyna zbudowana z ciemnego metalu wykutego w Piekło, być może pochodzącego z zerwanych łańcuchów miasta, w którym się urodziła. Rachel rozpoznała zapach oleju i jeszcze inną, mocniejszą woń. Miedzi? Jakby pokrojonego mięsa albo pobojuwiska Larnaig, ale z domieszką chemicznego smrodu, którego nie potrafiła zidentyfikować. Przypominał jej odór trucizn w Skażonym Lesie. Czula ciśnienie ton krwi i płynu hydraulicznego krążącego w tych rurach, kadziach i obudowach tłoków.

W końcu ukazała się czaszka Dilla. Ogromna i naga, straszna, pozbawiona wszelkich cech, które świadczyłyby, że w środku jest żywy umysł. Przepastne oczodoły, w których stały sadzawki cuchnącej wody, stanowiły schronienie dla ptaków albo nietoperzy. Dolne krawędzie kości pokrywały ptasie odchody. Żółte zęby widoczne w częściowo otwartej szczękę wyglądały jak kamienie ustawione przez starożytnych. Dolną część żuchwy porastał zielony mech, wstęgi brązowego zwisały ze szpar między siekaczami. Kufry umieszczone w ciemnej paszczy przez niewolników Cospinola zawierały dość złota, żeby można kupić za nie armię.

Dill zatrzymał rękę przy ustach i Rachel zrozumiała, że mają wejść do środka. W kącikach oczu zapiekły ją łzy, ale nie potrafiła powiedzieć, dlaczego.

Z dłoni giganta wkroczyli do mrocznego wnętrza.

Mina postawiła psa i ruszyła w ciemność zalegającą w głębi pieczary z kości i metalu. Jej szklane stopy dźwięczały na stalowej podłodze, wywołując echa. Hasp wpatrywał się w podniebienie golema majaczące nad jego głową. Rachel wciągnęła w nozdrza wilgotne powietrze. Cuchnęło polem bitwy, żelazem i krwią.

--Dill? -- wyszeptala.

Przez chwilę wydawało się jej, że podłoga drży, ale nie usłyszała żadnej odpowiedzi oprócz echa własnego głosu.

--Ostrzegłam go, żeby nic nie mówił -- powiedziała Mina. -- Ma głos jak grzmot. Gdyby się odezwał, zdradziłby wrogom naszą pozycję.

--Muszę z nim porozmawiać. -- Rachel się zawahała. -- Chcę mieć pewność, że rozumie, dokąd idziemy.

Mina przywołała ją skinieniem dłoni, po czym wzięła za rękę i poprowadziła w głąb jamy gębowej do miejsca, w którym zaczynał się ciemny korytarz.

--Biegnie do najwyższego kręgu jego kręgosłupa -- wyjaśniła taumaturg. -- Stamtąd możesz wspiąć się do czaszki.

--Czaszki?

--To nie jest żywa istota -- powiedziała cicho Mina. -- Arkonita to zwykła maszyna, golem, tylko trochę przypominający aniola. Król Menoa wybrał tę postać, żeby dusza uwięziona w

środku łatwiej przystosowała się do nowej sytuacji. Dzięki temu Dill może nadal funkcjonować. Może poruszać rękami i nogami bez konieczności świadomego kierowania nieznanymi mechanizmami. To pancerz dla jego duszy, toporny i straszny, ale funkcjonalny. -- Spojrzała w górę, jakby chciała uniknąć wzroku Rachel. -- Wejdź do środka maszyny, a odnajdziesz tam duszę swojego przyjaciela. Porozmawiaj z nim. -- Dla odmiany wbiła wzrok w podłogę. -- On nie potrzebuje krtani, żeby ci odpowiedzieć.

Rachel ruszyła wznoszącym się stromo korytarzem o ścianach wysadzanych kryształami -- nie tyle klejnotami, ile kawałkami zmatowiałego szkła. Wkrótce dotarła do mrocznego przedsionka, w którym z trudem się zmieściła. Wyciągnęła rękę w ciemności i namacała płataninę rur grubości ramienia, biegnących pionowo, jeszcze więcej kryształów, ośmiokątne metalowe sworznie. Stała w mroku przez dłuższą chwilę.

To nie jesteś ty. To tylko więzienie... jak otchłań Ulcisa albo statek Cospinola.

Mina miała rację. To była zbroja stworzona przez pana Labiryntu, żeby jego słudzy mogli swobodnie chodzić wśród śmiertelników i zabijać ich. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do ciemności, dostrzegła słabe światło w górze. Korytarz wznosił się teraz bezpośrednio nad jej głową. Chwyciła się rur i podciągnęła.

W głowie arkonity urządzono pokój. Nie było w nim okien. Światło, które wcześniej zobaczyła, pochodziło z całkiem innego źródła.

Rachel przytknęła dłoń do ust i zaczęła szlochać.

* * *

Król Menoa wyraził zgodę, żeby Dziewiąta Cytadela nasyciła się mocą Labiryntu, a potem pozwolił ścianom i schodom tej żywej twierdzy się rozmnożyć. Minęły eony, odkąd konstrukty mesmerystów były ludźmi, ale ich dusze pamiętały pożądanie, więc skwapliwie skorzystały z wolności, którą dał im władca. Ciała zrodzone z podświadomej myśli zmieniały się i łączyły z niezliczonymi partnerami w orgiastycznym szale, pchającym tysiące dusz na skraj szaleństwa. Płodziły potomstwo obdarzone świadomością, żeby wzmocnić umysł cytadeli funkcjonujący jak ul, ale od czasu do czasu rodziły się mutanty: fragmenty snów albo wspomnień, • które nie były w stanie samodzielnie myśleć i tylko upodabniały się do otaczających je twarzy. I te stwory krzyczały, warczały albo po prostu oblizywały zęby i wytrzeszczały oczy.

Gdy prawidłowo działające konstrukty odkrywały wśród siebie dewiantów, mordowały je i wchłaniały z powrotem do cytadeli. Myśliwi z rękami zamienionymi w noże przepływali przez ściany i sufity w poszukiwaniu niedoskonałości. Proces nieograniczonej kopulacji trwał, aż forteca Menoi rozrosła się niemal o trzydzieści poziomów, a Dom Twarzy osadzony wysoko na chwiejnym wierzchołku budowli wyhodował wiele nowych komnat, klatek schodowych i oczu.

Kiedy było już po wszystkim, cytadela odetchnęła. Krwawe mgły wydostały się z sykiem z przewodów w fundamentach i popłynęły nad rozległym, mokrym Labiryntem.

Menoa stał na dopiero narodzonym balkonie Domu Twarzy i obserwował, jak rzędną mgły. Żebra z nowych kości i krystaliczne oczy lśniły na posadzce i sprawiały, że jej powierzchnia była nierówna, ale władca na razie na to pozwalał. Chaos jeszcze nie skończył swojego dzieła. Król mógł poczekać, aż balkon dojrzeje, i dopiero wtedy ocenić jego wartość.

Daleko w dole wiedźmowa kula toczyła się przez Labirynt w drodze do cytadeli. Na głębszych kanałach kołysały się barki pełne klatek z duszami, zmierzające do Procesora. Wielka odwrócona piramida szeptała i wypuszczała strumienie pary, ale piece formujące i

zagrody arkonitów były teraz puste.

Wszystkie dzieci Króla już opuściły Piekło, ale korytarz prowadzący na ziemię nadal dominował na tle nieba. Wił się nad Labiryntem niczym szeroka wstęga. Przymocowany do podstawy z osmalonego kamienia, wznosił się na niebotyczną wysokość, stawał się coraz węższy, aż w końcu zniknął w ciemnym słońcu znajdującym się w samym sercu Labiryntu. Oba końce tkwiły nieruchomo w miejscach, gdzie zostały przytwierdzone, ale cała reszta znajdująca się między nimi falowała jak bicz. Brama straciła większość swojej masy, kiedy przeszli przez nią arkonici. Miejscami była niemal przezroczysta.

Na jednym z pazurów czarnej rękawicy Menoi usiadła mucha. Król spojrzął na nią, zmienił żywe ciało w szkło, a potem je zmiażdżył. Z zamyślenia wyrwało go niewypowiedziane na głos pytanie twierdzy. Wiedźmowa kula dotarła do podstawy fortecy i chciała z nim mówić.

Wpuść ją. Pozwól jej przejść bez przeszkód przez cytadelę.

Chwilę później wiedźmowa kula wtoczyła się na balkon. Menoa nie miał nazwy dla tego konstruktów, ale rozpoznał go od razu. Podrapane i powgniatane metalowe płyty były świadectwem wielu lat spędzonych w świetle żywych.

--Przynosimy wieść od Pierwszych -- powiedziała kula głosami licznych wiedźm. -- Potwierdzają twoje podejrzenia, panie. Taumaturg wyczarowała mgłę, żeby ukryć zdrajcę arkonitę. Razem z mgłą Cospinola całun obejmuje dalej leżące ziemie.

--Bramę też?

--Tak.

Maska króla wykrzywiła się, naśladowując wyraz ponurego namysłu, który pojawił się na jego twarzy.

--Nie spodziewałem się mgły, tylko zdrady -- wyznał. -- Cospinol nie może zabić moich wojowników, więc jego agenci muszą spróbować zabić tych, którzy nimi sterują. -- Pierwsi Ikaraci przebywali w Bastionie Głosów ukrytym głęboko we wnętrzu Procesora. Stamtąd obserwowali świat żywych oczami arkonitów i za pomocą myśli kierowali wielkimi żelaznymi automatami, które zmiażdżyły Coreollis. Menoa już podjął kroki, żeby ich chronić. Taumaturgiczna mgła była amatorskim zagranem. Czyżby jego wrogowie naprawdę sądzili, że pan Labiryntu nie przygotowuje się na tak oczywisty atak? -- To zasłona dymna stworzona po to, żeby zabójca mógł wejść przez bramę.

--Przyślą tutaj arkonitę Dilla?

Król pokręcił głową.

--Ten młody anioł posiada dość siły, żeby samodzielnie stawić czoło moim wojownikom. Cospinol potrzebuje go na ziemi. -- Odwrócił się do bramy. Szeroka wstęga wiła się i skręcała, ale dwunastu aniołów pozbawiło ją dużej części mocy, tak że słabła z każdą chwilą. -- Bóg morza i mgły ma jeszcze jednego asasyna, barbarzyńcę z Burzliwego Wybrzeża, który ciągnie statek. To jego na pewno tutaj przyśle.

Balkon jeszcze nie wyhodował sobie parapetu, ale wiedźmowa kula podtoczyła się tuż do krawędzi przepaści.

--Bez Kotwicy Cospinol będzie uziemiony i bezradny -- stwierdziła.

--Nie może pozwolić sobie na to, żeby osiaść na mieliźnie -- zgodził się król. -- I dlatego musi towarzyszyć swojemu niewolnikowi. Przecież ma całą armię ludzi na szubienicach statku. Bez wątplenia planuje wysłać ich przeciwko nam, żeby odwrócić naszą uwagę.

--Mamy polecieć Ikaratom, żeby dorzucili do pieców maszyn mielących?

--Tak -- powiedział Menoa. -- Do wszystkich pieców.

* * *

John Kotwica wziął głęboki wdech. Przez dłuższą chwilę rozkoszował się zapachem starego lasu, mokrych liści, zimnego powietrza ciężkiego od deszczu. Gdyby jeszcze kiedyś musiał przejść po dnie oceanu, takim właśnie powietrzem chciałby napelnić płuca. Poza tym ten bór był miłym miejscem na spacer. Miękka brązowa ściółka uginała się pod nogami i prostowała zaraz po przejściu. Z góry spadał na niego deszcz gałęzi, ścinanych przez linę torującą sobie drogę przez kopułę drzew. Maszerując, olbrzym wyjął garść perel z sakiewki wiszącej na biodrze i wrzucił je do ust. Potem zaczął nucić.

Lina zadrżała. Kotwica się zaśmiał.

--Za bardzo się martwisz, Cospinolu. Mój głos wcale nie jest donośniejszy od trzasku lamanych gałęzi. A przecież nie możemy uciszyć lasu, prawda?

Przez linę dobiegł głos jego pana. *Arkonici są więksi od ciebie, John.*

--Ale nie silniejsi.

Teraz nie pora na sprawdzanie tej teorii. Oszczędzaj siły na Ikaratów Menoi, błagam.

--Na pewno jestem szybszy od golemów, Cospinolu. Śmignę jak szczur wokół ich kostek. Wskoczę w bramę i pociągnę cię za sobą, a giganci będą się potykać, próbując nas dogonić. Łatwizna.

Jak spętany szczur, John. Nie zapominaj o tym.

Kotwica się uśmiechnął. Po prawdzie, miał nadzieję powalczyć z co najmniej jednym z arkonitów. Czuł się dzisiaj silny: milion dusz wyło w jego krwi. Ich głosy brzmiały jak wojenny okrzyk w głębi jego umysłu, dopóki nie wsłuchiwał się w nie zbyt uważnie. Gdyby się skupił, rozpoznałby jęki i błagania, a to zepsułoby mu humor. Zanurkował pod nisko wiszącym konarem. Usłyszał, jak lina *Rotswarda* zaczepia o gałąź, która pęka z głośnym trzaskiem.

Na zachodzie zagrał myśliwski róg.

Kotwica lekko skręcił w tamtą stronę.

Ostrzegam cię, John. Mina Greene wyczarowała tę mgłę, żeby zamaskować nasz własny kamuflaż. Nie zepsuj tego, próbując zmierzyć się z automatami. Chcę dotrzeć do bramy bez incydentów. Zawróć na południowy zachód, z dala oddźwięków rogu.

--Czytasz w moich myślach?

Nie, John. Po prostu wiem, jaki jesteś.

Wielkolud westchnął i posłuchał Cospinola. Mimo gęstej mgły widział, że teren opada tutaj w stronę południa. Miejscami dostrzegał między dębami niskie murki, pozostałości dawno opuszczonych osad, teraz zarośnięte mchem i otoczone klującymi krzewami jeżyn. Grzyby rosnące całymi koloniami wyglądały jak kości w odkrytych grobach. Kotwica nie pamiętał, czy kiedyś już odwiedził to miejsce. Zastanawiał się, jaka tragedia spotkała właścicieli tych domostw. Jakby w odpowiedzi, w głębi jego umysłu krzyknęła samotna dusza. Kotwica zmarszczył brwi. Nie chciał wiedzieć. Znowu zaczął podśpiewywać pod nosem.

Pewnego letniego dnia na Plaży Heroldów

Poznałem dziewczynę bez zębów.

Pocałowałem kołnierz jej ładnej sukienki,

a ona...

Lina zadrżała. *Postaraj się nie bawić tak dobrze, John. To wszystko, o co cię proszę.*

Kotwica urwał gałąź i machnął nią przed sobą jak mieczem, choć bardzo nie lubił tej broni.

--Ponieważ nie chcesz dopuścić mnie do arkonitów, Cospinolu, mogę tylko mieć nadzieję, że czeka na mnie całe Piekło i że Menoa miał dość rozsądku, żeby je uzbroić.

O to możesz być spokojny odparł bóg. *Pan Labiryntu nie pozwoli, żeby zmarnowały się dusze tych, których zamordował.*

Wielkolud opuścił las niedaleko miejsca, gdzie do niego wszedł. Lina zahaczyła o ostatnie gałęzie, a potem się uwolniła, łamiąc je z trzaskiem. Oczy Kotwicy już dawno przywykły do szarego mroku, więc teraz zobaczył na południowym wschodzie rząd niskich pagórków i resztki palisady. Umocnienia zrobione przez wojowników Rysa. Zbliżali się do Pola Larnaig.

Kotwica rozejrzał się we mgle, ale nigdzie nie dostrzegł śladu Dwunastki. Zmarszczył brwi.

--Dlaczego Menoa zostawił bramę niestrzeżoną? Bystrzejszy ode mnie człowiek mógłby nabrać podejrzenia, że król chce, żebyśmy weszli do Piekła.

Minęła chwila, zanim Cospinol odpowiedział. *Sądzę, że to możliwe, a nawet całkiem prawdopodobne. Gdybym umarł na Ziemi, moja dusza zagubiłaby się gdzieś w Labiryncie. Jego szpiedzy mogliby jej szukać latami. Ale zabijając mnie w drzwiach swojego Procesora, oszczędziłby sobie wszystkich kłopotów. Natomiast Dziewiąta Cytadela na pewno jest strzeżona. To jego siedziba.*

--To dobrze. W takim razie nie musimy już tracić czasu na skradanie się.

A skradaliśmy się?

--Jak spętany szczur -- odparł Kotwica i ruszył biegiem po stoku ku Polu Larnaig.

Wkrótce dotarł do pierwszych poległych. Ciała w zbrojach zaścielały pobojowisko niczym dziwne stalowe zboże, skoszone, ale nie zebrane z pola. Metal zmatowiał pod wpływem mgły, rozrzucona broń i tarcze przybrały szarą barwę kamienia. Gazy uchodziły ze świstem z wzdętych brzuchów trupów żołnierzy. Kruki skakały po padlinie, kracząc złowieszczo, wydziobując usta i oczy. Tu i ówdzie sterczały w górę niebieskie i złote pióropusze hełmów, jak egzotyczne ptaki, które zleciały się na ucztę razem ze swoimi czarnymi kuzynami. Wśród zabitych byli również mesmeryści: maszyny zbudowane z ciała i żelaza, bestie podobne do szakali, czarne plamy w miejscach, gdzie rozpuścili się Non Morai. Kotwica szedł między tysiącami trupów, a jego nastrój szybko się pogarszał.

Wojownicy Rysa byli okrutnymi ludźmi, ale nie zasłużyli na taką śmierć. Tyle straconych dusz. Świadomość, że wkrótce stanie z nimi do walki, jakoś wcale nie pocieszała Kotwicy.

Przeszedł niecałe sto jardów, kiedy zauważył Silistera Trencha. Wojownik Pierwszej Cytadeli, który opanował ciało Dilla, leżał częściowo zagrzebany pod wielkim stosem szczątków mesmerystów. Jego martwe oczy patrzyły w niebo. Stracił większość zębów. Miał rozplataną czaszkę.

Kotwica podszedł do stosu i wyciągnął z niego trupa dzielnego żołnierza. Ciało było niekompletne -- nogi zostały pośród zmiażdżonych części maszyn.

--Dobrze walczył -- powiedział wielkolud. -- Tutaj jest o wiele więcej ciał mesmerystów niż gdzie indziej. Usypał z nich niezły pagórek.

Ruszaj do bramy, ponaglił go Cospinol.

I wtedy Kotwica ją zobaczył. Rzeczywiście była niestrzeżona.

Wnętrze czaszki Dilla było dużą komorą, ale między stłoczoną maszyną zostało tak niewiele miejsca, że Rachel z trudem się poruszała. Zewsząd otaczały ją rzędy przekładni, tryby szczękały jak setki małych czarnych zębów. Koła obracały się w kołach. Tłoki unosiły się i opadały w nieregularnych sekwencjach sapnięć i stuków. Kryształy szumiały i rzucały strumienie białego światła na metalowe powierzchnie. Całe pomieszczenie śmierdziało spalonym drutem i czymś jeszcze... jakimś środkiem antyseptycznym.

Rachel zarejestrowała to wszystko kątem oka, bo patrzyła przede wszystkim na szklaną kulę znajdującą się pośrodku komory. Niemal całe oświetlenie pochodziło od tego urządzenia albo od widziadeł zamkniętych w środku.

Jak ich dużo!

Naliczyła co najmniej dwanaście zjaw uwieczonych w kuli: mężczyzn i kobiet, kłębowisko nagich istot stłoczonych na powierzchni ledwo wystarczającej dla jednej albo dwóch osób. Wszyscy próbowali uwolnić się ze ścisku, walczyli ze sobą nawzajem, ale ich gazowe postacie były niematerialne. Pięści przechodziły gładko przez twarze i torsy. Usta poruszały się w bezgłośnym krzyku i przekleństwach. Duchy krzywiły się, marszczyły brwi, spluwały. Zygzaki światła błyskały między nimi jak manifestacje niesłyszalnych obelg. Rachel dostrzegła udręczoną minę Dilla zanim jego twarz zniknęła w płątaniu łokci i nóg. Usta miał szeroko otwarte, jakby w błaganu.

Ale w pomieszczeniu nie było słycać żadnych innych dźwięków oprócz stukotów, dudnienia maszyn, trzaskania kryształów. Kula na chwilę zrobiła się jaśniejsza, potem znowu pociemniała. Duchy nadal toczyły niemą walkę, otoczone błyskawicami.

Rachel widziała perły dusz, które połykał John Kotwica i które dawały mu niezwykłą siłę. Wiedziała, że eteryczna świadomość niekoniecznie potrzebuje ciała, żeby istnieć. Przy właściwej technice dusza może zamieszkać niemal wszędzie. Mesmeryckie urządzenia Alice Harper kiedyś były żywe i nadal pamiętały strach. Ale tutaj podjęto celowe działanie, żeby te konkretne osoby zachować w fizycznych postaciach.

Rachel podeszła do kuli, lawirując wśród maszyn, przekraczając kable. Z bliska zobaczyła, że z kryształów znajdujących się w górze pochodzą inne, dużo słabsze światelka. Wydawały się pełne drobinek, które emanowały ciemnoniebieską poświatą, dryfując tu i tam.

Przycisnęła dłonie do szklanej powierzchni...

Zabiłem go... przesuń się tam... nie mogę... moja głowa... przestań na mnie krzyżeć... nie... ja... było tam ciemno... nienawidzę cię, nienawidzę... nie chcę tego pamiętać... to nie ja... to ty, odsuń się... żadnych noży... kłamca, rozmawiałem z nią... nic oprócz ciemności... morderca... niemów, nie...

... i cofnęła się gwałtownie, kiedy kakofonia głosów zaatakowała jej umysł. Wzięła głęboki wdech.

--Dill?

Cała komora nagle przechyliła się w lewo. Rachel ukucnęła instynktownie, trzymając się kuli. Z dołu dobiegł syk pary. Pomieszczenie przekrzywiło się w drugą stronę, tym razem łagodniej.

Ze szklanej kuli dobiegł słaby głos młodego anioła. Rachel? Komora zawirowała, kiedy arkonita się rozejrzał.

--Dill, nie jestem na zewnątrz, tylko... w twojej głowie.

Po chwili ciszy przyjaciel wyszeptał: *Słyszysz moje myśli?* Sprawiał wrażenie bardzo znużonego. *Twój głos jest... dziwny.*

--Widzisz mnie?

Widzę mgłę. Drzewa w dole.

Usta anioła się poruszyły, ale szklane oczy patrzyły do wewnątrz, zdradzając, że nie dostrzegają ani jej, ani kuli, ani pomieszczenia.

Rachel ostrożnie dotknęła gładkiej powierzchni, ale nie słyszała żadnych głosów.

--Jestem z twoją duszą -- powiedziała. -- Widzę ją przed sobą. Jest uwięziona w kuli ze szkła jak w wielkiej perle dusz. -- Zawahała się. -- Dill, z tobą są inne duchy.

Szklane więzienie rozbłysło złotymi iskrami, a potem znowu pociemniało. *Dwanaście. To ludzie z eliksiru Devona. Są źli, bo nie chcą tutaj być. Próbują mnie skrzywdzić.* Dill zrobił pauzę. *Rachel, oni cię widzą.*

Rachel uświadomiła sobie, że patrzą teraz na nią wszystkie duchy. Ich twarze o różnych wyrazach przemieszczały się, stapały ze sobą, rozłączały, mieszały. Młoda kobieta przyłożyła dłoń do szkła. Asasynka cofnęła się gwałtownie. Twarz zjawy wykrzywił grymas szaleństwa.

--Nie są połączone z automatem tak jak ty -- powiedziała Rachel. -- Ty widzisz jego oczami, poruszasz jego kończynami, ale oni nie potrafią tego robić. Ci ludzie nie mają nic oprócz tej kuli.

Możesz ich uwolnić?

--Nie wiem. -- Miała w głowie zamęt, kiedy patrzyła na przepychające się postacie. -- Nie mogę rozbić szkła. Jeszcze nie, rozumiesz? -- Jeśli mieli zachować cień szansy na ucieczkę przed prześladowcami, potrzebowała Dilla w obecnej postaci.

Poczuła, że komora raptownie się pochyła, a potem prostuje. Automat po prostu kiwnął głową.

Milczał przez chwilę, a potem zapytał: *Rachel, co się dzieje z lasem?*

--Co masz na myśli? Teraz?

Nie... Pomieszczenie zadrżało, jakby Dill chciał pokręcić głową, ale w porę się zreflektował. *To się stało wkrótce po tym, jak opuściliśmy Coreollis. Drzewa zmieniły się w kamienie.*

--Jakie drzewa? Nie wiem, o czym mówisz.

Kotwica i Mina słowem nie wspomnieli o tym, że w czasie, kiedy Rachel obserwowała Coreollis, nastąpiły jakieś magiczne wydarzenia.

Mgła się rozwiała i las zmienił się w kamień. Wyglądał jak tamta skamieniała puszcza, którą widzieliśmy na Martwych Piaskach. Pamiętasz?

Minał wiek od jej ostatniego pobytu na pustyni otaczającej Deepgate. Jako adeptka Spine przemierzyła kiedyś tysiącletnie skamieniałe lasy, ziemię zatrute po upadku Czarnego Tronu z nieba. Ale tutaj bór pozostawał zielony i żywy. Czyżby Dill mylił wspomnienia z rzeczywistością?

A może taumaturg odprawiła jakieś tajemnicze czary w czasie nieobecności Rachel?

Mina cię woła, powiedział nagle Dill. *Mówi, żebyś natychmiast wyszła. Mamy towarzystwo.*

--Arkonita?

Pokój gwałtownie się zakolysał.

* * *

Szczątki, które zaścieniały czarne pobojuwisko, wyglądały jak dziwne wulkaniczne wychodnie. John Kotwica, który stał pośród nich na krawędzi bramy, z pięściami na biodrach, westchnął rozczarowany.

--Jeśli Menoa zamierza wciągnąć nas w pułapkę, może przynajmniej zostawił tutaj jednego ze swoich dwunastu gigantów jako podstęp.

Podstęp? W głosie Cospinola brzmiało znużenie.

--Żebyśmy uwierzyli, że boi się intruzów. To byłoby bardzo rozsądne posunięcie! -- Wielkolud się rozejrzył, ale w ciemności niewiele zobaczył oprócz mgły Cospinola. -- Zmęczilibyśmy się, zanim nastąpiłby prawdziwy atak. Ostatnia bitwa na Polu Larnaig!

Może uznał, że zbyt łatwo przejrzelibyśmy taki podstęp?

Kotwica odchrząknął.

--Zaczynam nie lubić tego króla. Honorowy wojownik jest zawsze nieprzewidywalny. Przestrzega odwiecznych praw wojny.

Wielka lina *Rotswarda* zaszumiała melancholijną nutą. Kotwica zajrzał w głąb bramy. Bywał w bardziej ponurych miejscach, ale nie tak znowu wielu. Brama do Piekla wyglądała jak jezioro smoły, ale odór śmierci, który się z niej unosił, zapierał dech w piersiach. Ile dusz pływało w tych cuchnących wodach? Mgła wisząca nad całym jeziorem przemieszczała się pionowymi warstwami jak bure kurtyny zasuwane i rozsuwane na pustej scenie. Na brzegach utworzył się osad, wysuszony i kruchy jak spalone mięso. Na lepkiej powierzchni unosiły się jakieś blade, nieapetyczne grudy.

Od jeziora wionęło chłodem.

Kotwica ocenił, że brama ma jakieś trzysta jardów średnicy. *Rotsward* był znacznie szerszy. Ale i dużo mocniejszy, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Osłabiało go słońce Ayen, lecz tutaj nie było słońca, a w ciemności jego stare deski czerpały siłę z woli Cospinola. Jeśli bóg morza i mgły się nie poddawał, to tym bardziej jego statek.

Czekasz, aż pokaże się jeden z arkonitów?

Kotwica odchrząknął, poruszył masywnymi ramionami i klasnął w dłonie. Następnie wziął długi, głęboki wdech, zamknął oczy i wskoczył do upiornego jeziora.

Otoczyło go lodowate zimno. Usłyszał bulgot powierzchniowych wód zamykających się nad jego głową, póki ciśnienie cieczy na bębunki nie niewelowało tych odgłosów do niemal zupełnej ciszy. Docierał do niego tylko głuchy szum powietrza zgromadzonego w zatokach. Potem przemówił Cospinol:

Nasze szanse zależą od tego, czy znajdziesz rdzeń bramy, miejsce gdzie taumaturgia Menoi jest najsilniejsza. Powinno być znacznie gęściejsze niż otaczający je płyn, coś w rodzaju sznura albo taśmy.

Kotwica otworzył oczy, ale nie odważył się otworzyć ust -- nie chciał połknąć żadnych zblakanych dusz. W ciemności niewiele widział oprócz słabej karmazynowej poświaty emanującej z głębin. Gdy zanurkował, zagarniając gęstą wodę potężnymi ramionami, pociągnął za sobą linę, a wraz z nią statek Cospinola. Płuca ścisnęły mu się na krótką chwilę -- odruch z czasów, kiedy był tylko człowiekiem -- ale zignorował dyskomfort. Płynął wciąż w dół, aż zaczął się odprężyć do rytmu własnych ruchów.

Schodził ciasną spiralą, aż poczuł, że miejscami ciecz staje się gęściejsza. Obok jego głowy przemknęły drobinki białego światła. Sięgnął po nie, ale umknęły w dal. Zmienił kurs tak,

żeby dotrzeć do centralnej części bramy.

Po chwili w pewnej odległości przed sobą ujrzał czarną nić. Dryfowała leniwie tam i z powrotem jak pasmo wodorostów poruszane przez niewidoczny prąd.

To jest to. Rdzeń bramy. Uważaj, żeby go nie zniszczyć. Już jest słaby, a to jedyna więź łącząca nas z Piekłem.

Sznur był dwa razy szerszy od pni drzew w lesie, który właśnie opuścili, ale śliski i giętki jak pępowina. Nie istniał w fizycznym sensie. Menoa utkał go z dusz i krwawej magii, tworząc coś w rodzaju kanału rodnego między Piekłem a ziemią. Kiedy Kotwica go dotknął, jego skóra zapłonęła żywym ogniem w reakcji na głęboko nienaturalny skład, ale chwycił go mocno, żeby szybciej schodzić w dół.

Po jakimś czasie lina *Rotswarda* szarpnęła go gwałtownie i zatrzymała.

Wielki statek *Cospinola* dotarł do twardego gruntu wokół wejścia do bramy. Kotwica ujrzał oczami wyobraźni, jak wysoko w górze dolne krawędzie szubienic *Rotswarda* wbijają się w Pole Larnaig.

Olbrzym dryfował w czerwonym mroku, zbierając siły przed czekającym go zadaniem. Rozluźnił dłonie, otwierając i zamykając palce. Miał wrażenie, że ściska nimi gniazdo os. Musiał teraz przeciągnąć statek przez ziemię i skały, poszerzając wejście do Piekła dzięki mocy czerpanej z martwych wisielców *Rotswarda*. Brama miała właściwie karmić się tymi nieszczęśnikami. Kotwica uśmiechnął się na myśl o starej armii swojego pana, nieświadomej losu, który ją czeka. Biedacy nie będą zadowoleni, o nie.

Przez linę dobiegł do niego głos *Cospinola*: *Harper rejestruje wzmożony ruch dusz na swoim pandemiańskim urządzeniu.*

Wielkolud się zatrzymał. Ostatni raz widział byłą inżynier Menoi, jak szła przez pole bitwy, kiedy wojownicy Rysa wyrznęli mesmeryckich wrogów, czerpiących siłę z krwawej ziemi. Ta kobieta była trupem, jednak Kotwica nie wątpił w jej rozum. Alice Harper pierwsza zrozumiała, że król wykorzysta własnych zmarłych, żeby otworzyć bramę, ale było już za późno, żeby temu zapobiec.

Ona uważa, że coś wydostaje się z bramy, mówił Cospinol. Coś ogromnego.

Kolejny arkonita? Jak to możliwe? Gigant gwałtownym szarpnięciem pociągnął *Rotswarda*, kiedy zanurkował ostro. Jeszcze nigdy nie słyszał o bitwie stoczonej wewnątrz bramy łączącej dwa światy. Miał teraz okazję zgromadzić cały kufer wspomnień, żeby rozkoszować się nimi aż do śmierci.

Strzelił kostkami rąk, napiął mięśnie karku i ramion. Potem chwycił rdzeń bramy i zaczął schodzić w głębinę, wlokąc za sobą masywną linę przyczepioną do pleców. Powróz się napiął, ale nie było obawy, że pęknie. Wysoko w górze szubienice *Rotswarda* wyginały się i jęczały, ściągane do wnętrza ziemi, ale one również nie powinny się złamać. Tam, gdzie łączyły się ze sobą wola boga morza i mgły z nieograniczoną siłą jego niewolnika, jedyną rzeczą, która mogła się ugiąć, była sama natura.

Kotwica całą swoją masą naparł na uprząż, aż poczuł, że ziemia wokół bramy ustępuje pod nieznośnym naciskiem. Powoli i nieustępliwie pociągnął wielki statek *Cospinola* w głąb Piekła.

Rozdział 3

BRAMA

Rachel spędziła noc w ustach Dilla. Przyciśnięta plecami do jego trzonowców, skulona pod kocem, nie mogła się wygodnie ułożyć. Powietrze wpadające przez szpary w przednich zębach jeszcze bardziej wychładzało zimne, wilgotne pomieszczenie. Mina zaproponowała rozpalenie ogniska, ale Rachel natychmiast odrzuciła ten pomysł jako bardzo niestosowny. Podłoga kołysała się pod nią łagodnie, kiedy arkonita kroczył przez noc. Z dołu dobiegał stały łoskot maszynierii i trzask łamanych drzew, towarzysząc każdemu stąpięciu Dilla przez las.

Żywy las. Wizja skamieniałych drzew mogła być tylko przebłyskiem wspomnień albo snem. Od opuszczenia Deepgate młody anioł trafiał z jednej okropnej rzeczywistości do innej, od bezdennej otchłani pod łańcuchowym miastem po korytarze samego Piekła. Cud, że w ogóle zachował zdrowe zmysły.

Powiązali zgromadzone skarby Cospinola najlepiej, jak zdołali. Stosy beczek i skrzyń miały tendencję do przewracania się za każdym razem, kiedy Dill obracał monstrualną głowę. Przy każdym jego gwałtowniejszym ruchu Mina i Hasp musieli ratować swoje kruche powłoki przed stłuczeniem. Taumaturg i szklany bóg też na próżno usiłowali zasnąć. Hasp wyglądał na dwa razy bardziej wyczerpanego od Miny. Mesmerycki pasożyt ukryty w jego czaszce nie dawał mu wytchnienia przez całą noc. Tylko koszmary Bazylis spał spokojnie. Na krótko zniknął za beczkami, a po powrocie zwinął się w kłębek na dywaniku, pod stołem ustawionym pośrodku metalowej pieczary, błogo nieświadomy smrodu uryny dochodzącego z głębi ich tymczasowego lokum.

Cospinol dostarczył im skromne wyposażenie: chodniki, koce, lampy, a nawet stary stół i krzesła. Te ostatnie, podobnie jak lampy, od razu się przewróciły, więc zostawili je po jednej stronie szczęki, natomiast stół -- ciężki drewniany mebel, nieco zbutwiały i cuchnący morską wodą -- tkwił mocno na swoim miejscu.

Niebo pojaśniało, ale nadal nie widzieli nic oprócz mgły. Od czasu do czasu Mina zamykała oczy i wdychała ją głęboko, a następnie podawała im pozycję arkonitów, których zdołała wyczuć. Dzięki swemu czarnoksiężskiemu wzrokowi potrafiła opisać krajobraz, którego Rachel nie mogła zobaczyć. Sześciu z golemów Menoi ścigało ich wytrwale, kierując się na południe. Inni zniknęli; prawdopodobnie znajdowali się poza zasięgiem jej zmysłów.

Ta ostatnia wieść niepokoiła Rachel. Czyżby giganci ruszyli za Kotwicą i Cospinolem? Gdyby udało się im dopaść wielkoluda, zanim ten dotrze do bramy, jedyną nadzieją, która by im pozostała, byłby szalony plan Miny, żeby zaatakować Niebo.

Rachel wstała, przeciągnęła się i wyjrzała z ust Dilla. Ujrzała tylko szare niebo i zamazany szarozielony dywan w dole.

--Jak daleko ciągnie się ten las? -- zapytała.

--Sto dwadzieścia mil -- odparł Hasp. -- Dawniej pokrywał większą część Pandemerii, ale PRC mocno go przetrzebiło, budując linię kolejową. Zostały tylko stare bory za Coreollis. Powinnaś wiedzieć, że ludzie północy byli kiedyś drwałami.

--W ciągu tej nocy musieliśmy pokonać co najmniej osiemdziesiąt mil -- stwierdziła Rachel. -- Oczywiście, jeśli Dill zachował właściwy kurs. Czy nie powinniśmy już dotrzeć do Doliny Rye?

Wcześniej postanowili skierować się ku Kwiatowym Jeziorom, systemowi głębokich zbiorników wodnych, które utworzył na północy Rys, przegradzając tamami dwie rzeki. Otaczające je ziemie wkrótce zasłynęły jako ogród Coreollis. Uciekinierzy mieli nadzieję, że tam zgubią prześladowców. Idąc przez Wielki Pandemiański Las, Dill zostawiał za sobą wyraźny trop, natomiast gdyby ślady jego stóp ukryła woda, mogliby w gęstej mgle wymknąć się arkonitom Menoi.

Hasp wzruszył ramionami.

--Nie mam pojęcia, gdzie jesteście ani jak stąd dotrzeć do Kwiatowych Jezior. -- Skrzywił się, przyciskając dłoń do głowy. -- Mina albo Bazylis na pewno coś wiedzą. Ona najwyraźniej dobrze się orientuje w tej ponurej szarości.

Mina podniosła na nich wzrok.

--Teren stale się wznosi ku północy i tworzy niskie pasmo górskie. Widzę leśny szlak jakieś pół mili dalej na północny wschód. Zdaje się, że korzystało z niego ostatnio sporo ludzi, chyba uciekinierów, sądząc po opuszczonym miasteczku drwali leżącym na południowym wschodzie. Droga prowadzi przez drugą, znacznie mniejszą osadę przy tartaku, ale ona też wygląda na porzuconą. Jest tam tylko skupisko domów robotników, parę szop i gospoda z zamkniętymi okiennicami. I jeszcze wielka żółta maszyna, chyba traktor parowy, ale nie wygląda na to, żeby ostatnio ktoś na nim pracował.

--Więc gdzie jesteście?

Mina pokręciła głową.

--Nie mam pojęcia.

Hasp odchrząknął.

--Oby Cospinol miał mapę.

Wiedzieli, że królestwem Sabora jest dzika, lodowa kraina, jak daleko sięga ludzka pamięć zwana Hericą. Cospinol opisywał ją jako terytorium białych niedźwiedzi i pięcionogich bestii większych od turów. Forteca Sabora o tajemniczej nazwie *Obscura Redunda* stała na szczycie czarnego wulkanicznego stożka, który wznosił się w cieniu Gór Świątynnych, leżących za Pandemia i Kwiatowymi Jeziorami. Jednakże nawet bóg morza i mgły nie wiedział, dokładnie, gdzie to jest. Nigdy nie odwiedził brata.

Nie pomógł więc Minie, która wyczuwała najdrobniejsze szczegóły wielu mil lasu wewnątrz całunu z mgły, ale nie potrafiła umiejscowić ich bezpośredniego otoczenia na mapie świata. Nie mogli iść według słońca czy gwiazd, więc byli zmuszeni poruszać się na oślep. W efekcie się zgubili.

Rachel spojrzała w dół przez szpary w zębach Dilla. Zobaczyła tylko nieprzerwaną kopułę zamglonych drzew. Ze wszystkich stron otaczały ich akry szarego, niegościnnego lasu.

--Może się zatrzymamy i spytamy o kierunek? -- zaproponowała.

Hasp się roześmiał.

Po raz pierwszy od dawna Rachel usłyszała jak się śmieje. Odwróciła się i zauważyła, że z jego oczu zniknął wyraz napięcia.

--Mówię poważnie -- powiedziała. -- W tym mroku nie możemy nawet być pewni, czy idziemy we właściwą stronę. Mino, jak daleko jest do tej osady?

Taumaturg się uśmiechnęła.

--Kilka minut drogi. Nie widzę tam nikogo, ale w jednym z domów mogą być ludzie. --

Spojrzała na Haspa.

--Dlaczego nie? -- burknął archont.

Rachel zerknęła na podniebienie arkonity.

--Dill? Słyszalesz?

Komora przechyliła się ostro do przodu i z powrotem. Krzesła i lampy przesunęły się po podłodze i uderzyły o zęby giganta. Hasp i Mina złapali się kurczowo tego, co mieli pod ręką, ratując życie.

Hasp wyprostował się z twarzą wykrzywioną gniewem.

--Mogłabyś mu przypomnieć, żeby przestał to robić? -- warknął do Rachel. -- Na jaja Ayen, nie dość, że jesteśmy uwięzieni w cuchnącej pieczarze, to jeszcze ten drągał próbuje nas zabić za każdym razem, kiedy kiwa głową. -- Nagle skrzywił się z bólu, ścisnął za głowę i pobiegł w głąb pomieszczenia.

--Nie jest sobą -- powiedziała cicho Mina. -- Jego umysł toczy pasożyt Menoi.

Rachel położyła rękę na wewnętrznej stronie szczęki Dilla. Nawet nie wiedziała, czy on czuje ten dotyk.

--Skieruj się w stronę osady, Dill. Znajdziemy tam kogoś, kto nam powie, gdzie jesteśmy.

Wioska ciągnęła się wzdłuż jednego boku rozległej polany w lesie. Wycięto tutaj kilka hektarów drzew, żeby zrobić pastwisko dla zwierząt, ale wyglądało na to, że większość drewna sprowadzono z innych miejsc małymi szlakami dla wozów, odchodzącymi promieniście od tartaku zajmującego środek osady. Za szeregiem chat o blaszanych kominach leżały stosy świeżych bali. Na końcu rzędu mieściła się gospoda z zamkniętymi okiennicami, ale Rachel nigdzie nie widziała oznak życia. Sam tartak był długą, niską szopą z dachem pokrytym darnią. Od jego ściany biegł pas transmisyjny do jaskrawoczerwonego traktora stojącego na zewnątrz, ale maszyna nie pracowała.

Rachel spojrzała na Minę. Czy taumaturg przypadkiem nie mówiła, że traktor jest żółty? Mało ważna, ale dziwna pomyłka. A może po prostu się przesłyszała.

--Jest dość bezpiecznie -- stwierdziła Mina. -- Ale lepiej się pospiesz.

Asasyńska precyzyjnie weszła między zęby Dilla i weszła na jego rękę, a on opuścił ją na ziemię. Automat wznosił się nad nią na wysokość czterystu stóp, beużyteczne skrzydła rysowały się na tle nieba. Kiedy znieruchomiał, w niczym już nie przypominał żywej istoty. Wyglądał jak góra albo starożytny, groźny posąg -- część krajobrazu w takim samym stopniu jak osada. Bił od niego zapach chemikaliów i smarów. Kiedy wcześniej się pochylał, trzymał głowę prosto, a teraz spoglądał przed siebie w pustkę ciemnymi jaskiniami oczodołów.

Rachel zeskoczyła z jego dłoni na szlak pełen kolein, świadczących o tym, że ostatnio przechodziło tędy wielu ludzi. Za drogą stał we mgle rząd chat o ciemnych oknach bez szyb. Nad nimi górowała ściana drzew iglastych w kolorze brokułów, o pniach ogolonych z dolnych gałęzi.

Asasyńska ostrożnie zbliżyła się do domostw.

Zajrzała do pierwszych trzech, ale nic nie znalazła. Były to po prostu jednoizbowe chaty z pryzmami dla sześciu robotników. Brakowało materacy i pościeli. W czwartym domu Rachel zobaczyła obok pękatego pieca stos świeżo pociętego drewna na opał i cztery ludzkie czaszki leżące na podłodze. Dotknęła żelaznej płyty i stwierdziła, że jest jeszcze ciepła.

Gospoda była większym, piętrowym budynkiem zbudowanym z grubych bali pomalowanych

na szaro. Na drewnianym szyldzie wiszącym nad drzwiami widniała nazwa „Zardzewiała Piła” obok zręcznie wykonanego grawerunku tego narzędzia.

Rachel obesza budynek, sprawdzając oba wejścia i liczne małe okna z zamkniętymi okiennicami. Potem wróciła na frontowy ganek i zabębniła do głównych drzwi. Potem przez chwilę nasłuchiwała. Gdy nikt jej nie otworzył, zrobiła to sama solidnym kopniakiem.

Większą część parteru zajmował bar. Wzdłuż ściany za kontuarem ciągnęły się półki z butelkami whisky, na starym lustrze w ramie był wyryty napis: Pandemiańska Spółka Kolejowa.

Rachel ruszyła między pustymi stolikami i krzesłami. Deski podłogowe skrzypiały przy każdym jej kroku.

--Halo?! -- zawołała.

W pomieszczeniu pachniało ściętym drewnem. Rachel spojrzała na schody znajdujące się w głębi izby. Bez wątpienia prowadziły do pokoi dla gości.

--Halo? Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi.

Nagle zjeżyły się jej włoski na karku. Wyczuła i kątem oka dostrzegła ruch, przemykający cień. Odwróciła się błyskawicznie.

Nikogo.

Ze starego, porysowanego lustra spółki kolejowej patrzyło na nią jej własne odbicie. Skórzany kaftan, który dali jej niewolnicy Cospinola, był na nią o wiele za duży. W półmroku jej włosy wydawały się ciemniejsze, niemal koloru miodu. Z topornej pochwy wystawała rękojeść zdobycznego pandemiańskiego miecza. Asasyńska odruchowo powędrowała do niej dłonią.

Pęknięcie biegnące przez całe lustro od góry do dołu dzieliło na pół jej bladą twarz. Czy ta rysa rzeczywiście tutaj była? Z jakiegoś powodu Rachel ogarnął niepokój.

Jedne z dwóch par drzwi prowadziły do korytarza, a ten wychodził na zewnątrz, do studni i wygódki oraz do małej kuchni mieszczącej się po lewej stronie. W tym pomieszczeniu znajdował się zbiornik na wodę i spiżarnia z zapasami jedzenia w puszkach, przetworami w słoikach i skrzynkami pełnymi świeżych warzyw. Rachel wróciła do baru i otworzyła drugie drzwi. Za nimi znajdowało się biuro właścicieli: szafa, wyściełane krzesło, biurko, papiery w kartonowych segregatorach, wąskie polowe łóżko pod przeciwległą ścianą. Pod ściennym zegarem kołysało się wahadło. Kiedy Rachel wychodziła, rozległy się dwa uderzenia.

Potem usłyszała za sobą kroki, odwróciła się szybko i powiodła wzrokiem po barze.

Nikogo.

Z miejsca, w którym stała, wydawało się, że ma dwa różne odbicia w starym lustrze wiszącym za barem. Z obu stron pęknięcia spoglądały na nią dwie twarze. Szkło musiało być wypaczone, bo każda miała nieco inny wyraz. Ta po lewej sprawiała wrażenie...

Okrutnej?

Rachel oderwała wzrok od lustra.

Chyba wariuję. Najpierw Rys, a teraz to.

Naprawdę widziała sobowtóra Rysa na chwilę przed zawaleniem się jego bastionu? Niepokoila ją rosnąca ostatnio liczba dziwnych wydarzeń. Czaiły się w głębi jej umysłu jak intruzi w znajomym otoczeniu.

Westchnęła. W tym miejscu przyprawiającym o gęsią skórę wyobraźnia w połączeniu z napięciem po raz kolejny splatała jej figła.

Tak czy inaczej, kroki brzmiały całkiem prawdziwie i jak najbardziej mogły dochodzić z piętra. Zlekceważenie ich byłoby błędem.

Rachel powoli ruszyła w górę po schodach.

Na piętrze znajdowały się cztery pary drzwi: trzy otwarte, jedno zamknięte. Trzymając dłoń na rękojeści miecza, Rachel minęła pierwsze. Na umeblowanie zatęchłej sypialni o ścianach z bali składało się: łóżko, komoda z szufladami, dywan, mały piecyk, szare koronkowe zasłony, za którymi było widać mgłę.

Drugi pokój okazał się urządzone podobnie.

W końcu Rachel stanęła przed zamkniętymi drzwiami.

--Nie zrobię ci krzywdy -- powiedziała. -- Po prostu potrzebuję wskazówek. -- Odczekała chwilę i sięgnęła do galki.

Z pokoju wypadła smukła, młoda kobieta w kwiecistej sukni i rzuciła się na asasynkę, wrzeszcząc jak wiedźma, która uciekła ze stosu. W uniesionej ręce trzymała siekierę. Na jej twarzy o wytrzeszczonych oczach i zapadniętych uróżowanych policzkach malowało się obłędne przerażenie. Napastniczka zamachnęła się i wymierzyła cios tak niecelny, że Rachel jedynie usunęła się w bok o cal. Kobieta przebiegła z impetem obok niej i zanosła się gwałtownym szlochem. Potem zawróciła, szykując się do następnego ataku.

Rachel natychmiast się zorientowała, że przeciwniczka nie jest wojownikiem.

--Zaczekaj! -- krzyknęła, wyciągając przed siebie rękę. -- Co ty wyprawiasz? Omal mnie nie zraniłaś.

Napastniczka zatrzymała się z niepewną miną. Wąskie, zaciśnięte usta wyglądały jak czerwony drut na jej mocno upudrowanej, białej twarzy. Pot plamił suknię pod pachami i na piersi. Kosmyki pomarańczowych włosów wymykały się ze wstążki, ale pomijając koszmarny makijaż, kobieta mogła być atrakcyjna. Patrzyła na asasynkę z mieszaniną strachu i rozpaczyny... i chyba z cieniem nadziei w oczach. Siekiera w jej ręce drżała.

--Odlóż to, zanim mnie zranisz -- powiedziała Rachel.

Kobieta natychmiast opuściła siekierę.

--Abner kazał mi to zrobić -- zaczęła się tłumaczyć. -- To był jego pomysł. Powiedział, że lepiej sobie poradzę, bo jestem młodsza od niego. Nie zamierzałam cię uderzyć. Abner mówił, że powinnam... -- Skrzywiła się lekko. -- Ale ja nie mogłabym tego zrobić. Próbowaliśmy tylko cię odstraszyć. -- Przelknęła ślinę. Spojrzała na siekierę. -- Proszę, nie zabijaj nas. W studni jest ukryte czterysta miedziaków. Możesz je wziąć.

--Gdzie jest Abner? To twój mąż?

Kobieta zerknęła w stronę pokoju, z którego niedawno wyskoczyła, i szybko wróciła spojrzeniem do asasynki.

--Mąż? Tak. Wybiegł z domu, kiedy pojawiła się mgła, a potem golem. Ukrywa się gdzieś w lesie. Nie zamierzał zrobić ci krzywdy.

Rachel stała teraz plecami do ściany. Nie była zaskoczona, gdy kątem oka dostrzegła ruch, a następnie zobaczyła postać w otwartych drzwiach, przez które niedawno wypadła jej niezwykła przeciwniczka.

Tęgi mężczyzna w zielonych spodniach i białej koszuli był dwa razy większy, od żony.

Utkwił w Rachel cyniczne spojrzenie małych oczek, celując z muszkietu w jej twarz.

--Ona nie weźmie moich pieniędzy -- oświadczył.

I pociągnął za spust.

* * *

John Kotwica już wcześniej dźwigał ciężar morza na plecach, więc rozumiał, co to jest ciśnienie, ale w tym dziwnym świecie ciecz stawała się coraz rzadsza i bardziej przezroczysta, w miarę jak schodził w dół. Miał wrażenie, że dryfuje po czerwonym niebie. Ściągnął ze sobą z góry setki drobinek światła i teraz cała ta konstelacja iskrzyła się i tańczyła wokół niego jak cząsteczki żywego eteru. Były to dusze uwieszone w bramie, ale miały inne pojęcie o swoim otoczeniu niż Kotwica. Tutaj w głębinie wszystkie śniły wspólny sen.

Niestety, on nie miał takiego luksusu: ciężar *Rotswarda* był prawdziwy. Wielki statek *Cospinola* brnął przez wody gdzieś wysoko nad nim. Kotwica schodził coraz niżej, chwytając dłońmi rdzeń bramy.

I przez cały czas wbijał wzrok w głębinę, wypatrując istoty, której obecność Alice Harper wykryła swoim mesmeryclum urządzeniem.

Wkrótce zaczął dostrzegać wokół siebie różne przedmioty: takie, które podobnie jak on musiały spaść z ziemi, i inne, dziwniejsze rzeczy, najwyraźniej pochodzące z samego Labiryntu. Kilka jardów po jego lewej Bronie pływał dąb z korzeniami i żółdziejami na gałęziach. Po prawej wisiały w wodzie trzy stalowe helmy, jakby zebrały się, żeby pokonferować. Jeszcze dalej, w większym mroku Kotwica zauważył mały pandemiański parowiec. Odróżnił komin i mostek.

I wszędzie dryfowały trupy ludzi i zwierząt: setki ludzi północy, którzy polegli w Larnaig; dziesiątki martwych koni przypominających wielkie blade płody zawieszane w owodni; szakale, psy myśliwskie i mnóstwo innych niezidentyfikowanych obiektów.

Mesmeryckie pozostałości były jeszcze bardziej osobliwe: różnego kształtu kule z ludzkich kości; dwie martwe istoty na długich czarnych szczudłach; skupiska groźnie wyglądających metalowych części; tuziny humanoidalnych wojowników i czerwonych ludzi bez skóry. Ale były tam również śmieci, które, jak podejrzewał Kotwica, nigdy nie widziały słońca: odlupane kawałki rzeźbionego czarnego kamienia, łuki, wielkie fragmenty kościołów albo świątyń. Wszystkie one jakby przyciągały światelka, bo całe ich grona krążyły wolno wokół nich po stałych orbitach.

Otwarcie bramy, uświadomił sobie Kotwica, spowodowało kataklizm nie tylko na ziemi, ale również w Piekło. I teraz szczątki z tych dwóch obcych sobie światów wymieszały się ze sobą w otchłani, która je dzieliła.

Nagle po swojej prawej stronie zobaczył poruszający się wśród odpadków długi, wysmukły cień ze spiczastą głową i półksiężycowatym ogonem. Po chwili stwór zniknął za odłamem świątynnego muru.

Rekin?

Wielkolud się zatrzymał. Było niemożliwe, żeby w tych warunkach mógł przetrwać normalny organizm. Jednakże Kotwica i jego pan spożyli w ciągu eonów dość pereł z duszami, żeby podporządkować swojej woli nie tylko każdą istotę, ale również samą materię. Oprócz nich wszyscy na pokładzie statku, z wyjątkiem *Carnival*, nie żyli od wieków. Martwi niewolnicy, martwi żeglarze, martwi wojownicy wiszący na szubienicach *Rotswarda*. Nawet Alice Harper,

żeby przeżyć, potrzebowała nie powietrza, lecz krwi.

Czy właśnie to stworzenie wykryło wcześniej jej urządzenie?

Lina statku zawibrowała na jego plecach. *Co się dzieje, John? Dlaczego się zatrzymałeś? Jakież kłopoty?*

Kotwica oplótł nogami rdzeń bramy, a potem trzykrotnie szarpnął oburącz linę, przekazując Cospinolowi swoje wątpliwości.

Harper nie odczytuje niczego niezwykłego na lokalizatorze. Są jakieś duchy w pobliżu, ale żaden nie był nigdy człowiekiem. Ruch dusz, który wcześniej wykryła, odbywa się daleko w dole pod tobą. Zdaje się, że jest dużo bardziej oddalony i większy, niż sądziliśmy. Sama jego skala sprawiła, że urządzenie ogłupiało. Kiedy znajdziemy się bliżej, zdobędziemy więcej informacji. Z pewnością nie jest to jednak arkonita, John.

Wielkolud spojrział na gęste czerwone wody. Ludzkie dusze roily się wśród dryfującego gruzu jak błędne ogniki, oświetlając fasady dziwacznych zatopionych budowli. Kotwica rozejrzał się za rekinem (czy rzeczywiście rekinem?), ale nigdzie go nie zobaczył.

Bez wątpienia był to po prostu mesmerycki konstrukt, któremu jakoś udało się uniknąć śmierci w Larnaig. Kotwica jednak nie przypominał sobie, żeby na polu bitwy widział takie stworzenie.

Zaczął się opuszczać w głąbiny.

W dole robiło się coraz jaśniej. Woda była coraz rzadsza i bardziej przejrzysta. Wkrótce Kotwica mógł ocenić rozmiary pobojuwiska. Ciągnęło się, jak okiem sięgnąć, we wszystkie strony: trupy ludzi i zwierząt, fragmenty czarnych murów pływające w cieczy rzadkiej jak powietrze. Dziwne złote i karmazynowe chmury, jakby podświetlone od tyłu przez ukryte słońce, przesłaniały odległy horyzont. Biła od nich bursztynowa poświata, która przecinała ukośnie wodę jak wieczorne zorze.

Ciśnienie spadło do takiego poziomu, że Kotwicę korciło, by otworzyć usta i zaczerpnąć tchu. Oparł się jednak tej pokusie. To nie było powietrze.

Lina znowu zadrżała. *John, nasza inżynier metafizyk odbiera jakieś niepokojące zakłócenia tuż pod tobą. To nie jest jeden obiekt, tylko wiek: ogromna liczba dusz. Cospinol umilkł na chwilę. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale zdaje się, że z Labiryntu wstaje kolejna armia.*

Kolejna armia? Król Menoa wydał na rzeź całe swoje mesmeryckie legiony, żeby otworzyć bramę. Nie zostało mu nic oprócz arkonitów, którzy teraz chodzili po Ziemi. A jednak było tutaj drugie wojsko, równie wielkie jak pierwsze. Ukryte rezerwy? A może panu Labiryntu udało się tak szybko po Larnaig ujarzmić dusze zabitych ludzi północy Rysa?

Również taka możliwość wydawała się bardzo mało prawdopodobna.

Więc skąd te nowe zastępy?

Wielkolud się uśmiechnął. Nie przypuszczał, że król Menoa okaże się naprawdę godnym przeciwnikiem. Klasnął w dłonie i zachichotał bezgłośnie. Ludzie będą śpiewać o tej bitwie w nadchodzących wiekach.

John, oni szybko się zbliżają. Sprowadź do siebie Rotswarda. Nagromadzony przez wieki gniew moich Wisielców domaga się ujścia.

Kotwica poczuł ukłucie rozczarowania, ale nie był dostatecznie dumny ani samolubny, żeby odmówić Wisielcom Cospinola dobrej zabawy. Chwycił rdzeń bramy kolanami i ciągnął za konopny sznur dopóki nie utworzyła się pod nim wielka pętla.

Po chwili nadal statkowi taki rozpęd, że lina zaczęła opadać bez jego pomocy. Spojrzał w górę i zobaczył rozrastający się na niebie olbrzymi, ciemny księżyc o brzegach nierównych z powodu bezliku krzyżujących się szubienic.

A kiedy znowu popatrzył w dół, zobaczył przeciwników, których Menoa wysłał mu na spotkanie. Nie byli to wojownicy ani mesmeryści, tylko coś dużo gorszego.

Pelen konsternacji głos Cospinola powędrował liną prosto do umysłu Kotwicy. *Jak mógł zebrać taką siłę w tak krótkim czasie? Czyżby wskrzesił poległych w Larnaig, żeby nas teraz prześladowali? Jest ich zbyt wielu!*

Z głębi bramy wyłoniła się ogromna, obdarta armia kalek. Większość wyglądała na ludzi, przynajmniej z grubsza, ale twarze przypominały Kotwicy niezdarne rysunki małego dziecka. Powykręcane ręce i nogi, które sprawiały wrażenie nierówno zrosniętych po złamaniach, bezładnie młóciły wodę. Szmaty służące za odziewek wlokły się za nimi jak zakrwawione bandaże. W większości byli potwornie zdeformowani i okaleczeni, jakby potraktowano ich narzędziami tortur. Inni mieli cechy zwierząt, głównie psów albo małp. Ich zębate uśmiechy i bezmyślne oczy stanowiły zaprzeczenie człowieczeństwa. Wśród nich roilo się też od dzieci.

Harper rozpoznaje te istoty, powiedział Cospinol znużonym, żalobnym tonem. To Przegrani. Ich umysły są zupełnie bezużyteczne, a do tego stanu doprowadzili ich mesmeryści. Potem ikaraccy kapłani ich porzucili. Bóg morza i mgły umilkł na chwilę. Pozwolili, żeby ich dusze spadły kaskadą na dno Piekła i tam utworzyły rzekę. Nie mam pojęcia, jak Menoi udało się wyciągnąć ich z grobu. Oni nienawidzą ludzi i bogów. Nie można do nich dotrzeć perswazją, przemówić im do rozsądku.

Kotwica w końcu przestał liczyć wrogów. Zrozumiał, że tutaj nie znajdzie chwały. Te nieszczęsne istoty były pogrążone w otchłani szaleństwa. Jego serce wypełnił lęk.

Wielkolud, samotna postać otoczona bursztynowym światłem, czekał, ściskając rdzeń bramy tak mocno, jakby to była lina ratunkowa. Bardzo chciał się wspiąć po tym sznurze i uciec z Piekła. Na co liczył Menoa, posyłając to żalosne wojsko na bezsensowną śmierć?

Przegrani płynęli w górę przez śmietnisko, a sposób, w jaki się poruszali, świadczył o tym, że nie znają własnych ciał. Ich kończyny wiły się jak macki dziwacznych głowonogów. Niektórzy nosili bezużyteczne broje zrobione z rozbitych luster, gałęzi albo piór pozszywanych kolorowymi niciami, inni trzymali broń za ostrza, rękojeści albo gardy, jakby ktoś wcisnął im do niepewnych rąk nieznanne przedmioty. Oddychali wodą, próbowali łapać drobinki światła, które ich otaczały; wielu wypuszczało przy tym z garści miecze i noże.

Ciekawe, czy w ogóle wiedzieli, na czym polega walka?

Tymczasem *Rotsward* znalazł się tuż nad nimi. Jego szubienice zajmowały całe podwodne niebo, w ukośnym bursztynowym świetle belki lśniły jak sztabki złota. Kotwica popatrzył tępym wzrokiem na statek. Po raz pierwszy zobaczył go nieotoczonego mgłą. Wyobrażał sobie, że jest bardziej okazały. Do jego kadłuba przyczepiły się po drodze trupy i najróżniejsze śmieci. Wisielcy próbowali się ich pozbyć kopniakami. Między nimi szybko poruszali się niewolnicy, odcinając ich z pętli, żeby ci dawni wojownicy mogli stanąć do bitwy.

Tymczasem Przegrani sięgali po linę wiszącą luźno pod Kotwicą, czepiali się jej, próbowali ją przegryźć albo przeciąć nożami. Uznali ją za coś obcego pośród dryfujących śmieci, więc rzucili się na nią, zjednoczeni wspólnym celem.

Kiedy najniższe szubienice *Rotswarda* znajdowały się trzysta jardów nad Kotwicą, pierwsi

Przegrani dopłynęli do wielkoluda i zaczęli wyciągać po niego pazury.

Barbarzyńca z Burzliwego Wybrzeża w końcu puścił rdzeń bramy. Złapał najbliższą rękę, przyciągnął napastnika do siebie, złamał mu kark i odepchnął trupa, a wszystko to zrobił jakby od niechcienia. Ale biedak z przetrąconym karkiem zamachał rękoma, młócąc wodę, i ponownie ruszył do ataku. Wcześniej przygryzł sobie język i teraz strużka krwi ciągnęła się za jego rozchybotaną głową.

W tym czasie Kotwicę otoczyło sześciu albo siedmiu wrogów, a on z ponurą twarzą wziął się do metodycznej walki. Łamał kości, rozbijał pięścią czaszki, odpychał kopniakami bezwładne ciała, z wprawą i wydajnością rybaka oprawiającego połów. Mężczyzna ze złamanym karkiem ruszył na niego ponownie, kolebiąc głową. Kotwica chwycił go za szczękę, wykręcił mu głowę do tyłu i oderwał ją.

Ale upartemu, bezgłowemu nieszczęśnikowi najwyraźniej brakowało rozsądku, żeby umrzeć. Po raz kolejny podpłynął do wielkoluda. Kotwica, który walczył z tuzinem napastników, stracił go z oczu pośród wymachujących rąk. Ci, których uważał za zabitych, wracali do walki, a kolejni wypływali z głębin, żeby do nich dołączyć. Olbrzym rozprawiał się ze wszystkimi i odrzucał ich na boki, lecz oni nie chcieli umierać. Trzech półnagich obdartusów rzuciło się na pływającą głowę i zaczęło okładać ją pięściami; w ich wolicz oczach nie było śladu myśli czy emocji. Z dołu przybywali następni.

Kotwica nie docenił Menoi. Tym wrogom brakowało rozumu i umiejętności walki, ale to nie miało znaczenia, skoro nie mógł ich zabić. Woda wokół niego już była gęsta od ciał, a z każdą chwilą armia napastników się powiększała. Wielkolud ledwo co widział przez posokę. Zrozumiał, że tej bitwy nie jest w stanie wygrać. W końcu Przegrani zaleją go, uduszą, utopiają.

Rozpacz przepelniała jego serce. Silnym kopniakiem odbił się od rdzenia bramy. Dziesiątki lepkich palców macały jego skórę, chwytaly za uprząż, ciągnęły go z powrotem ku sobie. Kotwica zamknął oczy i popłynął w górę przez dziwnie rzadką wodę. Omal nie krzyknął, tak przemożna stała się chęć otworzenia ust i nabrania powietrza.

Przez linę dobiegł głos Cospinola: *Opanuj się!*

I co dalej? Walczyć? Rozniesienie tej armii na strzępy nic nie dało. Czy Cospinol tego nie widział?

Bóg morza chyba zrozumiał trudną sytuację sługi, bo powiedział: *Chodź do nas, John. Płyń na Rotswarda. Musimy się zastanowić.*

Kotwica uwolnił się od kłębowiska wrogów i pomknął w górę wśród szczątków rozbitych luster, uciętych palców, gałęzi i piór. W obracających się odłamkach posrebrzanego szkła dostrzegł odbicie setki spokojnych oczu.

Jeden z Przeegranych próbował zejść po linie *Rotswarda*, ale Kotwica nie zwrócił na niego uwagi. Odkopnął z drogi mesmerycką kościaną kulę i popłynął przez śmietnisko, zostawiając za sobą niezliczone wyciągnięte ręce, które usiłowały złapać go za pięty.

Statek nadal opadał siłą rozpędu, więc Kotwica nie musiał płynąć daleko, żeby dotrzeć do najniższych szubienic. Nie wszyscy martwi wojownicy zostali odcięci z pętli, ale na widok olbrzyma wszyscy przestali niemo zawodzić. Lina ze zgrzytem szorowała po drewnie, odrywając część śmieci, które przyczepiły się do kadłuba. Kotwica lawirował między belkami wielkiego rusztowania, chwytając za drzewca i podciągał się, żeby przyspieszyć wznoszenie.

Tymczasem Przegrani dotarli do statku Cospinola. Rozgorzała walka. Choć Wisielcy nie

mogli powstrzymać intruzów, musieli walczyć albo uciekać. Większość uciekła, ale ci, którzy byli uwięzieni w pędach, podjęli walkę i wkrótce zostali uwolnieni od dusz.

Gdy Kotwica dotarł do kadłuba *Rotswarda*, odepchnął się kopniakiem od poziomej belki i przemknął nad zatopioną balustradą. Przegrani, którzy nadal walczyli z Wisielcami, nie podążyli za nim. Ciągnąc linę po śródkręciu, Kotwica skierował się do luku na rufie. Otworzył go szarpnięciem i zajrzał w ciemne wnętrza statku. Którędy do kabiny Cospinola? Próbował sobie przypomnieć.

Ne był tutaj od ponad trzech tysięcy lat.

Gdy w końcu trafił do właściwych drzwi, Cospinol i Alice Harper już na niego czekali. Metafizyczka dryfowała jakąś stopę nad podłogą, czerwone włosy unosiły się za nią jak płomień. Uśmiechnęła się pełnymi niebieskimi ustami i wskazała na sufit. Bóg morza i mgły delikatnie poruszał wielkimi szarymi skrzydłami, żeby utrzymać się na powierzchni wody.

Kotwica i Harper podpłynęli do niego.

Od góry kabiny, gdzieś na szerokość stopy, zachowało się trochę powietrza. Kotwica wychynął z wody i uderzył głową o belkę sufitową. Przed sobą zobaczył mokra twarz Cospinola. W tym samym momencie rozległ się plusk i obok nich wyskoczyła Harper.

Bóg i niewolnik spojrzeli na siebie.

--Możesz oddychać, jeśli chcesz -- powiedział Cospinol. -- Powietrze jest obrzydliwe i prawdopodobnie trujące, ale nie sądzę, żeby to miało teraz dla nas znaczenie. Najważniejsze, że przenosi dźwięki.

Kotwica zakaszłał i wypluł wodę, a potem się rozejrzał.

--Nieźle zapuściłeś to miejsce, co? -- Wziął głęboki oddech i zaraz tego pożałował. Stary bóg morza miał rację co do jakości powietrza.

--*Rotsward* nadal istnieje, bo my tak chcemy. Jeśli jest stary i przegniły, jak to o nas świadczy?

Kotwica parsknął śmiechem.

Cospinol się uśmiechnął.

--Dobrze widzieć cię znowu po tych wszystkich latach, John, choć wołałbym, żeby okoliczności były inne. Bitwa najwyraźniej ci się nie podoba.

--Tym kalekom brak rozumu -- burknął Kotwica. -- Nie wiedzą, kiedy są martwe. -- To nie jest bitwa, Cospinolu, tylko rzeź.

--W dodatku bezcelowa -- zgodził się bóg. -- Obawiam się, że tego wroga nie można zniszczyć, przynajmniej tutaj. Gdyby wszyscy byli obecni, wtedy może, ale tych kilka tysięcy...

-- Spojrzał na wodę, która sięgała mu po szyję.

Kotwica zmarszczył brwi.

--Co to znaczy: „gdyby wszyscy byli obecni”? Już są ich tam tysiące. Na tym polega kłopot, tak? Zbyt wielu wrogów?

Harper pokręciła głową.

--Nie można ich zabić, bo nie są jednostkami -- powiedziała. -- Mają wspólną wolę, może nawet wspólną duszę.

Kotwica nie zrozumiał.

--Są jak kolonia mrówek -- wyjaśniła Harper. -- Mają wspólny cel jako grupa, a jej poszczególni członkowie mniej się liczą. W tym wypadku kolonia jest obdarzona czuciem i

świadomością. Przegrani nie są armią, tylko pojedynczą istotą, bogiem, jeśli wolisz. Ci okaleczeni wojownicy mogą nawet nie zdawać sobie sprawy, że są częścią większej, bardziej złożonej całości. Zniszczenie garstki mrówek nie zagrozi funkcjonowaniu całego mrowiska.

Wielkolud odchrząknął.

--Więc musimy zabić ich wszystkich? -- spytał ze znużeniem.

--Problem w tym, że ich tutaj nie ma -- powiedział Cospinol. -- Ikaraci Menoi tak bardzo torturowali tych ludzi, że ci postradali zmysły. A bez rozumu nie byli w stanie zachować w Piekłe swojej indywidualności. Ich ciała roztopiły się w Labiryncie, a potem przeciekły w dół, tworząc wielką podziemną rzekę. I teraz Rzeka Przegranych zyskała świadomość. Powstał nowy bóg obdarzony pojedynczym umysłem, który jest w stanie nadać nowy kształt temu zbiorowisku składników. Żeby zniszczyć Przegranych, musimy zniszczyć całą Rzekę. Ale jak można zniszczyć rzekę?

Kotwica poczuł ulgę. Przelał dość krwi jak na jeden dzień.

--Więc co robimy? -- zapytał.

--Dogadajmy się z nią -- podsunęła Harper.

--Przed tym czy po tym, jak skończy zabijać Wisielców Cospinola? -- rzucił ironicznie wielkolud. -- Nie sądzę, żeby była zdolna do słuchania.

--To tylko jej niewielka część -- powiedziała metafizyczka. -- Garstka mrówek, które odłączyły się od koloni. Jeśli dotrzemy do jej źródła, do jej umysłu, spróbujemy ją przekonać. Ostatecznie Menoi udało się ją nakłonić, żeby dla niego walczyła.

--Właśnie to mnie przeraża -- rzekł bóg morza i mgły, raptem stary i zmęczony. -- Menoa dokonał czegoś niemożliwego. Nie powinien mieć żadnego wpływu na Przegranych. To jego Ikaraci zniszczyli tych ludzi tak, że już bardziej się nie dało, więc teraz ich mesmeryckie techniki są bezużyteczne. Jeśli pan Labiryntu zawarł umowę z nowym bogiem, musiał w jakiś sposób go przechytrzyć.

--Myślisz, że nadal się go boi? -- zapytał Kotwica.

--Może. Jeśli nie wie, że Menoa już nie jest zagrożeniem, mamy szansę. Ale obawiam się, że to wszystko jest bardziej skomplikowane. -- Bóg potrząsnął głową. -- Rzeka Przegranych w rzeczywistości może go kochać.

Pod powierzchnią wody nagle rozbłysło białe światło. Harper sięgnęła po małe urządzenie ze srebra i kryształu, wytarła je z wilgoci i przestudiowała odczyt.

--Już są na pokładzie -- oznajmiła.

--No więc? -- Kotwica uniósł brwi, patrząc na swojego pana. -- Tak czy inaczej brama wkrótce zacznie wyglądać jak gulasz.

Cospinol ścisnął grzbiet nosa.

--Nie będę dalej krzywdził tych żalonych stworzeń bez dobrego powodu -- oświadczył. -- Jeśli król Menoa rozmawiał ze źródłem i przeżył, my też możemy spróbować. -- Wbił twardy wzrok w Kotwicę. -- Mamy za sobą więcej jak połowę drogi na dół. Przerwij rdzeń. Kiedy brama się zapadnie, impet ciśnie Przegranych i nas wszystkich prosto do Piekła.

--Nie możesz tego wiedzieć, panie! -- zaprotestowała Harper. -- A jeśli wylądujemy z powrotem na ziemi albo w odległym miejscu Piekła? Miliony mil od cytadeli Menoi! Do tej pory jeszcze nikt nie zniszczył bramy.

Cospinol spojrział na Kotwicę.

Wielkolud uśmiechnął się szeroko.

--Nie chcę więcej zabijać tych kalek -- powiedział z zdecydowanym tonem. -- Jeśli istnieje szansa na dotarcie do Piekla bez dalszego rozlewu krwi, nie mam nic przeciwko małemu spacerowi.

Cospinol skinął głową.

Tym razem, choć na korytarzach *Rotswarda* roilo się od wrogów, wielkolud nie atakował ich, tylko odpychał na boki. A kiedy wydostał się na pokład, tuż przed nim zakotłowało się w wodzie dwudziestu przeciwników.

Kotwica popłynął.

Rdzeń bramy, poważnie osłabiony po przejściu arkonitów, był już bliski pęknięcia, tak że John Kotwica tylko przyspieszył nieuchronny koniec. Z setką Przegranych uczepionych jego pleców i uprząży, chwycił parzącą membranę w obie ręce i rozerwał ją silnym szarpnięciem.

Oślepiiony błyskiem białego światła Kotwica poczuł, że woda wokół niego gęstnieje i napiera na jego ciało i kości. Jej ciśnienie zmiażdżyłoby normalnego człowieka, ale wielkolud od trzydziestu wieków nie był normalnym człowiekiem, więc kiedy implozja zmieniła się w eksplozję, po prostu zacisnął zęby i powieki. Przettrzymał wybuch, bo nie miał innego wyjścia. Już dawno temu postanowił, że nie podda się czemuś tak głupiemu jak śmierć.

W jednej chwili tysiące ton gruzu i ciał uderzyło w niego z impetem i odrzuciło go w tył jak kawałek bazaltu wyplutego z wulkanu. Kotwica poczuł, że lina statku robi się luźna, a potem szarpie go mocno za uprząż.

Spadał...

Gdy w końcu otworzył oczy, zobaczył nad sobą groźne karmazynowe niebo. Daleko w dole aż po horyzont ciągnął się labirynt czerwonych kanałów i zmurszałych czarnych ścian. Na pagórkach z czarnego kamienia albo w lepkich sadzawkach stały przysadziste świątynie i zigguraty. Wszędzie roilo się od much, powietrze było zamglone od gorących podmuchów, ale jednocześnie zimne jak zamarznięta krew. Kotwica rozejrzał się w nadziei, że zobaczy Dziewiątą Cytadelę albo Procesor, z którego Pierwsi sterowali morderczymi gigantami.

Nie zobaczył żadnej z tych budowli, tylko bezkres Piekla.

*** * ***

Arkonita usłyszał nagle strzał z muszkietu. Suchy trzask poniósł się nad osadą drwali, rozbrzmiał w posępnej, szarej mgle. Ciało, które zajmował Dill, nie należało do niego, dlatego wiedział, że ukłucie w sercu nie może być fizycznym objawem jego niepokoju, ale i tak je poczuł.

Sięgnął do gospody stojącej na ziemi u jego stóp, ale potem się zatrzymał. Jego ręka nie zmieściłaby się w drzwiach, a nie chciał zniszczyć budynku.

--Dill, zaczekaj! -- dobiegł z jego ust okrzyk Miny. -- Opuść nas.

Anioł spojrział z wahaniem w dół. Do diabła z tym wszystkim! Pochylił się, wbił obie ogromne ręce w ziemię po obu stronach tawerny i uniósł ją w powietrze. Komin odchylił się gwałtownie od ściany z bali i roztrzaskał o jego kciuk, ale ściany i dach pozostały nietknięte.

W środku rozległy się krzyki.

Małeńki domek, który arkonita trzymał na odwróconych dłoniach, spoczywał na grubej warstwie ziemi i trawy, zagarniętej razem z nim. Uniósł go do oczu i zajrzał przez jedno z okien.

Zobaczył pusty pokój. Powoli obrócił budynek w rękach.

--Dill! -- krzyknęła Mina. -- Otwórz te cholerne usta i nas stąd wypuść!

Automat otworzył usta i przysunął gospodę bliżej szczęki. Błoto i kamienie przesypywały się przez jego kościste palce i spadały na ziemię sto stóp niżej. Gdy Mina i Hasp wydostali się przez płot utworzony z zębów arkonity i wpadli do „Zardzewiałej Piły”, Dill przechylił ją w taki sposób, żeby móc zajrzeć do środka przez otwarte drzwi.

Pan Pierwszej Cytadeli, który już ruszył na górę po schodach, kurczowo chwycił się poręczy. Mina pośliznęła się na przekrzywionej podłodze i zawołała z wyrzutem:

--Dill, na litość boską, trzymaj dom równo! Jestem bardzo krucha. Tymczasem Hasp już dotarł na piętro i zniknął z widoku.

Dill ostrożnie obrócił budynek i stwierdził, że większość okien z tej strony jest zasłonięta okiennicami. Nie znalazł żadnego otworu, dzięki któremu mógłby sprawdzić, co się dzieje na piętrze, a mając obie ręce zajęte, nie mógł oderwać okiennic, nie upuszczając gospody. Szydł objął się o ścianę nad drzwiami wejściowymi.

Dill omal nie ryknął z frustracji. Mimo swoich rozmiarów był bezradny.

Znowu uniósł budynek, tym razem delikatniej, i zajrzał przez drzwi. Mina stała w połowie schodów, a Haspa i Rachel nigdzie nie było widać. Większość stołów i krzeseł zsunęła się po podłodze i zatrzymała pod przeciwległą ścianą jak szczątki rozbitego statku. Dziesiątki butelek z alkoholem toczyły się po niej tam i z powrotem, whisky chlustała na deski. W powietrzu unosił się silny zapach alkoholu. Cały budynek trzeszczał złowieszczo.

Dill nie zdołał się powstrzymać i ryknął:

--Gdzie ona jest?!

Głos arkonity przetoczył się po niebie, metaliczny i potwornie donośny nawet w jego własnych uszach. Pies Miny, który został w ustach Dilla, zaczął wściekle ujadać.

Taumaturg zasłoniła uszy rękami.

--Lepiej nic nie mów, Dill. Twój głos trochę się niesie. Hasp jej szuka. Zaczekaj, słyszę...

W tym momencie pan Pierwszej Cytadeli pojawił się na szczycie schodów, niosąc na rękach bezwładne ciało Rachel. Była asasynka krwawiła obficie z rany na głowie.

* * *

Alice Harper siedziała na brzegu pryczy, podczas gdy statek spadał do Piekła. Kabina trzęsła się i skrzypiała. Metafizyczka starała się nie patrzeć w okno, tylko skupiała całą uwagę na instrumentach rozłożonych na wąskim materacu.

Jeden Krzykacz. Jeden lokalizator. Zapasowe mesmeryckie i pasożytnicze kryształy. Pęk drutów w trzech stanach pobudzenia. Olej z duszy. Trzy fiołki krwi mordercy do zasilania lokalizatora i Krzykacza. Srebrny śrubokręt trzeciej generacji ze zmiennokształtną głowicą. Szczypce i inne małe narzędzia tortur do utrzymywania instrumentów w posłuszeństwie. Adaptacyjny gwizdek Baela-Lossinghama z Highcliffe. Duchowa lornetka.

Perła z duszą.

Skąpany w krwawym świetle wpadającym przez okno mały szklany koralik jarzył się własnym blaskiem... jakby rzeczywiście coś czuł i reagował na nowe otoczenie. To oczywiście było niemożliwe. Tylko Krzykacz, lokalizator i śrubokręt miały świadomość. Perła była pusta.

Harper wzięła ją do ręki i przycisnęła do piersi. Potem zamknęła oczy i nasłuchiwała wicherów Piekła wyjących na zewnątrz statku. Miliony mil gnijącego labiryntu mogły dzielić

Rotswarda od wielkiej, żywej fortecy króla Menoi, ale ona i tak nie czuła się bezpiecznie. Pan Labiryntu miał niezliczonych szpiegów, którzy teraz ich szukali.

Jej?

Wolała nie zadawać sobie takich pytań. Menoa już raz zainteresował się jej cierpieniem, a potem wciąż łamał obietnice, że odda jej duszę męża.

Lokalizator zatrzął cicho.

Harper otworzyła oczy, wzięła instrument do ręki i spojrzała na srebrną igłę tańczącą między hieroglifami wyrytymi na metalowym wyświetlaczu. Wcześniej poleciła mu szukać pewnej szczególnej częstotliwości emocjonalnej i teraz urządzenie ogłaszało swój sukces.

--Za szybko -- powiedziała metafizyczka. -- Nie wierzę ci.

Lokalizator zatrzeszczał, co w uszach Harper zabrzmiało jak cichy metaliczny śmiech. Czyżby maszyna się z nią drażniła? Nigdy wcześniej jej nie okłamywała.

Igła wahała się tam i z powrotem na skali, jak karcący palec, a potem znieruchomiała na hieroglifie w kształcie łyzy spadającej z półksiężyca. Urządzenie wydało pisk, a potem znowu zatrząło.

--Niemożliwe, żeby Tom tutaj był -- stwierdziła inżynier. -- Szanse są...

Jakie były szanse? Harper spędziła w Piekło więcej niż jedno życie, szukając męża, ale wszystkie jej wysiłki okazały się daremne. Zarejestrowała jego emocje akurat w chwili, kiedy wróciła do Labiryntu? Nie potrafiła uwierzyć w aż taki zbieg okoliczności. Wyczuwała w nim czyjąś rękę.

Menoi?

Brutalnie potrząsnęła lokalizatorem.

--Menoa kazał ci to zrobić?! -- krzyknęła. -- Kiedy?! Nie okłamuj mnie!

Małe urządzenie zapiszczało.

Harper nagle przestała nim potrząsać. Drżącymi rękami przycisnęła lokalizator do policzka. Poczowała jego ciepło na swojej zimnej, martwej skórze.

--Przepraszam -- wyszeptała cicho. -- Nie chciałam zrobić ci krzywdy.

Pogłaskała urządzenie, pociągnęła nosem i znowu spojrzała na hieroglif. Czyżby Tom naprawdę gdzieś tutaj był?

Podeszła do małego okna i wyjrzała na zewnątrz.

Mgła Cospinola zniknęła. Tutaj, na dole, nie było naturalnego słońca, które mogłoby uszkodzić boga i jego statek, ale niebo jarzyło się jak żar w piecu. Labirynt ciągnął się aż po granice jej wzroku, lśniący, czarny i czerwony jak przypalone mięso.

Harper ścisnęła lokalizator w jednej ręce, a drugą przesunęła po bulaju. Nie zostawiła odcisków ani plam na szybie. Jej bystre oczy, od dawna nawykłe do wypatrywania Iolitów i innych przezroczystych szpiegów Piekła, dostrzegły coś dziwnego: ledwo widoczne cienie śmigające po niebie.

Metafizyczka wzięła z pryczy trzy duchowe lornetki, wybrała najciemniejszą i przystawiła ją do oczu. Gdy spojrzała przez barwione szkło, karmazynowe niebo zrobiło się zielone. Zamazane kształty, które wcześniej dostrzegła, nagle stały się wyraźne i od razu rozpoznawalne.

--Cholera -- zaklęła cicho Harper.

Rozdział 4

DRWALE

Pochylały się nad nią cienie. Widziała białe oczy i zęby połyskujące w ciemności. Obawiała się, że jest w świątynnym lochu Spine w Deepgate, bo wyczuwała ból i zapach krwi, a to oznaczało, że w pobliżu są kapłani, żeby usankcjonować i pobłogosławić tortury.

Zemdlała.

Kiedy się ocknęła, leżała na plecach na wąskim łóżku polowym, z głową na miękkiej poduszce. Ręce i nogi miała ciężkie jak belki stropowe, które widziała nad sobą. Ostry ból w głowie sprawił, że krzyknęła. Patrząc na drewniany sufit, doszła do wniosku, że znajduje się na pokładzie *Rotswarda*, bo cały pokój kołysał się jak pijany w przód i w tył. Potem znieruchomiał.

--Jak się czujesz?

Rachel odwróciła głowę i zobaczyła Minę siedzącą na krześle. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że chyba rozpoznaje ten zatęchły pokój. Przez gazowe zasłony w oknach sączyło się przyćmione szare światło. Było jej tak niedobrze, jakby zaraz miała wymiotować.

--To nie jest statek?

--Co pamiętasz?

--Gospodę... Nie możemy tutaj zostać, Mino. Arkonici...

--Jeszcze są za nami. -- Mina wstała z krzesła i zbliżyła się do łóżka. -- Bardzo potrzebowałaś odpoczynku, więc uznaliśmy, że tutaj będzie ci wygodniej.

Rachel skrzywiła się, kiedy ból znowu przeszył jej czaszkę.

--Tamten mężczyzna do mnie strzelił -- powiedziała. -- Na bogów, Mino, wiedziałam, że tak się stanie. Próbowałam się skoncentrować, ale pocisk nadleciał zbyt szybko. Ja nigdy... -- Wzięła głęboki wdech. -- Nigdy wcześniej nie widziałam tej broni w użyciu.

--Iskra zapala proch znajdujący się w muszkiecie, a eksplozja wysyła ołowianą kulę z lufy jak z działa -- wyjaśniła Mina. -- Mieliśmy taką broń w Deepgate ponad trzysta lat temu, zanim Kościołowi Ulcisa udało się położyć kres wszelkim badaniom. Abner Hill odpalił pocisk prosto w twoją twarz.

Rachel próbowała dotknąć zranionej głowy, ale Mina ją powstrzymała.

--Kula muszkietowa drasnęła czaszkę -- ciągnęła taumaturg. -- Albo Hill jest kiepskim strzelcem, albo jednak udało ci się skoncentrować i to cię uratowało. To tylko powierzchowna rana, więc zostaw bandaż w spokoju. Jeśli nie wda się infekcja, przeżyjesz. -- Wzięła szklanke wody z nocnej szafki i przystawiła ją Rachel do ust. -- Pij.

Rachel wypila łyk.

--Gdzie on jest?

--Hill? Na górze, z żoną. Hasp chciał go zabić, ale chyba go od tego odwiódłam. Ci ludzie znają ten kraj lepiej niż my. Wskazali nam właściwą ścieżkę.

--Gdzie jest Hasp?

Mina zawahała się i potrząsnęła głową.

--Chce, żeby zostawić go teraz w spokoju. Ma jakieś sprawy do załatwienia.

--A jak Dill?

--Wielki i brzydki, ale będzie zadowolony, kiedy się dowie, że nie umarłaś.

Rachel odrzuciła koc i usiadła na brzegu łóżka. Jęknęła. Cały pokój wirował. Ręce i nogi

miała jak z ołowiu -- opóźniony skutek koncentracji. Zareagowała szybko jak każdy asasyn, ale nie dość szybko, żeby uniknąć muszkietowej kuli.

--Spokojnie -- powiedziała Mina.

--Jasne, ale najpierw porozmawiam sobie z właścicielem gospody.

Taumaturg pomogła jej wstać i podtrzymywała ją, kiedy Rachel chwiejnie szła do baru. W głównej izbie wszędzie wały się puste butelki, powietrze przesycił silny zapach whisky. Stoły i krzesła leżały w stosach pod ścianą albo wokół podstawy schodów. Wyglądało to tak, jakby przez pokój przeszedł szkwał.

Gdy wspięły się po schodach, Mina zaprowadziła Rachel do jednego z pokoi gościnnych. Otworzyła drzwi.

Abner Hil i jego żona siedzieli obok siebie na łóżku. Młoda kobieta zerknęła na Rachel i szybko odwróciła wzrok. Przygryzła kłykieć, żeby stłumić szloch. Długie złote włosy zasłaniały jej twarz, ukrywając załzawione oczy.

Rachel zmarszczyła brwi. Kobieta, która ją zaatakowała, miała pomarańczowe włosy. Pamiętała to wyraźnie.

--Rzuciłaś się na mnie z siekierą? To było... -- Skrzywiła się, gdy nagły ból przeszył jej czaszkę. -- To byłaś ty, prawda?

Pani Hill pociągnęła nosem, ale nie odpowiedziała. Natomiast jej mąż bezczelnie spiorunował asasynkę wzrokiem.

--Nie możecie nas więzić w naszym własnym domu, przekłęci mesmeryccy rabusie -- oświadczył.

Mówił z tak silnym pandemiańskim akcentem, że minęła chwila, zanim Rachel go zrozumiała. Nie pamiętała, żeby mówił z taką intonacją, kiedy pierwszy raz go usłyszała.

--Nie jesteśmy mesmerystami ani złodziejami -- odparła w końcu. -- Mogłeś przynajmniej zapytać, zanim spróbowałeś odstrzelić mi głowę.

--Naprawdę? I to nie arkonita jest na zewnątrz?

Rachel zrozumiała.

Abner lypnął na nią spode łba.

--Przybywacie do Farrel w szczęce tego cholernego potwora, a potem włamujecie się do mojego domu, wchodzicie uzbrojeni po moich schodach, jakbyście zamierzali zrobić mi krzywdę. To dlatego dostałaś kulkę, kobieto. -- Obnażył małe, żółte zęby. -- I teraz jeszcze mówisz, że nie jesteście złodziejami, a przecież na własne oczy widziałem, jak mnie bezczelnie okradacie.

--Co ukradliśmy?

Mężczyzna przybrał minę pełną niedowierzania.

--Ta kula musiała pozbawić cię rozumu, kobieto. Co ukradliście? Wszystko, co posiadam. Ukradliście mi źródło utrzymania i ten przeklęty dom!

Rachel spojrzała na Minę. Taumaturg wzruszyła ramionami.

Asasynka podeszła do okna. Sto stóp w dole wierzchołki drzew przesuwwały się we mgle jak fale po szarozielonym morzu. Dill niósł cały budynek razem z kawalkiem ziemi.

--Tu jest wygodniej niż w jego ustach -- stwierdziła Mina.

Rachel opuściła głowę.

--Przepraszam -- powiedziała do mężczyzny, który próbował ją zabić. -- Przepraszam, że

do tego doszło.

Gdy później leżała w łóżku, a Mina przyniosła jej z kuchni dzbanek herbaty, u jej stóp płatał się Bazyliś. Asasynka musiała spać przez jakiś czas, bo na zewnątrz zrobiło się ciemniej, a w kątach pokoju zalegał mrok. Pozostało jej niejasne wspomnienie snu, w którym klóciła się z pomarańczowowłosą kobietą nad stłuczonym lustrem, ale inne szczegóły już zdążyły zblaknąć. Ból w głowie zmienił się w stałe, tępe pulsowanie.

--Zauważyłaś ostatnio coś dziwnego? -- spytała, zwracając się do Miny.

Taumaturg wytrzeszczyła oczy.

--Znajdujemy się w budynku, który niesie czterystustopowy golem, a ściga nas kolejnych dwunastu gigantów. Można to uznać za dziwne?

--Czy żona Abnera zmieniła kolor włosów? To znaczy, kiedy byłam nieprzytomna?

Mina uniosła brwi.

--A, chodzi ci o naprawdę dziwne rzeczy? Takie, że ktoś ufarbował włosy? -- Przywołała na twarz wyraz udawanego zamyślenia. -- Nie, nie sądzę, żeby pani Hill była u fryzjera, odkąd się poznałyśmy. -- Nalała herbaty do dwóch szklanek. -- Ma na imię Rosella i rozpaczliwie boi się tego wielkiego tchórza.

--Przepraszam -- bąknęła Rachel. -- Wiem, jak to śmiesznie brzmi. Ostatnio umysł płata mi figle.

--Naprawdę? Może ostatnio uderzyłaś się w głowę? Albo strzelono ci w twarz?

Asasynka się uśmiechnęła.

Mina podała jej szklankę.

Napój było mocny i gorzki. Rachel upiła kilka łyków, a potem wciągnęła głęboko parę unoszącą się z naczynia.

--Abner miał rację -- stwierdziła. -- Ukradliśmy mu dom.

--Pomyśl o tym jako o pożyczce -- powiedziała Mina. -- Gdy tylko uratujemy życie jemu i wszystkim ludziom na świecie, zwrócimy mu jego własność. -- Odstawiła pustą szklankę na podłogę obok dzbanka.

Rachel przez chwilę patrzyła na naczynie ze zmarszczonymi brwiami.

--Kiedy wypijaś herbatę?

--Teraz.

--Ale...

Rachel miała mętlik w głowie. Nie widziała nawet, jak Mina podnosi szklankę. Sama ledwo zdążyła spróbować herbaty. Spojrzała na swoje ręce i zobaczyła, że jej naczynie również jest puste. I zimne.

Czyżby zemdliała?

--Poza tym -- ciągnęła Mina -- Hasp zwrócił uwagę, że jeśli chcemy zwerbować żołnierzy z rozwiązanej armii Rysa, będziemy potrzebowali bazy operacyjnej. W budynku gospody można by podejmować naszych przyszłych sojuszników.

Rachel nadal patrzyła na pustą szklankę. Najwyraźniej skutki postrzału były poważniejsze, niż sądziła. Odstawiła naczynie na podłogę obok łóżka, opadła na poduszkę i zamknęła oczy.

--Jestem zmęczona. Chyba potrzebuję snu.

--Dokończ herbatę -- poleciała Mina. -- Dobrze ci zrobi.

Rachel poczuła ciepło szklanki w ręce i gorzki, ostry, ale miły aromat w nozdrzach.

--Co? -- Otworzyła oczy. -- Przepraszam, Mino, chyba odpłynęłam. -- Upiła łyk gorącego naparu.

Taumaturg też napiła się herbaty ze swojej szklanki.

--Pasożyt Menoi nie daje mu spokoju -- powiedziała. -- Ostatnio widziałam Haspa, jak siedział z butelką whisky na podłodze w spiżarni kompletnie pijany.

--Rozmawialiśmy o Haspie?

--Pytałaś.

--Tak, przepraszam. Chcesz, żebym z nim porozmawiała?

Mina wzruszyła ramionami.

--Możesz spróbować.

Rachel westchnęła. W którymś momencie musiała stracić wątek. Na wet nie mogła sobie przypomnieć, o czym rozmawiała. Jednakże mimo bólu głowy czuła się teraz bardziej przytomna. Napar Mino rozjaśnił jej umysł. Asasyńska usiadła i zwiesiła nogi z łóżka.

--Dzięki, Mino. Zaniosę mu herbatę. -- Napełniła naczynie z dzbanka i wstała niepewnie.

--Dobrze się czujesz? -- spytała taumaturg. -- Jesteś bardzo blada.

Rachel wzruszyła ramionami.

--Jestem Spine.

W pękniętym lustrze Pandemiańskiej Spółki Kolejowej wiszącym za barem znowu dostrzegła swoje odbicie. Była jeszcze chudsza i bardziej mizerna niż zwykle. Wyglądała jak zjawa snująca się po ciemnym pokoju, duch z czasów dawno zapomnianej wojny. Głowę miała obwiązaną pasem płótna w niebiesko-białą kratkę. Rachel musnęła palcami ciemną plamę krwi nad prawym uchem.

Ktoś sprzątnął wszystkie butelki, podniósł stół i dwa krzesła, ustawił je na środku baru. Budynek kołysał się lekko z boku na bok, z dołu dobiegał stłumiony trzask łamanych drzew. Rachel poszła do kuchni.

Hasp siedział na podłodze spiżarni, oparty plecami o framugę drzwi. Po deskach turlały się w tę i z powrotem cztery puste butelki whisky. Pan Pierwszej Cytadeli podniósł do ust kolejną, na pół opróżnioną butelkę, pociągnął z niej solidny łyk, a potem spojrzął na asasyńkę podkrążonymi, czerwonymi oczami.

--Wchodzi bóg do baru -- zaczęła Rachel -- barman przeprasza go i mówi, że tutaj nie obsługują bogów. Ten pyta, dlaczego nie, do diabła. A barman na to, że ostatni zasikał mu wszystkie begonie.

--Próbuję upić przekłętą drania -- wymamrotał Hasp, stukając się butelką w głowę. -- Ale ten cholernik jest bardziej... ma mocniejszy łeb niż ja. -- Gdy opuścił rękę, rozlał trochę whisky na podłogę.

--Chcesz herbaty? -- spytała Rachel.

Bóg bąknął coś w odpowiedzi.

Asasyńska postawiła szklankę na półce, po chwili wahania znowu po nią sięgnęła, wypiła połowę zawartości i znalazła dla niej miejsce, z którego trudniej było ją stracić. Napój okazał się zimny i paskudny. Rachel zastanawiała się, dlaczego w ogóle go tutaj przyniosła. Powędrowała wzrokiem po zakurzonych puszkach, słoikach z piklami, skrzynkach pełnych ziemniaków, marchwi i dyń.

--Mina mówi, że podążamy jakimś szlakiem.

--Drwali -- powiedział Hasp. -- Zakichanych rezerwistów Rysa. Nie przybyli do Coreollis, kiedy ich wezwano. -- Przesunął dłonią po zaroście i próbował splunąć. Na brodzie została mu kropla śliny. -- Pewnie są w drodze do Heriki, jak my. Porzucili osady, kiedy traktat pokojowy został zerwany. -- Chrząknął. -- Albo szybko dotarła do nich wieść o naszej imponującej klęsce, albo obserwowali bitwę w Larnaig pod osłoną lasu. Za złoto Cospinola dostaniemy samych dekowników i tchórzy.

--To świeży trop, więc pewnie wkrótce ich dogonimy.

Hasp pociągnął nosem.

--Chcesz, żebym był trzeźwy, tak?

--Przynajmniej grzeczny.

Bóg odstawił butelkę whisky.

--Ja nie... -- Przez dłuższą chwilę gapił się szklistym wzrokiem w kąt pomieszczenia. -- Jestem już tylko tym cholernym pasożytem. -- Łypnął na nią spode łba. -- Rozumiesz? Dlatego Menoa mnie oszczędził. Gdyby mnie zabił, nie miałibyście nic, a tak macie jeszcze mniej niż nic... Zwykły ciężar. Zdradzę was, mając w głowie ten cholerny... kawałek Piekła. -- Obnażył zęby i uderzył butelką w deski podłogi. Naczynie się roztrzaskało, ale szklana pięść boga pozostała nietknięta.

--Spokojnie!

Hasp uniósł przezroczystą rękawicę i spojrzał na krew widoczną w środku.

--Mocniejsza, niż się wydaje, co?

--Lepiej tego nie sprawdzaj. Potrzebujemy cię żywego.

Pan Pierwszej Cytadeli prychnął i wytarł nos.

--Żywego? -- Wymamrotał coś pod nosem, a potem westchnął przeciągle. -- Moja głowa...

--Jutro będzie bolała jeszcze bardziej.

--To dobrze. Przynajmniej ten cholernik poniesie karę.

Tymczasem zrobiło się prawie ciemno. Bóg siedział na podłodze spiżarni, cuchnący whisky, w rozchełstanej szacie. Jego oczy były ukryte w jaskiniach cienia, szyja i ramiona lśniły czerwienią jak narzędzia na stole chirurga. Rachel przeszukała półki, a potem szuflady w kuchni, aż znalazła kilka łojowych świec, ale żadnych krzemieni.

--Potrzebujemy światła -- stwierdziła. -- Pójdę zobaczyć, czy Mina ma coś, czym można by rozniecić ogień.

Pan Pierwszej Cytadeli chrapał.

* * *

Kiedy Dill się zatrzymał, świecił już księżyc otoczony zamglonym halo. Rachel i Mina siedziały przed pękatym piecem w głównej izbie i jadły resztki gulaszu, który asasynka ugotowała dla Abnera i Roselli, gdy nagle kołyszący się budynek znieruchomiał. Wraz z chłodną bryzą do środka wsączyła się cisza.

Potem gospoda zaczęła szybko unosić się pod niebo.

--Coś zobaczył. -- Rachel zerknęła na taumaturg.

--Uciekinierów -- stwierdziła Mina.

Odstawiły miski na podłogę, wzięły świece i podeszły do otwartych drzwi, za którymi rysowała się wielka, wyszczerzona twarz arkonity. Rachel wyszła na zewnątrz, Mina podążyła

za nią.

Gospodę otaczały trzy albo cztery jardy ubitej ziemi, jakby stała na malej wysepce dryfującej po morzu mgły. Spoczywały na szkieletowych palcach Dilla, jasnych jak pnie brzoź. Golem przysunął budynek do twarzy i wpatrywał się w niego pustymi oczodołami. Tawerna świeciła jak latarnia morska pośród nocy, okna i drzwi jarzyły się żółtymi światłami. Zapach zielonych sosen mieszał się z odorem chemikaliów buchającym od arkonity.

Rachel usłyszała kobiecy krzyk dobiegający z oddali.

--Postaw nas, Dill -- powiedziała.

Anioł nawet nie drgnął.

--Muszę z nimi porozmawiać.

Stojąca obok niej Mina zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

--Atakują stopy naszego arkonity siekierami -- oznajmiła.

Rachel posłała jej pytające spojrzenie.

--Nie ma mowy, żeby go uszkodzili -- uspokoiła ją taumaturg.

Asasyńska odwróciła się z powrotem do twarzy majaczącej na niebie.

--Poradzę sobie z bandą drwali -- powiedziała.

Wielka czaszka się pochyliła. Przez szpary między zębami posypały się w dół złote monety. Dill w końcu opuścił budynek wraz z jego wysepką na ziemię.

Powitał ich grad strzał lecących ze świstem przez mgłę. Na leśnym dukcie Rachel zobaczyła obozowisko uciekinierów. Na samym środku drogi stało rzędem około dziesięciu wozów z brezentowymi budami, natomiast wśród drzew po obu stronach szlaku rozbito dziesiątki skórzanych namiotów, które mogły pomieścić dwustu albo trzystu ludzi. Pod osłoną z zielonych iglastych gałęzi migotały ogniska. W ich blasku poruszały się cienie biegnących mężczyzn, błyskały białkami oczy koni i jucznych mułów. Zwierzęta wierzgały w pętach i parskały niespokojnie.

Grupa drwali rąbała siekierami nogi arkonity. Spod ostrzy sypały się iskry. Mężczyźni byli barczyści i jasnowłosi jak ludzie północy Rysa, ale nosili prymitywne zbroje z lakierowanych drewnianych segmentów połączonych ze sobą sznurami i przywiązanych do torsów. Kobiety pospiesznie zgarnęły dobytek i dzieci, po czym pierzchły w las, ślizgając się w błotnistych koleinach. Niemowlęta kwiliły w ich ramionach. Jakiś przytroczony do schodków wozu koń stanął dęba. Pojazd szarpnął gwałtownie, zwierzę wpadło w panikę. Psy ujadły jak oszalałe i plątały się pod nogami uciekających. Ktoś kopnął w biegu gałąź z ogniska. W górę wzbił się snop iskiei i żaru.

Asasyńska wzięła głęboki wdech i krzyknęła:

--Stójcie!

Mężczyzn o rozwianych włosach rzucił się na nią z siekierą. Rachel powaliła go na ziemię silnym ciosem w zęby.

--Powiedziałam: stójcie!

Mina przygryzła wargę, cofając się w stronę drzwi gospody i szepcząc coś do ucha swojemu pupilowi.

--Nie rób tego, Mino! -- zawołała Rachel. -- Nie tutaj.

Taumaturg się zatrzymała, patrząc rozszerzonymi oczami ponad jej ramieniem.

Asasyńska odwróciła się błyskawicznie i chwyciła uniesioną rękę drugiego napastnika.

Pociągnęła ją w dół, tak że siekiera ugrzęzła w bocie. Rachel wbiła łokieć w drewniane płyty chroniące brzuch mężczyzny, a kiedy zgiął się wpół, pchnęła go do przodu. Tymczasem kolejni dwaj przeciwnicy wdrapali się na brzegi wyspy, na której stała gospoda. Rachel uniosła rękę w pojednawczym geście.

--Nie przybyliśmy tutaj, żeby walczyć.

Drwale uśmiechnęli się szeroko, zrobili krok w jej stronę, a potem się cofnęli, jakby się z nią droczyli. Wyższy odwinął lasso oplecione wokół ramienia. Światło padające z gospody tańczyło na czarnej lakierowanej zbroi. Jego towarzysz pogladził się po brodzie i wyciągnął nóż.

--Jesteśmy tutaj na rozkaz Cospinola -- oświadczyła Rachel. -- Mamy zwerbować tych, którzy są nadal wierni Rysowi, do walki z panem Labiryntu. Muszę porozmawiać z waszym kapitanem.

--Kapitan jest zajęty -- odparł niższy mężczyzna i skoczył na nią z nożem.

W tym samym momencie drugi napastnik rzucił lassem, celując pętlą w głowę Rachel. Asasynka złapała linę, owinęła ją wokół ramienia i szarpnęła mocno, jednocześnie uskakując w bok przed niezdarnym ciosem, który próbował jej zadać człowiek z nożem. Kopniakiem podcięła mu nogi i przyciągnęła do siebie kompana.

--Marnujecie mój czas -- powiedziała. -- Nie jesteśmy waszymi wrogami.

Wysoki drwal zrobił niepewną minę. W tym momencie od drzwi gospody dobiegł morderczy ryk. Na ganku stał Hasp, nagi, nie licząc piekielnej zbroi wypełnionej krwią. Kompletnie pijany, wymachiwał butelką whisky. W drugiej ręce ścisnął tę samą siekierę, którą Rosella Hill zaatakowała Rachel. Pociągnął solidny lyk trunku i wybelkotał:

--Przeklęci, zdraдлиwi tchórze. Zbyt przerażeni, żeby walczyć w nami w Larnaig! -- Zrobił trzy kroki w bok i spojrzał na przeciwnika Rachel. Uniósł siekierę. -- Jestem Hasp z Pierwszej Cytadeli i zabiję was wszystkich, dranie.

Asasynka zerknęła na Minę. Taumaturg tylko pokręciła głową.

Mężczyzna z lassem cofnął się przed bogiem. Oczy miał wielkie ze strachu. Rachel puściła linę i odwróciła się do Haspa.

Archont machnął siekierą i zatoczył się do przodu.

--Hasp! -- krzyknęła Rachel. -- Wejź do środka, nim kogoś zabijesz i w ten sposób pogrzebiesz naszą ostatnią nadzieję.

--Zatluc ich wszystkich! -- ryknął bóg. -- Cholerne dranie, tchórze! -- Skupił na Rachel zamglony wzrok. -- Zraniłaś się w głowę. Powinnaś bronić się przed... wrogami, młoda damo.

--Sam się broń, idioto. Jesteś kompletnie pijany.

Hasp posłał jej krzywy uśmiech, kontrastujący z goryczą w głosie.

--Zamroczylem insekta -- powiedział, stukając się w głowę. -- Tak go upilem, że w końcu się poddał. Król Menoa już nie ma nade mną władzy.

--To nie są mesmeryści, tylko ludzie Rysa.

--Rysa? -- Hasp się zachwiał, odzyskał równowagę i powiódł wzrokiem po scenie chaosu oświetlonej blaskiem ognisk. -- Powinni walczyć u naszego boku w Larnaig. -- Usiadł na ziemi i zapatrzył się na siekierę, którą trzymał w ręce.

Na teren otaczający gospodę wgramolili się czterej drwale. Mieli na sobie zbroje z drewnianych płyt, pod spodem skórzane kaftany, w dłoniach ścisnęli żelazne pałki albo toporną

sieczną broń samodzielnie wykutą ze stali. Zaczęli biec w stronę siedzącego boga. Jeden krzyknął:

--Mówię w imieniu lorda Rysa, ty przeklęty demonie!

Rachel wystąpiła do przodu, zasłaniając Haspa.

--To brat Rysa! Pan Pierwszej Cytadeli i jedyny od trzech tysięcy lat wróg Menoi w Piekło. Jakie są wasze zamiary, drwale? Jeśli chcecie zrobić mu krzywdę, staniecie się zdrajcami Coreollis, a ja będę z wami walczyć.

Czwórka napastników się zawahała.

--On ma paskudną gębę, dziewczyno.

--To nie zmienia faktu, kim jest naprawdę.

Mężczyzna, który twierdził, że przemawia w imieniu Rysa, burknął coś pod nosem. Był wyższy i potężniejszy niż jego towarzysze, ale ciemny jak Heshette. Starannie wykonaną zbroję pokrywał ciemnozielony lakier. Przez jego czoło biegła szeroka czerwona blizna, która wyglądała, jakby została odcisnięta przez krawędź rozbitego hełmu. Miał wąskie, głęboko osadzone oczy, podwójnie skrzywiony nos, kręcone czarne włosy opadające na plecy jak bicze. Przyglądał się Haspowi przez dłuższą chwilę, a następnie skierował wzrok na asasynkę.

--Dlaczego arkonita nie atakuje? -- zapytał.

--Menoa nie ma nad nim władzy.

Drwal uniósł rękę i krzyknął do ludzi nacierających na Dilla:

--Dosyć! Ricks, Dziewięć Cali, Pace, przestańcie hałasować, bo nie mogę rozmawiać.

Szczęk broni ucichł. Drwale przerwali szturm i zebrali się wokół „Zardzewiałej Pily”.

--Nazywam się Oran, a ta karawana znajduje się pod moją ochroną -- powiedział mężczyzna z blizną. -- A kim wy, do diaska, jesteście?

* * *

Oran wyjaśnił, że przybywają z tętniącego życiem miasta Ferris, leżącego cztery mile dalej na południe. Wcześniej tego dnia przejeżdżali przez osadę Westroad. Właśnie stamtąd Dill zabrał gospodę. Drwale byli rozbawieni, że znaleźli się znowu w tej samej pechowej tawernie.

--Wydawało się nam, że całkiem ją osusziliśmy -- powiedział Oran. -- Ale teraz widzimy, że zapasy zostały w tajemniczy sposób uzupełnione. Ten drań Hill gdzieś ukrył alkohol.

Siedział przy stole naprzeciwko Rachel i Miny i w zamyśleniu wpatrywał się w kieliszek, podczas gdy dwudziestka drwali śmiała się hałaśliwie, ryczała i z hałasem stawiała drinki na kontuarze. Pomarańczowy blask ognia oświetlał zarost na jego ciemnej twarzy i bliznę na czole.

--Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie -- przypomniała Rachel.

Oran zerknął na swoich towarzyszy.

--Ile jesteście gotowi zapłacić?

--Dość, żeby twoi ludzie nie umarli z głodu... i żebyście stanęli po właściwej stronie w tej wojnie. Menoa może zaproponować wam więcej złota, ale będzie oczekiwał w zamian waszych dusz.

Blizna przybrała nowy kształt, kiedy przywódca drwali zmarszczył czoło, zastanawiając się nad ofertą.

--Dwustu sześćdziesięciu ludzi nie wystarczy, żeby powstrzymać gigantów, którzy depczą

wam po piętach -- stwierdził w końcu. -- Wątpię, czy wystarczyłoby dziesięć tysięcy. Jeszcze nikt nie zabił arkonity.

Rachel pokiwała głową.

--Więc nie jesteśmy wam potrzebni -- dokończył Oran.

--I tak wam zapłacimy. W nieprzewidzianej sytuacji lepiej mieć sojuszników niż wrogów.

Drwal znowu się zamyślił.

--Dwustu sześćdziesięciu ludzi nie wystarczy, żeby powstrzymać gigantów, którzy depczą wam po piętach -- powtórzył. -- Wątpię, czy wystarczyłoby dziesięć tysięcy...

Rachel poczuła dziwne mrowienie na karku, jakby pogłaskała ją niewidzialna ręka.

--... nie zabił arkonity.

Asasynka przygryzła wargę i patrzyła na niego przez chwilę. Był tylko pijany czy celowo utrudniał negocjacje?

--Powtarzasz się, Oran.

Mężczyzna jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

--Co masz na myśli?

--Powiedziałam, że i tak wam zapłacę. Wszyscy potrzebują jeść.

Drwal wzruszył ramionami.

--Twoja jałmużna nas poniża, ale jej nie odrzucę -- oświadczył, wyciągając do niej rękę.

Rachel się zawahała. Czyżby niepotrzebnie doszukiwała się drugiego dna w jego sposobie prowadzenia rozmowy? Po chwili westchnęła, pochyliła się i ucisnęła wyciągniętą dłoń.

Po przypieczętowaniu umowy Oran dodał:

--Domagamy się również odszkodowania za nasze konie i muły. Zwierzęta nie pójdą za tym monstrum ani za żadną istotą, która cuchnie Labiryntem. Trzeba je będzie wypuścić albo zaprowadzić do stajni w Himmish, żeby tam czekały na nasz powrót.

--Albo je zarżnąć?

--Moi ludzie się nie zgodzą. Muły... może tak, ale nie konie.

Rachel pokiwała głową.

--Odkupimy od was konie. Zróbcie z nimi, co chcecie.

--A wozy?

Asasynka zmrużyła oczy.

--Nie przesadzaj, Oran.

--Te wozy to wszystko, co niektórym z nas zostało. Nie możecie oczekiwać, że rodziny porzucą je bez żadnej rekompensaty.

--Ci, którzy chcą zostać tutaj z wozami, mogą to zrobić, jeśli sądzą, że arkonici Menoi złożą im lepszą ofertę. Reszta pójdzie z nami do podnóży Gór Świątynnych.

Oran zrobił powątpiewającą minę.

--Jesteśmy ludźmi Rysa -- powiedział. -- Sabor nie spojrzysz na nas łaskawie, kiedy wejdziemy do Heriki. Ci dwaj bogowie szanują nawzajem swoją suwerenność od setek lat. Sabor może uznać naruszenie granic za akt wojny. Ostatecznie zwabiacie Dwunastkę Menoi do jego królestwa.

--Dwunastka i tak w końcu dotrze do Heriki -- stwierdziła Rachel. -- Idziemy tam, żeby prosić Sabora o pomoc, dopóki mamy szansę coś zwojować. Bóg zegarów był sojusznikiem Rysa w czasie najazdu mesmerystów. Jeśli nadal żyje, nie sądzę, żeby potraktował naszą obecność w

swoim królestwie w taki... -- starannie dobierała słowa, żeby nie urazić przywódcy drwali -- nieprzejednany sposób.

Oran nie wyglądał na przekonanego. Mimo to przyjął jej propozycję.

--Nie możemy dłużej zwlekać -- oświadczyła Rachel. -- Przyrowadź wszystkich do gospody. Niech wezmą swoje rzeczy. Tyle, ile zdołają zabrać. -- Odwróciła się do Mino. -- Ile mamy czasu?

Taumaturg zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Zmarszczyła brwi, jeszcze raz zaczerpnęła tchu. Jej gałki oczne poruszały się szybko, jakby śniła.

--A niech to! -- Raptownie otworzyła oczy. -- Natychmiast ściągnijcie tu ludzi. Niech zostawią wszystko oprócz broni. Jeden z dwunastu arkonitów wpadł na nasz trop.

Razem z kobietami i dziećmi zebrało się prawie czterystu uciekinierów. Mimo rozkazów Orana nie chcieli zostawić swojego dobytku w wozach. Mężczyźni zgarniali namioty, tobołki z ubraniami, zwoje sznurów, skrzynie z narzędziami: siekierami, pilami i dłutami. Młodzi chłopcy rozsiadali konie, a potem, bijąc je po zadach i wrzeszcząc, próbowali zmusić do ucieczki w las. Stare kobiety taszczyły worki mąki, beczułki z soloną żywnością i kosze pełne warzyw. W tłumie wyróżniała się grupa młodszych kobiet w sukniach z koronkowymi falbanami. Wszystkie miały róż na policzkach i upudrowane twarze. Żadna nie zniżyła się do dźwigania ciężarów większych niż szkatułki z kosmetykami i biżuterią.

--Dziwki? -- rzuciła Rachel.

Mina podążyła za jej wzrokiem.

--Pandemiańskie. Przybyły tutaj wraz z koleją, żeby obsługiwać drwali w obozach Rysa.

--Żony nie protestują?

--Rys wysłał je do burdeli w Coreollis i Cog. W ten sposób Koleje Pandemiańskie miały podwójny zysk ze swoich usług.

Rachel była wstrząśnięta.

--I mężczyźni pozwolili, żeby Rys to zrobił?

Mina wzruszyła ramionami.

--Ludzie słuchają bogów ślepo jak psy ludzi. Bóg kwiatów i noży zatopił kiedyś cały swój kraj i nikt się nie sprzeciwił. Kiedy leżałaś nieprzytomna, Hasp rozprawiał na ten temat przez godzinę. Nie sądzę, żeby to pochwalal.

Starsze kobiety przyniosły skóry, buklaki z wodą, garnki i patelnie. Rzuciły swoje skarby na krąg ziemi otaczającej „Zardzewiałą Pilę” i ruszyły z powrotem do obozowiska po więcej dobytku. Tymczasem dziwki wdrapały się na wyspę, potykając się, krzycząc i plotkując. Wszystkie dzieci były już w budynku -- większość płakała ze strachu.

--Ile jeszcze czasu nam zostało, Mino?

--Minuty.

Rachel złapała za ramię przechodzącego Orana i oznajmiła:

--Wyruszamy natychmiast, z twoimi ludźmi albo bez nich.

Potężny drwal zeskoczył z ręki arkonity na leśny dukt. Chwycił za rękę starą kobietę, który oddalała się od gospody, obrócił ją do siebie i kazał jej wracać. Potem krzyknął:

--Wszyscy, którzy chcą żyć, mają natychmiast wejść do choleralnej tawerny! Ruszamy w tej chwili!

Biegł wśród ludzi, zatrzymywał mężczyzn i kobiety, którzy próbowali wracać do wozów,

rozrzucił pakunki z dobytkiem, popychał ludzi w stronę gospody. Grupa młodych chłopców samowolnie podjęła się pomocy przy tym zadaniu, aż w końcu Oran zdeptał jednego w kark i wrzasnął na pozostałych, żeby weszli do środka.

Rachel i Mina wymienily spojrzenia, po czym ruszyły za nim w tłum. Pomagały nosić rzeczy, których nie można było zostawić, włożyły kosze z suszoną wołowiną i taszczyły bukłaki wody na zbocze.

Kiedy dotarły na równy grunt wokół „Zardzewiałej Piły”, Mina z niepokojem obejrzała się na drogę.

--Dogania nas -- powiedziała.

--Możesz coś zrobić, żeby go powstrzymać?

--Nie wiem. Bazyliś ma prawdziwą moc. Ja tylko ją kanalizuję. Będę musiała się z nim naradzić. -- Przepchnęła się przez tłum. -- O ile ci drwale już go nie zjedli.

--Pospiesz się.

Oran dołączył do swoich ostatnich ludzi stojących przed gospodą. Na wysepce otaczającej budynek panował taki ścisk, że trudno było się poruszać. Przywódca krzyknął do tych, którzy znajdowali się najbliżej drzwi, żeby wchodzili do środka, ale tawerna już była pełna uciekinierów i ich dobytku. Z piętra poleciał stek przekleństw. Rachel od razu rozpoznała ten głos.

--Abner Hill -- poinformowała Orana.

Drwal odchrząknął.

--Później rozprawię się z tym draniem. Chyba nie jest szczęśliwy, że zarekwirowaliście mu gospodę?

--Moja troska o jego uczucia znacznie osłabła po tym, jak strzelił mi w twarz.

Oran się roześmiał.

Rachel nie dostrzegła żadnych maruderów na leśnym dukcie, więc zawołała:

--Zabierz nas stąd, Dill!

Wielki automat unióśł ręce ku niebu, a na nich samotny budynek wraz z kawałkiem ziemi oraz ludźmi, którzy się w nim znajdowali. Z gardel mimowolnych pasażerów wyrwał się chór okrzyków i wrzasków przerażenia. Kilka niezabezpieczonych worków zaczęło się zsuwać z dłoni arkonity, ale zanim kobiety do nich dobiegły, dobytek spadł na ziemię.

Poruszali się szybko.

„Zardzewiała Pila” unosiła się ku nocnemu niebu jak tratwa na wezbranej fali. Pod jej fundamentami przesuwał się ocean ciemnego lasu. Chłodna mgła otoczyła jego drewnianą fasadę. Belki skrzypiały, okiennice stukwały o framugi. Jedna z szyb pękła z hukiem muszkietowego wystrzału. Rachel wydawało się, że niebo kołysze się wokół nich. Sierp księżycy skakał w mglistej ciemności jak rozhuśtana latarnia.

Na zatłoczonej wyspie było jeszcze za wcześnie na konflikty i kłótnie, które w nieunikniony sposób musiały wybuchnąć w takim tłumie. Drwale stojący w drzwiach gospody zagonili do środka kogo się dało, ale deski salonu już ugiwały się pod ciężarem setek ludzi. Wojownicy w ciężkich zbrojach ostrzyli broń albo woskowali cięciwy luków. Starcy śpiewali o dawnej chwale i stukali się szklanicami. Gracze już zasiedli do kości. Stare panny zerkały na nieśmiałe młode kobiety z niemowlętami w powijkach. Dziwki trącały łokciami mężczyzn i śmiały się razem z nimi. Chłopcy przeciskali się przez ciżbę, niosąc kubki whisky dla ojców i

starszych braci albo siedzieli pod stołami i podglądali dziewczyny. Dzieci biegały po schodach, śmiały się głośno na piętrze, trzaskały drzwiami, uciekały przed przekleństwami babek. Rachel usłyszała płacz dziecka, chwilę później zagłuszony przez grzmiący śmiech wojowników, kakofonię pijackich przyśpiewek, brzęk tłuczonych butelek, gwizdy, tupanie i pokrzykiwania wstawionych dziwek. Dorzucono do pieców, zapalono wszystkie świece i lampy, aż okna jarzyły się jak paleniska.

--Zaczynam rozumieć, dlaczego Abner Hill ukrył alkohol -- mruknęła Mina.

Rachel próbowała nasłuchiwać kroków zbliżającego się wroga, ale do jej uszu docierała tylko wrzawa z baru. Mgła spowijała noc poza tą małą wysepką hałasu i światła, ale asasyńska wypatrzyła ciemny klif torsu Dilla, wypełniający niebo. Jego przedramiona wyglądały w mroku jak ogromne barki zrobione z kości.

Kiedy Oran powiódł za jej spojrzeniem, dała mu znak, żeby wyszedł za nią przed gospodę. Grupa młodszych mężczyzn podawała worki ze zbożem i bele skór przez jedno z okien na parterze, inni ciągnęli sagi drewna na opał na tyły budynku. Rachel przemknęła między nimi, kierując się ku nadgarstkowi Dilla. Cztery dziwki siedzące na ganku popijały z ceramicznych butelek i obserwowały ją, kiedy obok nich przechodziła.

--Musimy wprowadzić resztę kobiet i dzieci do środka -- powiedziała Rachel. -- Wszyscy mężczyźni powinni czekać na zewnątrz, trzeźwi i gotowi do walki.

Oran podrapał się po bliźnie na czole.

--To bez różnicy, czy będą pijani, czy trzeźwi -- stwierdził. -- Nie mogą się ludzić, że przeżyją potyczkę z arkonitą. A skoro muszą walczyć, niech najpierw trochę się zabawią.

Dotarli do krańca wyspy, gdzie kościste kciuki Dilla majaczyły przed nimi jak dziwne białe słupy wielkiej bramy. W górze Rachel widziała zarys masywnej szczęki przyjaciela. Przekrzywiła głowę i nasłuchiwała...

Marszowi arkonity przez las towarzyszyły regularne dudnienia i trzaski, kiedy miażdżył drzewa stopami. Ale teraz Rachel usłyszała inne dźwięki, dochodzące z mgły w niedużej odległości za nimi, niczym echo kroków Dilla.

W tym momencie dołączyła do nich Mina. Na jej ramieniu spoczywał muszkiet Abnera Hilla, skierowany lufą ku niebu. Taumaturg trzymała kolbę w smukłej szklanej dłoni.

--Dogania nas -- oznajmiła.

--Co Bazylis miał do powiedzenia?

Mina pokręciła głową.

--Ten konkretny wróg jest poza jego zasięgiem.

--Czy Hasp wie, co się dzieje?

--Śpi na podłodze spiżarni. Zamknęłam drzwi na klucz, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Zarówno dla bezpieczeństwa intruzów, jak i Haspa.

Rachel zmierzyła wzrokiem muszkiet.

--Co zamierzasz z tym zrobić?

Mina wzruszyła ramionami.

--Nie chciałam zostawiać naszej jedynej broni palnej w barze pełnym pijanych mężczyzn. -
- Przeniosła muszkiet z jednego ramienia na drugie. -- Nasi goście wypuścili pana Hilla i jego żonę z pokoju. Abner najpierw coś krzyczał o straconej whisky, ale potem ktoś mu powiedział o obiecanych złocie. Teraz sam serwuje drinki i zapisuje należność.

Rachel westchnęła. Nie zamierzała wykorzystywać złota Cospinola, żeby upić tę śmiechu wartą armię, ale nie miała teraz czasu rozmówić się z Abnerem Hillem.

--Czy Dill może uciec przed arkonitą Menoi?

--Nie.

Oran podrapał się po zaroście.

--Więc będziemy tej nocy walczyć i najpewniej zginieemy -- stwierdził, ziewając.

* * *

Wola Cospinola decydowała o sprawności jego wielkiego drewnianego statku, natomiast wola Kotwicy o jego własnej niesamowitej sile. W ciągu tysięcy spędzonych razem lat pan i niewolnik osiągnęli równowagę i harmonię we współdziałaniu. Im cięższy stawał się *Rotsward*, tym większą moc znajdował w sobie olbrzym, żeby go ciągnąć.

W zamieszaniu po zniszczeniu bramy i po tym, jak zaczęli spadać do Piekła, minęła chwila, zanim Kotwica odzyskał koordynację ze statkiem.

Lina szarpnęła wielkoludem, zatrzymując go raptownie, a potem zadziałała jak sprężyna i posłała go z powrotem w niebo. *Rotsward* zadrżał i pochylił się, ogromna masa powiązanych ze sobą masztów i drzewc. Człowiek i statek na chwilę stali się nieważcy. Sznur ponownie się napiął, a potem rozluźnił. Kotwica usłyszał, jak brzęczy za jego uchem niczym żywa istota. Labirynt pomknął mu na spotkanie z oszalamiającą szybkością: plątanina krwawych kanałów, częściowo zatopione świątynie, łuki, krzywe schody, sterty zmurszałych czarnych murów ciśniętych w karmazynowe błoto.

Labiryntu nie oświetlało naturalne słońce, więc *Rotsward* nie potrzebował zasłony ochronnej w postaci mgły. Spadał z nieba jak ogromny, prastary statek tortur wyrzucony z nieba. Wojownicy, których Przegrani nie dopadli, rozglądali się teraz gorączkowo wokół siebie i wyli na szubienicach. Wystawieni na ognisty blask Piekła tworzyli naprawdę barbarzyńską armię: obdarci szaleńcy o sinych twarzach, pozbierani z wielu zapomnianych wojen.

John Kotwica sam ich wszystkich zabił, a wiele innych dusz krążyło teraz w jego żyłach. Nie mógł długo na nich patrzeć. Ból w sercu zmusił go do odwrócenia wzroku.

W jego polu widzenia pojawiła się wirująca powierzchnia Piekła: w obłym zboczu pagórka lśniły okna, otwarte drzwi skradały się w obsydianowych ścianach, żelazne kolumny, fasady z czerwonej cegły, bulgoczące strumyki, łuki, kamienie, krew.

Runął na czerwony kamienny mur, wpadł do jakiegoś pokoju, przebił się przez podłogę. Kolejne pomieszczenie, kolejny sufit. Przyciągnął kolana do piersi i zamknął oczy. Miał wrażenie, że przechodzi przez komory powietrzne oddzielone membranami. Leciał wciąż w dół jak kula armatnia wrzucona do domku z kart.

Głęboko pod ziemią rąbnął z impetem o ostatnią solidną powierzchnię i wreszcie się zatrzymał.

Jęknął i otworzył oczy.

Spadł przez dwadzieścia albo więcej mieszkań. Bezpośrednio nad nim ciąg poszarpanych otworów tworzył coś w rodzaju szybu, kończącego się odległym kręgiem czerwonego nieba. Wszystkie przebite stropy już zaczynały krwawić. Krople kapwały z nierównych brzegów dziur, spływały kaskadą w dół z pokoju do pokoju, rozpryskiwały się na podłodze wokół niego. Z góry dobiegał jęk.

Kotwica usiadł.

Znajdował się w eleganckim salonie o wysokich oknach otwieranych pionowo, urządzonym antycznymi pandemiańskimi meblami. Nad nim stały dwie identyczne stare kobiety o twarzach białych od pudru albo z przerażenia. Obie w niebieskich sukniach z wysokim kołnierzykiem, wyglądały jak własne lustrzane odbicia. Koki z siwych włosów ciasno upiętych na czubku głowy przypominały małe czaszki.

--Drogie panie -- przemówił dwornie Kotwica.

Blizniaczki spojrzały po sobie, a potem przycisnęły złożone dłonie do piersi i skierowały wzrok z powrotem na intruza.

--Jest pan hydraulikiem? -- zapytała jedna z nich.

--Nie sądzę, żeby był hydraulikiem, Clarice -- odezwała się druga. -- Tylko na niego spójrz!

Kotwica wstał, otrzepał się z kurzu i kawalków gruzu. Następnie odsunął się od szybu i deszczu krwi, który z niego kapał. Staruszki cofnęły się przed nim o krok.

Wielkolud uśmiechnął się szeroko.

--Nie ma potrzeby bać się Johna Kotwicy, drogie panie. Nic do was nie mam. -- Rozejrział się. -- Więc to jest Piekło, tak?

Cospinol opowiadał mu kiedyś, że dusze hodują wokół siebie pokoje, jak ślimaki muszle. Ten salon musiał być właśnie takim miejscem. Olbrzym wskazał głową na okna i widoczną za nimi zwykłą ceglana ścianę.

--Wasi sąsiedzi cenią prywatność, co?

--Sąsiedzi? -- obruszyła się jedna z dam. -- Niech pan nie opowiada bzdur. My nie mamy żadnych sąsiadów. Buntings to nie kamienica czynszowa. Mamy dziewięćdziesiąt akrów.

--Bez wątplenia uderzył się w głowę przy upadku, Marjory -- powiedziała jej bliźniaczka.

Potem obie zasznurowały usta, patrząc na niego wyniośle. Kotwica wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru rozwiewać ich złudzeń.

Jedna z sióstr popatrzyła z dezaprobatą na dziurę w suficie.

--Ktoś będzie musiał to naprawić.

--Przepraszam, drogie panie, zaraz się tym zajmę. -- Kotwica podskoczył, chwycił rękami za krwawy brzeg otworu i podciągnął się.

Większą część tego pokoju zajmowało duże łóżko. Siedziała na nim oparta o poduszki ogromna kobieta z masą czarnych i białych włosów sterczących z głowy niczym pędy płożącej się rośliny. Całe pomieszczenie świadczyło o rozkładzie: ze ścian zwisały pasy tapety we wzory, listwy przypodłogowe pokrywała czarna pleśń. W powietrzu unosił się zapach octu.

--Jestem ranna -- poskarżyła się kobieta. -- Ktoś uderzył mnie w głowę, kiedy spałam.

--Przepraszam, proszę pani. -- Kotwica wygramolił się z otworu i stanął na nogach. -- To byłem ja. Przebiłem się przez pani duszę. Ból niedługo minie.

--Widział pan Dory? -- zapytała grubaska.

Kotwica pokręcił głową.

--Nie, proszę pani.

Podskoczył znowu i złapał się desek podłogowych następnego pokoju.

--Dory mówiła, że do mnie zajrzy, ale nie widziałam jej od wieków -- mówiła dalej kobieta. -- Nie wiem, co się z nią stało.

Kotwica, stękając, wywindował się na następne piętro. Spojrzał w dół i zobaczył, że bliźniaczki nadal stoją pod dziurą. Pomachał do nich.

--Proszę nie myszkować na strychu! -- krzyknęła jedna z sióstr. -- Tam są nasze stroje. Nie wolno ich ruszać. Są bardzo delikatne.

--Kto tam jest?! -- zawołała kobieta leżąca w łóżku. -- Dory?! To ty?

Trzeci pokój wypełniało tyle roślin doniczkowych, że wyglądał jak ogród. Zielona winorośl oplatała drewniane kratownice przymocowane do ścian z nagiej cegły. W kątach stały jakieś stare komody z szufladami i drewniane stoły, ale resztę mieszkania zajmowały donice z żółtymi, różowymi i czerwonymi kwiatami. Z początku Kotwica sądził, że w pomieszczeniu nikogo nie ma, ale potem dostrzegł skulonego w rogu młodego mężczyznę z nożycami w ręce. Wyglądał na nieprzytomnego.

Kotwica podszedł do niego i schylił się, żeby zbadać mu puls, ale zaraz się wyprostował i pokręcił głową. Oczywiście wszyscy ci ludzie byli martwi. Jeśli mieli puls, to tylko dlatego, że o nim pamiętali, a nie dlatego, że krew nadal płynęła w ich żyłach. Tak czy inaczej podniósł młodego człowieka, oparł go o ścianę i lekko nim potrząsnął.

--Wszystko w porządku, chłopcze?

Młodzieniec otworzył oczy i lypnął na wielkoluda.

--Chyba upadłem -- powiedział. -- Gdzie jestem?

--Nie wiesz, gdzie jesteś?

--Nie.

--To dobrze. W takim razie wyświadczyłem ci przysługę.

Kotwica zostawił go i wrócił pod szyb. Spojrzał w górę i zobaczył, że niektóre otwory już zaczynają się zasklepić. Mieszkające tutaj dusze powoli odzyskiwały kontrolę nad swoim otoczeniem. Daleko w dole salon bliźniaczek oddalał się w spacerowym tempie od lokum kobiety przykutej do łóżka. Dwie stare panny najwyraźniej postanowiły się przenieść.

--John!

We wlocie szybu pojawiła się głowa Alice Harper. Metafizyczka spoglądała na niego z góry.

--Wszystko w porządku?! -- zawołała.

--To bardzo dziwne miejsce! -- odkrzyknął Kotwica.

--Dziwniejsze, niż sądzisz. Muszę z tobą porozmawiać.

Kotwica wdrapał się na sam szczyt, nie zwracając uwagi na mieszkańców kolejnych pokoi. Gdy w końcu wydostał się na otwartą przestrzeń, uderzył w niego silny wicher. Harper czekała na pobliskiej skalnej półce, skąd rozciągał się widok na sporą część Labiryntu. Czerwone włosy smagały jej bladą twarz.

Kotwica zobaczył, że stoją na wierzchołku osobliwego konglomeratu dusz, który wyglądał tak, jakby cała pandemiańska ulica została ściśnięta w jedną ogromną, bezładną budowlę. Ale to skupisko mieszkań wciąż zmieniało kształt, w miarę jak fasady rozciągały się albo kurczyły jak cielsko gigantycznego węża. Pełznąć po powierzchni Piekła, fundamentami zagarniało po drodze inne mury. Zostawiało za sobą płytki rów i odsłonięte podziemne pokoje. Z otwartej rany tryskały strumienie krwi i z bulgotem płynęły przez zniszczone dzielnice.

Harper odwróciła twarz, chroniąc ją przed silnymi podmuchami.

--Słyszysz ich? -- zapytała.

--Kogo?

--Głosy na wietrze.

Kotwica wyteńczył słuch. Po chwili do jego uszu dotarło coś, co brzmiało jak słabe ludzkie głosy, niesione z bardzo daleka przez zawodzącą wicherę.

Nie potrafił jednak odróżnić poszczególnych słów ani nawet rozpoznać języka.

Harper sięgnęła do pasa z narzędziami po czarną lunetę.

--Non Morai -- powiedziała. -- Sam zobacz.

Kotwica spojrział przez obiektyw z ciemnego szkła i zobaczył zupełnie inny świat. Karmazynowy krajobraz okazał się zielony. Po niebie śmigał skrzydlate stworzenia o wychudłych twarzach i czerwonych uśmiechach podobne do nietoperzy. Roily się wokół bładożółtych światełek układających się w koronkowe, jaśniejące smugi. Najwyraźniej zaganiały je ki powierzchni Piekła.

Kotwica odsunął lunetkę od oczu i ujrzał normalną scenerię: puste czerwone niebo. Ale kiedy jeszcze raz zerknął w obiektyw, na zielonych niebiosach znowu pojawiły się tysiące skrzydlatych istot i ich podopiecznych.

--Zauważyłam je tuż po tym, jak opuściliśmy bramę -- powiedziała Harper. -- Kierują dusze do tej części Piekła.

Kotwica już wcześniej stykał się z Non Morai, ale jeszcze nigdy nie widział ich w takiej liczbie. Na ziemi te zjawy często nawiedzały pola bitew i miejsca, gdzie zamordowano ludzi. Ludzcy taumaturdzy czasami zatrudniali je do zbierania dusz.

--Dlaczego? Stoi za tym Menoa?

Metafizyczka zrobiła powątpiewającą minę.

--Do pracy w powietrzu Menoa wykorzystuje Iolitów, a dusze zbierają Ikaraci -- wyjaśniła. -- To też daje do myślenia. -- Wyciągnęła przed siebie rękę.

Kotwica spojrział we wskazane przez nią miejsce. Dopiero po chwili zobaczył, o co chodzi Harper. Wysypisko, na którym stali, odpelzało ukradkiem od dziwnego obiektu, czegoś w rodzaju żelaznego komina wyrastającego z krwawego rumowiska. Jego ogromna paszcza, zdolna niemal pomieścić dom, rozszerzała się i kurczyła jak łakome usta. Kotwica jeszcze raz uniósł do oczu lunetkę i zobaczył rój Non Morai, którzy fruwali wokół tego otworu, zapędzając do środka światełka dusz.

--Po co przemierzać całe Piekło, skoro wszędzie tutaj są uwięzione w ścianach niezliczone dusze? -- zastanawiała się Harper. -- Non Morai łapią nowo przybyłe duchy, które jeszcze nie stały się częścią Labiryntu. -- Obserwowała przez chwilę, jak paszcza pochłania dziesiątki światełek. -- Kiedy Menoa potrzebuje dusz, Ikaraci rozbijają całe dzielnice Labiryntu i po prostu je zabierają. Ten, kto zbudował komin, działa w sekrecie. Zupełnie jakby nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Kotwica odchrząknął.

--Więc dlaczego nas tutaj ściągnęli?

--Kiedy brama została przerwana, zlecieli się Non Morai, żeby zagarnąć uwolnione dusze, a nas przypadkiem porwał ich wir.

Wielkolud opuścił lunetę i uśmiechnął się szeroko. Jego zdaniem można to było uznać za akt agresji wymierzony w *Rotswarda*, a takich rzeczy Kotwica nie puszczał płazem. Wątpił jednak, czy Harper albo Cospinol zgodzą się na mały wypad. Mieli ważniejsze sprawy na głowie.

--Zejdźcie do komina i rozejście się nie zabrałoby nam dużo czasu -- rzucił na próbę.

Harper wzruszyła ramionami, ale Kotwicy wydawało się, że tylko udaje obojętność. Czyżby naprawdę chciała tam zajrzeć?

Wysypisko Dusz poruszyło się pod jego stopami, a potem lekko odchyliło do tyłu. Kotwica spojrział na przednią fasadę i zobaczył, że podstawa wielkiej pełznącej budowli wpelza na kolejny z niskich murków Labiryntu. Ściana zafalowała i podzieliła się na nieregularną łukowatą kolumnadę. Następnie filary wkroczyły na przeszkodę jak wielonogie insekty, a po drugiej stronie ponownie utworzyły solidną elewację. Wysypisko wchłonęło kawał muru i ruszyło dalej, uciekając od dziwnego komina.

Po linie przebiegło drżenie i w myśli Kotwicy wdarł się głos Cospinola. *Nie, John. Jestem pewien, że potrafisz nas obronić, ale nie widzę powodu, żeby szukać kłopotów. Nie wiemy, co jest tam na dole.*

--Nie możemy na tym wehikule dojechać aż do Dziewiątej Cytadeli. -- Wielkolud tupnął nogą. -- W tym tempie może mu to zająć wieki, nawet gdybyśmy byli pewni, że zmierzamy we właściwym kierunku.

--Czas biegnie tutaj z różną szybkością -- wtrąciła Harper. -- Wiek mija jak jeden dzień na Ziemi albo jak eon. Ale masz rację, jeśli chodzi o kierunek. -- Wyjęła zza pasa jedno z wielu srebrno-kryształowych mesmeryckich urządzeń i przestudiowała jego wskazania. Po chwili uniosła wzrok i pokazała punkt na horyzoncie za ciągnącymi się bez końca murkami z czarnego kamienia, zburzonymi świątyniami i stożkowatymi zigguratami. -- Tam jest Dziewiąta Cytadela.

--Więc chodźmy. -- Kotwica napiął potężne ramiona. -- Przerwanie rdzenia dało nam niezłą przewagę, co? Król Menoa nie może być nawet pewien, czy udało się nam dotrzeć do Piekła. -- Uśmiechnął się szeroko. -- Możemy go dopaść z opuszczonymi portkami. -- Ruszył w dół zbocza.

Harper zatrzymała go, wskazując głową na coś, co znajdowało się za nim.

--John.

Kotwica się odwrócił.

Całe niebo w górze wypełniał *Rotsward*: monstrualne drewniane miasto, ogromna sieć krzyżujących się, zbutwiałych drzewc i lin oplecionych wokół czarnego kadłuba. Na szubienicach dyndały tysiące Wisielców w najdziwaczniejszych zbrojach słabo połyskujących w karmazynowym blasku. Wielu zabili Przegrani, w niektórych pętlach zostały same głowy torsy albo inne nierozpoznawalne fragmenty ciał. Ci nieliczni, którzy wcześniej zostali odcięci albo przeżyli bitwę w bramie, teraz gramolili się po masztach albo trzymali się ich kurczowo, żeby nie porwał ich huragan. Wichura Non Morai tworzyła wir wokół statku, rozszalały prąd powietrza, pełen latających cieni.

--Nie nazwałabym tego elementem zaskoczenia -- stwierdziła Harper.

Kotwica wsparł pięści na biodrach i zmarszczył brwi. Całkiem zapomniał o *Rotswardzie*. Dopiero teraz sobie uświadomił, że Menoa zobaczy go z daleka. Po chwili wzruszył ramionami.

--Niech król przygotowuje obronę. To będzie uczciwa walka.

Lina na plecach Kotwicy zadrżała. *Zapytaj Harper, jak głęboka jest ta studnia, usłyszał głos Cospinola. Czy może nas zaprowadzić do Rzeki Przegranych?*

Wielkolud przekazał metafizyczne pytanie boga.

Harper uciekła wzrokiem, jakby chciała ukryć wyraz oczu.

--Rzeka Przegranych płynie pod Piekłem, więc każda droga prowadząca w dół może nas do niej zbliżyć -- odpowiedziała.

Dobrze, rzekł Cospinol. John, ściągnij Roiswarda pod ziemię. Porozmawiamy z rzeką.

Kotwica spojrział na żarłoczny komin.

--Będzie dosyć ciasno -- stwierdził. -- Zostawimy za sobą trochę spustoszeń. -- Z radosną miną zatarł wielkie dłonie.

Cospinol westchnął.

Harper schowała mesmeryckie urządzenie i gniewnym skinieniem głowy wskazała na powierzchnię Labiryntu.

--Piekło żyje, John -- powiedziała. -- Zniszczysz tysiące dusz, jeśli spróbujesz przeciągnąć przez nie *Rotswarda*. O ile to w ogóle jest możliwe.

Kotwica zmarszczył brwi.

--Możliwe? -- mruknął. -- Siła to tylko kwestia woli. Wszystko jest możliwe. --

Odchrząknął zdecydowanie. -- A jeśli Piekło żyje, niech lepiej zejdzie mi z drogi.

Zeskoczywszy z Wysypiska, pociągnął wielki statek w stronę komina i żywego, myślącego wnętrza Piekła.

Rozdział 5

KSIĘŻNICZKA

Oran kazał swoim ludziom wyjść z „Zardzewiałej Pily”, ale większość drwali była już pijana, inni zawieruszyli się gdzieś z dziwkami.

Przywódca milicji w końcu zaprowadził porządek groźbami i przemocą. Wpadł we wściekłość, pobił dwóch podwładnych, jednemu złamał nos. Jego gniewny krzyk uciszył wrzawę panującą w barze.

--Sam lord Rys rozkazuje wam stanąć dzisiaj do walki! Reprezentuję go w tej i we wszystkich innych sprawach.

Rachel wyczuła niechęć drwali. Ludzie lasu wymieniali ze sobą ukradkowe spojrzenia, mamrotali pod nosem przekleństwa. Już wcześniej słyszeli takie przemowy i najwyraźniej nie byli gotowi zaakceptować przywództwa Orana.

Ale jeszcze bardziej nie lubili asasynek, nie mówiąc o szacunku. Ich mroczne spojrzenia zdradzały pogardę. Ostatecznie to ona ściągnęła na nich Dwunastkę Menoi.

--Wiedzą, że nie można wygrać tej bitwy -- powiedział do niej cicho Oran. -- Wszyscy spodziewają się, że dzisiaj zginą, dlatego wolą raczej wydać pieniądze na whisky i dziwki.

Boją się, pomyślała Rachel, ale nie powiedziała tego na głos.

Mężczyźni zebrali się na zatłoczonym skrawku ziemi otaczającym gospodę z bali. Wszyscy byli uzbrojeni. Kilku wzięło liny i żelazne haki służące do pokonywania murów obronnych i palisad, ale nie wyglądało na to, żeby mieli wprawę w ich używaniu. Wielu nadal popijało z butelek albo po prostu stało w blasku padającym z okien na piętrze i wpatrywało się w milczeniu we własne cienie.

Chwilę później z gospody wyszła Mina. Jak zwykle trzymała na rękach psa i głaskała go po głowie. Widząc wyraz troski na jej twarzy, Rachel domyśliła się, jaki jest rezultat narady z Bazylisem.

--Nici z wielkiego planu, Mino?

Taumaturg pokręciła głową.

--Bazylis nie ma dość mocy, żeby wpłynąć na tę istotę. Jej dusza jest przed nami zamknięta. -- Postawiła psa na ziemi. -- W Larnaig Menoa wywiódł nas w pole. Udało się nam uwolnić Dilla, bo pan Labiryntu chciał, żebyśmy to zrobili, i teraz ponosimy konsekwencje naszych działań. -- Westchnęła. -- Wykorzystał nas jak marionetki, Rachel. Bazylis jest wściekły z tego powodu, ale nie ma zamiaru układać żadnych konkretnych planów działania, dopóki nie zrozumie motywów króla. Mój pan nie chce znowu zostać przechytrzony.

--A co ty myślisz?

--Ja myślę, że nie mamy wyboru. Jeśli Menoa steruje naszymi działaniami, istnieje ryzyko, że pomożemy mu wbrew własnej woli. Ale jeśli nie zrobimy nic, zginemy.

Dill nadal niósł w martwych rękach zatłoczoną wysepkę niczym dar dla jakiegoś zimnego boga siłą wydobytego z grobu. Zapach kości i metalu wykutego w labiryncie wypełniał noc. Jednym krokiem pokonywał kwartały ciemnego lasu, łamiąc drzewa i miażdżąc je stopami. Dudniący rytm wybijany przez jego stąpania budził nieokreślony lęk w sercach zebranych wojowników.

Dum, dum... Dum, dum.

Poza tym było już wyraźnie słycać ścigającego ich arkonitę. Rachel odwróciła się do Miny.

--Zróbmy postój. Powiem Dillowi, żeby się zatrzymał i postawił nas na ziemi.

--Zaczekaj. -- Mina przygryzła wargę. -- Myślę, że jest sposób na pokonanie tego automatu. Po prostu muszę dostać się do jego głowy.

--W jaki sposób?

--Fizycznie!

Rachel zrozumiała. Jeśli arkonitą Menoi był zbudowany podobnie jak Dill, znaleźliby się w komorze z uwięzioną duszą anioła.

--Cholera, będziemy musieli wejść do jego paszczy -- stwierdziła asasynka.

Ale zabrakło im czasu na realizację nowego planu, bo golem wyłonił się z hałasem z mgły. W zbroi wykutej w Labiryncie był dużo większy od Dilla. Słabe zielone światelka dusz błąkały się przy nabiodrnikach, nagolennicach i zarękawiach niczym pozostałości dziwnej elektrycznej burzy. Poruszał się sztywno i nienaturalnie, ze stawów barkowych buchały strumienie pary. Kończyny zakute w żelazo wyglądały jak pancerniki po bitwie w Larnaig, pokancerowane i zbryzgane krwią ludzi i mesmerystów. Połowa czaszki była osmalona w wyniku jakiego piekielnego albo chemicznego procesu. W jednej masywnej rękawicy trzymał stalowy tasak wielkości miejskiego muru.

Ludzie Orana cofnęli się, przeklinając i łapiąc powietrze, kiedy dotarł do nich odór śmierci, dziesiątków tysięcy zabitych w Larnaig i Coreollis. Arkonitą przyniósł ze sobą zapach wojny.

--Dill, postaw nas! -- krzyknęła Rachel.

Księżyc przemknął po zamglonym niebie jak latarnia, kiedy Dill odwrócił się, pochylił i opuścił „Zardzewiałą Pile” na leśny dukt. Deski gospody zaskrzypiały przeraźliwie. Jeden róg budynku przekrzywił się i wbił w grunt. Wysepka otaczająca tawernę jeszcze bardziej się zmniejszyła, kiedy w bok poleciały wielkie grudy ziemi. Ludzie Orana, z linami i siekierami, zeskoczyli na drogę i rozpierzchli się wśród drzew po obu jej stronach.

Dill stanął twarzą do ich prześladowcy.

Automat się zatrzymał. Jego metalowa zbroja, ciemna od krwi, smaru i ziemi, była otoczona dziwną zieloną poświatą, przez co wyglądała jak forteca ustrojona gwiazdami, która wyłoniła się z chmur oblanych blaskiem księżyca. Bezużyteczne skrzydła unosiły się za arkonitą jak wielkie poszarpane żagle. Wewnątrz tego pancerza i osmalonej czaszki pracowały silniki. Dym buchający ze spojeń snuł się wokół odsłoniętego karku. Z potężnym okrzykiem i jękiem metalu golem zrobił krok do przodu i zamachnął się tasakiem.

Ziemia zadrżała, kiedy Dill otwartą dłonią odparował cios napastnika. Przerażliwy zgrzyt zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Rachel zobaczyła, że ludzie klękają, łapią się za głowy, zatykają uszy. Przez kilka uderzeń serca nie słyszała nic oprócz świdrującego hałasu we własnej czasce.

Potem dotarł do niej trzask łamanych drzew, tratowanych krzewów, szczęk metalu. Wysoko na ciemnym niebie walczyli dwaj arkonici. Księżyc zniknął i za chwilę znowu się pojawił, kiedy wojownik Menoi chwycił przeciwnika za szyję i odepchnął do tyłu. Dill cofnął się, wybijając stopami kraterę w gruntowej drodze po obu stronach gospody. We mgle rozległy się krzyki kobiet i płacz dzieci. Wszyscy uciekali w panice z „Zardzewiałej Pily”. Między drzewami przemykały cienie. To ludzie Orana okrążali wrogię arkonitę.

Mina chwyciła Rachel za ramię i wyszeptała nagłym tonem:

--Powiedz mu, żeby go przewrócił.

Rachel spojrzała w górę. Widziała jedynie niewyraźne postacie majaczące we mgle, zieloną poświatę i błysk monstrualnego tasaka. Ziemią znowu wstrząsnął potężny huk. Ktoś wrzasnął z przerażenia.

--Dill! -- Rachel próbowała przekrzyknąć hałas. -- Przewróć go!

Wielka żelazna stopa opadła z góry dziesięć kroków od asasynek. Mina zachwiała się i upadła. Rachel chwyciła ją za szatę i odciągnęła na bok. Z góry posypały się na nie gałęzie. Asasynek pośliznęła się na błocie i uderzyła nadgarstkiem w coś twardego i mokrego. Skala przykryta warstwą gliny. Schowały się wśród drzew, podczas gdy nad nimi toczyły bój dwa giganty. Tuż obok nich nagle wyrosła metalowa ściana zbryzgana krwią. Potem z całkiem bliska dobiegł szczęk, a po nim loskot, gdy arkonicy wymienili ciosy. Wśród koron drzew rozbłysły zielone światełka niczym chemiczne płomienie.

Czarodziejska mgła Miny okrywająca leśny szlak i gospodę jaśniała w blasku księżyca jakby zasilana własną spektralną energią. Rachel zobaczyła kościste ręce Dilla, kolumny z czerwonego metalu, korzenie przewróconych drzew oblepione mokrą ziemią, stratowane ciała, na pół zagrzebane w błocie albo uwięzione pod stosami połamanych konarów. Rachel dostrzegła również kilkudziesięciu ludzi Orana zbliżających się do arkonity z linami, żeby przywiązać jego golenie do drzew. Niestety, gigantyczne słupy poruszyły się znowu. Chwilę później noc rozbrzmiała jękami agonii, okrzykami wściekłości i rozpacz.

--Co się tam dzieje?! -- krzyknęła Mina.

Rachel wepchnęła ją głębiej w las.

--Nie wiem. Ale musimy...

Nagły szczęk metalu zagłuszył jej słowa. Rachel się obejrzała. Dzwoniło jej w uszach. Dwaj giganci, zwarci ze sobą, mocowali się we mgle. W pewnym momencie Dill się pośliznął i przebił stopą ziemny wał. Grudy błota posypały się na gospodę i drzewa. W oddali rozbrzmiał głos Orana wydającego rozkazy swoim ludziom.

Gdzieś bliżej zawodziła kobieta. Zielone światełka raptem zaczęły szybko zbliżać się ku ziemi.

Arkonita Menoi upadł.

Ogromne skrzydła przecięły niebo. Automat runął z taką siłą, że gwałtowny podmuch wilgotnego powietrza zwałił asasynekę z nóg. Wylądowała na miękkiej ściółce. Do jej ust i nosa dostały się mech i igliwie, bandaż odwinął się z głowy i zawisł luźnymi wstęgami na szyi. Rachel usiadła i zaczęła płuć.

Mina klęczała obok niej i oddychała ciężko. Drwale Orana zgromadzeni na polanie przy gospodzie ryknęli triumfalnie. Rachel niewiele widziała oprócz zielonych światełek pulsujących w gęstwinie drzew. Wyciągnęła rękę do Miny i pomogła jej wstać.

--Śpiesz się. Mamy niewiele czasu. Nie wiem, jak długo Dill wytrzyma.

Gdy wyszły z leśnego mroku, ich oczom ukazała się osobliwa scena. Arkonita Menoi leżał jak długi na dukcie tuż za „Zardzewiałą Piłą”, z jednym ramieniem uwięzionym pod pancerzem. Wielki metalowy tasak stał oparty o drzewo jak przewrócony monolit. Dill klęczał na plecach giganta, golenią przygniatał jego skrzydło do ziemi, ręką trzymał go za kark i wciskał osmaloną czaszkę w błoto, tak że golem leżał bez ruchu, spowity cuchnącym dymem z własnych silników.

Ludzie Orana, wściekli i rozzuchwaleni przez whisky, wdrapali się na powalonego arkonitę i zaczęli siekierami szukać słabych miejsc w jego zbroi. Kiedy Rachel przebiegała pod skrzydłem leżącego giganta, zauważyła wyryte na metalowych płytach spirale i tajemnicze wzory, takie same jak na kadlubie Zęba, maszyny, która przecięła łańcuchy Deepgate. Ale przecież ten stwór pochodził z Piekła...

Mina dostrzegła jej zaskoczenie i powiedziała:

--Niebo i Piekło mają ze sobą więcej wspólnego, niż ludzie przypuszczają. Pamiętaj, że Ayen i Irl byli kiedyś kochankami. Przybyli z tego samego nieznanego miejsca.

--A co z królem Menoą?

Taumaturg wzruszyła ramionami.

--To trudniejsze pytanie. Menoa jest w Piekle od samego początku. Czy był kiedyś człowiekiem, nie wiem, ale wystarczająco zbliżył się do Irila, żeby go zdradzić. Podejrzewam, że istnieją między nimi jakieś rodzinne więzy.

Zawahały się, gdy dotarły do czaszki przewróconego arkonity. Rzędy żółto-czarnych zębów wyrosły przed nimi jak nieprzebyty mur. Kolos wpatrywał się w nicość, pozornie martwy, nie licząc syku pary i pomruku maszynierii wewnątrz jego opancerzonego torsu. Jedno z wielkich postrzępionych skrzydeł drgnęło, ale Dill mocno przytrzymał wroga. Sam górował nad nim jak wielka kościana cytadela. Tasak oparty o drzewo pięćdziesiąt jardów dalej, zsunął się z pnia na ziemię.

Rachel zatkąła nos.

--To monstrum cuchnie gorzej niż Kuchnie Trucizn w Deepgate -- stwierdziła. -- Sam Devon nie mógłby wymyślić gorszego odoru.

Mina wzruszyła ramionami.

--To tylko gnijące mięso.

--Urocze. I co teraz? Nadal chcesz wejść do środka?

--Tak -- potwierdziła taumaturg. Przez chwilę przyglądała się gigantowi. Zwróciła uwagę na sposób przyspawania metalowych płyt do podstawy i boków szczęki. Zęby były osadzone zbyt blisko siebie, żeby dało się między nimi przecisnąć. -- Dill, możesz zrobić mi drogę?

W odpowiedzi Dill uniósł wolną rękę. Jego pięść zawisła na chwilę na de nieba, a potem opadła jak głaz, trafiając wojownika Menoi w podbródek. Uderzenie wbiło żuchwę giganta o stopę głębiej w miękką ziemię. Po lesie poniósł się trzask jak huk pioruna.

Mina aż się skuliła.

Rachel skrzywiła się i zatkąła uszy. Rana od muszkietu zaczęła pulsować z nową siłą.

--Niech mnie ciemność pochłonie! -- krzyknęła asasynka. -- Mogłeś nas ostrzec, Dill.

A jednak ten cios nie uszkodził powalonego wojownika. Zarówno pięść, jak i zęby arkonity pozostały nietknięte.

Rachel spojrzała na wielką szerniałą czaszkę i powiedziała:

--Otwórz mu usta siłą.

Dill posłusznie chwycił przeciwnika za brodę i siłą rozwarł mu szczęki. Między kolumnami zębów pojawiła się szpara o szerokości kilku stóp.

Rachel i Mina wymieniły spojrzenia. Potem asasynka wzruszyła ramionami i pierwsza weszła do środka.

Otoczyła ją kompletna ciemność. Rachel stanęła na wewnętrznej krzywiznie jamy

gębowej arkonity, próbując coś dojrzeć w nieprzeniknionej czerni. Przez szczelinę między zębami do wnętrza nie przenikało światło, nie licząc słabego księżycowego poblasku. Cuchnęło katakumbami i zgnilizną jeszcze silniej niż najbardziej krwawa ziemia mesmerystów. Rachel usłyszała, że Mina wchodzi za nią, a następnie poczuła na dłoni jej zimną szklaną rękę.

--W głębi powinien się znajdować korytarz techniczny -- powiedziała taumaturg. -- Gdzieś po lewej stronie. Zaprowadzi do komory duszy.

Ruszyły naprzód, trzymając się blisko siebie. Kościana podłoga uniosła się raptownie, a potem znieruchomiała. Powietrze śmierdziało olejem i spalonym mięsem. Ich kroki odbijały się echem od niewidocznych ścian. Rachel uświadomiła sobie, że mocno ściska rękę Miny, niebezpiecznie mocno, zważywszy na jej kruchość. Rozluźniła uścisk.

Po dłuższych poszukiwaniach w końcu znalazły wąskie przejście. Z jego głębi buchał wilgotny, metaliczny odór. Rachel uklękła i przesunęła dłońmi po brzegach otworu. Stwierdziła, że jest dostatecznie duży, żeby można wpełznąć do środka. Ale kiedy się pochyliła, żeby do niego wejść, golem przemówił grzmiącym, beznamiętnym głosem:

--Oto słowa Menoi. Pan Labiryntu rozkazuje ci, Hasp, zabić dwie kobiety znajdujące się w arkonicie.

--Cholera! -- syknęła Rachel, nieruchomiejąc.

Mina popchnęła ją do przodu.

--Pospiesz się.

--Jak bardzo pijany był Hasp?

--Nie dość.

Nawet wewnątrz ogromnego automatu Rachel usłyszała wycie Haspa. Krzyki archonta niosły się w noc, podczas gdy pasożyt łamał jego wolę. Pan Pierwszej Cytadeli nie mógł się sprzeciwić rozkazowi Menoi.

Rachel ruszyła w ciemność, macając drogę rękami. Po chwili dostrzegła przed sobą słabe światło. Z komory duszy arkonity? Przyspieszyła kroku. Mina podążała tuż za nią.

Rozkład pomieszczenia był identyczny jak u Dilla. Pośród tajemniczej maszyneryi rozmieszczonej pod kryształowym sufitem o wielu fasetach znajdowała się szklana kula. Oświetlenie pochodziło z jej wnętrza. Pływała tam dusza anioła.

Rachel przełknęła ślinę, walcząc z mdłościami. W przeciwieństwie do Dilla ta istota wyglądała na bardzo starą. Ciało miała prawie całkowicie wysuszone, ze skrzydeł zostały połamane fragmenty kości. Strzępy zbroi nadal przywierały do resztek mięśni, ale nie zakrywały nagości. Anioł najwyraźniej nie był świadomy obecności intruzów. Unosił się pośrodku kuli i patrzył nieobecny wzrokiem, jakby śnił.

Z zewnątrz dobiegł kolejny straszliwy krzyk, tym razem z dużo bliższej odległości.

--Nie wiem, jak zamierzasz zniszczyć arkonitę, ale zrób to teraz -- powiedziała Rachel. -- Hasp będzie tu lada chwila.

Mina położyła dłonie na kuli, ale zaraz cofnęła się gwałtownie.

--O, bogowie -- wyszeptała. -- O, bogowie.

--Co się stało?

Taumaturg tylko potrząsnęła głową.

--Pilnuj wejścia do komory -- poleciała. -- Spróbuj zatrzymać Haspa. Zabij go, jeśli będziesz musiała.

Jeśli zdołam. Choć bóg był pijany i osłabiony, Rachel wąpiła, czy uda się jej walczyć z nim dłużej niż parę chwil. Nawet zyskanie tej odrobiny czasu mogło kosztować ją życie.

Wróciła do korytarza, a tymczasem Mina zaczęła szeptać coś niskim, śpiewnym głosem. Pomieszczenie wypełniły kojące tony. Zagłuszył je kolejny ryk Haspa. Archont zbliżał się nieubłaganie.

Rachel dobytego miecza, który zabrała martwemu żołnierzowi w Coreollis. Przycupnęła przy wejściu do komory i czekała, nasłuchując uważnie.

Czekała.

Po dłuższej chwili usłyszała niskie zawodzenie pośród nocy. Brzmiało melancholijnie w porównaniu z poprzednimi wrzaskami, ale Hasp nadal się nie pojawiał. Asasynka popęzła korytarzem w stronę ust arkonity. Otwór między jego rozwartymi szczękami widziała jako jaśniejszy pas szarości na tle kompletnej czerni. Odczekała dziesięć szybkich uderzeń serca, a potem podeszła do zębów i wyjrzała na zewnątrz.

Napotkała tuż przed sobą czerwone, żalosne oczy pana Pierwszej Cytadeli. Przygotowana do walki, dopiero po chwili zorientowała się w sytuacji i jej serce zwolniło. Hasp był uwięziony w klatce ze szkieletowych palców Dilla zwróconych do dołu.

Rachel spojrzała w górę na ogromny automat, który kiedyś był jej przyjacielem. Zmienił pozycję w taki sposób, że teraz mocniej przyszpilał wojownika Menoi kolanami, a jego beużyteczne skrzydła przesunął na jedną stronę. Wrogię arkonitę nadal trzymał za kark, ale wolną ręką wbił w ziemię, tworząc więzienie, w którym zamknął Haspa.

Bóg opadł na kolana, sięgnął po butelkę whisky i wlał do gardła dwa cale paskudnego trunku. Następnie podpełzł do prętów zaimprovizowanej klatki i spróbował się między nimi precyzyjnie. Jego szata się rozchyliła, odsłaniając tors. Szklany napierśnik dymił jak piec pośród nocy. Krwistoczerwonymi rękawicami Hasp rozorał ziemię za palcami automatu.

--Nie wypuszczaj go, Dill! -- zawołała Rachel. -- Dzięki bogom, że nadal masz rozum. Trzymaj go mocno!

Gdy wróciła do komory duszy, zastała Minę przytuloną do szklanej kuli. Taumaturg miała zamknięte oczy i szeptała coś żarliwie do ducha znajdującego się w środku. Nawet się nie obejrzała na asasynkę.

--Hasp jest niedysponowany -- oznajmiła Rachel.

Mina uciszyła ją gestem ręki, poszeptała jeszcze chwilę, po czym wzięła głęboki wdech i odwróciła się od kuli.

--Nie mogę do niego dotrzeć -- wyznała. -- Dusza tego anioła została zbyt mocno skażona i teraz podziela chaotyczne wizje Menoi.

--Nie możemy rozbić kuli?

Taumaturg pokręciła głową.

--Materiał, z którego jest zbudowana, wykuto w Labiryncie, więc nie ograniczają go fizyczne właściwości tego świata. Jak wszystkie inne, czerpie moc z tych fragmentów Irila, które Menoa przydzielił każdej duszy anioła. Wzmacniając je, jednocześnie podporządkował sobie wolę archontów. -- Mina zastanawiała się przez chwilę. -- Ta kula nie jest ze szkła. W rzeczywistości nawet nie istnieje. Dusza anioła to tylko naczynie, w którym jest zamknięta moc Menoi. Żeby uszkodzić arkonitę, musiałabyś go przekonać, że nie jest niezniszczalny. A nie uda ci się to, dopóki macki pana Labiryntu tkwią w jego umyśle.

--Ale Dill nie jest taki. Ma wolną wolę.

Taumaturg prychnęła.

--Tylko przypadkiem nie powiedz mu, że można go zniszczyć. Jeśli przestanie wierzyć, że jest niezwyciężony, znajdziemy się w prawdziwych kłopotach.

--Ale teoretycznie można by uwolnić duszę Dilla z więzienia?

Na wargach Miny pojawił się niebezpieczny uśmiech.

--Dlaczego chciałabyś coś takiego zrobić, Rachel Hael?

Asasynka nie odpowiedziała.

--Kiedy byliśmy w Piekło, Hasp pozwolił Dillowi wchłonąć moc innego kawałka roztrzaskanego boga -- ciągnęła taumaturg. -- Menoa wykorzystał ten fragment, żeby przekształcić Dilla w swojego trzynastego arkonitę. Twój anioł jest dużo bardziej wrażliwy niż pozostałe automaty, ale również silniejszy. Sam fakt, że teraz stoimy w czaszce pokonanego golema świadczy o przewadze naszego przyjaciela.

--Bo wierzy w siebie?

Mina wzruszyła ramionami.

--I dlatego że Hasp go wyszkolił.

Rachel westchnęła.

--Cóż, nie da rady w nieskończoność trzymać tego monstrum przyszpilonego do ziemi.

Z głębi korytarza dobiegł odgłos szurania. Rachel odwróciła się błyskawicznie i gestem nakazała Minie się cofnąć.

Chwilę później do pomieszczenia wpełził Oran. Kiedy się wyprostował, zmarszczył brwi na widok dziwnej maszynerii. Potem zobaczył dwie kobiety.

--Co wy, do diabła, tutaj robicie? -- Gdy zauważył kulę, wysyczał: -- Co to jest?

--Dusza tej maszyny -- wyjaśniła Mina. -- Anioł z Pierwszej Cytadeli.

Drwal zbliżył się do kuli, spojrzał na upiorną postać pływającą w szkle, a następnie wbił wzrok w asasynkę.

--Moi ludzie znowu piją. Czy to naprawdę jest nasze zwycięstwo?

--To impas -- odparła Rachel. -- Dopóki Dill będzie w stanie powstrzymywać giganta. Ale nie wiemy, jak zniszczyć tę kulę.

Oran odchrząknął i pokazał stalową siekierę.

--Odsuńcie się i pozwólcie mi spróbować.

Rachel zerknęła na Minę. Taumaturg tylko wzniosła oczy do nieba.

Wielki drwal stanął przed szklaną kulą, przybierając odpowiednią postawę. Zrobił potężny zamach toporną bronią i opuścił ją z impetem. Uderzenie wytrąciło mu siekierę z ręki. Narzędzie z brzękiem potoczyło się w ciemność, ale szkło pozostało nietknięte.

Oran zgiął się wpół, czerwony na twarzy.

--Ten anioł uważa, że jest niezniszczalny -- wyjaśniła Mina. -- I paradoksalnie ma rację właśnie dzięki tej wierze. Ta cała konstrukcja... -- zatoczyła ręką krąg, wskazując na pomieszczenie -- maszyneria, silniki w rzeczywistości są zbędne. Istnieją tylko po to, żeby tworzyć iluzję mocy, którą karmi się dusza arkonity. Golem widzi siebie i wierzy, że jego fizyczna postać wymaga źródła siły, więc Menoa dał mu te wszystkie proste urządzenia, tłoki i chemiczną krew płynącą w koszmarnym ciele. Tak naprawdę żadna z tych rzeczy nie jest potrzebna, ale nie można ich fizycznie zniszczyć. Ten twór to osobliwe połączenie wiary i

bezużytecznej formy.

Oran lypnął na nią spode łba.

--Twoja przemowa, kobieto, to jakieś niezrozumiale czary-mary. Moi ludzie właśnie wiążą kończyny golema linami.

--Kompletna strata czasu.

--Więc co proponujesz? I co właściwie tutaj robicie?

Taumaturg spuściła wzrok i powiedziała:

--Próbowałam zasiać wątpliwości w jego umyśle, podkopać wiarę w siebie i w ten sposób go osłabić. Staralam się mu wmówić, że można go pokonać. -- Spojrzała na drwala. -- Nie udało mi się, bo pan Labiryntu ujarzmił jego wolę.

--A co z instynktami? -- burknął Oran.

--Co masz na myśli?

Drwal chrząknął.

--W walce wojownik słucha swoich instynktów, kobieto, a nimi rządzi nagi strach i wściekłość, nie rozum czy wola. Szarżujące tury potrafią rozpedzić uzbrojony oddział. Śmierć przywódcy niszczy morale i nadzieję, ale najważniejszy i tak jest strach. Bitew nie wygrywa się samymi umiejętnościami, tylko kontrolą nad instynktami. -- Splunął na szklaną kulę. -- Hasp mógłby wam coś o tym powiedzieć. Jeśli chcecie pokonać tę istotę, przerażcie ją śmiertelnie.

Rachel pokiwała głową.

--On ma rację, Mino. Jego dusza jest naga, wystawiona na nasz widok, a to czyni go podatnym na strach. Jeśli dostrzeże niebezpieczeństwo, może zareagować instynktownie. Menoa kontroluje jego świadomość, ale...

--Dobrze -- burknęła Mina. -- Rozumiem. -- Spiorunowała wzrokiem Orana. -- Co proponujesz?

Drwal ukucnął i przyjrzał się spodniej części kuli, która stała na czterech małych kryształowych piedestałach. Potem wstał, obszedł ją, kopnął jedną z podpór. Wreszcie przesunął dłonią po zarośniętej szczęce i powiedział:

--Trzeba go podpalić. Ugotować we własnym sosie.

Wkrótce jego ludzie przynieśli bańki z olejem do lamp i tłuszczem zwierzęcym z zapasów gospody, a potem napelnili usta arkonity drewnem zebrany w lesie. Ułożyli je w stos, nasączyli olejem i podpalili.

Płomienie zaczęły lizać szkło, czarny dym buchnął po sklepieniu i wkrótce wypełnił całą komorę. Dusza arkonity zamknięta w kuli wila się w panice i krzyczała bezgłośnie.

Rachel patrzyła na to z przerażeniem.

--Naprawdę czuje żar przez szkło? -- zapytała Mino.

--Nie -- odparła taumaturg. -- Tak mu się tylko wydaje, ale to nam wystarczy.

Wycofały się wąskim przejściem, zanim powietrze stało się niezdadne do oddychania. Ludzie Orana zgromadzili jeszcze więcej drewna i oleju w komorze duszy, a następnie też ją opuścili. Wkrótce całe pomieszczenie płonęło jak wnętrze pieca. Rachel stała w ustach arkonity razem z innymi i obserwowała czerwony blask wydobywający się z niskiego korytarza. Ich wydłużone cienie tańczyły na ścianach pieczary.

Potem z ulgą wyszli na chłód nocy.

Na polecenie Rachel Dill uwolnił leżącego giganta, dźwigając swój ogromny ciężar z jego

pleców.

--To działa -- stwierdziła Mina. -- Dopóki ogień płonie, Ikarata nie jest w stanie przekazywać swoich myśli duszy anioła i arkonita nie może funkcjonować.

--Torturujemy go -- powiedziała Rachel.

--Ściśle mówiąc, on sam się torturuje. My tylko nie pozwalamy mu uwolnić się od iluzji.

Asasynka odwróciła się z niesmakiem.

--Przestań pleść te bzdury, Mino.

Taumaturg położyła dłoń na jej ramieniu.

--Musimy podtrzymać ogień tak długo, żeby zdążyć się stąd wynieść. -- Odwróciła się do Orana. -- Wystarczy do tego dwóch albo trzech ochotników. Jeśli pozwolimy płomieniom zgasnąć, automat wstanie i znowu pójdzie za nami.

Zgromadzeni drwale wybrali spośród siebie trzech ludzi. Zapłacono im w złocie i przyniesiono zapas jedzenia wystarczający na tydzień. Dopiero po tym czasie mogli zostawić ognisko. Ochotnicy poprosili również o whisky, ale Oran im odmówił.

--Upijecie się, zaśniecie i ogień zgaśnie. Macie go podsycać jeszcze długo po naszym odejściu. Kiedy zobaczymy się następnym razem, wszyscy postawimy wam po kielichu.

Mężczyźni pożegnali się z kolegami i wrócili do piekielnej jaskini, w której zgodnie z obietnicą mieli dręczyć duszę anioła, żeby pozostali mogli bezpiecznie uciec.

Gdy wprowadzono w życie jeden plan i większość ludzi Orana wróciła do „Zardzewiałej Piły”, asasynka i taumaturg zainteresowały się Haspem.

Bóg nadal siedział w kościanej klatce utworzonej przez palce Dilla. Błoto oblepiało jego podartą szatę, szklane zaręczawia i nagolennice. pojrzenie czerwonych jak rozżarzone węgle oczu nie było w stanie skoncentrować się na niczym oprócz pustej butelki, którą ścisnął w ręce. Rachel pomyślała z ironią, że po prostu przelał podły trunek z jednego szklanego naczynia do drugiego. Wyglądał na starego i chorego, niemal bliskiego śmierci, ale już nie miotła nim wściekłość.

--Hasp?

Archont zamknął oczy i zwiesił głowę.

--Wypuść mnie -- jęknął.

--Jeszcze nie możemy tego zrobić.

Hasp spojrział na butelkę.

--Ja nie... -- Pociągnął nosem i potarł czoło. -- Nie czuję się zmuszony do żadnych gwałtownych czynów.

--Skąd mam to wiedzieć? Ostatni rozkaz, który...

Bóg gwałtownie uniósł głowę.

--Dostałem rozkaz, żeby zabić kobiety przebywające w arkonicie. Ale wy już nie jesteście w środku. -- Wziął głęboki wdech i oparł głowę na dłoń. -- Cała whisky świata nie uwolni mnie ze szponów tej cholernej istoty. Mogłem złamać wam karki. -- Machnął ręką w nieokreślonym geście i westchnął ciężko. -- I nadal próbowałbym to zrobić, gdyby pasożyt miał własny rozum. Jeśli macie obie dość rozsądku, powinniście mnie teraz zabić.

Mina zmarszczyła czoło i spojrziała na Rachel.

--Wypuść go, Dill -- rozkazała asasynka.

Jej przyjaciel się zawahał.

--Wypuść go!

Arkonita uniósł rękę, uwalniając Haspa. Bóg jeszcze przez chwilę siedział na ziemi, a potem wstał. Nawet nie spojrział na Rachel i Minę, tylko powlókł się do tawerny z nisko zwieszoną głową. Ludzie Orana milkli i rozstępowali się, kiedy mijał ich wojownik o szklanej skórze.

* * *

Kotwica wziął rozbieg po powierzchni Piekła i wskoczył do dziwnego przelykającego komina. Żywe żelazo zacisnęło się wokół jego piersi jak obręcz, ale potem zwolniło uścisk i wielkolud runął w dół jak kamień.

Duchy sprowadzone tutaj przez Non Morai zareagowały strachliwie na obecność intruza. Kotwicą szarpnęła wichura pełna świszczących szeptów Złote drobinki światła i zaokrąglone metalowe ściany pomknęły w górę.

Za oknami i bulajami, które mijał, widział mieszkania: zatęchłe sypialnie wyłożone drewnem albo mroczne kamienne pokoje, zasnutę pajęczynami. W ciasnej żółtej kuchni siedział przy stole stary mężczyzna i gapił się w pustkę. Jedno z pomieszczeń służyło jako magazyn pełen świeżo zbitych trumien. W warsztacie pracowali przy kowadle dwaj nieduzi osobnicy o szczurzych twarzach, czerwonych i spoconych od żaru bijącego od paleniska. Wszystkie te obrazy przemykały obok niego jak przebłyski wspomnień.

Mieszkańcy żyli tutaj w ogromnym ścisku, wewnątrz własnych dusz. Otoczenie było po prostu manifestacją ich woli, dziełem podświadomości.

Kotwica zatrzymał się gwałtownie, kiedy napięła się lina przyczepiona do jego pleców. Nagle szarpnięcie zaparło mu dech w piersiach. To *Rotsward* zatrzymał się we wlocie komina. Wielkolud wisiał przez chwilę i patrzył w dół na promienie światła krzyżujące się w szybie. Nie widział dna. Spojrział w górę i zobaczył podobny widok: blask padający z licznych okien przecinał pionowy tunel, oświetlał drobinki kurzu i zardzewiałe ściany szybu.

Po chwili Kotwica zatarł ręce, rozkołysał się i rozbił pięścią najbliższe okno. Znajdujący się za nim pokój był nie większy od szafy, pełen starych pudeł i skrzyń. W głębi coś jęknęło i zaszurało w półmroku, ale olbrzym nie zwrócił na to uwagi. Wziął głęboki wdech i ruszył w głąb komina, rozbijając po drodze kolejne okna, żeby mieć oparcie dla rąk i nóg.

Z góry dobiegł dźwięk kruszącego się kamienia i rozrywanego metalu. I krzyki. Kotwica napiął mięśnie i pociągnął *Rotswarda* w dół przez żywą materię Piekła. Musiał pokonać przeszkodę i nic więcej go nie obchodziło.

Po chwili zaczął nucić starą szantę, której kiedyś nauczył się od pandemiańskich rybaków z Burzliwego Wybrzeża. Rytm tej pieśni pasował do jego wysiłku. *Chwyć kotwicę, podnieś ją, śpiewał w myślach, rozbij okno, ciągnij linę.* Kawalki zakrwawionych murów Labiryntu spadały z góry, bębniąc po jego uprząży i ramionach. *Rozbij okno, ciągnij linę.*

W końcu dotarł na samo dno. Tutaj szyb poszerzał się i zmieniał w metalową kulę o średnicy pięćdziesięciu stóp. Kotwica ściągnął taki zapas liny *Rotswarda*, żeby swobodnie opuścić się w tę mroczną czeluść.

Wylądował na stosie gruzu, który osypał się z góry po przejściu statku przez wąski tunel. Na obwodzie komory znajdowały się cztery pary okrągłych stalowych drzwi, ale tylko jedne były otwarte. Stała w nich mała dziewczynka.

Przeraźliwie chuda, wyglądała na jakieś osiem lat i była ubrana w sztywną czarną

sukienkę z białymi kryzami przy szyi i na mankietach. Wielkimi niebieskimi oczami mierzyła Kotwicę spod szopy blond włosów. W chudych jak patyki rękach trzymała dziwną włóczęnię, ze szklanym zbiorniczkiem na jednym końcu i kawalkiem czystego kryształu na ostrzu. Z broni wydobywało się stałe trzeszczenie, przypominające chrzęst kroków na żwirze.

--Nie jesteś duchem -- powiedziała.

--Nie, dziewczynko. -- Olbrzym uśmiechnął się szeroko. -- Jestem John Kotwica...

--Co robisz w mojej pułapce na duchy?

--Twojej pułapce na duchy?

Dziewczynka poruszyła się niespokojnie.

--To znaczy w pułapce na duchy pana D. Ale i tak nie powinno cię tu być. Dlaczego masz linę na plecach? -- Dźgnęła włóczęnią stos gruzu. -- I co to jest? Pan D nie będzie zadowolony.

--Gdzie jest pan D?

--Oczywiście w stoczni -- odparła mała, a potem zapytała: -- Nie przyszedłeś tutaj w sprawie ikarackiego handlu, prawda?

Kotwica uniósł brwi. Chodziło jej o handel w imieniu Ikaratów czy o to, że będzie coś sprzedawał w zamian za kapłanów Menoi? Czy to możliwe, żeby ten pan D trzymał Ikaratów jako zakładników? Raptem ogarnęła go ciekawość. I o jakiej „stoczni” mówiła dziewczynka? To, co się tu odbywało, najwyraźniej nie miało nic wspólnego z królem Menoą.

--Ikaraci? -- powiedział ostrożnie. -- Tak, jestem tutaj, żeby pohandlować.

Mała zrobiła niepewną minę.

--Chyba ci nie wierzę.

Kotwica wzruszył ramionami.

--A po co innego miałbym tu przychodzić? Pan D nie będzie szczęśliwy, jeśli każemy mu czekać, prawda?

Dziewczynka przygryzła wargę i znowu spojrzała na szczątki muru.

--Dobrze, więc chodźmy -- zdecydowała w końcu. -- Musisz zostawić tę linę, bo inaczej nie będę mogła zamknąć drzwi *Księżniczki*.

--Lina zostaje -- oświadczył Kotwica i, widząc, że mała ogląda się nerwowo, dodał szybko: -- Nie martw się. Ja zamknę drzwi.

Wyszedł za nią z komory, pochylając się w okrągłych drzwiach, ale przystanął raptownie, kiedy zobaczył, co znajduje się po drugiej stronie.

Wyglądało to jak wnętrze sterowca. Przez całą długość metalowego kadłuba zwężającego się na obu końcach biegła seria stalowych pierścieni. Kotwica stał w jednym z wąskich końców. Środek tej rozległej przestrzeni zajmował skomplikowany silnik. Otoczony płataniną rur, pracował równomiernie, jego liczne koła i walce się obracały. Między przewodami umieszczono metalowe stojaki, a na nich coś w rodzaju kolorowych szklanych kolb. Kotwica potrząsnął głową. To rzeczywiście mógłby być sterowiec, tyle że cała podłoga była porośnięta trawą.

Wielkolud zerwał źdźbło, powąchał je, a następnie roztarł między kciukiem i palcem wskazującym. Trawa. W tym momencie usłyszał ciche rzenie dobiegające z przodu wehikułu i spojrzał w tamtą stronę. Dwieście pięćdziesiąt jardów dalej, tuż za najszerszą częścią kadłuba, stały dwa kucyki: płowo biały i kasztanowy. Oba zmierzyły go nieufnym wzrokiem.

--Co zrobimy z tą liną? -- Oczy dziewczynki nagle się rozszerzyły. -- Kto to jest?

Kotwica odwrócił się i zobaczył wchodzącą przez otwarty luk Harper. Metafizyczka

przekroczyła linię *Rotswarda* i spojrzała na dziewczynkę.

--Cześć -- powiedziała. -- Mam na imię Alice. A ty?

--Isła.

Kotwica uśmiechnął się do Harper.

--Cospinol nie uprzedził mnie, że schodzisz na dół.

--Staranowałaś parę dusz po tym, jak wskoczyłeś do komina -- skomentowała inżynier. --

Myślę, że Cospinol obawiał się mówić przez linię. Ktoś łatwo mógłby go podsłuchać.

--Dzięki bogom za drobne łaski, co?

Kotwica odczekał chwilę, żeby się przekonać, czy Cospinol zareaguje na jego żart. Ale kiedy jego pan milczał, wielkolud uśmiechnął się do siebie. Nareszcie trochę spokoju i ciszy. I pomyśleć, że musiał zejść do Piekła, żeby je znaleźć.

Dziewczynka zauważyła u Harper pas z narzędziami.

--Jesteś mesmerystką? -- zapytała. -- Masz lokalizator, Krzykacza i to...

--A ty lancę na duchy -- powiedziała Harper, wskazując na urządzenie, które trzymała w ręce. -- Skąd ją masz, Isło?

--To pana D.

--Pana D? Czy on...

--Idziemy do stoczni, żeby porozmawiać z nim o Ikaratach -- przerwał jej Kotwica. -- Isła nas tam zaprowadzi.

Harper wolno pokiwała głową.

--Dobrze.

Kotwica wyminął metafizyczkę i pociągnął do siebie klapę luku. Lina nie pękła, ale drzwi się wygięły. Kotwica domknął je, na ile się dało, i na siłę wcisnął klamkę w uchwyt zamocowany w metalowej framudze.

--Zrobione -- powiedział, mając nadzieję, że Isła nic nie zauważyła. -- To jest statek; tak?

--Nazywa się *Księżniczka* -- odparła dziewczynka. -- I nie jest statkiem. -- Zachichotała i podbiegła do wielkiego silnika. Zaczęła pociągać za dźwignie. -- Pan D ją dla mnie zbudował. To łódź podwodna.

Kotwica spojrzał na Harper.

--Słyszałem o budynkach wędrujących przez Piekło, ale co to jest łódź podwodna?

Harper wzruszyła ramionami.

--Nie mam pojęcia.

* * *

Harper wkrótce się zorientowała, że *Księżniczka* jest statkiem, który potrafi przenikać materię Piekła. Płynęła przez żywy kamień i żelazo równie łatwo jak przez wodę, jej zwężający się kadłub rozgarniał ciało Labiryntu na boki, a ono się za nim zamykało. Silnik miał konstrukcję, jakiej inżynier nigdy wcześniej nie widziała. Za paliwo służyli zmarli.

Przed uruchomieniem silnika Isła podłączyła szklane kolby z duchami do czterech gniazdek w jego obudowie. Koszmarna łódź wessała pierwsze zjawy i ruszyła. Wydech znajdował się z tyłu. Harper zlokalizowała go, słysząc krzyki agonii, które się z niego wydobywały.

Silnik huczał równomiernie, *Księżniczka* utrzymywała kurs pod powierzchnią Piekła. O ile Harper potrafiła stwierdzić, nikt nią nie sterował. Albo statek sam wiedział, dokąd ma płynąć, albo kierował nim ktoś z zewnątrz.

Isla nie wyglądała na ani trochę zaniepokojoną. Gdy tylko silnik zaczął pracować, pobiegła na przód łodzi, żeby pobawić się z kucykami, które tam skubały trawę.

Tymczasem Kotwica ukucnął obok skomplikowanego silnika, zwrócony plecami do Harper, i obserwował jego działanie.

--Widziałeś kiedyś taki statek, John? -- zapytała metafizyczka.

Wielkolud nie odpowiedział. Nawet się na nią nie obejrzał.

--John?

Gdy Harper do niego podeszła, zobaczyła, że Kotwica trzyma obudowę silnika tak mocno, że mięśnie jego ramion wyglądają jak wykute z marmuru. Oczy miał zamknięte, na czoło wystąpiły mu krople potu.

--Dobrze się czujesz, John? O co chodzi? -- Zauważyła krew ściekającą z jego dłoni na przedramię. -- John! Zranileś się.

--Nie -- wykrztusił olbrzym. -- Odejdź.

--Co...

Kotwica otworzył oczy, odwrócił głowę i syknął:

--*Rotsward*.

Harper natychmiast zrozumiała. *Księżniczce* brakowało mocy, żeby samodzielnie ciągnąć statek *Cospinola*, więc Kotwica napędzał silnik łodzi swoją własną niezłomną wolą. Metafizyczka spojrzała znowu na jego rękę i zauważyła, że jest przyciśnięta do jednego z gniazdek.

Ile dusz wylewało się z niego, żeby utrzymać statek w ruchu?

--Co mu się stało? -- zapytała nagle Isla, podjeżdżając do Harper na kucyku. -- Jest chory?

--Nie lubi podróżować statkami -- odparła inżynier.

--Pan D też. Nigdy nie wychodzi poza stocznię. Nigdy nie opuszcza tego swojego głupiego pudła. -- Zarumieniła się. -- Nie mów mu, że to powiedziałam, dobrze? On czasami naprawdę potrafi się rozgniewać.

Harper odprowadziła kucyka i dziewczynkę dalej od silnika.

--Dajmy Johnowi trochę spokoju, dobrze? Może opowiesz o panu D?

Przez kilka następnych godzin zabawiała Islę w przedniej części statku, podczas gdy Kotwica stał przy silniku i zasiliał swoją mocą tajemniczą maszynę. Dziewczynka nie miała wiele do powiedzenia o panu D oprócz tego, że zbierała dla niego dusze, ale on nigdy nie był zadowolony i zawsze wysyłał ją po więcej. Isla uważała, że pan D szuka jednej konkretnej duszy i uważała, że to bardzo smutne.

Alice Harper zgodziła się z nią, ściskając w ręce pustą perłę.

* * *

Łódź podwodna w końcu zwolniła i stanęła. Kotwica puścił obudowę silnika i osunął się na podłogę. Wytarł zakrwawioną rękę o udo i wziął głęboki, drżący oddech. Lina przyczepiona do jego pleców biegła luźnymi zwojami do tylnej części kadłuba, gdzie utknęła między drzwiami a framugą, ale na zewnątrz *Księżniczki* była napięta aż do samego *Rotswarda*. Przez wiele godzin ciągnęli statek *Cospinola* pod powierzchnią Piekła.

Kotwica odetchnął z ulgą. Jego serce waliło młotem. Sam mógł ciągnąć *Rotswarda* przez, wiele dni bez zmęczenia, ale ten dziwny okręt pożerał jego moc łapczywie jak wygłodniały smok. Wielkolud wyjął drżącymi palcami trzy perły z sakiewki przywiązanej do pasa i wrzucił

je gardła. Poczul, że odzyskuje siły.

--Jesteśmy -- oznajmiła Isla. -- To jest stocznia. Chodźcie, pokażę wam. Pan D trzyma Ikaratów w sklepie.

Kotwica otworzył drzwi z niewielką pomocą ramienia. Lina ze świstem przeleciała obok jego stóp i się napięła. Olbrzym wszedł do korytarza wyłożonego czerwoną cegłą. Okrągły luk *Księżniczki* uderzył z impetem w ścianę. Po obu stronach przejścia ciągnęły się dziesiątki podobnych włazów i ginęły w ciemności. Najwyraźniej dok był używany również przez inne okręty. Lina biegła w tym samym kierunku, ale samego *Rotswarda* nie było widać.

Rękaw dokujący prowadził do znajdującej się po prawej stronie, dużo większej przestrzeni zalanej zielonym światłem. Przez otwór Kotwica dostrzegł w górze lampy gazowe, źródło poświaty, i coś, co wyglądało na fasadę obscurnego hotelu. Szydł wiszący nad drzwiami głośił: „Centrum handlowe D. Pokoje do wynajęcia. Dusze: Kupno/Sprzedaz”.

--Nie wierzę -- powiedziała Harper. -- Wynajmowanie pokoi w Piekło jest równoznaczne z braniem w posiadanie duszy innego człowieka.

Isla podbiegła do drzwi.

--To pomysł pana D -- wyjaśniła. -- On jest właścicielem hotelu i sklepu również. Właśnie tam są Ikaraci.

Z paska Harper dobiegło dziwne brzęczenie. Jeden z mesmeryckich instrumentów, domyślił się Kotwica. Inżynier sięgnęła po urządzenie i wyłączyła je. Potem ruszyła korytarzem za dziewczynką.

--Obserwujesz to wszystko, Cospinolu? -- mruknął Kotwica. Potrząsnął głową i roześmiał się. -- Hotel w Piekło. Ciekawe, ile pan D bierze za pokój, co?

Wyprostował ramiona i pomaszerował dalej, ciągnąc za sobą linę. Z daleka dobiegł nieunikniony loskot kruszonego kamienia.

Dotarli do sklepionego podziemnego zaułka, po obu stronach którego wznosiło się pół tuzina starych budynków o kruszącymi się fasadach oświetlonych przez lampy gazowe jarzące się zielonym blaskiem. Prawie wszystkie okna i drzwi były zabite deskami. Tylko hotel na samym końcu wyglądał na używany. Drzwi znajdowały się naprzeciwko otworu, przez który wyszła cała trójka, i były szeroko otwarte.

Harper uniosła do oczu lunetkę.

--To miejsce roi się od Non Morai -- stwierdziła. -- Obserwują nas ze zrujnowanych budynków.

--To jakiś problem? -- zapytał Kotwica.

Metafizyczka wzruszyła ramionami.

--Ty jesteś półbogiem, a ja trupem. Nie możesz winić Non Morai za to, że się ukrywają.

--A co z dzieckiem?

--Tym małym demonem? Jej najbardziej się boją.

Kiedy szli tą niesamowitą podziemną uliczką, Kotwica usłyszał za sobą donośne zgrzytanie. Zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Budynki po obu stronach cofnęły się lekko w otaczające je mury, odsłaniając jard porysowanego bruku, na którym chwilę wcześniej stały.

--Boją się -- powiedziała Harper.

--Nie przejmujcie się nimi -- rzuciła Isla. -- Zawsze przychodzą i odchodzą. W Piekło jest ograniczona ilość miejsca, a Pan D wynajmuje puste place. Ma setki klientów. Mówi, że

Menoa... ich wyrolował.

--Budyńki przychodzą tutaj z wizytą? -- spytał Kotwica.

--Przychodzą, żeby handlować -- poinformowała go Isla -- ale zawsze skarżą się na mesmerystów, zwłaszcza na króla Menoę. To znaczy, skarżą się ludzie, którzy są w środku. No więc, przychodzą tutaj i kupują dusze, dzięki nim stają się silniejsze, a potem po prostu wracają do Labiryntu i czasami nie pojawiają się przez wieki, ale nie wolno ich skrzywdzić, bo są specjalnymi klientami pana D, a pan D mówi, że będzie rewolucja i wtedy on zostanie... -- zastanowiła się -... legalnie wybranym przedstawicielem wolnego stanu Piekła.

Kotwica pokręcił głową.

Harper się uśmiechnęła.

--Piekło to bezkresne, żywe, oddychające miasto, John.

--I Menoa je wkurzył?

--Eksplloatował Labirynt przez tysiąclecia -- odparła z uśmiechem Harper. -- Nie jestem zaskoczona, że istnieje tutaj ruch oporu.

Ale rewolucja? Domów?

Isla wskoczyła po trzech schodkach na ganek hotelu i krzyknęła od drzwi:

--Goście do pana, panie D! Przyszli w sprawie Ikaratów. -- Zniknęła w środku. -- Panie D! Gdzie pan jest?

Kotwica i Harper podążyli za nią. Lina zaszurała na stopniach.

Ten poziom imperium pana D był w całości przeznaczony na potrzeby handlu duszami. Szafki z półkami zajmowały każdy skrawek wolnej przestrzeni na ścianach i podłodze, a każdy skrawek miejsca w szafkach zajmowały duchy w butelkach. Żeby przejść przez ten drewniany labirynt, Kotwica musiał się obrócić bokiem i wcisnąć między rzędy mebli sklepowych. Lina Rotswarda wlokła się za nim, odrywając drzazgi z podłogi.

--Panie D? Gdzie pan jest? A, tam!

Kotwica usłyszał pisk dochodzący z głębi sklepu. Chwilę później obiekt, który w pierwszej chwili wziął za jeden z mebli, potoczył się przejściem w stronę gości. Było to wysokie drewniane pudło osadzone na czterech małych mosiężnych kółkach. We frontowym panelu na wysokości brody znajdowała się szeroka na dwa palce szczelina, ale w środku Kotwica nie widział nic oprócz ciemności.

Bez niczyjej pomocy pudło dotoczyło się do nowo przybyłych i wtedy się zatrzymało. Chwilę później spomiędzy rzędów szafek wypadła Isla.

--To jest pan D -- oznajmiła.

Kotwica spojrział na skrzynię, a potem zerknął na Harper.

--Miło pana poznać -- powiedziała grzecznie metafizyczka.

Pudło stało bez ruchu.

Isla kopnęła jedno z kółek.

--Niech pan coś powie, panie D. Oni przyszli kupić Ikaratów.

Ze skrzyni dobiegł chrapliwy głos:

--Wprowadzono cię w błąd, Islo, drogie dziecko. Tych dwoje to nie zbieracze dusz, renegaci czy ktoś w tym rodzaju. To są fizyczne istoty, raczej materia niż metamateria. -- Wypowiedź niewidocznego gospodarza zakończył cichy, mokry dźwięk, podobny do tego, z jakim na powierzchni gorącej zupy pęka bąbel. -- Należą do świata żywych.

--Jak pan, panie D? -- zapytała Isla.

--Właśnie -- powiedział mężczyzna ukryty w pudle. -- Nie przyszlście tutaj, żeby kupić Ikaratów, prawda? Z pewnością nie jesteście również agentami Menoi, bo nadal oboje pozostajecie ludźmi.

--Nie przysłał nas Menoa -- potwierdziła Harper. -- Po prostu porwała nas burza, którą spowodowali Non Morai.

--Rozumiem -- rzekł pan D.

--Kim pan jest? -- zapytał Kotwica.

Pudło podtoczyło się do przodu i ze skrzypieniem ustawiło tak, żeby znaleźć się na wprost Kotwicy.

--Byłem naukowcem -- odparł pan D. -- A teraz jestem zbieraczem i w pewnym sensie handlarzem. Wynajmuję pokoje i sprzedaję osobowości.

--Chodzi panu o dusze?

Pudło stało bez ruchu i bez słowa.

--Zbiera pan dusze i je sprzedaje? -- dopytywał się Kotwica.

--Ma pan żonę? -- zapytał pan D. -- Nie? A brata? Siostrę? Jest ktoś, kto pana denerwuje? Ktoś, kto pana zdaniem skorzystałby na zmianie osobowości? -- Z pudła dobiegł kolejny mokry dźwięk, tym razem taki, jakby ze stołu rzeźniczego spadły flaki. Zamknięty w nim człowiek westchnął przeciągle. -- Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem całkiem zdrowy. Obawiam się, że mój stan jest... dość niezwykły. Ale niech was to nie zniechęca. W moim sklepie znajdziecie każdy rodzaj duszy. Procedura jest prosta. Wystarczy otworzyć butelkę, żeby przenieść wybraną osobowość do fizycznego ciała kogoś innego. -- Pan D zagulgotał. -- Przepraszam.

--Jaka procedura? -- zapytała Harper. -- Co pan ma na myśli?

Pudło odtoczyło się ze skrzypieniem do tyłu, potem znowu do przodu i stanęło tak, że teraz szczelina znalazła się na wprost metafizyczki.

--Mówię o przejęciu w posiadanie -- powiedział pan D. -- Całkowite. Isło, przynieś coś specjalnego dla tej pani. Sekcja pięćdziesiąt osiem, czerwona, butelka jedenasta.

Isla wyjrzała zza skrzyni i mrugnęła. Potem pobiegła w głąb sklepu i chwilę później zjawiała się ze wskazaną butelką. Podala ją Harper.

Inżynier ostrożnie wzięła naczynie do ręki.

--Dobry rocznik -- zapewnił pan D. -- Dżentelmen znajdujący się w tym naczyniu był wielkim przywódcą, dobrym i inteligentnym człowiekiem. Zginął w strasliwym wypadku podczas wielkiej bitwy. Trochę starszy od pani i niezbyt przystojny, przyznaję, ale to nic nie znaczy. Wygląd nie jest częścią pakietu, który oferuję. Do pani należy znalezienie jakiegoś umięśnionego półgłówka, a potem przekonanie go, żeby wypił tę duszę. -- Z pudła dobiegło mlaskanie, a po chwili głośny stukot. -- Wie pani, ile to byłoby warte na górze... w świecie żywych?

Kotwica miał już dość tej zabawy. Szaleniec z pudła nie mógł im pomóc w walce z Menoą. Był tylko handlarzem niewolników.

--Chodźmy -- powiedział. -- Czeką nas długa droga.

Ale Harper uciszyła go, unosząc rękę.

--Ile? -- zapytała. -- Ile za tę duszę?

--Ha! -- wykrzyknął pan D. -- Już w chwili, kiedy zobaczyłem, jak wchodzić do mojego

sklepu, wiedziałem, że jest pani zainteresowana. Więc chce pani aeronautę? Mogę zaproponować bardzo dobrą cenę. -- Pudło zaczęło się odwracać.

--Nie jego -- powiedziała Harper. -- Chcę się rozejrzeć.

Pudło się zatrzymało i zwróciło szczeliną w stronę metafizyczki. Z mrocznego wnętrza dobiegł głos pana D:

--Więc chodzi o kogoś konkretnego?

Harper spuściła wzrok.

Kotwica zmarszczył brwi. Przypomnił sobie dźwięk, który wydało mesmeryckie urządzenie, kiedy weszli do sklepu. Czyżby Harper przez cały czas kogoś szukała?

--Ile? -- rzucił krótko, zwracając się do handlarza.

--To zależy od duszy -- odparł pan D.

--Co chcesz? Złoto?

--Dziwaczny pomysł -- stwierdził gospodarz. -- Co miałbym zrobić z tą niezmienną fizyczną substancją tutaj na dole? -- Pudło zatrzęsło się na kółkach, kiedy nagle zakaszłał. -- Wybaczcie. Nie, ja po prostu wymagam, żeby nabywca podpisał kontrakt, w którym obieca mi wyświadczyć pewne usługi. To dla mnie tylko zabezpieczenie, że kupiec dotrzyma umowy.

--Proszę powiedzieć, czego pan chce -- poprosiła Harper.

Pudło podtoczyło się do przodu.

--Chciałbym, żeby pani zabiła dla mnie paru ludzi. Nie zna ich pani. To tylko paru moich starych znajomych. Pewnie nawet nie słyszała pani o mieście, z którego pochodzą. Wątpię, czy ono w ogóle jeszcze istnieje.

--Jakie to miasto? -- zapytał Kotwica.

--Deepgate -- odparł pan D.

* * *

--Tam -- powiedział Monk.

Chłopiec z hakami spojrział przez lunetę w kierunku wskazanym przez palec starca. W miejscu, gdzie zewnętrzne rusztowanie *Rotswarda* stykało się z wysoką fasadą, ciemność rozjaśniały pochodnie. Statek został najpierw pociągnięty w dół prosto do Piekła, a potem był wleczony poziomo przez wiele godzin. Teraz John Kotwica się zatrzymał, a niewolnicy Cospinola razem z Wisielcami rozbijali cegły i kamienie młotami i łomami, żeby zrobić więcej przestrzeni wokół *Rotswarda*. Tłukli okna, wrywali drzwi, belki stropowe, nadproża i przenosili je na pokład.

--Próbują zmniejszyć ciśnienie wywierane na statek -- powiedział Monk. -- To na wypadek, gdyby Piekło postanowiło wypluć nas z powrotem.

Chłopiec oderwał wzrok od lunety.

--Skąd wiesz? -- zapytał. Od pewnego czasu nabrał zwyczaju kwestionowania twierdzeń Mońka. -- Może po prostu chcą zagarnąć te wszystkie kawałki dusz, żeby Cospinol mógł je ugotować i zrobić perły.

Astronom poczerwieniał na twarzy. Uniósł rękę, żeby uderzyć chłopca, ale się rozmyślił.

--Nie wymądrzaj się, synu -- skarcił go tylko. -- Mówię ci, że zmniejszają nacisk. Labirynt żyje. Te domy muszą rozumieć, że najlepiej jest współpracować. Widywałem to już wcześniej. Całe Wysypiska pełzły przez Piekło. Maszerujące budynki. -- Pokiwał głową. -- Tak, dziwne rzeczy się dzieją, kiedy grupa dusz wpadnie na wspólny pomysł.

--Moglibyśmy ukraść trochę tych cegieł i potem sami je ugotować -- podsunął chłopiec.

Monk chrząknął. Rozwiązał troczki spodni, przywarł do dziury w kadłubie i wysikał się na rusztowanie. Potem westchnął z ulgą.

--Te cegły nie dadzą nam siły -- stwierdził. -- Lepiej byłoby ukraść jakąś duszę z tamtych pokojów. Albo skorzystać z zamieszania i poluzować spawy na kotle z anielicą. -- Odwrócił się do chłopca. -- Założę się, że niewolnicy odeszli i zostawili ją samą.

--Nigdy nie zostawiają jej samej -- powiedział chłopiec. -- Po prostu boisz się wyjść na szubienice, żeby nie dopadli cię Wisielcy.

--Niczego się nie boję, tylko jestem sprytny -- oświadczył Monk. -- Kilka kropel esencji anielicy z bliznami nasyci cię na sto lat. -- Zagonił chłopca z powrotem do wnętrza *Rotswarda*. Z kryjówki pod jedną z grodzi wyciągnął obszarpany tobolek i rozwiązał go.

W środku znajdował się stary klucz nastawny, młotek i żelazny szpikulec. Monk zważył młotek w dłoni i wręczył go chłopcu.

--Ty nie idziesz?

--Oczywiście, że idę. Ktoś musi ci pokazać, w który spaw uderzyć i którą śrubę poluzować.

-- Monk odchrząknął. -- Nie chcemy przecież, żeby suka uciekła, prawda?

Rozdział 6

RZEKA PRZEGRANYCH

Dill zdjął zbroję z powalonego arkonity, podczas gdy ten leżał nieruchomo, i zabrał ją dla siebie. Jak wszystkie istoty wykute w Labiryncie, metalowe płyty poplamione krwią przejawiały prymitywną świadomość. Niechętnie dawały się odłączyć od kości powalonego automatu. Dill przekonał je brutalną siłą. Gdy je oderwał, odsłonił rzędy haków wijące się jak rzęski. Następnie przycisnął części pancerza do własnych kończyn i torsu.

Rachel obserwowała go z ganku „Zardzewiałej Piły”. Usłyszała drapanie, kiedy haki przyczepiały się do żeber Dilla. Metal jęczał cicho. Po świeżo umocowanych naramiennikach i napierśniku przebiegły błyski zielonego światła niczym rój świetlików we mgle.

Wkrótce arkonita Menoi leżał całkiem nagi. Jego ciało tworzyło na leśnym dukcie wielki, ciemny półwysep kości i metalu, z którego wydobywał się smrodliwy dym, taki sam jak z krateru wulkanu.

Dill wziął do ręki masywny tasak swojego przeciwnika i strzepnął z niego błoto. Następnie schylił się, wsunął go pod budynek gospody i podniósł ją, trzymając tak, że fundamenty spoczywały na ogromnym ostrzu. Rachel przywarła do futryny drzwi. Włosy smagały ją po twarzy. Po chwili odpadła kolejna część gliniastej wyspy otaczającej tawernę i glucho uderzyła o ziemię. Z głównej sali barowej dobiegł brzęk szkła i krzyki, kiedy dom się przechylił i zsunął kilka stóp po gładkiej metalowej powierzchni tasaka. Rachel poczuła, że szybuje ku niebu. Po drodze minęła zakuty w zbroję tors Dilla usiany rojem zielonych gwiazd.

Automat ruszył na północ, stawiając ogromne kroki.

Rachel weszła do baru i zobaczyła, że wszystkie stoliki są zajęte przez drwali. Ci, dla których nie wystarczyło miejsc, kucali pod ścianami albo siedzieli na schodach. Rozmowy były przyciszone. Mężczyźni zadawali się posępnym dumanie nad ostatnimi wydarzeniami. Oran pił piwo przy stole wciśniętym w kąt izby. Na jego kolanie siedziała dziwka. Gdy dostrzegł Rachel, skinął jej głową. Abner Hill opierał się o kontuar i lypał spode łba na nieproszonych gości, a jego młoda żona zbierała puste szklanki, przedzierając się przez tłum.

Do Rachel podeszła Mina z psem na rękach i odciągnęła ją na bok.

--Są wściekli na Haspa -- wyszeptła. -- Wszyscy widzieli, że próbował nas zdradzić. -- Zerknęła na mężczyzn. -- Była nawet mowa o wzięciu sprawy we własne ręce.

--Na bogów, tylko tego nam trzeba! -- zirytowała się asasynka. -- Gdzie jest Hasp?

--Zabarykadował się w spiżarni. Jeśli to możliwe, jest jeszcze bardziej pijany, niż był. To tylko kwestia czasu, kiedy któryś z ludzi Orana zrobi coś głupiego.

Rachel westchnęła.

--Porozmawiam z Oranem. Potrzebujemy więcej przestrzeni, więcej oddechu. I musimy czymś zająć tych ludzi. Pójdiesz ze mną?

Oran miał oczy szkliste od alkoholu, ale zrobił przy stole miejsce dla dwóch kobiet, każąc odejść jednemu ze swoich poruczników. Potem zepchnął dziwkę z kolan i kazał jej przynieść świeży dzbanek.

--Napijcie się piwa -- powiedział, napełniając dwa kufle pieniającym się napojem.

Rachel przyjęła drinka. Mina zostawiła swój na stole.

Oran uniósł naczynie.

--Za Rysa, architekta naszego zwycięstwa -- powiedział.

Niektórzy drwale siedzący przy sąsiednich stołach przyłączyli się do toastu. "

Po chwili wahania Rachel wypila łyk piwa.

--Zdaje się, że przegapiłam rolę Rysa w naszym zwycięstwie -- rzuciła z przekąsem.

--Bóg kwiatów i noży działa dyskretnie, ale jego wpływ zaznacza się we wszystkich ostatnich wydarzeniach -- odparł Oran. -- Jest jak ta czarnoksiężska mgła, która osłania państwo Coreollis.

--Przypisujesz mu wszechmoc?

--On przemawia przeze mnie!

To przekonanie Rachel uznała za nieuzasadnione. Oran nagle spochmurniał i pochylił się. Jego oczy pociemniały, twarz była wilgotna i zaczerwieniona jak u człowieka znajdującego się pod ogromną presją, blizna na czole pulsowała w przyćmionym żółtym świetle jak rozgrzana metalowa płyta.

--To jest ziemia Rysa -- ciągnął przywódca milicji spokojniejszym tonem. -- A my jesteśmy tutaj jego przedstawicielami.

Rachel zerknęła na Minę. Taumaturg uważnie obserwowała drwala.

Oran odchylił się na oparcie krzesła i pociągnął długi łyk piwa z kufła.

--Mam wątpliwości co do celu naszej podróży -- oświadczył. -- Po co szukać Sabora, zanim znajdziemy lorda Rysa? Uważam, że powinniśmy wrócić do Coreollis.

Rachel powoli traciła do niego cierpliwość. Już miała mu uświadomić, że Rys najprawdopodobniej zginął w Coreollis, ale uprzedziła ją Mina.

--Cospinol powiedział nam, że lord Rys ufał Saborowi i Mirithowi, i wierzył, że znajdą drogę do Nieba -- wyjaśniła taumaturg. -- Podczas gdy sam walczył z mesmerystami w Pandemerii i Skirl, jego bracia badali bardziej... ezoteryczne możliwości. Jeśli się zgadzamy, że Rys zniszczył własny pałac, żeby oszukać króla Menoę, najprawdopodobniej na dobre opuścił Coreollis. -- Szklaną dłonią objęła kufel. -- Bitwa przeniosła się z miasta kwiatów do Heriki, a Rysa znajdziemy w zamku Sabora.

Drwal popatrzył na nią z oburzeniem.

--Sądysz, że potrafisz odgadnąć zamiary naszego pana? -- Splunął na podłogę i przysunął twarz do twarzy Miny. -- Posłuchaj mnie, czarownico. Rys przysłał cię tutaj w odpowiedzi na nasze modlitwy. Arkonita wyniósł cię z jego miasta. Myślisz, że to był tylko zbieg okoliczności? Co ty na to, że po prostu zabierzemy wasze złoto i wykorzystamy je, żeby spełnić jego wolę?

Bazyliis warknął.

Oran chciał coś dodać, ale przerwało mu pojawienie się żony właściciela gospody.

Rosella Hill postawiła przed nimi świeży dzbanek piwa. Jej złote włosy wymknęły się ze wstążki, makijaż rozmazał się na mocno upudrowanej twarzy, na kwiecistej sukni widniały plamy potu. Unikając wzroku obecnych, kobieta zaczęła wycierać ścierką blat stołu.

Oran gapił się na nią płomiennymi oczami.

--Wszystko zsyła nam Rys -- wymamrotał. Następnie wychylił kufel do dna, postawił go na stole i chwycił Rosellę za nadgarstek. -- Wiesz, o czym mówię?

Pani Hill nie odpowiedziała. Nawet na niego nie spojrzała.

Przy sąsiednich stolikach zapadła cisza. Rachel wyczuła napięcie wśród ludzi Orana. Zerknęła w stronę baru, gdzie Abner w wielkim skupieniu polerował lśniący kontuar.

Nie puszcżając nadgarstka Roselli, Oran wolną ręką sięgnął po dzbanek i napelnil swój kufel.

--Jeśli Rys zaplanował, żebyś mi usługiwała albo usiadła i napila się ze mną, czy możemy sprzeciwić się jego woli? -- Przyciągnął ją do siebie i, oddychając ciężko przez nos, wbił w nią nieruchomy wzrok. -- Zostań tu chwilę. Czarownica ustąpi ci miejsca.

Rachel zeszywniała, ale w tym samym momencie poczuła, że Mina ostrzegawczym gestem ściska ją pod stołem za kolano.

--Dziękuję za twój czas, Oranie -- powiedziała taumaturg, wstając z krzesła. Następnie zwróciła się do Rachel: -- Pomożesz mi szukać koców? Musimy przygotować jakieś spanie dla naszych gości.

Oran odprawił je machnięciem ręki.

Rachel poczerwieniała na twarzy, ale poszła za Miną przez zatłoczony bar, kierując się do tylnych drzwi. Obserwowali je wszyscy ludzie Orana, tylko Abner Hill nadal tak zawzięcie czyścił ladę, że zbiełaly mu kostki.

Kiedy dotarli do przedsionka w głębi gospody, Rachel szepnęła:

--Powinam była go zabić.

--I dwustu jego ludzi?

Asasynka prychnęła.

--Wiem, jak wszystko upozorować na wypadek. Mogłabym to zrobić dziś w nocy.

--Nie.

--Tracimy kontrolę nad sytuacją, Mino. Oran próbuje odebrać nam władzę, a Hasp jest w takim stanie, że w każdej chwili może się załamać. -- Rachel podniosła głos. -- W tej cholernej gospodzie mamy zamkniętych dwustu ludzi i pijanego boga.

Mina uciszyła asasynkę, otworzyła tylne drzwi i wyciągnęła ją na zewnątrz. Podmuchi wiatru ochłodził twarz Rachel, lecz zaraz potem jej nozdrza wypełnił odór śmierci. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin, ale zielonkawa poświata bijąca od ukradzonej zbroi Dilla oświetlała budynek, wyspę, a nawet okoliczny las. Dudnieniu jego kroków towarzyszył trzask łamanych drzew.

Wokół gospody zostało niewiele wolnego miejsca. Dwa jardy ubitej ziemi tworzyły półkę wzdłuż ściany budynku, ale większą jej część zajmowało drewno na opał zgromadzone pod okapem. Szkieletowe palce Dilla obejmujące błotniste brzegi wysepki wyglądały jak fragmenty białych kamiennych luków, a rękojeść gigantycznego tasaka jak zdewastowany stalowy most.

Mina postawiła Bazyliisa na ziemi. Pies natychmiast pobiegł do stosu drewna.

--Arkonicy już wiedzą, gdzie jesteśmy -- powiedziała taumaturg. -- Czuję dziewięciu z nich w zasięgu mojej mgły: sześciu na południu, jednego na wschodzie i dwóch na zachodzie. Zbliżają się. -- Spojrzała w noc, jakby spodziewała się ich ujrzeć wśród drzew. -- Ci, którzy są najbliżej, zwolnili i teraz czekają na pozostałych. Zdaje się, że nie chcą walczyć z nami pojedynczo. Zaatakują razem.

Rachel znowu rozboleła głowa. Odezwała się też rana nad uchem. Asasynka spojrzała w górę na ogromną postać Dilla rysującą się we mgle. Jakim cudem ten gigant mógł być tak podatny na zranienie?

--Ale jesteśmy już niedaleko Kwiatowych Jezior -- ciągnęła Mina. -- Wyczuwam dużą osadę na północ stąd, nadbrzeżne miasteczko handlowe zbudowane wokół portu. Zdaje się, że

eksportują drzewo i koks. Jest dobrze strzeżone. Mają palisadę obsadzoną przez milicję.

--Kolejni miejscowi?

--Tamci żołnierze mają dużą przewagę liczebną nad naszymi obecnymi przyjaciółmi.

Zwerbowanie nowych sił osłabi wpływ Orana i pozwoli nam stworzyć zaczątek armii.

--Albo doprowadzić do wojny między dwiema frakcjami -- powiedziała Rachel. -- Poza tym, gdzie ich wszystkich położymy?

Mina się uśmiechnęła.

--Musimy ukraść większy budynek.

--Nie ma mowy. Jeśli zamierzasz...

Taumaturg nagle ścisnęła głowę dłońmi i wydała jęk bólu. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

--Co się stało? -- Rachel wyciągnęła rękę, ale Mina ją odepchnęła.

--Nic nie poczułaś?

--O czym mówisz?

--To było jak... trzęsienie ziemi? O, bogowie, nie wiem, co to było! Jakby we mgle pojawiła się rysa biegnąca z jednego końca świata na drugi. Wszystko podskoczyło. Wszystko...

Z gospody dobiegła wrzawa. Rachel usłyszała dźwięk rozbijanego szkła i ciężkich przedmiotów spadających na podłogę, krzyki mężczyzn i przekleństwa, a ponad ten harmider wybił się ryk Haspa:

--Tchórze!

--O, Boże! -- wykrztusiła, ruszając biegiem do drzwi tawerny. -- Zostań tutaj, Mino.

W środku panowało zamieszanie. Stoliki i krzesła były przewrócone. Jeden z ludzi Orana leżał bez ruchu na podłodze, z jego brzucha lała się krew. Dwaj inni gramolili się na nogi, pozostali tłoczyli się pod ścianami. Pan Pierwszej Cytadeli stał nagi pośrodku baru. Krew pulsowała w przezroczystych łuskach i metamerycznych płytach pokrywających jego ciało, pod szklanymi wyrostkami na łopatkach było widać kikuty po skrzydłach usuniętych przez mesmerystów. W ręce ścisnął siekiere.

Odwrócił się zbyt szybki i zatoczył w bok. Uniósł siekiere i machnął nią w powietrzu. Kilku ludzi Orana się roześmiało. Dwaj wojownicy, którzy wstali z podłogi, zaczęli go okrążać. Jeden trzymał palkę okutą żelazem, drugi był uzbrojony w nóż.

Oran siedział przy narożnym stoliku, potężnym ramieniem obejmując żonę właściciela gospody, która stała obok niego. Rosella Hill była zarumieniona i potargana, spódnice miała zadartą na uda. Nagle odsunęła się od swojego prześladowcy, a on ją puścił.

Rachel dobyła miecza. Stał z Coreollis była cięższa od warstwowej broni Spine, do której przywykła, ale dostatecznie ostra, żeby rozplatać nią gardło.

--Co się tutaj dzieje? -- zapytała ostrym tonem.

Oran zerknął na jej nagą broń, a potem zmierzył ją wzrokiem.

--Ten potwór zabił jednego z moich ludzi -- oświadczył.

--Sprowokowałeś go?

Drwal podniósł broń z podłogi i wstał z krzesła. W zadymionym, ciemnym kącie baru wyglądał jak dziki człowiek, brudny i drapieżny. Błoto oblepiało jego skórzaną zbroję, sklejało zmierzwiłone siwe włosy. Oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Blizna na czole pulsowała czerwienią.

--Rys posłał Haspa do Piekła z dobrego powodu, a on powinien mieć dość przyzwoitości,

żeby tam zostać -- powiedział.

Bóg skupił teraz uwagę na Oranie. Uśmiechał się jak szaleniec, ignorując dwóch mężczyzn, którzy zachodzili go z obu boków.

Przywódca drwali ledwo zauważalnie skinął głową.

Kiedy Rachel usłyszała, że dwaj żołnierze Orana jednocześnie biorą oddech, skoncentrowała się...

... i świat wokół niej się zatrzymał.

W barze zapadła martwa cisza. Płomienie świec i lampy olejowe nagle przestały mrugać. Światło przygasło, ale jednocześnie stało się intensywniejsze, zarazem ciemne i ostre. Czarne drobinki dymu znieruchomiały w powietrzu. Dwaj drwale zbliżający się do Haspa właśnie szykowali się do ataku. Rachel dostrzegła prawie niewidoczne oznaki zapowiadające zmianę pozycji: lekkie skrzywienie warg, napięcie ścięgien na szyjach i mięśni ramion powoli unoszących broń.

Spojrzała na Orana. Przywódca milicji również zbierał się do skoku, a jego postawa wskazywała na to, że może rzucić ciężką siekierą, którą trzymał w ręce. Wokół było pełno broni, żeby ją zastąpić.

Trzy cele. Między nimi czterdzieści kroków. Rachel nie wiedziała, czy zdoła pokonać taką odległość. Wysilek, który teraz ją czekał, wkrótce miał sprawić, że poczuje się bliska omdlenia i bardzo słaba, zdana na łaskę wszystkich zdolnych do walki osobników obecnych w barze.

Nie miała dużego wyboru. Zrobiła dziesięć ostrożnych kroków w stronę pierwszego atakującego. Starła się wykonywać jak najbardziej płynne ruchy, uważać na każdy mięsień, ułożenie ramion i rąk, pamiętając o postawie, którą zamierzała przybrać. Przy tej szybkości nagle ruchy mogły spowodować kontuzję, a chwila zawahania okazać się niebezpieczna. Napastnik jeszcze nie do końca uniósł broń. Był potężny, ciężki, chroniony przez warstwy wzmocnionej zbroi. Rachel przycisnęła goleń do jego nogi, chwyciła za pałkę i obróciła ją, lekko unosząc, po czym naparła ciałem na umięśnione ramię.

Mężczyzna zaczął się przewracać.

Rachel wytrąciła przeciwnikowi pałkę. Nie byłaby w stanie się nią posłużyć przy tej szybkości. Palce mężczyzny zsunęły się z uchwytu i ciężka pałka powędrowała w górę. Asasynka trąciła ją wierzchem dłoni, zmieniając jej trajektorię tak, żeby rozbiła przeciwnikowi czaszkę, kiedy ten znajdzie się na podłodze.

Napastnik w dalszym ciągu się osuwał, a maczuga unosiła, obracając się w powietrzu. Jej gruby żelazny czubek przeciął warstwę dymu i zaczął opadać ku głowie drwala.

Serce Rachel wykonało jedno wolne, długie uderzenie. Ona sama nie zatrzymała się, tylko jednym płynnym ruchem minęła pokonanego wroga, a potem Haspa. Pan Pierwszej Cytadeli stał jak wrośnięty pośrodku baru, ze wzrokiem utkwionym w Oranie. W rozchylonych ustach było widać żółte zęby. Rachel zauważyła drobne szklane żyły wewnątrz napierśnika i zarost na szczęce. Po dwóch kolejnych krokach dotarła do drugiego przeciwnika.

Ten wojownik był szczuplejszy i szybszy niż pechowy towarzysz. Jego oczy jarzyły się wściekłością. Już zdążył podnieść nóż na wysokość ramienia i napiąć mięśnie, żeby zadać ukośny cios. Stał w jego ręce lśniła żółto-białym blaskiem. Nitka śliny wisiała mu na wardze, a on sam nabierał rozpędu. Rachel nie mogła zmienić jego kursu, nie ryzykując poważnego urazu.

Złamała mu rękę.

Uderzenie wymierzone w nadgarstek roztrzaskało kości. Potem asasynka chwyciła nóż między kciuk a palec wskazujący i szarpnęła go w kierunku przeciwnym do zamierzonego ciosu. Poczula, jak zrywają się ścięgna i mięśnie napastnika. Ból miał go zaatakować dopiero za chwilę, kiedy biedak sobie uświadomi, że nie trafił w cel.

Serce Rachel uderzyło znowu, a potem nagle gwałtownie przyspieszyło.

Oran nadal stanowił zagrożenie, ale jej skończył się czas. Wyostrzona percepcja raptownie wróciła do normy. Rachel straciła panowanie nad ciałem i upadła. Zaatakowała ją kakofonia dźwięków: krzyki, jęki, tupot nóg. Oran wydał głośny rozkaz, gdzieś wrzasnęła kobieta.

Rachel leżała na podłodze, czuła zapach drewna i brudu. Z półotwartych ust ciekla jej ślina. Ze swojego miejsca widziała pierwszego przeciwnika. Ciężka pałka wylądowała dokładnie tam, gdzie asasynka chciała. Rozbiła drwalowi czaszkę. Teraz wokół mężczyzny powiększała się kałuża krwi.

Rachel poczuła na sobie czyjeś ręce.

--Zostaw ją! -- rozległ się kobiecy głos.

Mina? Mówiłam ci, żebyś została na zewnątrz.

Ktoś brutalnie obrócił ją na plecy. Nad nią zamajaczyło groźne oblicze przesłonięte czerwonym szkłem i oczy czarne jak otchłań. Gdy Hasp obnażył zęby, owionął ją oddech przesycony whisky. Twarz boga wyrażała wściekłość, rozpacz i żal.

--Nie chcę twojej cholernej pomocy! -- wysyczał i z całej siły wbił pięść w jej brzuch.

Asasynka zgięła się wpół, próbując złapać oddech. Gdzieś w pobliżu krzyczała Mina, mężczyźni śmiali się i wrzeszczeli. Hasp warknął i uderzył ją jeszcze dwa razy, a potem uniósł szklaną pięść nad jej twarzą. Zrobił potężny zamach i...

Rachel zamknęła oczy.

* * *

--Nie jesteśmy zabójcami do wynajęcia -- oświadczył Kotwica.

Dziwne pudło na kółkach potoczyło się do tyłu i obilo o jedną z szafek zapelnionych butelkami. Zabrzęczało szkło. Z ciemnej szczeliny dobiegł głos:

--Myślę, że powinna o tym zdecydować nasza przyjaciółka. Ostatecznie to ona jest potencjalnym kupcem.

Kotwica widział, że Harper zastanawia się gorączkowo. Jej czoło przecięły zmarszczki, oczy wpatrywały się w podłogę, jakby tam mogła pojawić się gotowa odpowiedź i rozwiązanie jej dylematu. Rzeczywiście rozważyła skandaliczną ofertę pana D: jedna z jego butelkowanych dusz w zamian za zabicie dwojga obcych ludzi.

--Dla mojego bezpieczeństwa kontrakt musiałby być podpisany krwią -- uprzedził pan D. -- Przekonałem się, że kupujący dużo rzadziej łamią umowę, kiedy taki dokument pozostaje w rękach taumaturga. Groźba krwawej zemsty działa cuda, jeśli chodzi o dotrzymywanie słowa przez ludzi.

--Niech mi Bóg dopomoże, zrobię to -- postanowiła w końcu Harper.

Wielkolud był zaskoczony, że tak szybko uległa pokusie. Ta kobieta nie była morderczynią. Nawet nie wiedziała, kogo ma zabić na polecenie pana D. John Kotwica umiał rozpoznać desperację.

--Doskonale! -- wykrzyknął pan D.

--Nie, do diabła! -- huknął Kotwica. -- Nie pozwolę sterroryzować panny Harper.

--Sama się zgodziła, mój panie.

Olbrzym spojrział na metafizyczkę.

--Czyją duszę chcesz kupić? -- zapytał. -- Kogoś z rodziny? Kochanka? -- Po jej nieszczęśliwej minie poznał, że trafił w sedno. -- Męża? -- Odwrócił się do najbliższej szafki, otworzył ją i wyjął dwie garści buteleczek.

--To kradzież, szanowny panie. -- Drewniana obudowa podtoczyła się z turkotem do przodu. Ze środka dobiegł dziwny odgłos podobny do chluśnięcia. -- Wie pan, kim jestem?

Kotwica wyciągnął ręce w stronę Harper.

--Użyj swojego mesmeryckiego urządzenia. Znajdź go.

Metafizyczka potrząsnęła głową, szlochając. Jej wzrok biegał między Kotwicą a właścicielem sklepu.

--Zrób to -- ponaglił ją wielkolud.

Harper zaczęła grzebać przy pasie z narzędziami. W końcu wyjęła jedno z tajemniczych srebrnych urządzeń. Pokryty hieroglifami smukły instrument pełen kryształów wydał ostry, blaszany dźwięk, a potem zaczął piszczeć. Inżynier potrząsnęła głową.

--W tych go nie ma -- stwierdziła. -- Ale on gdzieś tutaj jest.

--Twój mąż?

--Tom. Miał na imię Tom.

Kotwica odkorkował jedną z butelek i przystawił ją do ust. Niewielka ilość płynu spłynęła do jego gardła...

... i załwały go wspomnienia zawartej w nim duszy.

Scena... Lampy gazowe i aplauz... Czuwanie przy łóżku umierającej kobiety... Zapach potu, przygniatający ciężar mężczyzny... Zjeżdżanie w dół zbocza na ciężkim drewnianym bicyklu...

Pan D się roześmiał.

--A jednak to zrobiłeś. Właśnie pożarłeś cudzą duszę. -- Pudło ze skrzypieniem podtoczyło się do przodu. -- Twój własny umysł zaraz zniknie bezpowrotnie.

Kotwica bez słowa wychylił jeszcze dwie fiołki. Poczul, że wraz z nowymi wspomnieniami wlewa się w niego siła.

... Sam na pustyni, obserwuje obozowe ogniska... Zawodząca kobieta, jej twarz zakrwawiona od ciosów... Robaki rojące się w ciele martwego psa...

Wielkolud odrzucił puste butelki i wziął z półek następne.

--A co z tymi? -- spytał, zwracając się do metafizyczki.

Harper zbadala je swoim urządzeniem i pokręciła głową.

--On wcale się nie zmienia, panie D! -- zawołała Isla.

... strzelanie z łuku do mew... hałaśliwa tawerna... uścisk brata... odprowadzanie wzrokiem małej łódki wyruszającej na mgliste wody...

--Widzę, Islo. Otwórz klatkę z Ikaratami, proszę.

--Ale, panie D...

--Zrób to, dziecko.

Kotwica odkopnął na bok puste naczynia turlające się po podłodze i wyłamał drzwi następnej szafki. Pudło pana D cofnęło się przejściem z piskiem kólek. Isla pobiegła przed nim i zniknęła za zasłoną wiszącą w głębi sklepu.

Tymczasem Harper wpatrywała się w urządzenie.

--On tutaj jest, John.

Kotwica był pijany mocą i wspomnieniami, które nie należały do niego. Kręciło mu się w głowie od cudzych myśli... *Płonące nabrzeże... krzyżący starzec... oprawianie królika*. Odwrócił się i chwiejnym krokiem podszedł do szafki, obok której stała Harper. Otworzył ją siłą, tak jak poprzednie. Lina *Rotswarda* się napięła, zahaczyła o futrynę drzwi i wyrwała ją ze ściany.

Harper zdjęła z półki jedną z fiolek.

Kotwica zamrugał i potrząsnął głową. Sklep wirował wokół niego... *Całowanie dziewczyny ubranej w stalowy kostium... seks w altanie obwiniętej mchem... nóż ściskany w zakrwawionej ręce...* Wyszarpnął buteleczkę z rąk Harper, odkorkował ją i przystawił do ust.

--John! -- krzyknęła metafizyczka.

Wielkolud znieruchomiał. Niemal czuł na dolnej wardze pierwszą kroplę chłodnego płynu.

--Przepraszam. -- Opuścił naczynie i oddał je Harper.

Inżynier wsadziła korek na miejsce.

Za tobą! Cospinol milczał tak długo, że nagły okrzyk w głowie zaskoczył Kotwicę. Przez chwilę olbrzym myślał, że ostrzeżenie pochodzi od jednej z dusz, które właśnie połknął, ale potem rozpoznał głęboki głos boga. *Szalenie wypuścił swoich Ikaratów*.

Dwaj piekielni kapłani Menoi właśnie wychodzili, powłócząc nogami, z zaplecza sklepu pana D. Mieli na sobie dziwaczne zbroje z pękatych ceramicznych płyt, które wyglądały jak blade grzyby usiane ciemniejszymi plamami zgnilizny. Z tych narosli sypały się zielone iskry i wybuchały na podłodze obok białych butów. Zza osłaniających usta miedzianych krat dochodziło niewyraźne brzęczenie. Czarne soczewki były popękane, ale skierowane ku Kotwicy.

--On nie może nimi kierować -- powiedziała Harper. -- Ikaraci słuchają tylko rozkazów pana Labiryntu. -- Cofając się, przesunęła skanerem po zbliżających się wrogach i dodała: -- John, ich umysły zostały wymienione. Menoa implantował im nowe dusze.

Kotwica stanął przed nią, skrzyżował ręce i przemówił do Ikaratów:

--Wracajcie, skąd przyszliście. Nie jestem w nastroju, żeby walczyć z kalekami.

Zza zasłony dobiegł szaleńczy śmiech.

--Nie w nastroju do walki? Myślisz, że te istoty będą z tobą pertraktować, ty wielki ośle? One mają umysły morderców i gwałcicieli, najgorsze, na jakie trafiłem przez cały swój pobyt w Piekło.

Olbrzym uśmiechnął się szeroko.

--Teraz już jestem w nastroju do walki.

Ruszył przed siebie, chwycił pierwszego Ikaratę za kark i pachwiny, dźwignął go nad głowę i cisnął przez okno sklepu. Szyby eksplodowały na zewnątrz, podobnie jak duża część ceglanej ściany. Pękata, opancerzona istota pofrunęła w drugi koniec zaułka, sypiąc iskrami, wylądowała dwieście metrów dalej i znieruchomiała.

Drugi Ikarata się zawahał.

Kotwica chwycił go za szyję i podniósł jedną ręką. Jasne rękawice trzaskały i syczały, kiedy nieszczęśnik wymachiwał nimi dziko, próbując złapać ramię napastnika. Na wielkoludzie jego wysiłki nie robiły najmniejszego wrażenia. Nadal trzymając Ikaratę przed sobą, wszedł za zasłonę do pokoju, który się za nią znajdował.

W środku było ciemno, ale po chwili pomieszczenie oświetlił błysk zielonego światła.

Pudło pana D stało przed półkolem utworzonym przez co najmniej dwadzieścia klatek ustawionych jedna na drugiej jak dwa rzędy cegieł. Dwie z nich były już otwarte i teraz puste, ale w pozostałych znajdowały się przygarbione, pękate postacie. Zielone iskry buchały z narośli na nieforemnych zbrojach, nieregularnie rozjaśniając mroczne pomieszczenie bez okien. W migającym blasku Kotwica dostrzegł miedziane kraty na usta, pokryte śniedzią i czerwoną rdzą, oraz ciemne kręgi ze szkła, które służyły tym istotom za oczy.

Isla mocowała się z kluczem, próbując otworzyć drzwi jednej z klatek.

--Zostaw to, dziewczynko -- powiedział Kotwica.

Mała spojrzała niepewnie na wysokie pudło stojące na środku pokoju.

--On nie robi ci krzywdy -- uspokoił ją wielkolud.

Isla puściła klucz. Pudło stało nieruchomo. Szczelina znajdowała się na wprost Kotwicy.

Kotwica uświadomił sobie, że nadal trzyma za szyję wierzgającego Ikaratę. Cisnął nim przez pokój i usłyszał głuchy stuk, kiedy istota rąbnęła w ścianę. Z pękniętych cegieł uniósł się kurz. Zbroja kapłana rozkwitła kaskadą zielonych rozbłysków, a po chwili zgasła.

--Kim jesteś? -- zapytał pan D.

--John Kotwica. Zawrzemy umowę? Ty dasz nam męża panny Harper i dziewczynkę. -- Po krótkim zastanowieniu pokiwał głową. -- Zgoda?

--Zgoda? A co ja będę z tego miał?

Kotwica zmarszczył brwi. Udał, że rozgląda się po pokoju. Piętą roztrzaskał deskę podłogową i schylił się po największą drzazgę.

--Dostaniesz ten kawałek drewna.

--To miało być zabawne?

Wielkolud uśmiechnął się szeroko.

--To moja najlepsza oferta.

Pan D prychnął.

--Nie wiem, co z ciebie za demon, ale w żaden sposób nie jesteś w stanie mi zagrozić. Ciału, które jest w tym pudle, nie da się zrobić krzywdy. Nie możesz również sprawić, żebym cierpiał bardziej niż teraz. Jeśli odejdziesz, będę cię ścigał. Poślę za tobą iolickich szpiegów Menoi. Ja...

Kotwica chwycił pudło, obrócił je do góry nogami i postawił na podłodze kółkami do sufitu.

--Co jest?! -- wrzasnął pan D. -- Odwróć mnie z powrotem, bo...

--John. -- Harper stała nad dziurą, którą Kotwica zrobił w podłodze, i badała ją mesmeryckim urządzeniem. Drugą ręką przyciskała do piersi buteleczkę z duszą. -- Odbieram ten sam sygnał, co w bramie, ale dużo silniejszy. Jesteśmy nad Rzeką Przebranych.

--Nad mrowiskiem? -- Kotwica zajrzał w otwór, ale zobaczył tylko ciemność i poczuł słaby odór mięsa. -- To dobrze. Możemy przebić się w dół. Zaprowadzi pani dziewczynkę na łódź, panno Harper?

--Nie mogę pójść z wami? -- zapytała Isla.

Metafizyczka ukucnęła i przytuliła dziewczynkę.

--To zbyt niebezpieczne, skarbie. Chodź... -- wstała i wzięła ją za rękę -... może porozmawiamy z innymi statkami. Myślę, że są dla ciebie lepsze miejsca w Piekło niż to.

Isla obejrzała się na Kotwicę, a wielkolud wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Dziewczynka niechętnie przekroczyła linię *Rotswarda* i razem z Harper opuściła zaplecze

sklepu.

--Ta mała jest potężna, co? -- rzucił Kotwica po ich odejściu.

Wielka lina zadrżała na jego plecach.

Potężna! Na jaja Ayen, John, ta dziewczynka zgromadziła więcej materiału na swoim statku, niż to wydaje się możliwe. Naprawdę miałeś z nim kłopoty. Podejrzewam, że w porównaniu z nim błędnie nawet zamek Haspa.

Pan D prychnął.

--Jest potężna dzięki bliskości Rzeki Przebranych. Dlaczego akurat to miejsce wybraliśmy, jak myślisz? Jeśli chcesz o tym podyskutować, odwróć mnie.

To ma sens, powiedział Cospinol. Miliony zagubionych dusz zmierzających do ścieków Piekła, spotykają się właśnie tutaj. Silna wola jest w stanie okiełznać i wykorzystać ich moc. Zdesperowane dusze mogą ją uznać za atrakcyjną, a nawet się do niej przywiązać. Ta demoniczna dziewczynka musi działać na nie jak magnes.

--Słuchasz mnie? -- Pan D westchnął, a potem przybrał rozsądny ton. -- Obiecuję, że nie będę was ścigał, jeśli mnie odwrócisz.

Co zamierzasz z nim zrobić?

--Nic -- odparł Kotwica. -- Niech sobie tutaj zgnije.

--Z kim rozmawiasz? -- zapytał pan D.

--Z moim panem.

--Twoim panem? A gdzie on jest? Chcę z nim pogadać.

Kotwica ukucnął nad dziurą w podłodze i zaczął ją poszerzać, wrywając więcej desek. Z dołu powiał chłodny wiatr, ale wielkolud nie potrafił stwierdzić, jak głęboka jest otchłań.

--Kotwica? -- odezwał się pan D. -- Domagam się audiencji u twojego pana.

Gigant westchnął i zszedł w ziejący otwór, w którym panowała kompletna ciemność. Namacał wokół siebie żelazne belki sterczące z ceglanych murów, ale okazało się, że jest między nimi dość miejsca, żeby mógł zejść niżej.

--Audiencji?! -- zawołał, napinając mięśnie ramion, żeby pociągnąć *Rotswarda*. - To żaden problem. Cospinol za chwilę tu będzie.

Chwycił żelazny pręt i zaczął opuszczać się w dół.

* * *

Johnowi Kotwicy nagle zabrakło Labiryntu. Rozpory i fasady, które wykorzystywał, żeby schodzić w otchłań, raptem się skończyły. Po przebiciu kolejnego stropu wyczuł pod sobą tylko powietrze, więc ściągnął miłą linę i skoczył.

Spadał przez dłuższą chwilę, aż w końcu wylądował w gęstej, lepkiej cieczy o głębokości co najmniej czterech stóp. Zanurzył się w niej razem z głową, ale natychmiast wyskoczył, krztusząc się i plując. Przetarł oczy, ale zobaczył tylko zamazaną czerwoną plamę. Jego nozdrza wypełniał odór zepsutego mięsa. Splunął jeszcze kilka razy, żeby się go pozbyć. Słyszał tylko echo własnego kaszlu, swój ciężki oddech, chlupot i plusk. Dno pod jego stopami było gładkie jak skóra.

Kiedy się wyprostował, leniwie płynąca ciecz sięgała mu do brzucha, ale odniósł wrażenie, że ciągnie go w kilku kierunkach równocześnie. Jeszcze raz wytarł oczy, zamrugnął i rozwarł powieki. Po lewej stronie rozbłysło ostre światło i zaraz zgasło, ale Kotwica zdążył dostrzec ciemnokarmazynową barwę wód. Chwilę później ten sam błysk pojawił się w górze, kiedy

Harper opuściła się po linie *Rotswarda* przez wyrwę w suficie, trzymając w zębach kryształowe urządzenie w kształcie różdżki. To ono okazało się źródłem światła. Dyndając kilka stóp nad breją, poświeciła nią wokół siebie.

Znajdowali się w przestrzeni bez ścian, ogromnej jamie pod korzeniami Piekła -- masą poskręcane go żelastwa i czerwonych cegieł. Z niezliczonych okien w podstawie Labiryntu padały na całą okolicę słupy światła, niczym promienie słońca przebijające się przez koronę drzew w gęstym lesie.

Teren był nierówny i zdradliwy. Karmazynowe wody tworzyły wąskie kanały, układające się w pętle, spirale, zawijasy, oddzielone od siebie wałami z mięsistego materiału. W rozproszonym świetle sączącym się z okien bagno ciągnęło się w nieskończoność. Z ceglanego nieba leciały krople niby-deszczu, marszcząc ten wodny labirynt. Klatki z Ikaratami spadły niedaleko. Większość przewróciła się i teraz leżała na boku, częściowo zanurzona w wodzie, natomiast cztery stały prosto na niskich brzegach. Ich kraty rzuciły długie cienie na trzęsawisko, kiedy Harper przesunęła po nich światłem.

Wszystkie klatki były puste.

Kotwica rozejrzał się w poszukiwaniu pana D. Właściciel sklepu musiał też spaść gdzieś niedaleko, skoro jego towar leżał rozrzucony po okolicy, a szafki i butelki podskakiwały na czerwonych wodach. Chwilę później na wargach wielkoluda pojawił się uśmiech na widok pudła na kółkach toczącego się w ciemność po jednym z nasypów.

Metafizyczka przesunęła promień światła poza klatki. W jego kręgu znalazły się jaśniejsze, roziskrzane plamy na rozfalowanej, rubinowej wodzie i żyły pulsujące na niskim, umięśnionym brzegu. W mroku zabłysły spadające z góry krople. Następnie smuga blasku zatrzymała się na czymś, co znajdowało się za Kotwicą.

Harper gwałtownie zaczerpnęła tchu.

--John -- powiedziała cicho. -- Znaleźliśmy nasze mrowisko.

Kotwica się obejrzał.

Mokre postacie, niczym toporne rzeźby ludzi albo istoty stworzone z samego płynu, uniosły się z pływaczki i teraz stały bez ruchu w blasku różdżki Harper. Kotwica ocenił, że jest ich sto albo więcej. W ich twarzach nie dostrzegł oczu, tylko usta i zęby.

--Ta woda ma świadomość -- stwierdziła metafizyczka. -- Te istoty nie są indywidualnymi duszami, tylko przedłużeniem samej rzeki, częściami boga Przegranych.

Kotwica odwrócił się przodem do osobliwych postaci i rzucił:

--Cześć.

--Jesteś Ikaratą? -- Płynny szept poniósł się wzdłuż kanału.

--A wyglądam na niego? -- odparował Kotwica.

Przegrani się zawahali.

--Czego tutaj chcesz? -- spytali jednym głosem.

Lina na plecach Kotwicy zadrżała.

Nie wspominaj o Menoi, ostrzegł Cospinol. To zdradliwy grunt. Poproś ich, żeby dali nam przejść pod Piekłem do Dziewiątej Cytadeli. Szukamy źródła ikarackiej zarazy.

Kotwica przekazał rzeczonym istotom słowa swojego pana. Te milczały przez chwilę, a w końcu zażądały:

--Przynieś mi jedzenie.

Wielkolud zmarszczył brwi. Nie był pewien, o co chodzi Przegranym.

--Chyba mają na myśli Wisielców -- odezwała się Harper. -- Jeśli wyczuwają dusze na pokładzie *Rotswarda*, z pewnością uważają je za prawdziwy rarytas.

Zsunęła się po linie, ale nad powierzchnią wody zawahała się i mocniej przycisnęła do siebie buteleczkę pana D. Potem jednak skoczyła do rzeki i zanurzyła się w niej po pierś. Stała przed Kotwicą z wyrazem nabożnego lęku na twarzy.

--Rzeka zmarłych -- wyszeptala. -- John, ona jest większa, niż sobie wyobrażałam. Może stać się wszystkim.

Nabrała garść wody, podniosła ją do ust i spróbowała łyk.

Wielkolud skrzywił się z obrzydzeniem.

Może sobie wziąć tych przeklętych Wisielców, jeśli pozwolą nam przejść, odezwał się Cospinol. *Powiedz, że chcemy sojuszu. Powiedz, że jesteśmy przyjaciółmi. Do licha, przecież zjedli tych cholernych Ikaratów, których ściągnęliśmy na dół ze sobą. Musimy spędzić z nimi trochę czasu, porozmawiać.*

Kotwica przekazał wiadomość.

Postacie znowu odczekały dłuższą chwilę.

--Chodźcie za mną -- rzekły w końcu lepkie istoty i powoli zanurzyły się kolejno w Rzekę Przeegranych.

--Dokąd? -- zapytał Kotwica, ale w bezkresnej ciemności odpowiedziało mu tylko echo jego własnego głosu.

Jednak chwilę później prądy, które wokół niego wirowały, połączyły się w jeden silny. Woda w kanale popłynęła w przeciwnym kierunku.

Harper pośliznęła się, ale Kotwica chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał mocno. Metafizyczka przycisnęła buteleczkę do piersi i wysoko uniosła różdżkę, kiedy karmazynowe wody zaczęły bulgotać i pienie się wokół jej ramion.

Unoszone przez ten nowy nurt, puste klatki Ikaratów oddaliły się w mrok.

Kotwica przyciągnął Harper bliżej do siebie.

--Tylko nie wypuść naczynia -- ostrzegł. -- Woda może je porwać, a wtedy stracisz duszę męża. -- Zaczął ściągać linę *Rotswarda* ku głodnej rzece. -- Wisielcom się to nie spodoba -- powiedział. -- Nikt nie lubi być zjadany. Wiem to z doświadczenia.

Ale Harper go nie słuchała. Tulila butelkę do piersi i płakała.

* * *

Od wielu godzin czekali w tym samym ciasnym korytarzu nad kuchnią, aż niewolnicy wreszcie skończą swoją zmianę przy kodę z Carnival, ale ogarnęła ich rozpacz, kiedy w ich miejsce pojawili się czterej inni.

Zrezygowany Monk odsunął się od dziury, przyciągnął chłopca do siebie i szepnął mu do ucha:

--Cholerna strata czasu. Dlaczego mi nie powiedziales, że nigdy nie zostawiają jej samej?

--Nie wiedziałem -- obruszył się chłopiec. Uznał, że stary niesprawiedliwie zrzuca winę na niego, skoro wszystko to był jego pomysł.

Astronom rozprostował nogi i skrzywił się z bólu.

--Można by sądzić, że będą zbyt zajęci przebijaniem się przez Piekło, żeby siedzieć przy kotle. -- Przesunął dłonią po zaroście i stwierdził: -- Przydałoby się jakoś odwrócić ich uwagę.

--Na przykład jak?

--Nie wiem! Statek się nie porusza, tak czy nie? Masz szansę się wymknąć na zewnątrz i zrobić coś niespodziewanego. Porąb kadłub siekierą, a dranie zaraz się zlecą.

--Tego kadłuba nie da się porąbać -- zauważył chłopiec. -- Choćby nie wiadomo jak był przegniły, nie rozbije się go nawet siekierą. Tyle wiem.

Monk zmarszczył brwi. Wyraźnie był gotowy się spierać, ale w tym momencie, po nagłym szarpnięciu, *Rotsward* zaczął skrzypieć i pojękiwać.

--Znowu się poruszamy -- stwierdził astronom. -- Udało się im uwolnić kadłub. Schodzimy w głąb Piekła.

Tymczasem w pomieszczeniu pod nimi niewolnicy Cospinola dosypywali koksu do pieca, tłoczyli powietrze miechami, sprawdzali zawartość kolby z kondensatem. W szklanej rurze wirowały światełka, jaśniejące ostrym blaskiem. Z kotła nadal dobiegało głuche dudnienie, kiedy anielica z bliznami wierzała w swoim żelaznym więzieniu.

Dwaj spiskowcy ukryci w korytarzu technicznym czekali cierpliwie.

Po pewnym czasie chłopiec z hakami zamiast palców usłyszał chrapanie. Stary znowu zasnął. Leżąc na boku w tej drewnianej trumnie wyglądał jak prawdziwy trup. Jego czoło miało barwę starych kości, kosmyki niesfornych włosów sterczały mu z czaszki niczym kępki suchego mchu. Chłopcu przyszło do głowy, żeby zrzucić go na dół przez dziurę. Byłoby zabawne zobaczyć, jak niewolnicy go łapią i wiążą. Wisielcy nie mieli prawa wchodzić do wnętrza *Rotswarda*.

Ale Monk był interesujący na swój osobliwy sposób. Opowiadał mu o Pandemerii, o bitwach z mesmerystami i pierwszym wielkim automatem. I poza tym stary wiedział, jak otworzyć ten wielki gar. Chłopiec postanowił zaczekać, aż napije się trochę esencji z anielicy.

Zostawił starca śpiącego i popęzł z powrotem przez wewnętrzny labirynt statku. Gdy dotarł do zewnętrznego kadłuba, wyśliznął się przez jeden z wielu otworów na wielkie rusztowanie otaczające *Rotswarda*.

Teraz, kiedy mgła zniknęła, wyraźnie zobaczył Wisielców. Większość przeniosła się na najdalsze krańce drewnianej sieci, gotowej do przebicia fasad Piekła. Chłopiec przebiegł wzdłuż jednego z drzewc, potem zeskoczył na drugie i na kolejne, aż na koniec chwycił metalowymi palcami za jedną z pustych pętli. Rozkołysał się i wylądował obok wielkiego pionowego masztu, który służył jako główny słup podtrzymujący rusztowanie. Wokół niego wisiało mnóstwo lin, ale nie mógł ryzykować ich użycia, bo służyły do wciągania gruzu na pokład. Tak więc zszedł po samym drzewcu i ruszył dalej w dół. Nad nim kadłub *Rotswarda* stawał się coraz mniejszy.

Chciał zobaczyć, dokąd właściwie zacierają.

Wkrótce zbliżył się do dolnej krawędzi rusztowania i ujrzał, że statek spoczywa na szczycie czegoś, co wyglądało na ogromny zniszczony labirynt. Rozległa sieć pokojów z dziurami w sufitach ciągnęła się w mrok we wszystkie kierunki, tu i ówdzie scenerię oświetlali płonącymi pochodniami Wisielcy. Najniższe drzewca *Rotswarda* przebiły stropy, w dole pracowało wielu ludzi. Chodzili po mieszkaniach, odrywali wielkie kawały kamienia, dachówek i drewna, po czym ładowali je do koszy, a te z kolei wciągano na pokład *Rotswarda*. Później mieli wycisnąć z tego gruzu energię życiową i wyprodukować perły dusz, żeby nakarmić nimi boga morza i mgły.

Zgrzyt.

Rusztowanie zadrżało i osunęło się głębiej w labirynt. Chłopiec usłyszał krzyki mężczyzn i kobiet. Zszedł jeszcze niżej i zobaczył, że większość pokoi jest zajęta. Jednak Wisielcy nie ładowali ludzi do koszy, tylko zarzynali ich na miejscu.

Zgrzyt.

Kolejne szarpnięcie i *Rotsward* opadł jeszcze bardziej. Deski podłogowe popękały, ściany się wykrzywiły. Dziesiątki mieszkań spadły na te znajdujące się pod nimi. Niewolnicy Cospinola ciężko harowali, żeby uratować jak najwięcej materiału, ale mogli odzyskać jedynie jego niewielką część. Reszta po prostu osypywała się na nieszczęśników mieszkających niżej.

Po tym zdevastowanym krajobrazie poruszali się Wisielcy w zbrojach niczym róż dziwnych metalowych insektów. Wchodzili do domów normalną drogą tam, gdzie to było możliwe, wdrapywali się po rumowisku w miejscach, gdzie uszkodzenia okazywały się zbyt wielkie. Używali wszelkiego rodzaju broni przeciwko napotkanym duszom. Stara kobieta siedząca przy krośnie odwróciła się, kiedy żołnierz zakuty w stal zeskoczył z góry tuż obok niej. Uśmiechnęła się i chwilę potem zginęła od jego miecza. Wojak postawił obutą stopę na jej piersi i wyciągnął ostrze z rany, a ciało kobiety osunęło się bezwładnie na podłogę.

Zgrzyt.

Dwaj wojownicy nagle pojawili się w nowej wyrwie w suficie dużego kamiennego domostwa. Młody mężczyzna w bogatym stroju spojrział w górę w samą porę, by zobaczyć ich opadające włócznie. Jego podłogę wyłożoną płytkami splamiła jasnoczerwona krew. Tymczasem czterej inni żołnierze wyciągali krzyczącą kobietę z jej malej ceglanej celi.

Napastnikami byli polegli z tysiąca armii, wojownicy, których Kotwica zabił od dnia, kiedy pierwszy raz przytroczył linę *Rotswarda* do swojej uprzęży. W tym wojsku nie znalazłoby się dwóch podobnych do siebie żołnierzy. Jedni nosili zniszczone kolczugi oraz zwykłe lub emaliowane zbroje w jasnych odcieniach żółci, zieleni i błękitu. Najemnicy i drwale paradowali we wzmocnianych skórkach. Łucznicy posługiwali się kościanymi albo cisowymi lukami. Rycerze zakuci w stal mieli przy hełmach kolorowe pióropusze. Złodzieje, zakapturzeni bandyci i rabusie posługiwali się żelaznymi kolcami nakładanymi na pięści, jak awanturnicy w barowych bójkach. Inni używali cienkich noży o egzotycznych kształtach, których chłopiec nie rozpoznawał.

Ci rzeźnicy, sini na twarzach i rozdęci po latach wiszenia we wnykach, poruszali się całą armią po kruszącym się labiryncie.

Zgrzyt.

Dlaczego zabijali jego mieszkańców? Czy te dusze nie mogły być lepiej wykorzystane przez Cospinola? Esencja zamordowanych teraz się marnowała. Zmieszana z krwią ze ścian i podłóg ściekała w głąb Piekła.

Dokąd?

Niewolnicy zbierali kawałki żywego kamienia i drewna, ale nie dotykali trupów. Cała ta krwawa scena wyglądała jak jedno wielkie składanie ofiar.

Zgrzyt.

Rusztowanie znowu opadło. Ale tym razem stało się coś niezwykłego.

Ziemia nagle zadudniła i wielki jej kawał po prostu się oderwał. Wśród połączonych ze sobą izb, korytarzy i rzędów ceglanych ścian działowych pojawiło się kilka ziejących otchłani.

Rotsward przebił się do dużej jaskini. Chłopiec nie widział w dole nic oprócz nieprzeniknionej ciemności, ale usłyszał znajomy dźwięk płynącej wody.

Na chwilę zapadła cisza.

Potem John Kotwica znowu pociągnął linę.

Rotsward przedarł się przez podstawę Piekła. Sieć szubienic zadrżała i jęknęła, a potem nagle osunęła się o dwadzieścia sążni. Najniższe drzewca uderzyły w coś twardego i cały statek zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem.

W tym momencie, gdyby chłopiec nie zmienił swoich palców w poręczne haki, niechybnie runąłby w czeluść. Wisielcy Cospinola nie mieli tyle szczęścia. Zsunęli się ze śliskich masztów i polecili w dół jak kamień. Ku zaskoczeniu chłopca większość wylądowała w wodzie.

Był to gąszcz kanałów oddzielonych niskimi brzegami. Ich układ przypominał stare spiralne wzory, które starożytni malowali na skałach w Brownslough: pojedyncza kreska zataczała kolejne pętle, tworząc rozległy labirynt. Szlaki wodne nie przecinały się, wszystkie stanowiły część tej samej rzeki.

W górę tryskały fontanny cieczy, w płytkich kanałach szybko utworzyły się wyspy gruzu. Pochodnie spadające z rusztowania gasły z sykiem albo lądowały na brzegach i usypiskach, skąd oświeślały ponury krajobraz migoczącym blaskiem. W ich świetle chłopiec zobaczył, że woda jest gęsta i czerwona jak krew.

Ofiara?

Wisielcy wybuchnęli entuzjazmem. Ci, którzy utrzymali się na rusztowaniach, teraz spieszyli ku podziemnym pływaczom. Nawet niewolnicy porzucili kosze z gruzem, żeby do nich dołączyć. Wojownicy, którzy spadli wcześniej, śmiali się, pluskali, ryczeli i pili wodę do syta. Niektórzy wchodzili na wysepki, żeby odzyskać pochodnie. Wrzeszczeli, bili mieczami o pancerze, a potem klękali na brzegu, żeby żłopać czerwoną ciecz. Najwyraźniej Cospinol obiecał im ucztę.

Chłopiec spojrział w górę.

W blasku żagwi podstawa Piekła wyglądała jak najgęstszy las. Wokół dziury wybitej przez Rotswarda sterczały z ceglanego muru poskręcane żelazne dźwigary niczym czarne korzenie. Nawet tutaj były okna i drzwi, teraz raczej świetliki albo luki prowadzące do odpychającej budowli.

Kadłub znajdował się poniżej tego sklepienia, ale górne rusztowanie nadal tkwiło w Labiryncie. Brakowało tu miejsca, żeby zmieścić się cały Rotsward. Krwawe strumienie ściekały po jego masztach, a także z brzegów szybu, który zrobił John Kotwica, ciągnąc statek w dół.

Chłopiec wrócił spojrzeniem do pływaczów, w nadziei że zauważy gdzieś wielkoluda. Po wodzie i po wyspach między drzewcami statku przesuwali się pochodnie, ale między kręgami światła zalegała ciemność. Kotwicy nigdzie nie było widać, więc chłopiec zaczął wypatrywać wielkiej liny.

Zobaczył ją kilkaset jardów w dole, owiniętą wokół jednej z niższych belek rusztowania. Napinała się, w miarę jak olbrzym przyciągał ją do siebie. Chłopiec pobiegł wzdłuż niej wzrokiem i dostrzegł słabą białą poświatę znikającą w oddali. Rotsward wkrótce miał znowu poruszać się poziomo.

Musiał przekazać nowinę Monkowi. Właśnie nadarzała się okazja, na którą od dawna czekali. Podczas gdy Wisielcy i niewolnicy Cospinola ucztowali, oni dwaj mogliby wśliznąć się

do kuchni.

Ale kiedy już miał się odwrócić i wspiąć z powrotem na rusztowanie, dostrzegł wylaniające się z wody czerwone palce.

* * *

Carnival tonęła od miesięcy, lat albo nawet wieków. Nie pamiętała, jak długo jest zamknięta w tym piekle. Wrząca woda wypełniała jej oczy, usta i płuca. Parzyła skórę. Połamane skrzydła i nogi zrosły się w przypadkowy sposób, co utrudniało jej kopanie w ściany więzienia.

Mimo to wierzgnęła ponownie, bo nic innego nie mogła zrobić. Ból dodawał jej sił. Rozkoszowała się nim i wykorzystywała go, tłumiąc w sobie cierpienie, a potem uwalniając je przy kolejnym wściekłym kopniaku.

Czuła jednak, że powoli słabnie. Zastanawiała się, czy umrze. Z jednej strony myśl o końcu udręki była kusząca, dawała pocieszenie i nadzieję na spokój. Jednocześnie budziła w niej wściekłość. Ktoś ją tutaj wsadził.

Kopnęła znowu.

Tym razem poczuła, że ściana pojemnika ustępuje.

Rozdział 7

POD PIEKŁEM

Rzeka Przeegranych była szybka, podstępna i mięsożerna. W wielu miejscach rozerwała Wisielców na strzępy. Słupy światła padającego z okien u podstawy Piekła oświetlały scenę. Ze spienionej wody wstawały czerwone istoty i rzucały się na wrogów, nie mając innej broni oprócz świeżo wyhodowanych rąk i zębów. Ich płynne postacie można było kaleczyć, ciąć mieczami i dźgać włóczniami, ale sami Przeegrani pozostawali nieśmiertelni, bo ich wspólnym ciałem była rzeka. Kiedy jeden wojownik padał, z tej samej paskudnej cieczy wyrastał następny.

Kiedy krzyki wojowników Cospinola wypełniły ogromną pustkę pod Piekłem, Kotwica odwrócił się plecami do rzezi.

Wisielcy walczyli z coraz większą desperacją, ale na próżno. Rzeka uczyła się na swoich błędach i stosowała coraz to nowe taktyki, żeby oszukać wrogów. Miejsce zniszczonych mniejszych konstruktów zajmowali giganci, bestie z maczugami zamiast pięści, które przerażały żołnierzy Cospinola i skłaniały ich do ucieczki. Wodę przecinały długie umięśnione stwory z płetwami i potężnymi szczękami. Czerwone nici sięgały w górę i oplatały broń Wisielców. Wiry atakowały ich golenie, zmuszając do cofania się na wyższy teren. Czerwona rzeka wzbierała wokół nich i tworzyła solidne mury, zaganiając ofiary w pułapki, w których skuteczniej mogła je zabijać.

Na środku pola bitwy uformowała się ogromna, ale wysmukła postać. Chwiała się na niezdarnych, kościstych, karmazynowych nogach i cięła rękoma jak biczami. Potem zapadła się w potężnym rozbryzgu. Nie wiadomo, co rzeka chciała stworzyć, ale próba okazała się nieudana.

Potem zaczął padać deszcz. W górę. Drobne krople były równie sprytne jak ich źródło. Atakowały skórę wojowników, ich usta i oczy. Jeden z rycerzy w stalowej zbroi płytowej popędził na oślep przez wzburzony kanał, drapiąc się po twarzy i wrzeszcząc:

--Zęby, zęby!

Trochę dalej niski, żyłasty rzezimieszek ścisnął bezużyteczny luk, walcząc z czerwonymi niciami, które próbowały wciągnąć go pod wodę.

Trzej wojownicy zakuci w kolorowe emaliowane zbroje stali plecami do siebie na szczycie jednej z większych wysepek i przebijali włóczniami karmazynowe postacie, które wpełzały na stos gruzu. Wkrótce tylko oni stawiali skuteczny opór napastnikom. Rzeka przez jakiś czas ich lekceważyła, ale potem cofnęła się nagle i wróciła dużą falą na wyspę, porywając żołnierzy do kanału.

Kotwica poczuł chłód w sercu. Przesunął ręką po wartko płynącej wodzie, która sięgała mu do brzucha. Z pewnością żadna armia nie mogła pokonać takiego amorficznego wroga. Był antytezą Irila, pozbawioną struktury, brutalną siłą, której nie da się zwalczyć fizyczną bronią. Jak zmierzyć się z absolutnym chaosem?

Harper już wcześniej przestała pić czerwoną ciecz. Teraz przywarła do pasa Kotwicy.

--Rzeka i tak porwałaby Wisielców -- powiedziała. -- Cospinol nie miał innego wyjścia, jak ich poświęcić. Robiąc to, zyskał jej przychylność.

--Na jakiś czas -- odparł wielkolud. -- Myślę, że nadal jesteśmy zdani na jej łaskę. Jeśli

postanowi nas pożreć, nie wiem, jak ją powstrzymamy.

--Więc postarajmy się jej nie rozdrażnić.

--Jak rozdrażnia się rzekę?

--Rzeka jest bogiem, a ten bóg jest dzieckiem. Wszystko może spowodować wybuch wściekłości.

W końcu lina *Rotswarda* napięła się i szarpnęła uprząż Kotwicy, a on poczuł znajomy ciężar na swoich plecach. Wziął głęboki wdech i ruszył dalej. Statek był teraz dużo lżejszy. Olbrzym ledwo zauważył, kiedy *Rotsward* zaczął szorować po zalanym dnie podziemnego królestwa. Górna część rusztowania nadal tkwiła uwięziona w podstawie Labiryntu, ale drzewca się nie złamały, przebijając zwykłe cegły i żelazo. Kiedy Kotwica pociągnął mocniej, wyryły głęboką bruzdę w wielkim sklepieniu. W dół posypały się tony obluzowanego budulca.

--To bardzo dziwne miejsce -- stwierdził wielkolud.

--Przyzwyczaisz się do niego -- powiedziała Harper. -- To znaczy do Piekła. Choć nie wiem, czy to miejsce jeszcze można nazywać Piekłem. Labirynt tutaj się kończy. -- Wsunęła świecą różdżkę za ucho i skinieniem głowy wskazała na sklepienie. -- To był mój dom przez bardzo długi czas.

Kotwica odchrząknął.

--Sposób, w jaki to mówisz... Chyba za nim tęsknisz.

--Tak. Twoja dusza narzuca własny porządek otoczeniu. Stajesz się osobnym światem pośród wielu innych, ale nadal ze sobą połączonych. Gdyby nie przeludnienie i zagrożenie ze strony mesmerystów, byłby to raj. Wyobraź sobie seks.

Olbrzym się roześmiał.

--Dzieje się źle dopiero wtedy, gdy inni narzucają ci swoją wolę. -- Harper spojrzała na niego bacznie. -- Zgadzasz się ze mną?

--Ja postanowiłem zostać niewolnikiem.

--Ale teraz tego żałujesz.

Kotwica nie zareagował na tę uwagę, tylko spytał:

--Myślisz, że Niebo jest takie jak Labirynt?

--Nie, dopóki Ayen pozostaje u władzy. Wypędziła własnych synów, żeby utrzymać porządek. Swoją wersję porządku. Jeśli zostały jeszcze jakieś dusze w Niebie, wątpię, czy w ogóle są wolne. -- Spojrzała w górę. -- Nie, Niebo jest dla owiec, a Piekło dla...

--Kóz?

--Wilków, John. Wilków.

* * *

Silny prąd utrudniał posuwanie się naprzód, ale Kotwica trzymał ją mocno i złapał, kiedy się pośliznęła. Przyciskała duszę Toma do serca i wyobrażała sobie, że czuje jej ciepło przez szkło. W tym nienaturalnym stanie nie był świadomy niczego wokół siebie. Jego duch został uwięziony w tajemniczym płynie, eliksirze, o którym szeptano, że został wydestylowany przed wojną w Pandemerii. W takiej postaci mógł jedynie śnić.

Wiedziała, że wydostanie jego duszy z roztworu nie jest trudne. Mogła po prostu znaleźć jakiegoś człowieka -- żywego albo martwego -- i dać mu do wypicia eliksir, żeby w ten sposób stał się gospodarzem osobowości jej męża. Ale ten osobnik nie byłby fizycznie Tomem. Takim, jakim ona go zapamiętała.

Tak czy inaczej, powrót do fizycznego ciała wydawał się bez porównania lepszy od wieczności spędzonej w perle. W ten sposób posiadałaby nie tylko duszę Toma. Odzyskałaby męża.

Powzięła decyzję. Znajdzie człowieka, który posłuży jako gospodarz dla ducha Toma, i znowu będą parą. Z czasem może zbudują sobie miłe mieszkanko w Piekło, daleko od Dziewiątej Cytadeli, z widokiem.

Ale kto będzie gospodarzem?

Karmazynowa rzeka biegła wartkim nurtem, pchając ich ku przeznaczeniu. Krople kapiące z góry plamiły na czerwono ich skórę i ubrania. Podążali drogą trudną i krętą, ale kiedy próbowali wyjść na któryś z brzegów, prądy wciągały ich z powrotem do głównego kanału. Światło różdżki skakało przed nimi na lśniącej wodzie, podczas gdy daleko w tyle, w ciemności, wielki statek osiadły na mieliźnie orał gigantyczną bruzdę w sklepieniu królestwa mroku.

Znalezienie zdrowego gospodarza tu na dole nie będzie łatwe, uświadomiła sobie Harper. O ile się orientowała, w całym Piekło było osiągalne tylko jedno takie ciało. A John Kotwica nie zamierzał z niego zrezygnować.

W niedługim czasie Przegrani pojawili się znowu, powstając z wody. Harper poświeciła wokół różdżką. Zobaczyła ich tysiące, w głównym kanale i we wszystkich okolicznych. Zauważyła, że teraz są bardziej określone. Mogła odróżnić rysy ich twarzy: usta i nosy, ale żaden nie wykształcił oczu. Wielu przypominało Wisielców, których niedawno zabili. Ich mokre czerwone skóry miały wygląd zbroi, w rękach ściskali miecze, luki i włócznie.

Kotwica i Harper się zatrzymali.

Kiedy Przegrani przemówili, z wielu ust dobył się pojedynczy głos.

--Co ciągniecie? -- zapytali. -- W tej rzeczy jest jedzenie.

--*Rotsward* to statek mojego pana -- odparł Kotwica. -- A na jego pokładzie nie ma żadnego jedzenia.

Jedna z postaci przysunęła się bliżej. Była większa od swoich sąsiadów, odziana w czerwoną zbroję, ale stalowe płyty nie poruszały się w taki sposób, w jaki powinny się przesuwać warstwy metalu. Pancerz okazał się zwykłą iluzją.

--W *Rotswardzie* jest wiele dusz -- powiedziała karmazynowa istota, a grupa chórem powtórzyła jego słowa. -- Wszędzie dusze. -- Stwór przekrzywił głowę, lypiąc na sakiewkę z perłami wiszącą u pasa wielkoluda. Wyciągnął po nią rękę.

Kotwica się cofnął. Poczul, że Harper mocno ściska go za ramię. Syknęła mu coś do ucha, ale nie dosłyszał co.

Ociekająca wodą istota zaczęła węszyć jak pies. Po chwili ze wszystkich stron jednocześnie dobiegł gniewny głos.

--Macie jedzenie!

Tym razem Kotwica zrozumiał szept Harper:

--Daj im wszystko, o co proszą. Nie możesz z nimi walczyć.

Kotwica się zawahał. Bez perł wkrótce straciłby siły.

--Zrób to -- ponagliła go Harper.

Po linie statku przebiegło silne drżenie. *Ona ma rację. Głos Cospinola był znużony. Musimy zdobyć zaufanie rzeki. Nie możemy jej teraz rozgniewać. Oddaj perty, John. Mamy ich więcej.*

Wielkolud prychnął.

--Więc lepiej przyzwyczaj się do chodzenia, Cospinolu. Jeśli ta istota weźmie moje perły, będzie chciała więcej. Ile mocy jesteś gotowy oddać? -- Rzeka go usłyszała, ale Kotwicy już to nie obchodziło. -- Już jedną umowę zламаła. Nie ma w niej honoru, tylko głód.

Tylko poprzez głód możemy się z nią komunikować.

Rzeczny stwór znowu przekrzywił głowę. Tysiąc głosów wyszeptało:

--Gdzie jest osoba, która mówi przez linę?

--Na statku -- odparł Kotwica.

John! Co się z tobą dzieje? Gdybym nie znał cię lepiej, powiedziałbym, że boisz się tej istoty.

Wielkolud zacisnął szczęki.

--Boję się? To rzeka powinna się bać mnie!

Odwiązał skórzaną sakiewkę od pasa i wysypał szklane koraliki na stuloną dłoń. Perły emitowały własne słabe światło. Duchy zamknięte w środku lśniły w ciemności. Kotwica wysypał je do ust i przełknął.

Potem uśmiechnął się szeroko.

--Zjadłem wszystkie -- oznajmił, zwracając się do mokrych postaci. -- Nie ma więcej dusz. Dość już się dzisiaj napałsiście.

Przegrani odrzucili głowy w tył i zawyli. Powietrze wypełniły ich wściekle wrzaski. Woda podniosła się, przyspieszyła i spieniona runęła z impetem na Kotwicę i Harper. Fala była tak potężna, że omal nie oderwała metafizyczki od boku wielkoluda, ale on trzymał ją mocno.

Potem huknął:

--Dość!

Krzyki zmieniły się w chór jęków.

--Powiedziałem dość! -- ryknął Kotwica.

Rzeka zwolniła. Przegrani ucichli i zwrócili głowy ku olbrzymowi. Wyczuwało się w nich niespokojne oczekiwanie.

Kotwica wsparł ręce na biodrach i zmierzył ich wzrokiem.

--A teraz zaprowadźcie nas do Dziewiątej Cytadeli, tak jak obiecaliście! -- zażądał groźnym tonem. -- Nie dostaniecie ode mnie nic, póki nie dotrzemy na miejsce. Jasne?

Istoty nagle rozplynęły się z powrotem w wodzie. Zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Po chwili nie było po nich śladu. I żadnego dźwięku oprócz odgłosu kapania krwi z Labiryntu.

Harper ścisnęła ramię Kotwicy.

--John, to było... Nie wiem, czy głupie, czy genialne. Skąd wiedziałeś, co zrobić?

--Może głupie -- ocenił wielkolud. -- Powiedziałaś, że ten bóg jest dzieckiem i że zachowuje się jak dziecko. Kiedyś miałem dzieci, więc wiem, jakie są. Nie można ich rozpuścić. -- Odchrząknął. -- Niedobrze jest dawać im to, czego chcą.

--Masz dzieci?

Kotwica odsunął ją od siebie.

--Miałem. Ale nie chcę o tym rozmawiać. -- Ruszył dalej przed siebie, ciągnąc linę. Z tyłu dobiegły loskot i dudnienie.

* * *

Ile razy Rachel budziła się cała obolała? Jak na asasynekę Spine, zbyt wiele, pomyślała. Dźwignęła się na łokciu i jęknęła. Mięśnie miała stwardniałe jak skórzane rzemienie. Było

ciemno i mglisto, a ona nie wiedziała gdzie, do diabła, jest. Cały pokój wokół niej się kołysał.

--Chcesz usłyszeć dobrą czy złą wiadomość?

Rachel rozpoznała głos Miny, a potem otoczenie. Skrzynie ze złotem, stary stół, krzesło, dywan. Pomieszczenie rzeczywiście się kołysało. Znajdowała się z powrotem w ustach Dilla. Od ponurego dnia na zewnątrz oddzielała ją ściana zębów, z dołu dobiegało dudnienie jego wielkich kroków. Mina siedziała oparta plecami o lewy siekacz i głaskała swojego diabelskiego pupila Bazylisa. Jej twarz z czerwonych szklanych lusek rozmywała się przed oczami Rachel.

Asasynka się skrzywiła. Szczękę miała posiniaczoną i nadwrażliwą. Dotknęła jej ostrożnie i wymacała lekką opuchliznę.

--Poproszę o dobrą wiadomość.

--Żyjesz.

--To najlepsze, co dla mnie masz?

--Przykro mi -- powiedziała Mina. -- Próbowałam wymyślić coś lepszego, żeby złagodzić złą wiadomość, ale nic nie przyszło mi do głowy.

--Nie mów mi złych rzeczy.

--Dobrze.

Rachel westchnęła.

--O co chodzi?

--Hasp próbował zatłuc cię na śmierć. Kiedy drwale Orana zorientowali się, co zrobiłaś z ich towarzyszami, również chcieli cię zabić, co jeszcze bardziej wkurzyło Haspa. Żyjemy tylko dlatego, że wyciągnęłam cię na zewnątrz, kiedy zaczęli obrzucać się obelgami. Teraz ta żalosna pieczara jest jedynym bezpiecznym miejscem, które nam zostało. Oran grozi, że spali gospodę, jeśli nie zejdziemy na dół, żeby mogli wymierzyć nam sprawiedliwość. Nie robi tego jednak, bo to ich jedyne schronienie. Ale pewnie wkrótce wymyśli na nas jakiś sposób. Cała ta sytuacja mocno się skomplikowała.

--Jak się tutaj znalazłam?

--Poprosiłam Dilla, żeby interweniował. Podniósł budynek i zorganizowaliśmy wielką ucieczkę. Twoja głowa wydawała dziwne odgłosy, kiedy ściągałam cię po schodach ganku.

--Dzięki.

Mina spojrzała na swoje ręce.

--Obawiam się, że musiałam zabić jednego z nich... Cóż, Bazylis...

--Ty? -- Asasynka potrząsnęła głową i natychmiast tego pożałowała. -- Nie chcę wiedzieć. Oczywiście ty również jesteś teraz wyrzutkiem?

--Drań strzelał do mnie z łuku.

Rachel wstała i podeszła do zębów automatu, żeby wyjrzeć na zewnątrz. W dole zobaczyła przesuające się we mgle wierzchołki zimozielonych drzew. Gospoda stała na tasaku, który Dill odebrał pokonanemu arkonicie, ale ściany z bali wyglądały na jeszcze bardziej przekrzywione niż ostatnio. Część jednego okapu odpadła i teraz deski leżały na wielkim nadgarstku golema. Wyspa otaczająca budynek prawie całkiem zniknęła. Z dziury w łupkowym dachu unosiła się wstęga dymu. Na zewnątrz nie było nikogo.

Rachel odwróciła się do taumaturg.

--Powiedziałaś, że Oran pewnie znajdzie jakiś nowy sposób, żeby nas stąd wykurzyć? Może więc po prostu każemy Dillowi zostawić tych drani w lesie. Aż tak bardzo nie

potrzebujemy gospody Abnera.

Mina pokiwała głową.

--Hasp nadal tam jest.

Rachel zrozumiała. Drwale mogli wykorzystać pana Pierwszej Cytadeli jako zakładnika, gdy tylko Oran się zorientuje, że Rachel wcale nie chce śmierci Haspa.

A może jednak chce? Siniak na szczęce mocno pulsował.

--Ten szklany drań zasługuje na to, żeby zostać zakładnikiem. Dlaczego tak zareagował? Ja tylko próbowałam go bronić.

--Nie jest sobą. -- Mina postawiła psa na ziemi. -- Nie może pogodzić się z tym, co zrobił mu Menoa. Pasożyt zmusi go do zdradzenia przyjaciół, a dla archonta Pierwszej Cytadeli nie ma większej "zbrodni. Kiedy królewski arkonita zaatakował Dilla, stało się jasne, że Hasp nie potrafi oprzeć się jego wpływowi. Stracił honor, a zaatakowanie ciebie było tylko reakcją na tę hańbę. Myślę, że celowo rozgniewał ludzi Orana, bo chciał umrzeć. Interweniując, uniemożliwiłaś mu ucieczkę w śmierć. W jego oczach poniżyłaś go.

Rachel westchnęła.

--Spine nigdy nie byli dobrzy w odczytywaniu ludzkich uczuć -- przyznała. -- Powinnam raczej pozostać przy mordowaniu ludzi w ciemnych zaułkach.

--Tutaj nie ma ciemnych zaułków.

--Chyba muszę porozmawiać z Dilem. -- Reszty myśli nie wypowiedziała. Musiała porozmawiać z jakimś człowiekiem, a jej przyjaciel był najbardziej ludzką istotą, jaką знаła.

Wnętrze czaszki wypełniała ciemnoniebieska poświata. Drobiniki uwięzione w kryształach osadzonych w sklepieniu okazały się niezwykle aktywne. Ożywione, doszła do wniosku Rachel. Precisnęła się między rzędami lśniącej maszynierii, opierając się o metalowe płyty, bo pomieszczenie kołysało się jak statek na morzu.

Duch Dilla nadal dzielił szklaną kulę z trzynastoma innymi. Zjawy przepływały przez siebie nawzajem, odpychały się i walczyły w milczeniu. Białe światło pulsowało słabo w środku wielkiego bąbla, od czasu do czasu wybuchając jaśniejszymi błyskami, które jakby odpowiadały chwilom konfliktów między gazowymi więźniami.

Rachel położyła dłoń na kuli.

... wróciła... ona wróciła... Zamordować ją... Nie pozwólcie jej zobaczyć swoich myśli...

Agonia... Byłam kiedyś w pokoju i wtedy... Przestań wrzeszczeć! Kim jesteś...?... w tym miejscu... ludzie w rzece... Cii... Cisza, cisza, cisza... Kto...?

--Dill?

Głosy ucichły, a po chwili asasyńska usłyszała słowa przyjaciela. *Przepraszam, Rachel.*

--Za co?

Omal cię nie zabili.

Rachel się zaśmiała, ale nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to sztucznie. Potrząsnęła głową, myśląc, że ich sytuacja już jest fatalna i bez udręki Dilla.

--Zabierz nas stąd, Dill. Oran i jego mściciele są teraz na twojej dłoni. Właściwie jestem zadowolona, że oparłeś się chęci zmiżdżenia ich.

Niezupełnie. Mina krzyczała na mnie, żebym przestał, kiedy zacząłem ścisnąć. Zdaje się, że pękła jedna ze ścian. Chwila milczenia. Byli tacy krusi. Wszystko wydaje się teraz takie kruche.

--Ale nie ty.

Powiedz to jedenastu pozostałym arkonitom. Dużym.

Tym razem asasynka roześmiała się szczerze.

--To o jednego mniej niż dwa dni temu. Kto cię nauczył tak walczyć?

Hasp.

Hasp? Najmłodszy potomek Ayen pozostawał dla Rachel enigmą. Pozostali synowie bogini przybrali szumne tytuły: bóg łańcuchów, bóg zegarów... Natomiast Haspa znano jako pana Pierwszej Cytadeli, władcę zwykłej twierdzy, który teraz w dodatku robił wszystko, żeby potwierdzić swój przeciętny status. Tęgo pil i miał skłonności samobójcze jak pierwszy lepszy śmiertelnik.

A to oznaczało, że się poddał.

Mina zdradziła jej kiedyś, że Hasp z własnej woli poszedł do Piekła. Podczas gdy jego bracia tworzyli armie i sprawowali władzę nad światem ludzi, on postanowił zatroszczyć się o umarłych. Pierwsza Cytadela należała do śmiertelnego archonta, bękarciego potomka bogów i ludzi.

Rachel. Głos Dilla wdarł się w jej myśli. *Widuję dziwne rzeczy... Nie wiem dokładnie, co to jest, wizje czy sny na jawie, ale stają się coraz częstsze.*

Asasynka przypomniała sobie koszmar o kamiennym lesie, który nawiedził ją wkrótce po tym, jak opuścili Coreollis.

--Jakie rzeczy? -- zapytała.

Na ziemi pojawiło się pęknięcie, ciągnące się od horyzontu po horyzont. Było pełne... pustki. Żadnej ciemności, tylko pustka, jakby ze świata zniknęło coś fundamentalnego.

Rachel zmarszczyła brwi. Mina miała podobną wizję. A ona sama też była świadkiem kilku dziwnych wydarzeń od czasu opuszczenia Coreollis: dwie identyczne wersje Rysa na chwilę przed zawałaniem się jego bastionu, niewytłumaczalna zmiana koloru włosów Roselli, osobliwa rozmowa z Oranem, pełna powtórzeń. Dopóki były to odosobnione incydenty, uznała je za nerwową reakcję, zawrót głowy albo dezorientację. Ale teraz, kiedy o nich myślała, brała pod uwagę możliwość, że są rezultatem działania jakiejś magicznej siły.

--Taumaturgia?

Pieczara przechyliła się gwałtownie w lewo, potem w prawo i znowu w lewo.

Rachel usłyszała gwałtowne protesty dobiegające z korytarza.

--Przestań ruszać głową, Dill -- powiedziała z roztargnieniem. -- Skóra Miny jest ze szkła.

Nie sądzę, żeby to była taumaturgia. Wydaje mi się, że to coś... większego. Jest tak, jakbyśmy szli przez widmowy świat, jakby wszystko, całe stworzenie się popsulo. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. W miarę jak zbliżamy się do zamku Sabora, ta siła potężnieje.

Czyżby za te efekty był odpowiedzialny bóg zegarów?

Mina znowu krzyknęła, tym razem całkiem blisko.

Rachel odwróciła się i zobaczyła ją przy wejściu do komory. Krew na jej policzkach ze szklanych łusek wyglądała na gorącą i wzburzoną.

--Dill! -- wrzasnęła taumaturg. -- Zdajesz sobie sprawę, że właśnie zabiłeś dwóch ludzi, a jeden uciekł, żeby ratować życie?

Pieczara nagle przestała się ruszać.

Jakich ludzi? W przeciwieństwie do Rachel Mina nie usłyszała gniewnego pytania anioła, bo Dill nie zadał go na głos. Asasynka musiała je powtórzyć.

--Właśnie nadepnął na wieżę strażniczą -- poinformowała ją taumaturg.

--Wieżę strażniczą? Gdzie?

--Wysunięty posterunek miasteczka leżącego nad Kwiatowymi Jeziorami, o którym wam mówiłam. Nawet nie zdążyli zapalić latarni ostrzegawczej. Leżą tam teraz dwa trupy, a jedyny ocalały pędzi konno do osady.

Rachel westchnęła przeciągle.

--Jak szybko dotrze do palisady?

--Nogi jego konia nie są tak długie jak Dilla -- powiedziała Mina. -- Gdyby nasz gigantyczny przyjaciel w tej chwili wyruszył, dogoniłby go i zmiażdżył.

Pieczara przechyliła się na jedną stronę, dość gwałtownie. Mina chwyciła się ściany, żeby nie upaść.

Widzę konia, powiedział Dill. Jeździec... to jeszcze dziecko.

Rachel spiorunowała Minę wzrokiem.

--O tym nie wspomniałaś.

Taumaturg wzruszyła ramionami.

--Nie pytałaś. A czy to jakaś różnica? Kiedy chłopak powie swoim, co zrobił ten tępak, może to zaszkodzić naszym próbom negocjacji.

Rachel uniosła rękę.

--O, nie. Dill nikogo więcej dziś nie zabije. A z pewnością nie dziecko.

--Ja mogłabym...

--Nie, Mino! -- przerwała jej asasynka. -- Nic nie zrobisz. Zostaw chłopca w spokoju. Jeśli będziemy musieli, stawimy czoło konsekwencjom tego nieszczęścia. -- I dodała, cedząc przez zęby: -- Albo w ogóle tam nie pójdziemy i zostawimy mieszkańców na pastwę arkonitów Menoi, albo spróbujemy się z nimi ułożyć. Nie mamy nic do stracenia. Oni nie stanowią zagrożenia dla Dilla.

Krwawe łuski na twarzy Miny ułożyły się w uśmiech.

--Dobrze -- powiedziała taumaturg. -- Możesz poprowadzić negocjacje. Na pewno miejscowa milicja cię wysłucha, skoro jesteś taka dobra w postępowaniu z ludźmi.

* * *

Chłopiec z hakami zamiast palców wdrapał się z powrotem na rusztowanie *Rotswarda*. Pustka na drzewcach zmroziła go bardziej, niż się spodziewał, bo nigdy wcześniej nie widział statku bez Wisielców. Dotarłszy do dziury w kadłubie, zanurkował do środka, potrącając lunetę Mońka ustawioną na trójnogu, i rozejrzał się po mrocznym wnętrzu. Stary astronom pewnie nadal spał nad kuchnią. Oczywiście przegapił całą bitwę.

Chłopiec ruszył wąskimi korytarzami, kierując się do kuchni. Wokół niego cały statek drżał, jęczał i skrzypiał. Te hałasy wydawały się dużo głośniejsze, odkąd Kotwica zaczął znowu ciągnąć *Rotswarda* poziomo. Chłopiec czuł, że drewniane deski wyginają się pod wpływem sił działających na kadłub. Można było odnieść wrażenie, że statek się rozpada.

Ale to nieprawda. Stary okręt był niezniszczalny jak zawsze.

Przed ostatnim zakrętem, za którym zaczynał się korytarz techniczny biegnący nad kuchnią, chłopiec nagle stał się czujny. Coś było nie w porządku, ale nie potrafił określić, w czym rzecz. Czegoś brakowało.

Zatrzymał się, leżąc na brzuchu w ciemnym i wąskim przewodzie, i zaczął nasłuchiwać.

Przestały pracować miechy.

Ruszył przed siebie, tym razem szybciej, rozeźlony. A jeśli Monk postanowił na niego nie czekać? Jeśli wykorzystał okazję, kiedy dokonywała się rzeź Wisielców? Gdzie byli niewolnicy Cospinola?

--Lepiej, żebyś nie wypił esencji beze mnie -- mamrotał pod nosem. -- Lepiej nie, lepiej nie. -- Mieli się nią podzielić.

Pokonawszy ostatni zakręt, zobaczył, że sprawdziły się jego najgorsze obawy. Przed nim ziała dziura w podłodze, na sklepienie korytarza padał migotliwy blask z pieca.

Po Monku nie było śladu.

--Podlec, podlec... -- Chłopiec zachrobotał metalowymi palcami o drewno i ruszył w stronę otworu.

Spojrzał w dół i zamarł.

Patrzyła na niego oczami czarnymi jak osmalona grodz, o którą się opierała. Żelazny kocioł został wyrwany z imadła i teraz leżał, cały powgniatany, w kącie kuchni. Ciało anielicy również było zniekształcone, powykrzywiane jak u stracha na wróble, ręce, nogi i skrzydła wygięte pod dziwnymi kątami. Skórzany strój przegnił i popękał w wielu miejscach, odsłaniając skrawki białej skóry oszpeconej bliznami. Usta, brodę i szyję pokrywała krew. Od tej makabrycznej plamy biegły w górę cienkie czerwone kreski, otaczały oczy i przecinały się na czole..

Blizny.

Szczątki ciała Monka leżały rozrzucone u jej stóp, pośród odłamków szkła z rozbitej kolby kondensacyjnej. Anielica zakaszlała, wymiotując wodą.

Potem odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła głosem tak pełnym rozpaczliwej furii, że chłopiec zamarł z przerażenia. Żadna istota nie powinna być zdolna do wydania z siebie takiego dźwięku. Chłopiec próbował się ruszyć, ale jego mięśnie nie zareagowały, więc po prostu gapił się na anielicę.

Krzyk ucichł. Czarne oczy spojrzały prosto na niego. Anielka próbowała zrobić krok do przodu, ale ugięły się pod nią straszliwie wykręcone nogi. Poszarpane skrzydło zamachało bezsilnie. Jedna ręka zwisała bezwładnie wzdłuż boku, druga spoczywała na piersi, powykrzywiana jak stary korzeń. Carnival znowu ruszyła przed siebie i dowlokła niezdarnie ciało bliżej otworu. Potem warknęła i jęknęła sfrustrowana.

--Połam mi kości -- zażądała.

Chłopiec nadal się w nią wpatrywał.

--Połam mi kości -- powtórzyła anielica.

Nie odpowiedział.

Jej pierś unosiła się i opadała szybko.

--Zejdź tutaj i pomóż mi, bo rozplątam ci gardło. -- W twarzy umazanej krwią błysnęły białe zęby. -- Pomóż mi! Pomóż mi! -- krzyczała coraz głośniejsze.

Zanim chłopiec uświadomił sobie, co robi, chwycił za brzeg otworu, przecisnął się przez niego i zawisł głową w dół. Następnie zrobił salto i wylądował na podłodze przed anielicą. Jego lewa stopa pośliznęła się w bok na mokrych deskach, ale szybko odzyskał równowagę.

Pokój cuchnął ogniem i mięsem. Piec nadal płonął jasną czerwienią w ciasnym drewnianym pomieszczeniu. W jego blasku sylwetka anielicy wyglądała demonicznie. Jej okaleczone

skrzydła zadrżały.

--Młotek -- rzuciła.

Chłopiec dostrzegł go we wnętrznościach starca. Dłoń trupa ścisnęła trzonek. Młody zmiennokształtny schylił się i wyjął narzędzie z ręki Mońka.

--Ramiona -- powiedziała anielica.

Chłopiec się zawahał.

--Ja nie...

--Ramiona! -- krzyknęła Carnival, zbliżając się o krok i tuż nad nim zamajaczył jej upiorny cień. Pod strzępami skórzanej odzieży ukazały się blizny. -- Złam je w nadgarstkach, łokciach i barkach...

Cała operacja odbyła się etapami, tak że chłopiec niewiele później z niej pamiętał oprócz ciężaru młotka, chwili zamachu... Przerwy między traskiem pękających kości, kiedy ocierał pot z czoła... Głos Carnival, coraz spokojniejszy wraz z upływem czasu. Dłonie. Kolana. Stopa. Skrzydła. Kręgosłup. Nie krzyczała. Od czasu do czasu się chwiała. Tylko raz upadła. Blizny płonęły wokół jej oczu jak ogień. Akurat te oczy najlepiej zapamiętał.

Nie umiałby powiedzieć, ile czasu spędzili w kuchni, ale kiedy już było po wszystkim, anielica usiadła na zakrwawionej podłodze, oparta plecami o jedną z grodzi. Skórzany strój wisiał na niej w strzępach, ledwo osłaniając żylaste ciało, umięśnione uda i małe, jędrne piersi. Carnival była boso i z jakiegoś powodu chłopiec uznał to za dziwne.

--Jak masz na imię? -- zapytała.

Wzruszył ramionami.

--Nie wiem. -- Zastanawiał się przez chwilę. -- Może John. Po moim ojcu.

--Może John. -- Jej głos był zaledwie szeptem. -- Odejdź stąd, póki możesz.

--Nie sądzę, żeby niewolnicy Cospinola szybko wrócili.

--Wynocha! -- rzuciła przez zaciśnięte zęby. Znowu narastał w niej gniew. -- Ty głupi osłe, wynoś się, do diabła!

Chłopiec uciekł. Popędził do drzwi i wybiegł, zatrzasnąwszy je za sobą. Znalazł się w jednym z głównych korytarzy statku, ale nie rozpoznawał tego miejsca. Był przyzwyczajony do mrocznych zakamarków *Rotstuarda*, do ciasnych tuneli za grodziami i między pokładami. W dodatku tutaj nie miał kto go zauważyć. Gdzie się podziali wszyscy niewolnicy?

Skręcił za róg i wpadł prosto na Cospinola.

Bóg morza i mgły zajmował całą szerokość korytarza. Jego obwisłe szare skrzydła sięgały od ściany do ściany. Proste włosy opadały na naramienniki zbroi z krabich skorup, popękanego, bezużytecznego pancerza, który nadal pachniał dalekim oceanem. W garści trzymał siekierę.

--Ty! -- wykrzyknął na widok intruza.

Chłopiec odwrócił się do ucieczki, ale Cospinol go złapał. Pojmany instynktownie zaczął się zmieniać. Jego skóra zrobiła się śliska, ze stóp wyrosły mu pazury, żeby łatwiej mógł czepiać się desek podłogowych.

--O, nie! -- Cospinol zdzielił go w tył głowy. -- Zachowasz tę parszywą postać, ty mały demonie. -- Obrócił jeńca twarzą do siebie. -- Co zrobiłeś?

Chłopiec poczuł, że ręce boga drżą.

--Co zrobiłeś? -- powtórzył Cospinol. -- Ty oślizły mesmerycki gówniarzu. Słyszałem, jak krzyczała.

--Nic -- wyjęczał chłopiec. -- Nic nie zrobiłem.

--Ona tam jest?

--Puść mnie.

--Uwolniłeś ją? -- Cospinol potrząsnął nim brutalnie. -- Gdzie ona jest?

--Tutaj -- usłyszał kobiecy głos.

Na końcu korytarza stała Carnival. Skrzydła miała mniejsze niż Cospinol i bardzo czarne, ale była teraz wyższa niż wcześniej. Jej kończyny zrosły się na nowo i teraz wyglądały prawie normalnie. Cała sylwetka świadczyła o zwinności i sile. Tylko podarta skórzana zbroja i blade ciało świadczyły o miesiącach cierpień w kotle. Niezliczone rany płonęły jadowitą czerwienią na tle białej skóry. Krew wokół warg pociemniała i skrzepla. Zaczęła pękać, kiedy Carnival przemówiła.

--Cospinol -- powiedziała cichym, spokojnym głosem.

Bóg puścił chłopca.

--Jestem najstarszym synem Ayen -- rzekł tonem, który zabrzmiał jednocześnie defensywnie i wyniośle. -- Niebiańskim cieślą okrętowym, bogiem morza i mgły...

Anielica ruszyła w jego stronę. Jej oczy były ciemne i pozbawione wszelkich emocji, nieprzeniknione jak u dzikiej bestii.

Zatrzymała się poza zasięgiem jego siekiery i w milczeniu przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

A potem go zabiła.

Atak był tak szybki, że chłopiec nawet go nie zauważył. Skrzydła Carnival mignęły jak cień. Cospinol nawet nie zdążył unieść broni. Zanim instynkt pchnął go do działania, anielica oderwała mu szczękę. Bóg morza i mgły gapił się na nią osłupiały, kiedy odrzuciła na bok zakrwawiony kawał kości. Potem znowu na niego ruszyła. Chłopcu wydawało się, że objęła go i przytuliła jak kochanka. Minęła chwila, zanim się zorientował, co oznacza trzask, który usłyszał. To pękł kręgosłup Cospinola. Carnival wbiła zęby w szyję ofiary. Bóg drgnął raz, po czym życie opuściło jego oczy.

Anielica długo piła.

Kiedy skończyła, pozwoliła martwemu ciału bezwładnie opaść na podłogę. Następnie odwróciła się do chłopca i spojrzała na niego bez śladu rozpoznania w oczach. Krew ściekała po jej szyi i ramionach. Pazury drgały po bokach.

--Zabiłaś boga -- stwierdził chłopiec.

--Dawno temu.

--Co? Nie, mam na myśli Cospinola. Zabiłaś go!

Carnival popatrzyła na trupa i skierowała wzrok z powrotem na niego. W jej oczach błysnęło zrozumienie, zakrwawiona pierś zaczęła szybko się unosić i opadać. Przez chwilę anielica miała niepewną minę. Jej ręce zadrżały, na podłogę spadła kropla krwi.

--Może John -- powiedziała w końcu Carnival.

--Zgadza się.

--Po ojcu.

--Puść mnie, proszę.

Anielica podniosła wzrok i spojrzała w dal. Oblizwała dłoń, potem kostki. Następnie odwróciła się i odeszła, zostawiając chłopca samego z trupem boga, którego wola spajała

przegniły statek...

--O, nie -- mruknął Może John.

Pierwsza belka odpadła, zanim zdążył wstać. Gdzieś w górze rozległ się potężny huk i sufit korytarza zapadł się, kiedy ciężkie belki przebiły cienką boazerię. Wąskie przejście wypełniły chmury pyłu. Krztusząc się i kaszląc, chłopiec uciekł na czworakach z miejsca katastrofy. Część podłogi załamała się za nim, tak że zsunął się do tyłu po stromej drewnianej pochylni.

Rąbnął na twarde deski jednego z wielu korytarzy technicznych *Rotswarda*. W górze pękły belki sufitowe i masa przegniłego drewna spadła na zejściówkę, którą właśnie opuścił. Uwięziony w mroku wąskiego przejścia, Może John się rozejrzał. Znalazł się w pułapce. Gruz tarasował drogę z obu stron.

Natychmiast zmienił ludzką postać na inną, bardziej odpowiednią, choć ten proces nigdy nie przychodził mu naturalnie. Przez cały czas stawiał opór implantom mesmerystów, aż kapłani prawie się poddali. Gdy w końcu zagrozili, że zrobią z niego zwykle drzwi w Dziewiętej Cytadeli, przestał z nimi walczyć. Nie spodobała mu się perspektywa, że ludzie będą przez niego przechodzić. Doszedł wtedy do wniosku, że lepiej zostać szybkozmiennym.

Złączył dłonie i wyciągnął przed siebie ręce, pozwalając, żeby skóra, mięśnie i kości splotły się w długą wstęgę. Metalowe palce splotły się i przekształciły w smukłe stożki. Potem chłopiec zmusił resztę ciała, żeby stwardniało i się wydłużyło, upodabniając do węża. Po chwili! wyhodował metalowe łuski dla ochrony.

Zmieniony Może John prześliznął się przez szczeliny w gruzie, omijając przeszkodę. Za zakrętem trafił na inny zablokowany przewód, ale ten również pokonał bez trudu. Tymczasem statek rozpadał się wokół niego. Z zewnątrz kadłuba dochodził potężny łoskot. Szubienice *Rotswarda*? Deski trzeszczały i leciały do środka, w górę buchały tumany kurzu. Wszędzie roiło się od insektów, które wysypały się ze zbutwiałego drewna. Chłopiec dostrzegł mały otwór, który prowadził we właściwym kierunku. Wcisnął się w niego i, sunąc w dół między pokładami, dotarł do szczątków kadłuba. Dziesiątki ciężkich belek przebiły go jak papier i zgruchotały.

Chłopiec ominął jedną z takich belek i wyśliznął się na zewnątrz przez wąski otwór.

Ze statku, który znał, nie zostało nic. Kolumny światła padające przez najniższe okna Labiryntu ukazywały masę połamanego drewna i skręconych lin, rozrzuconych po Rzece Przegranych. Ciekawskie dusze spoglądały z góry niczym przez bulaje w dnie okrętu dużo większego od dawnego *Rotswarda*. Statek *Cospinola* przestał istnieć. Pozbawiony ochrony swojego pana, po prostu się rozsypał.

Chłopiec przybrał z powrotem ludzki kształt. Kilka jardów po jego lewej stronie ogromny stos gruzu nagle się poruszył, a potem zapadł. Wielka lina, która ciągnęła *Rotswarda*, przesunęła się po jednym z nasypów oddzielających kanały i się zatrzymała.

Po drugiej stronie rozlewiska, obok kobiety o rudych włosach stał John Kotwica. Nadal miał na sobie uprząż, ale lina łączyła go jedynie z kupą desek. Potem chłopiec dostrzegł ruch w oddali. Mała skrzydlata postać brnęła przez wodę w stronę wielkoluda.

* * *

Kotwica nie zauważył śmierci statku pewnie dlatego, że za sobą zawsze pozostawiał zniszczenie. Nauczył się nie słuchać jego odgłosów. I nie od razu zarejestrował mniejszy nacisk na uprząż, bo nigdy nie zwracał zbytniej uwagi na ciężar *Rotswarda*.

Harper pierwsza zorientowała się w sytuacji.

Zawzięcie brnął przed siebie w ciepłym nurcie, kiedy chwyciła go za ramię i szepnęła nagle:

--John.

--Co? -- Odwrócił się i zmarszczył brwi. Lina ciągnęła się za nim luźno po dnie. Gapił się na nią przez chwilę, a potem przeniósł wzrok dalej.

Rotsward zniknął. Gruz pokrywał okolicę w promieniu pół mili. Części kadłuba leżały na wpół zanurzone w czerwonych kanałach, drewno wałało się po niskich brzegach jak szczątki rozbitego statku albo dryfowało po czerwonych wodach. Pozostałości takielunku łączyły ze sobą najdziwniejsze skupiska przedmiotów: ubrań, mebli, framug okiennych, malowanych naczyń kuchennych, materacy z końskiego włosia, kilku niezidentyfikowanych żelaznych bębnow i srebrnej tacy do herbaty.

Powietrze było nieruchome i ciche.

--On nie żyje -- stwierdził Kotwica. -- Mój pan nie żyje.

Zalala go fala paniki, ale nie wiedział dlaczego. Przez jakiś czas wpatrywał się w linę leżącą na ziemi, potem spojrział na wrak. Czy ktokolwiek przeżył? Przeszukał wzrokiem horyzont, wypatrując większych fragmentów *Rotswarda*. Nie zobaczył nic oprócz połamanego drewna.

--Cospinol nie żyje -- powtórzył. Był odrętwiały od stóp do głów. Po raz pierwszy od lat poczuł ciężar upręży. W ustach miał sucho. -- Jestem wolny -- dodał, ale te słowa zabrzmiały dziwnie w jego uszach. Krył się w nich chłód.

Harper wyprostowała się i powiodła wzrokiem po cmentarzysku, jakby czegoś szukała. Nagle zacisnęła palce na jego ramieniu.

Kotwica też ją zauważył. Nie był zaskoczony. Od chwili, kiedy zobaczył rozbity statek, wiedział. Teraz brnęła ku nim przez krwawe wody.

--To anielica -- powiedziała Harper.

--Ma na imię Carnival.

Rozdział 8

BURNTWATER

Rachel pozwoliła strażnikowi uciec. Ta decyzja narażała ich wszystkich na większe niebezpieczeństwo i stanowiła zagrożenie dla ich planów. Z punktu obserwacyjnego za zębami Dilla patrzyła, jak jeździec znika w zamglonym lesie. Nie miała jednak okazji zastanowić się dłużej nad możliwymi konsekwencjami, bo ich obecna sytuacja raptem bardzo się pogorszyła.

--Przerwać marsz albo zabijemy Haspa!

Mała grupka drwali stała na ganku „Zardzewiałej Pily” spoczywającej na rękach Dilla i patrzyła na nich w górę. Żądanie postawił sam Oran. W końcu zrozumiał, jaką ma przewagę nad swoimi wygnanymi pracodawcami.

--Cóż, to była tylko kwestia czasu -- stwierdziła Mina. -- Chyba trzeba powiedzieć Dillowi, żeby oderwał dach budynku.

Rachel pokręciła głową.

--Już za późno -- mruknęła. -- Zaryzykowałbym to wcześniej, ale teraz nie wiemy, co się dzieje na dole. Jeden cios może skruszyć zbroję Haspa.

Szczęka nadal ją bolała od ciosu archonta, rana od muszkietu wciąż dokuczała. Gdyby asasyńska myślała jasno, kazałaby Dillowi uwolnić boga, zanim drwale wpadli na pomysł wykorzystania go jako zakładnika. Łudziła się jednak nadzieją, że nie są dostatecznie sprytni, by ułożyć taki plan. Ostatecznie Hasp próbował zabić Rachel i Minę, więc wydawało się im, że jest raczej ich wrogiem, a nie przyjacielem.

--Zabijcie drania, jeśli chcecie! -- odkrzyknęła. -- Sama bym to zrobiła, gdyby nie był bratem Rysa.

Oran się roześmiał.

--Znam wolę mojego pana -- oświadczył. -- W tym wypadku wyświadczyłbym mu przysługę.

--Niezła próba, ale on ma rację -- powiedziała Mina. -- Nasz szklany przyjaciel jest obciążeniem dla swoich żyjących krewnych. Jeśli Rys przeżył Coreollis, pewnie nagrodzi człowieka, który zabije jego brata.

Rachel pomasaowała głowę. Cała ta kraina zaczynała ją drażnić. Była zacošana i wroga, a ona już sama nie wiedziała, komu ufać. Więcej ran zadali jej sojusznicy niż wrogowie.

Cofnęła się od zębów Dilla i zaczęła rozważać sytuację. Oran wiedział, że nie może zaatakować arkonity, a jego groźby, że spali „Zardzewiałą Pile” były czcze. Rachel i Mina miały złoto i sojusznika, który mógł w każdej chwili pokonać oddział drwali, a jednak tkwiły tutaj jak w więzieniu.

Oran miał Haspa.

--Jestem zaskoczona, Mino -- powiedziała Rachel. -- Nawet nie zaproponowałaś, żebyśmy pozwoliły im zabić Haspa.

Taumaturg z urazą wyduła usta.

--Lubię Haspa.

Asasyńska westchnęła.

--Tych ludzi zwerbowałeś tylko po to, żeby Menoa tego nie zrobił. A teraz przeze mnie ci dranie i tak są przeciwko nam. Mesmeryści nie mogliby wykonać lepszej roboty, nawet gdyby się postarali.

--Hasp postawił cię w trudnej sytuacji.

--Sam się postawił w trudnej sytuacji. A ja mam siniaki w podzięce za to, że próbowałam go z niej wyciągnąć. Ile jeszcze drogi nam zostało do tej osady nad jeziorem?

--Parę chwil, choć byłoby rozsądniej ominąć ją z daleka. Raczej nie znajdziemy tam przyjaciół. -- Taumaturg wzruszyła ramionami. -- Powinnam ci również przypomnieć, że po piętach depta nam dziewięciu arkonitów? A może tylko niepotrzebnie zagmatwałabym sprawę?

Rachel oparła się o siekacz Dilla i wyjrzała przez szczelinę. Powietrze pachniało świeżością i chłodem. Słońce przebijało się na południowym-wschodzie przez białe mgły, na których gałęzie drzew wyglądały jak pajęczyny. Las był tutaj głównie liściasty, ostatnio został przerzedzony. Po niedawnym wyrębie zostały stopy pociętych pni i większych konarów. Szarozieloną ziemię widoczną w dole pod tawerną przecinały szerokie dukty. Na stalowe ostrze tasaka Dilla padł refleks. Jeden z drwali stojących na ganku wykonał nagły ruch.

W brzeg siekacza trafiła strzała, odbiła się od niego, uderzyła w podniebienie Dilla i na koniec wylądowała na środku jego wielkiej jamy gębowej.

Rachel drgnęła. Usłyszała śmiech dobiegający z dołu, a po nim krzyk Orana:

--Macie czas na zejście, dopóki tego nie skończymy. -- Uniósł butelkę whisky. Z góry asasyńska nie potrafiła stwierdzić, ile zostało w niej alkoholu. -- Potem zaczniemy zdzierać szklaną zbroję z waszego pijanego przyjaciela.

Drwale weszli z powrotem do gospody.

Drugi pocisk trafił w brzeg siekacza i odbił się od niego rykoszetem. Ale tym razem nie było na dole łuczników, którzy mogliby go wystrzelić. Ludzie Orana wrócili do tawerny. Strzała uderzyła w podniebienie Dilla, a potem spadła dokładnie w tym samym miejscu, co pierwsza.

Ale na dnie kościanej pieczary leżał tylko jeden belt.

--Mino, widziałaś jedną czy dwie strzały? -- zapytała Rachel.

Taumaturg, która siedziała z głową opartą o wewnętrzną stronę szczęki Dilla, przeciągnęła się i ziewnęła.

--Dwie, a co?

--Bo teraz jest tutaj tylko jedna.

--Co masz na myśli?

--Mam na myśli to, że przez otwór wleciały dwie strzały, ale leży tu tylko jedna. Zresztą od kilku dni przytrafiają mi się różne dziwne rzeczy. Nachodzą mnie wspomnienia, które nie zgadzają się z tym, co zapamiętałam, powtarzają się różne sytuacje. To coś w rodzaju defektów, jakby rzeczywistość się rozpadała... albo nawet sam czas. -- Zobaczyła, że Mina marszczy brwi. -- Dill miał te same wizje, co ty. O pękniętym świecie.

--To było... dziwne -- przyznała Mina.

--Bo dzieje się coś dziwnego -- stwierdziła Rachel. -- To taumaturgia albo... -- Machnęła ręką. -- Nie wiem. Może chodzi o to, co zdarzyło się w bastionie Rysa w Coreollis, albo bóg zegarów coś namieszał. Czy przypadkiem Sabor nie studiuje czasu?

--Obserwuje czas -- odparła Mina. -- Ale to, o czym mówisz, wygląda mi na manipulację samym czasem, a ona przecież jest niemożliwa.

--Jedna strzała wpadła dwa razy przez tę szczelinę. Ta sama strzała. A tuż przed tym, jak runął bastion Rysa, widziałam dwie wersje boga kwiatów i noży. Jednego Rysa na balkonie, a

drugiego w środku. Teraz jestem tego pewna.

Mina zastanawiała się przez dłuższą chwilę i w końcu powiedziała:

--Ja też doświadczyłam czegoś osobliwego. Kiedy Dill przyszpilił tamtego arkonitę, przez chwilę wydawało mi się, że to on leży na leśnym dukcie, a wojownik Menoi go trzyma.

--Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Taumaturg podeszła do Rachel.

--Czasami umysł płata nam figle. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam. -- Podniosła strzałę i obróciła ją w rękach. Potem wzruszyła ramionami i wyjrzała na zewnątrz.

„Zardzewiała Pila” spoczywała na wyszczerbionym i porysowanym tasaku, który Dill zabrał arkonicie Menoi. Po napierśniku Dilla snuł się w górę cienki słup szarego dymu z żelaznej rury pieca, sterczącej z częściowo zawalonej ściany szczytowej gospody, jego ogromne, poplamione krwią nagolennice przebijały się przez las. Zapach dymu drzewnego mieszał się z odorem Labiryntu.

--Zdajesz sobie sprawę, jak musimy wyglądać? -- odezwała się Rachel. -- Milicja z osady zaatakuje nas w chwili, kiedy się pojawimy.

Mina się uśmiechnęła.

--Tylko spójrz na nas, biedne kobiety, trzymane jako zakładniczki w ustach demona, i na naszego nieszczęsnego przyjaciela Haspa, uwięzionego i torturowanego przez bandę bezwzględnych najemników.

--Bezwzględnych najemników? -- powtórzyła ze zdziwieniem Rachel.

--Wyglądają jak najemnicy, nie sądzisz? Tylko spójrz na to całe złoto. Mesmeryści musieli dobrze im zapłacić.

Asasyńska odwróciła się do niej wolno.

--Mino...

--To wyjaśnia, dlaczego ten upiorny automat tak delikatnie ich niesie i dlaczego okazuje im tyle szacunku. Najwyraźniej ci drwale dowodzą najazdem Menoi na tę krainę. -- Pokiwała głową. -- Znajomość terenu... rozumiesz, zdobywcy właśnie za to płacą. A przed przystąpieniem do ataku trzeba zlikwidować zwiadowców i wieże strażnicze. Założę się, że ten arkonita spróbuje chronić te zdradzieckie psy, gdy obrońcy miasteczka wypuszczą pierwsze strzały.

--Zaczną do nich strzelać.

--Piraci z Morza Żółtego robili to samo. Wywieszali flagi wroga, kiedy atakowali statki kupców. Potem kupcy obwiniali o te ataki wrogów piratów.

--To terroryzm.

Mina wzruszyła ramionami.

--Mamy niewielki wybór. Oran zbyt dobrze nas zna. Gdyby zabił Haspa, zmiażdżyłybyśmy jego ludzi w krwawym akcie zemsty? Zamordowały te wszystkie kobiety i dzieci? On nie uważa, żeby coś takiego naprawdę im groziło. Ale jeśli znajdzie się wśród gniewnego tłumu, tysiący ludzi, gotowych za wszelką cenę bronić swojego miasta... To nie będzie nasza wina, jeśli dojdzie do przemocy. Zmienimy się z potencjalnego mściciela w potencjalnego zbawcę. W takiej sytuacji nasz drwal może być bardziej skłonny do targów.

Rachel się uśmiechnęła.

--Naprawdę jesteś diabolicą, Mino.

--Musisz nią być, kiedy masz diabła za pana -- odparła taumaturg.

Jeśli to było Piekło, jak podejrzewała, satysfakcję sprawiała jej myśl, że bogowie stworzyli je na obraz jej wizji rajów.

Rzeka krwi.

Carnival brnęła przez gęste czerwone wody. Odczuwała wściekłość jako zimną pięść zaciśniętą w trzewiach, i to uczucie już pozostawało dłużej w konflikcie z jej duszą. Nienawiść, czysta i prosta, opanowała wszystkie jej myśli. Anielka zamierzała zabić wielu ludzi i nic więcej jej nie obchodziło.

Wydawało jej się, że rozpoznaje ciemnoskórego giganta, którego ujrzała przed sobą, ale nie pamiętała, gdzie wcześniej go widziała. Miał na sobie nieporęczną drewnianą uprząż z przyczepioną do niej ciężką liną, unoszącą się przed nim na wodzie. Sznur był chyba wcześniej połączony ze statkiem, którego szczątki leżały teraz rozrzucone po całej krwawej okolicy.

Do ramienia wielkoluda przywierała blada rudowłosa kobieta w szarym uniformie. Carnival zmierzyła ją wzrokiem, ale nic nie poruszyło się w jej wspomnieniach. Nieznajoma miała zatkniętą za ucho małą różdżkę emitującą ostre białe światło, a w zgięciu łokcia trzymała szklaną buteleczkę. Jednocześnie operowała oburącz srebrnym urządzeniem.

Kiedy Carnival podeszła do tej osobliwej pary, poczuła dziwne prądy szarpiące jej nogi. Czuli się niemal tak, jakby rzeka ją badała. Słyszając plusk, odwróciła się szybko.

W niedużej odległości za nią szedł chłopiec ze statku. Gdy się zorientował, że go zauważyła, uskoczył za stos połamanych desek. Carnival zignorowała go i ruszyła dalej przez jeden z niskich wałów oddzielających kanały. Kiedy zeszła z niego po drugiej stronie, rzeka znowu ją objęła jak kochanek.

--Nie chcę z tobą walczyć! -- krzyknął olbrzym. -- Wybierz inną drogę, anielico.

Carnival nadal zmierzała prosto ku niemu.

--Uwolniłaś się z *Rotswarda*, ale nie z Piekła, co? -- stwierdził wielkolud spokojnym tonem. -- Jesteśmy tutaj po to, żeby walczyć z panem Labiryntu... uratować nasz świat... twój świat. Chodź z nami.

Carnival nie odpowiedziała. Znajdowała się w odległości dwudziestu kroków od giganta.

--Nie boję się ciebie -- mówił dalej olbrzym. -- Nienawidzisz mnie, tak? Ale ja ciebie nie nienawidzę. Przemoc między nami nie ma sensu.

Usłyszała, że chłopiec idzie za nią z pluskiem, ale tym razem się nie obejrzała. Całą uwagę skupiła na ogromnym wojowniku, który właśnie odsuwał od siebie rudowłosą kobietę.

--Już raz cię pokonałem, anielico -- przypomniał. -- I mogę zrobić to znowu, ale nie musisz ze mną walczyć. Chcesz przeprosin? W takim razie przepraszam. Mój pan wysłał mnie, żebym z tobą walczył, a ja go posłuchałem.

Carnival się zatrzymała. Ogarnęło ją niejasne wspomnienie: polana w kamiennym lesie, w którym każda gałąź i kolec były pokryte kolorowymi truciznami. Przypomniała sobie również mgłę.

--To ty -- powiedziała.

Mężczyzna posępnie skinął głową.

Carnival poczuła, że krew napływa do jej blizn. Mięśnie napięły się tak, że w kilku miejscach popękała przegniła skórzana zbroja. Skrzydła instynktownie wygięły się do tyłu. Anielica szykowała się do skoku.

Gigant sięgnął za plecy, gdzie koniec wielkiego sznura, rozdzielony na pasma, splatał się z siatkową uprzężą. Chwycił konopie w garść i oderwał je potężnym szarpnięciem. Kilka razy powtórzył tę czynność.

Carnival czekała.

Gdy włókno po włóknie pozbył się z pleców grubej liny, poruszył ramionami i zrobił krok do przodu.

--Teraz jestem gotowy -- oświadczył.

Carnival skoczyła.

Gigant zrobił unik z godną podziwu zręcznością i zamachnął się pięścią wielką jak młot.

Anielica uchyliła się przed ciosem, wbiła kolano pod jego kolano, chwyciła za tył uprzęży i pociągnęła go w dół.

Gigant nawet nie drgnął.

Równie dobrze mogłaby próbować powalić górę.

Jego pięść chybiła celu, ale drugim ramieniem wielkolud usiłował otoczyć jej szyję.

Carnival mu się wywinęła. Mocowali się przez jedno uderzenie serca, rozbryzgując wodę sięgającą im do goleni, aż w końcu anielica zadała mu potężny cios w gardło, który zabiłby normalnego człowieka.

Gigant puścił ją i cofnął się o krok.

Znowu stanęli naprzeciwko siebie.

Wojownik przez dłuższą chwilę mierzył przeciwniczkę wzrokiem, masując szyję.

--Poprawiłaś się -- stwierdził, kiwając głową. -- Jesteś znacznie szybsza niż kiedyś, co? I dużo silniejsza. To dobrze.

Jego rudowłosa towarzyszka nadal wpatrywała się w srebrne urządzenie.

--Ona nie jest aniołem -- oznajmiła w końcu. -- Ale lokalizator nie potrafi jej wysondować. Ona go przeraża.

Wielkolud wybuchnął gromkim śmiechem.

--Imponujące -- powiedział. -- Skoro jest w stanie wystraszyć mesmeryckie srebro, może też przerazić mury samego Piekła. -- Pokręcił szyją i przykucnął, wyciągając ręce, jakby zamierzał ją chwycić. -- A teraz pokaż mi jeszcze raz, co potrafisz.

Carnival skoczyła prosto na niego.

Gigant oplótl ją ramionami.

Anielica poczęstowała go potężnym kopniakiem w kolano i wyskoczyła saltem z jego uścisku, bijąc skrzydłami, żeby szybko nabrać wysokości.

Wielkolud stęknął z bólu.

Carnival pofrunęła w górę, okręciła się w powietrzu i zanurkowała ku przeciwnikowi.

Kotwica był gotowy. Zamachnął się pięścią.

Anielica przyhamowała gwałtownie, rozpościerając skrzydła. Gdy cios minął jej twarz o cal, zrobiła obrót i kopnęła wielkoluda w szczękę.

Jego głowa odskoczyła do tyłu, ale wcześniej zdążył się lekko uchylić, ratując kark przed złamaniem. Jęknął, obrócił się błyskawicznie i spojrzał w górę.

--Jesteś silniejsza niż...

Bijąc skrzydłami, żeby utrzymać się w powietrzu, anielica wykonała zamach nogą z półobrotu, celując stopą w szyję przeciwnika.

Wielkolud zrobił unik. Poruszał się z niezwykłą szybkością, ale nie dość szybko. Pięta trafiła go w usta z taką siłą, że zatoczył się w bok.

Gwałtownie zaczerpnął powietrza. Jego potężna pierś unosiła się i opadała w drewnianej uprzęży. Pot spływał po ciemnych policzkach i mieszał się z krwią ciekącą po brodzie. Olbrzym cofnął się, przyciskając palec do rozciętej wargi. Gdy zabrał rękę od ust i na nią spojrział, posłał anielicy czerwony uśmiech.

--Pierwszy raz ktoś utoczył ze mnie krew. -- Klasnął w wielkie dłonie i rzucił: -- No, chodź. Carnival podjęła wyzwanie.

Gdy tylko znalazła się w zasięgu przeciwnika, ten zadał jej serię szybkich ciosów, celując w twarz, pierś i szyję.

Carnival wszystkie zablokowała. Kiedy gigant sięgnął ponad jej ramieniem, żeby złapać ją za skrzydło, uderzyła go od dołu w szczękę. Rozległ się trzask, wielkolud stęknął, ale nie puścił skrzydła anielicy. Przyciągnął ją do siebie, napinając mięśnie barków.

Carnival wbiła zęby w jego kark. Poczwała krew.

--John! -- krzyknęła rudowłosa kobieta.

Anielica i olbrzym zwarli się ze sobą. Kotwica sapał i postękiwał, wykręcając skrzydło przeciwnicze, napierając na nią wielkim cielskiem. Carnival czuła jego pot, korzenny zapach skóry. Jej ramię nagle strzeliło głośno, kość wyskoczyła ze stawu. Szpikulec bólu. Anielica zignorowała ból, szarpiąc ciało przeciwnika zębami. Gorąca krew trysnęła na jej brodę.

--Zostaw go!

Ten krzyk dobiegł z innej strony. Carnival rozpoznała głos chłopca. Zawahała się na mgnienie oka i rozluźniła chwyt.

Wielkolud odepchnął ją z rykiem.

Carnival zatoczyła się w płytkiej wodzie, ale utrzymała na nogach. W złamanym ramieniu usadowiło się tępe pulsowanie.

Przeciwnik też był w kiepskim stanie. Zrobił niezdarny krok do tyłu, wciągając nosem wielkie hausty powietrza. Rękę przyciskał do krwawiącego karku.

Chłopiec stał w rzece, dziesięć kroków od giganta. Czerwona woda opływała jego chudą pierś. Dłonie trzymał splecione pod brodą, metalowe haki były rozpostarte jak wachlarze.

--Proszę, nie zabijaj go -- powiedział.

Carnival skierowała wzrok z powrotem na giganta. Zwichnięte skrzydło wisiało bezwładnie, pióra ciągnęły się po rzece. Zaciśnęła zęby, sięgnęła ręką za siebie i wepchnęła kość z powrotem do stawu. Ledwo zauważyła ból. Prostując niemal wygojone skrzydło, ruszyła wielkimi krokami na wroga, żeby zadać mu ostateczny cios.

--Nie! -- Chłopiec podbiegł i stanął między nią a wielkoludem.

--Odejdź, mały. -- Gigant chwycił go za ramię i próbował odepchnąć.

Chłopiec się zmienił.

Carnival przystanęła w pół kroku, kiedy skóra zaczęła spływać z kości dziecka jak wosk. Głowa stopiła się z ramionami. W miejscu, gdzie trzymał za nie gigant, chude ramię skurczyło się i zmieniło kolor. Kości pękły z cichym trzaskiem. W ciągu dwóch uderzeń serca całe ciało przekształciło się, stwardniało i nabrało metalicznego połysku. Chłopiec przestał istnieć w swojej poprzedniej postaci.

Zamiast niego wielkolud ścisnął teraz miecz.

Z urzędzenia, które trzymała w rękach rudowłosa, dobiegł szum.

--To szybkozmienny, John -- wyjaśniła kobieta, patrząc na odczyt. -- Mesmerycki demon.

John? Carnival spojrziała na przeciwnika. Teraz sobie przypomniała, że w zatrutym lesie nosił jeszcze jakiś przydomek. Kotwica.

John Kotwica zmarszczył brwi, patrząc na broń trzymaną w ręce. Zrobił zamach, żeby ją wyrzucić, ale z rękojeści odwinęły się metalowe nici i oplotły wokół jego nadgarstka.

Olbrzym warknął i próbował uwolnić się od miecza, ale nici zacisnęły się mocniej. Nie puszczały jego ręki.

--Na litość boską, John! -- krzyknęła kobieta. -- Chrzań swoje śmieszne zasady i po prostu go użyj!

Wielkolud złapał rękojeść miecza wolną dłonią i próbował ją oderwać.

--Puszczaj mnie! -- warknął:. -- Ja tak nie walczę.

Miecz zmienił się we włócznię.

Kotwica wściekle potrząsnął bronią. Uderzył nią o wodę, postawił stopę obutą w sandał w połowie długości drzewca i próbował je złamać.

Demoniczna broń wydała ostry krzyk. Zmieniła się z włóczni w krótką, żłobkowaną maczugę z wymyślnymi srebrnymi wieńcami i uchwytem z plecionego złota, który owinał się wokół nadgarstka wojownika jak wąż.

--Żadnych mieczy, żadnych włóczni, żadnych maczug! -- ryknął Kotwica. -- Nie będę cię używał.

Carnival obserwowała jego walkę. Choć wielkolud z całej siły wymachiwał ramieniem, broń nie chciała go puścić. Zmieniała się w luki, palki, tarcze, coraz bardziej wymyślne i piękniejsze niż poprzednie, ale Kotwica na żadną się nie godził.

--Dlaczego on to robi?! -- krzyknął do rudowłosej. -- Szybkozmienni czują ból. Odkąd to postanawiają walczyć?

--Może cię lubi, John.

W tym momencie Carnival przypomniała sobie słowa chłopca wypowiedziane na statku. „Może John, po moim ojcu”. Nie dostrzegала w nim podobieństwa do tego mężczyzny, ale z drugiej strony to dziecko było zmiennokształtnym.

Broń rozciągnęła się w dużą stalową tarczę z bogatym kwiatowym wzorem na zielonej i niebieskiej emalii, która lśniła w karmazynowym półmroku. W świecie ludzi kosztowałyaby majątek, ale Kotwica po prostu uderzył ją pięścią, wyszczerbiając kolorowy metal, aż w końcu szybkozmienny poddał się i go puścił.

Gigant ryknął gniewnie i cisnął tarczę przez Rzekę Przegranych. Poleciała, obracając się i polyskując w promieniach światła, które padało z góry, i zniknęła w oddali.

Anielica spojrziała na Kotwicę, a potem w stronę, gdzie zniknęła tarcza. Poruszyła na próbę zranionym skrzydłem, po czym wzbila się w powietrze. Zostawiła olbrzymiego wojownika i jego rudowłosą towarzyszkę i pofrunęła na drugą stronę czerwonej rzeki.

* * *

Zbiegły jeździec musiał bezzwłocznie wszcząć alarm, bo kiedy w końcu dotarli do osady, czekała na nich cała miejscowa armia.

Gdy dotarli na północny skraj wielkiego lasu, oczom Rachel ukazało się miasteczko położone nad jeziorem, brązowa wstęga drewnianych budynków ciągnących się wzdłuż brzegu,

otoczona palisadą od strony lądu. Mgła wisiała nad wodą jak kłęбки bawełny. Sto jardów od portu stały barki załadowane koksem i drewnem, ale marynarze wyprowadzali kolejne, puste jednostki z miejsc postojowych, żeby do nich dołączyć. Przy nabrzeżu zostały tylko mniejsze rybackie skifly. Najwyraźniej kupcy zostali na tyle wcześniej powiadomieni, że próbowali bronić swojej floty.

Blanki były obsadzone długimi szeregami żołnierzy, inni czuwali na wieżach strażniczych rozmieszczonych w równych odstępach wzdłuż murów. Większość stanowili łucznicy. Wyglądało na to, że w osadzie brakuje ciężkiego uzbrojenia -- katapult i skorpionów -- bo Rys zgromadził je w Coreollis.

Dill zatrzymał się i wolno obrócił głowę z boku na bok, żeby mogły dokładniej przyjrzeć się wszystkiemu.

--Nie wydaje się, żeby byli skłonni do słuchania -- stwierdziła Mina. -- Ale trudno coś wyrokować, jeśli chodzi o prowincjuszy. Czy Dill wie, co ma zrobić?

--Tak.

--Musi być przekonujący.

--On to rozumie!

Mina wzruszyła ramionami.

--Więc miejmy nadzieję, że nasz przyjaciel Oran jeszcze nie zabił Haspa.

--Alkohol leje się tam strumieniami, więc raczej nie panują nad sytuacją. Jeszcze nie zauważyli miasteczka.

Mina pokiwała głową.

--To się zmieni.

Dill znowu ruszył przed siebie i wkrótce znalazł się w zasięgu łuczników. Grad strzał posypał się z blanków, a za nimi drugi, mniejszy, z ulic tuż za murami. Ze świstem przecięły mgliste powietrze. Większość z brzękiem trafiła w opancerzone golenie Dilla, nie wyrządzając im żadnej szkody, ale kilkadziesiąt wbiło się w ściany „Zardzewiałej Piły”.

Po jakimś czasie w drzwiach gospody pojawił się jeden z ludzi Orana. Uczepiony framugi, chwiał się przez chwilę, a kiedy zobaczył miasteczko i jego obrońców zgromadzonych tłumnie na murach, oszłomiony potrząsnął głową. Spojrzał jeszcze raz i czmychnął z powrotem do tawerny.

--Zaczyna się -- powiedziała z uśmiechem Mina.

W stronę arkonity wypuszczono drugą serię pocisków. Oburącz ściskając tasak, Dill uniósł go wraz z gospodą wysoko nad głowę, jakby chciał chronić budynek, i ryknął.

--Niezłe zagranie -- stwierdziła taumaturg. -- Może ktoś uzna to za groźne.

--Nie przesadzaj, Dill! -- zawołała Rachel.

Gdy wielki automat dotarł do palisady, Rachel usłyszała krzyki obrońców dobiegające z dołu i wrzaski ludzi Orana płynące z góry. Zauważyła drwali, którzy zerkali spomiędzy palców Dilla. Mieszkańcy osady rozbiegli się w dwie strony wzdłuż ogrodzenia. Na przyległych ulicach zaczęły się zbierać grupy ludzi.

Dill uniósł stopę i postawił ją z trzaskiem na drewnianych umocnieniach. Część wału i pali się zawałiła. O jego zbroję znowu uderzyły strzały wypuszczone przez żołnierzy stojących na murach. Arkonita zrobił kolejny krok i tym razem zostawił w ziemi głęboki rów pelen roztrzaskanego drewna. Wszedł do miasta.

Stanął na początku długiego błotnistej szlaku, który prowadził na nabrzeże. Powietrze było rześkie, cienkie smugi dymu z kominów unosiły się nad łupkowymi dachami. Z okien po obu stronach ulicy wyglądały pobladłe twarze. Czyżby mieszkańcy nie mieli dość okazji, żeby uciec? Nie bali się o życie?

Z dołu dobiegły gniewne głosy. Dwa oddziały żołnierzy ruszyły ku arkonicie i długimi pikami zaatakowały jego kostki zakute w żelazo.

Dill opuścił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Rachel potoczyła się do wewnętrznej strony jego zębów i złapała za górną krawędź wielkiego, gładkiego siekacza. Kiedy automat opuścił tawernę i przycisnął ją do napierśnika jak dziecko, pękła jedna ściana szczytowa i roztrzaskały się dwa okna. Dill uniósł stopę, jakby chciał zmiażdżyć atakujących.

Ludzie, którzy znaleźli się w jej ogromnym cieniu, rozerwali szyki i uciekli, zanim arkonita ze straszliwą siłą postawił nogę na ziemi. Nawet Rachel odczuła ten wstrząs. Głowa i tak cały czas ją bolała. Po kolejnym stąpieniu Dill zostawił za sobą tylko błotnisty krater. Nikt nie odniósł ran.

--Dobrze! -- krzyknęła asasynka. -- Teraz jezioro.

Tuląc do siebie gospodę i ogromny kradziony tasak, Dill ruszył po zboczu w stronę brzegu. W oknach tawerny pojawili się drwale Orana, żeby obserwować rozwój wydarzeń. Tylne drzwi „Zardzewiałej Pily” otworzyły się gwałtownie i pojawił się w nich dowódca. Z trójką ludzi zapuścił się na sam skraj fundamentów budynku i spojrzął z góry na ulice miasta. Był zbyt zaabsorbowany sceną rozgrywającą się w dole, żeby oderwać od niej wzrok.

Rachel nadal słyszała rozkazy wykrzykiwane przez obrońców i przekleństwa, ale ulice były opustoszałe. Wzdłuż nich ciągnęły się jedno i dwupiętrowe drewniane domy z oknami podzielonymi na szyby w kształcie rombów, z wysuniętymi okapami i dachami krytymi gontem. Dill w dwunastu krokach pokonał odległość do niskich nabrzeży z drewnianymi magazynami i hangarami na łodzie. Nad samą wodą stały duże konstrukcje złożone z trzech belek, lin, łańcuchów i kołowrotów, służące do dźwigania towarów.

Wszystkie większe jednostki już wyprowadzono na głębszą wodę, ale zbieranina mniejszych nadal zajmowała miejsca do cumowania. Dill ukucnął i pochylił się, żeby jednemu z nich przyjrzeć się uważniej.

Rachel zakręciło się w głowie od tego gwałtownego ruchu. Kiedy skifry nagle się do niej zbliżyły, kurczowo przywarła do zębów arkonity. Na szczęście niepokojące kołysanie ustało. Rachel usłyszała skrzypienie.

Dill podniósł łódź wolną ręką, po czym odwrócił się w stronę miasteczka.

Główną ulicą maszerowało ku nim około dwóch tysięcy ludzi w miejskiej milicji. Byli uzbrojeni w drągi, łuki albo włócznie, wielu niosło zapalone żagwie. Pomarańczowe płomienie tańczyły między pochyłymi budynkami, chmura szarego dymu podążająca za awangardą snuła się nad hełmami tych, którzy szli z tyłu.

Zabrział róg.

Rachel zerknęła na Minę.

--Arkonici?

--Nie, to miejscowi -- odparła taumaturg. -- Wezwanie. Jeszcze mamy czas.

Automat rzucił łódź w stronę zbliżającego się wojska.

Stateczek miał zaledwie dwadzieścia stóp długości, więc Dill mógł cisnąć go prosto w

środek obrońców albo pół mili za osadą. Obracając się w powietrzu, łódź wylądowała na głównej ulicy dużo przed oddziałem milicji i rozpadła się na deski. Żołnierze wzniesli triumfalne okrzyki i przyspieszyli kroku.

Dill ryknął. Silniki w jego piersi zahuczały, przez spojenia w zbroi buchnęły kłęby gorących, czarnych oparów. Arkonita cofnął się do jeziora, rozbił jedno molo i trzy następne lodzie. Zrobił trzy kroki, wchodząc po golenie do wody, schylił się po następny statek... i zamarł.

Przez długą chwilę trwał w bezruchu, przykucnięty nad portem, jakby chwycił go ból w stawach. Następnie zadrzał i głośno jęknął.

Powoli opadł na kolana. Wywołana przez niego ogromna fala przetoczyła się przez nabrzeża, unosząc lodzie i osadzając je na ziemi. Woda uderzyła w magazyny, porwała beczki i skrzynie z towarami, po czym wolno cofnęła się do jeziora. Wielki automat pochylił się i opadł na łokcie, trzymając gospodę przed sobą na wielkim tasaku jak ranny próbujący ratować dziecko... albo jakby prosił o wybaczenie zbliżające się wojsko. Spuścił głowę, jego szczęka wbiła się w błoto nadbrzeżnej ulicy.

--Marne aktorstwo -- skomentowała Mina.

--Zaczekajmy -- mruknęła Rachel.

Wielu obrońców zawahało się, najwyraźniej podejrzewając podstęp. Ale inni krzyknęli zwycięsko i popędzili w stronę leżącego arkonity. Drwale Orana tkwili uwięzieni w budynku gospody pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Rachel miała nadzieję, że wystarczy im rozsądku, żeby tam zostać.

--Ty to zrób -- powiedziała do Miny.

Taumaturg prychnęła.

--Nie ma mowy. To był mój pomysł, więc ty to zrób.

--Nie będę krzyczeć.

--Ja też nie.

Asasynka zmierzyła ją wzrokiem.

--Mino, nie chcę się z tobą kłócić. Twój krzyk będzie bardziej przekonujący. Ja nie jestem przyzwyczajona...

Taumaturg uniosła ręce i poszła w głąb szczęki. Schyliła się i wzięła z dywanu miecz Rachel.

--Będę w jego czasce wyczyniać groźne rzeczy bronią asasynów -- powiedziała. -- Zobaczymy się za chwilę. -- Bazylis zawarczał i pobiegł za nią.

Rachel wyjrzała przez szczeliny między zębami Dilla. Obrońcy miasta zgromadzeni po drugiej stronie zalanej ulicy ostrożnie ruszyli do przodu z wyciągniętą bronią.

--Niech cię bogowie przeklą, Mino -- mruknęła asasynka.

Przelknęła ślinę i zawołała o pomoc.

Nie był to dramatyczny wrzask, o który prosiła Mina. Rachel nie miała nawet pewności, czy jej krzyk zabrzmiał tak, jakby komuś groziło niebezpieczeństwo. Tak czy inaczej wystarczył, żeby obrońcy się zatrzymali.

Leżąc na brzegu jeziora i trzymając przed sobą gospodę na uniesionej ręce, Dill wyglądał na pokonanego. Przynajmniej taką nadzieję miała Rachel. Obrońcy na pewno byli podejrzliwi. Ich gigantyczny wróg runął na ziemię bez widocznego powodu. Teraz asasynka musiała jedynie im go podać.

--Tutaj! -- zawołała.

Zobaczyła wysokie buty i ubłocone spodnie na zewnątrz szczęki, błysk stali na czubkach włóczni i klingach mieczy. Usłyszała ochryple krzyki i ostre rozkazy. Między dwoma zębami arkonity pojawiło się ostrze krótkiego noża, a za nim twarz młodego mężczyzny...

--Pomóż mi wyjść -- wykrztusiła błagalnie asasyńska. -- Proszę.

--Kim jesteś? -- spytał żołnierz.

--Jeńcem -- powiedziała Rachel. -- Proszę, wydostań mnie stąd, zanim ludzie Menoi odzyskają kontrolę nad tym monstrum. Nie da się na długo go unieszkodliwić.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

--Ilu was tu jest?

--Dwie kobiety. -- Starła się mówić żalonym tonem. Pomagało jej to, że czuła się żalona. -- Ci ludzie z tawerny nas tutaj zamknęli. Są przewodnikami arkonitów Menoi od bitwy pod Coreollis. Mają nawet brata Rysa jako zakładnika.

--Rysa?

--Kto to jest? -- zapytał ktoś.

--Kobieta -- odparł żołnierz. -- Jest tutaj uwięziona.

Odsunął się na bok, a do środka zajrzał starszy wojak z brodą i metalowym płytkim hełmem na zaplecionych włosach.

--Jak, do diabła, pani się tutaj dostała? -- zapytał. -- I co się stało temu golemowi?

Rachel wzięła głęboki wdech i powtórzyła swoją historijkę. Stary żołnierz słuchał uważnie, ale nadal mierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

Poczekał, aż skończy, i wtedy zapytał:

--Najemnicy? Ma pani na myśli drwali uwięzionych w tamtym budynku?

--Król Menoa zapłacił im złotem. -- Zebrała garść monet rozrzuconych po podłodze i podała mu je przez szparę. -- Są ich tutaj całe skrzynie.

Wojak spojrział na pieniądze, ale nie wziął ich. Upadły na ziemię.

--Zapłacił im, żeby przyprowadzili tutaj tę bestię?

--Dziewięciu innych jest już w drodze -- odparła Rachel. -- Ale my wiemy, jak ich powstrzymać. Proszę, wydostańcie nas stąd, nie mamy dużo czasu.

Wiarus się odsunął, a w jego miejsce pojawił się trzeci, w wieku pierwszego. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia i po chwili on też zniknął. Rachel dostrzegła ruch na zewnątrz, migotanie pochodni. Usłyszała, jak dwóch pierwszych mężczyzn rozmawia przyciszonymi głosami. W końcu starszy żołnierz wrócił do otworu. W ręce trzymał długi drąg.

--Cofnijcie się -- powiedział. -- Musimy otworzyć to siłą.

Wsadził tykę między zęby arkonity i nacisnął jeden koniec. Na umówiony znak Dill otworzył usta.

--Dziękuję -- powiedziała Rachel i zaczęła wychodzić z ust automatu.

--Chwileczkę -- zatrzymał ją żołnierz. -- Jedna rzecz mi się tutaj nie podoba. Proszę się odsunąć.

Kiedy asasyńska go posłuchała, wszedł do środka i stanął obok niej.

Był niski i przysadzisty, o potężnych barkach i oczach brązowych jak jego nieforemna skórzana zbroja. Nos miał krzywo zrosnięty po złamaniu, brzydki i nienaturalnie duży pod stalowym hełmem. W pochwie wiszącej u pasa nosił krótki miecz, a na plecach ogromny młot w

pętli przewieszanej przez ramię. Przez dłuższą chwilę rozglądał się po mrocznym wnętrzu, a potem skierował wzrok na nią.

--Jeszcze dziewięciu, mówi pani?

Rachel kiwnęła głową.

--Niedawno zauważyliśmy dwóch w pobliżu Harwood. -- Powiódł spojrzeniem po ciemnej pieczarze, zatrzymał je na stosach skrzyń i rozrzuconych monetach. -- Do tej pory nie mieliśmy żadnych wieści od wież strażniczych na Wycke Road i Boulder. Nie przysłali ptaków, zupełnie nic. A teraz lepiej proszę mi wyjaśnić, dlaczego giganci Menoi kierują się w tę stronę. Ci drwale i ich kobiety w tawernie też płaczą o pomoc. Twierdzą, że są więźniami.

--Kłamią -- oświadczyła Rachel. -- Arkonita chronił ich przez całą drogę z Coreollis.

--Pani tak twierdzi -- burknął żołnierz. Jego piwne oczy wpatrywały się w nią uważnie. -- Niektórzy z tych drwali są nam znani. Zwłaszcza Oran Garstone. Żyje pani jeszcze tylko dlatego, że dobrze wiem, co z niego za człowiek. -- Zrobił pauzę. -- Nie sądzę jednak, żebyśmy z tego powodu stali się przyjaciółmi. Nie znam pani, ale potrafię wyczuć kłamstwo i nie wierzę w to, co mi pani opowiedziała.

--Jesteśmy z Deepgate -- powiedziała Rachel. -- Z miasta Ulcisa. Cospinol przywiózł nas tutaj, żebyśmy walczyli z Rysem w Corcollis. Wycięliśmy mesmerystów w pień, ale potem Menoa wypuścił swoich arkonitów. Rys rozkazał nam...

--Pani przyjaciółka jest w środku?

--Tam. -- Asasynka wskazała na korytarz techniczny widoczny w głębi szczęki. -- Znalazłyśmy sposób, żeby unieruchomić arkonitę. Pokażę panu. -- Dała mu znak skinieniem ręki, żeby poszedł za nią.

Żołnierz odchrząknął.

--Zastanę ją tam z ostrzem wymierzonym w mózg giganta?

Rachel nie odpowiedziała. Rzeczywiście coś takiego by zobaczył. Mina miała stać nad jakimś ważnym ogniwem maszynierii, gotowa zadać cios złemu arkonicie, gdyby ten nie posłuchał jej rozkazów.

--Jak się pan nazywa? -- zapytała.

--Ludzie mówią na mnie Żelazny Łeb.

--Rządzi pan tym miastem?

--Burntwater. Dowodzę tutejszą milicją.

--Rachel. A kobieta z nożem to Mina.

W tym momencie dotarły do nich odgłosy sprzeczki między milicją Burntwater a dwójką ludzi Orana uwięzionych w gospodzie. W obie strony poleciały obraźliwe słowa. Drwale zaczęli kopniakami zrzucić grudy ziemi na stojących w dole żołnierzy. Jeden z podwładnych Żelaznego Łeba zaśmiał się pogardliwie.

Kapitan zaprowadził rykiem porządek i odwrócił się z powrotem do Rachel.

--Więc jaka jest prawda, panno Hael? Dlaczego zabiliście dwóch moich strażników, a trzeciemu pozwoliliście uciec? Dlaczego w ogóle przybyliście do Burntwater? Jaki był cel tej niedorzecznej szopki z rzucaniem łodzi? I jak to się stało, że podróżuje pani z moim bratem?

--Pańskim bratem?

--Oran jest moim bratem.

Rachel westchnęła. Skoro Żelazny Łeb chciał jej wysłuchać, nie było sensu ciągnąć dalej

tej farsy.

--Mogę stąd wyjść?

Kapitan podał jej rękę.

Asasynka opowiedziała mu wszystko: o planie, żeby dotrzeć do zamku Sabora, o decyzji, żeby po drodze zebrać armię, o walce Dilla z arkonitą i jej późniejszych skutkach dla Haspa. Przyznała się, że zabiła dwóch ludzi Orana w barze „Zardzewiałej Piły”, żeby ochronić szklanego boga. I po chwili wahania wydusiła z siebie nawet prawdę o wieży strażniczej. Że zniszczył ją Dill.

--Popelniła pani dużo błędów -- stwierdził Żelazny Łeb.

--To dopiero moja druga wojna. Uczę się.

Stary żołnierz podrapał się po brodzie.

--Mam powód wierzyć, że Sabor uciekł z Coreollis cały i zdrowy -- oznajmił. --

Zaprowadzimy was do jego zamku.

--Jak to daleko?

--Do *Obscure*. Nie dalej niż godzinę drogi łodzią i kolejne dwie marszu. Królestwo Herica leży po drugiej stronie jeziora. Moja rodzina stamtąd pochodzi. -- Pokiwał głową, jakby uzgadniał ze sobą elementy planu, który formował się w jego myślach. -- Większość nadal pracuje dla Sabora, od kilkudziesięciu lat.

--Chyba ma pan dużą rodzinę.

--Można tak powiedzieć. -- Posłał jej enigmatyczny uśmiech. -- Dzięki Saborowi mam szczęście posiadać największą rodzinę w historii świata. -- Odchrząknął. -- Szkoda, że ze wszystkich moich braci najpierw poznała pani Orana. -- Zajrzał w głąb czaszki Dilla. -- Mogę zobaczyć, jak działa ten gigant?

--Lepiej uprzedzę Minę.

--Wszystko słyszałam, Rachel! -- zawołała taumaturg. -- Może mam uszy ze szkła, ale nie jestem głucha. Poczekajcie, już wychodzę.

Wydostała się z niskiego korytarza, jak zwykle trzymając na rękach swojego demonicznego psa. Żelazny Łeb uniósł brwi na jej widok, ale nic nie powiedział. Zajrzał w mroczną czelusć.

--Zaraz wracam -- powiedział.

Ruszył na czworakach wąskim przejściem. Jego młot szorował o sklepienie.

Mina odprowadziła go wzrokiem.

--Zamierzam wziąć od niego miedziaka, kiedy wyjdzie -- oznajmiła. -- Przypominają mi się czasy, kiedy prowadziłam cyrk osobliwości.

--Nie weźmiesz od niego żadnych pieniędzy.

--A powinnam. Po co tam zagłada? Ci prowincjusze! -- Podeszła do otwartej szczęki Dilla i spojrzała na milicję Burntwater. -- Co z wami?! -- krzyknęła. -- Nigdy nie widzieliście mesmeryckiej wiedźmy bez skóry?

Żołnierze mieli takie miny, jakby zamierzali uciec, ale po chwili z szeregu wystąpił młody mężczyzna, który pierwszy dotarł do Rachel.

--Gdzie kapitan? -- spytał.

Mina pokazała kciukiem za siebie.

Wojak wsadził głowę między zęby giganta.

--Kłopoty, kapitanie! -- krzyknął. -- Przybyła reszta tych drani.

* * *

Carnival nie wiedziała, dlaczego poleciała za zmiennokształtnym chłopcem. Nic do niego nie czuła, podobnie jak do jego ojca. Tutaj w Piekło nie dręczył jej głód. Nie zastanawiała się nad powodami, dla których John' Kotwica cisnął tę dziwnie upartą broń daleko przez podziemną rzekę. Po prostu jej to nie obchodziło.

A jednak ze wszystkich dróg, które mogła wybrać, instynkt pchnął ją właśnie tą, która miała zaprowadzić ją do chłopca.

Większość uznałaby otoczenie za zbyt mroczne, ale oczy Carnival były od dawna przyzwyczajone do ciemności. Leciała dziesięć jardów nad wodą, między promieniami gazowego światła lamp, które padało z otworów w sklepieniu z czerwonej cegły i żelaza. Obserwowany spod przymkniętych powiek bagnisty krajobraz przypominał rozrośnięte drzewo o prostych złotych konarach, zwieńczone czerwonym kwietnym baldachimem. Woda bulgotała i z pluskiem omywała lśniąca brzegi, które wyglądały jak zbudowane z mięśni. Wyostrzony wzrok anielicy sięgał aż po daleki horyzont, co przyprawiało ją o zawroty głowy, podobnie jak kontrast między lekkimi, świetlistymi smugami przecinającymi bezkresną rzekę a ogromnym ciężarem Pieła, które się nad nią wznosiło.

Chłopiec, który nazywał siebie Może John, znowu przybrał ludzką postać. Siedział samotnie na jednym z mięsistych nasypów oddzielających kanały, z łokciami opartymi na kolanach. Nogawki jego spodni były mokre od krwi. Kiedy Carnival się zbliżyła, spojrzał w górę.

Wylądowała dziesięć jardów od niego, na płyciźnie sięgającej kostek. Nadal czuła się nieswojo w jego obecności i zupełnie nie miała pojęcia, dlaczego właściwie go odszukała. Przez dłuższą chwilę tylko na niego patrzyła. Może zjawiła się tutaj z czystej ciekawości? Ostatecznie nigdy wcześniej nie widziała kogoś takiego. A może mroczniejsza część jej serca miała zupełnie inny motyw?

--Nie pamiętam, jak wyglądałem kiedyś -- odezwał się nagle chłopiec. -- Może dlatego mnie nie poznał. -- Uniósł palec przed twarzą i obserwował, jak jego ciało zmienia się w cienki metalowy szpikulec, a ten następnie zagina się, tworząc hak. -- Tylko nie mów, że powinienem był mu powiedzieć. Nie ma sensu tego robić, dopóki nie będę miał pewności, że to mój stary.

Carnival milczała.

--Nie pamiętam dużo z czasów, zanim dopadli mnie Ikaraci -- ciągnął Może John. -- Mesmeryści tak właśnie działają. Przekonują cię, że jesteś kimś innym, a ty im wierzysz. -- Opuścił rękę i zapatrzył się w wodę. -- Nie jestem szybkozmiennym. Po prostu wmówili mi, że nim jestem. -- Zrobił pauzę. -- Musiałaś zabić Mońka?

Anielica nie odpowiedziała.

--On tylko próbował poluzować śruby -- mówił dalej chłopiec. -- Wszyscy na statku byliśmy głodni, ale nie musiałaś go zabijać. -- Spojrzał na nią uważnie. -- Mnie też teraz zabijesz?

Carnival nadal się nie odzywała.

--A może potrzebny ci miecz? Większość ludzi chce mieć taką broń. Szybko się nauczysz nim władać. Mesmeryści oddali mnie pewnemu szlachcicowi z Cog, ale jego żona umarła na kaszel, a on się zabił moją klingą. Stałem się dla niego naprawdę ostry, tak jak mnie prosił.

Wszystkie palce chłopca nagle zmieniły się w noże, a te zaślniły w niepewnym świetle.

--Dobry miecz to trudna sprawa. Z młotami jest łatwiej, ale bardziej boli, kiedy są używane. Jeśli potrzebujesz broni, potrzebujesz mnie.

--Nie -- przemówiła w końcu anielica.

To była prawda. Tutaj w dole czarny księżyc na nią nie działał. Pragnienie zemsty, której domagało się jej serce, została zaspokojone. Już nie czuła żądzy zabijania. Spojrzała na bezkres Labiryntu, na miliony dusz uwięzionych razem, i nagle zrobiło się jej zimno. Czerwona rzeka jakby szarpała ją za kostki. Carnival schyliła się, zaczerpnęła jej dłonią i uniosła do ust.

Woda smakowała śmiercią.

Chłopiec obserwował ją z ponurą miną.

--Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł -- stwierdził. -- To jej się wcale nie spodoba.

Rzece?

Nagle Carnival poczuła w gardle dziwny nacisk, jakby wypity płyn cofał się z powrotem do ust. Zakaszła i próbowała go wypluć, ale on wcisnął się do nosa i gwałtownie buchnął nozdrzami.

Anielica się zakrztusiła.

Chłopiec wstał.

--Już nadchodzą -- powiedział szybko. -- Zabierz mnie stąd. Mogę być dla ciebie użyteczny.

Anielica zaczerpnęła tchu i odwróciła się, dostrzegłszy ruch kątem oka.

Działo się coś dziwnego. Woda pieniała się i bulgotała.

--Proszę, uciekajmy stąd, nim będzie za późno -- błagał zmiennokształtny. -- Weź mnie ze sobą.

Z miriadów okolicznych kanałów powstała armia czerwonych wojowników, odzianych w kleiste zbroje. Carnival potoczyła wokół siebie wzrokiem i zobaczyła, że z rzeki wylania się coraz więcej żołnierzy o twarzach z grubsza ludzkich, ale podobnych raczej do topornych rzeźb, pozbawionych szczegółów. Jednakże ich ociekająca wodą broń wyglądała na dostatecznie ostrą.

Chłopiec złapał ją za rękę, wydłużywszy ramię, żeby sięgnąć nim na dziesięć kroków, które ich dzieliły.

--Oni są niebezpieczni! -- krzyknął. -- Leć.

Carnival wyrwała rękę, mając w pamięci sztuczki, które stosował, żeby przyczepić się do wielkoluda. Zamachała skrzydłami i wzbila się w powietrze.

Chłopiec coś do niej krzyknął, ale jego słowa zagłuszył głębszy głos, dochodzący zewsząd jednocześnie.

--Wracaj!

Rzeczni ludzie przemówili jak jeden człowiek.

Instykt nakazywał Carnival lecieć wyżej. Serce dudniło jej w piersi. Skóra mrowiła w miejscach niezliczonych starych ran, napelniając ją falą nienawiści i gniewu. Dwadzieścia jardów nad rzeką zatrzymała się i spojrzała w dół.

Coś ogromnego formowało się we wzburzonej wodzie. Z początku wyglądało jak wielki bąbel, ale w miarę jak anielica patrzyła, pęczniało i przybierało nowy kształt. Po obu stronach pojawiły się ramiona, a potem dłonie. Kiedy Carnival uderzyła skrzydłami, żeby polecieć wyżej, karmazynowa postać wyprysnęła w górę jak gejzer.

Przez chwilę częściowo uformowana gigantyczna postać z kości, ścięgien i wody zataczała się przed nią jak pijana. Gdy już się wydawało, że zaraz opadnie, sięgnęła po nią rękami.

Carnival nie zdążyła pofrunąć wyżej. Czerwone palce zamknęły się wokół jej nogi i pociągnęły ją mocno w dół. Zanim uderzyła w wodę, wyraźnie zobaczyła majaczącą nad nią istotę. Z jej pleców wyrastały skrzydła, twarz bez oczu była poznaczona bliznami.

Anielica zacisnęła oczy i usta, kiedy znalazła się pod wodą. Rzeka była płytka. Carnival oparła się plecami o coś miękkiego i uginającego się. Walczyła, próbowała wstać, ale gigant więził ją w uścisku.

Tonęła...

Rzuciła się gwałtownie, orząc paznokciami rękę, która ją trzymała. Poczula twarde kłykcie pod rozdartą skórą, dużo twardsze niż otaczająca ją woda. Jej palce zamknęły się na czymś okrągłym i solidnym. Machnęła tym czymś w bok.

Gigant zwolnił uścisk.

Carnival wyskoczyła na powierzchnię rzeki. Zaczepnęła tchu i wstała chwiejnie.

Ogromna istota przybrała postać anioła. Górując nad rzeką, ścisnęła własną dłoń, jakby z bólu. Jej jasnoczerwone ramiona były pocięte ciemniejszymi, karmazynowymi ranami. Stwór chwiał się na długich nogach, jakby jeszcze nie nauczył się ich używać.

Jednak rzeczni wojownicy nie mieli tego rodzaju trudności. Szybko zbliżali się do anielicy, z gotową do użycia bronią wykutą z krwistej cieczy. Najbliższy odchylił do tyłu włócznię...

Carnival poczuła, że mała dłoń chwyta ją za rękę. Zmiennokształtny chłopiec stał u jej boku, ale tylko jego głowa wystawała ponad spienioną wodą.

--Puszczaj! -- krzyknęła, odwracając się gwałtownie.

Włócznia śmignęła obok jej ramienia. Carnival zobaczyła, że z garści rzeczno człowieka, który ją rzucił, wyrasta następna. Ogarnęła ją zimna furia. Jej spojrzenie powędrowało ku jego mokremu czerwonemu gardłu. Anielica przyczaiła się do skoku.

--Potrzebujesz broni! -- Zmiennokształtny nadal trzymał ją za rękę.

Kiedy na niego spojrzała, zaczął się zmieniać. Jego ciało zmniejszyło się i skręciło, przybierając nową postać. Błysnęła stal.

--Przyłącz się do mnie -- przemówiła znowu rzeka głosem cichym jak deszcz.

Chybotliwy gigant pochylił się nad nią, sięgając rękami do jej szyi.

Carnival machnęła mieczem.

Jego ostry koniec napotkał niewielki opór, ucinając koniuszki dwóch palców giganta. Zanim spadły do wody, Carnival odchyliła broń do następnego ataku. Drugi cios rozplatał dłoń przeciwnika. Czerwone krople spryskały jej twarz. Anielica poczuła, że tężeją na jej skórze... i zaczynają się poruszać.

Ogarnęła ją wściekłość.

Przypuściła gwałtowną szarżę, tnąc ramiona giganta i ręce rzecznych ludzi, którzy próbowali ją schwytać. Rozplatała ociekającą czaszkę, doskoczyła do giganta, wbiła ostrze głęboko w jego kolano i przekręciła je błyskawicznie.

Istota osunęła się do wody.

Rzeka zawyla.

Tymczasem mniejsi wojownicy kontynuowali atak. Carnival rzuciła się między nich, w szale siekąc wokół siebie demonicznym mieczem. Wkrótce otoczyła ją czerwona chmura krwi.

Przeciwników było wielu, a kiedy padali, w ich miejsce stawali inni. Carnival nie mogła zabić ich wszystkich ani powstrzymać się od rzezi. Miecz wykonywał dziki taniec furii.

Woda próbowała ją wciągnąć, ale ona nie zamierzała po raz drugi do tego dopuścić. Gdy tworzyła przed nią ściany, ona się przez nie przebijała. Czerwona broń atakowała ją ze wszystkich stron, ale Carnival parowała ciosy i oddawała przeciwników wodzie, z której powstali.

Oni jednak napływali nieustępliwymi falami. A Carnival, z czarnymi oczami błyszczącymi w świetle lamp Piekła, brnęła naprzód przez krwawe wody na ich spotkanie. Zrezygnowała z wszelkich myśli o ucieczce. Jej duszę całkowicie wypełniła wściekłość. Jeśli ta niekończąca się rzeka miała kres swoich możliwości, ona zamierzała go zbadać.

* * *

John Kotwica dostrzegł zamieszanie daleko w mroku. Wyglądało to jak front czerwonej burzy przesuwejacej się po powierzchni wody.

--To mniej więcej tam, gdzie rzuciłem szybkozmiennego -- zauważył.

Harper zerknęła na lokalizator, a potem znowu na horyzont.

--To Carnival -- powiedziała. -- Mój lokalizator za bardzo się boi szukać ruchu dusz w tamtym kierunku. Już wcześniej miał do czynienia z rzeką, ale nie z nią. Nie wiem, kim ona jest, John.

Wielkolud uśmiechnął się szeroko.

--Musisz zdyscyplinować swoje mesmeryckie narzędzia, nie uważasz? A może od czasu do czasu je uściskaj?

--Uściski tylko wprawiają je w zakłopotanie.

Kotwica się roześmiał, a następnie wsparł pięści na biodrach i westchnął przeciągle.

--Wpadliśmy jak śliwka w kompot, co? Rzeka zwróciła uwagę na anielicę. -- Przeciągnął stopą przez nieruchomą wodę. Prądy nagle przestały ich popychać ku Dziewiątej Cytadeli. -- Teraz nie wiemy, w którą stronę iść. Bóg Przegranych znalazł inne zajęcie.

--I dobrze, sądząc po wyglądzie tej chmury -- stwierdziła Harper.

Kotwica obejrzał się na wrak *Rotswarda*. Ze statku i jego zawartości niewiele pozostało: żadnych dużych części nadbudówki, żadnych ciał.

Żadnych pereł dusz.

Oddał je rzece, a nie mając ich więcej, wkrótce straci siły.

--Bardzo duży słoik kompotu -- mruknął.

A potem znowu się uśmiechnął i odwrócił do inżynier. Odruchowo zerknął na buteleczkę, którą tuliła do serca. Na pojemnik z duszą jej męża.

* * *

Na zalanej wodą ulicy zapanował chaos. Po rozmowie z Żelaznym Łbem Rachel powiedziała Dillowi, żeby zakończył przedstawienie i postawił gospodę na nabrzeżu. Następnie wyszła na zewnątrz razem z Miną, podczas gdy obrońcy miasta przegrupowywali się pośpiesznie. W stronę taumaturg pomknęły liczne spojrzenia, ale nie zatrzymywały się na niej długo, bo w tym czasie kapitan milicji Burntwater wykrzykiwał rozkazy.

--To jest ewakuacja! Kobiety i dzieci na barki i skiffy. Holden, daj znak pilotom. Spindle, weź swoich ludzi i... już wiesz, co robić. Chcę mieć dwanaście oddziałów, cztery na wschód i cztery na zachód od Hoggarty Row. Trzecia grupa zajmie pozycję na skrzyżowaniu Ashblack i

Green Darrow albo tak blisko, jak się da. Bernlow, Maik, Cooper, Geary, Wigg i ktoś jeszcze... ty, Thatcher, postarajcie się rozdzielić atakujących i trzymać ich dala od nabrzeży. Nękaście ich, a potem zróbcie odwrót, żeby was nie zmiażdżyli.

W tym momencie zaczął szczekać Bazylis. Mina bezskutecznie próbowała go uciszyć. Pies szarpał się w jej ramionach, wpatrując się w zebranych.

--Co mu jest? -- zapytała Rachel.

Taumaturg spojrzała na tłum i wzruszyła ramionami.

--Nic. Najwyraźniej szczeka na ciebie.

--Na mnie?

Przerwało im trzaśnięcie drzwi.

Z tawerny wypadł Oran, czerwony z wściekłości, ale zatrzymał się na widok Żelaznego Łba.

--Chyba nie układasz się z tymi jędzami? -- warknął, łypiąc z pogardą na Rachel i Minę. -- My...

--Zamknij się, Oran -- rzucił kapitan. -- Patrz tam. -- Wskazał palką na południowy kraniec osady i odwrócił się do nadbiegających żołnierzy. -- Podpalcie koks w magazynach -- rozkazał. -- Polejcie go najpierw smołą, jeśli zdążycie. Kolejne dwa oddziały... Weatherman i Block, znajdźcie je i przekazcie wiadomość. Chcę, żeby za chwilę płonął cały port.

--Kapitanie? -- Młody porucznik zmarszczył brwi.

--Dym, człowieku, dym. Są za wielcy, żeby ich pokonać, więc potrzebujemy osłony i zamieszania. Mgła jest za rzadka, żeby nas ukryć.

--Tak jest.

Tymczasem Oran ujrzał wroga za palisadą i rozdziawił usta.

Nad miasteczkiem górowało sześciu arkonitów. Ich zbroje jaśniały słabo we mgle, wielkie czaszki obracały się wolno, kiedy spoglądali na ulice pod swoimi żelaznymi butami. Za nimi, niczym blade zorze, połyskiwały w rozproszonym świetle wielkie przezroczyste skrzydła.

Żelazny Łeb chwycił brata za ramię.

--Wasze kobiety niech wsiadają na barki. Mężczyźni będą walczyć razem z nami. Oddaj Haspa tym dwóm, ale niech go ukryją. Nie chcę, żeby arkonici go dostrzegli.

--Nie masz prawa...

--Zrób to albo każę cię zabić.

Kapitan przywołał swojego drugiego porucznika i kazał mu dopilnować, żeby Oran spełnił jego polecenia. Drwał burknął coś pod nosem i jak burza wpadł z powrotem do „Zardzewiałej Piły”. Podwładny Żelaznego Łba ruszył za nim.

--Jak mogę pomóc? -- zapytała Rachel.

--Zaufanie rodzi zaufanie -- odparł kapitan. -- Przynajmniej taką mam nadzieję. Czy wasz arkonita może pokonać któregoś z tamtych?

--Nie da się ich zranić ani zniszczyć, ale jeśli Dill któregoś powali, dostaniemy się do jego głowy i unieszkodlimy go ogniem. Z każdym z osobna ma szansę, ale nie z sześcioma jednocześnie.

--Więc niech mu pani powie, żeby tu został i pomógł przy ewakuacji. Może przenosić towary i ludzi na barki, bronić ich w razie potrzeby. Zyskamy w ten sposób więcej czasu, żeby wyprawić nasze rodziny na jezioro. -- Ruszył w stronę swojego wojska, ale Rachel go

zatrzymała.

--Kapitanie, mamy jeszcze jeden problem.

--Tak?

--Hasp musi wypełniać wszystkie rozkazy mesmerystów, a oni każą mu zabić jak najwięcej naszych.

--Więc zamknijcie go w szczęce arkonity.

Żelazny Łeb odwrócił się i pomaszerował energicznym krokiem do trzech oddziałów czekających na rozkazy. Wydał je szybko i skierował wzrok na zbliżającego się dowódcę ostatniej drużyny.

Rachel stała obok Miny i obserwowała rozwój sytuacji. Nad miasteczkiem Burntwater rozbrzmiały trzy krótkie dźwięki rogów, a po nich długa pojedyncza nuta, sygnał ewakuacji, domyśliła się asasyńska. Część obrońców wróciła na główne ulice, podczas gdy inni rozbiegli się po bocznych, krzycząc i pukając do drzwi. Starcy, kobiety i dzieci już szli w stronę jeziora, niosąc tobołki z ubraniami, wodą i jedzeniem. Z „Zardzewiałej Piły” też wylał się tłum ludzi Orana. Tymczasem na wschodzie z hukiem wybuchł pożar w jednym z magazynów. Żołnierze z innych oddziałów toczyli beczki wzdłuż molo albo z płonącymi żagwiami biegali od jednego składu do drugiego.

--Ci cywile wyglądają, jakby byli gotowi do ewakuacji -- stwierdziła Mina. -- Albo rzeczywiście szybko się spakowali. Uważny obserwator mógłby uznać to za dziwne.

--Nie przyszło mi to do głowy -- powiedziała Rachel.

--Co?

--Żeby zamknąć Haspa w szczęce Dilla.

--Miejmy nadzieję, że Hasp się zgodzi.

Mina wskazała na „Zardzewiałą Piłę”, z której ośmiu ludzi Orana właśnie wyniosło szklanego boga i zaczęło schodzić po ziemnym nasypie otaczającym zniszczone fundamenty tawerny.

Z początku Rachel myślała, że bóg jest nieprzytomny albo martwy, ale potem zobaczyła, że Hasp nadal ściska w ręce pustą butelkę. Słabo wymachiwał rękoma, próbując stawić opór tragarzom.

Rachel skrzywiła się, kiedy drwale brutalnie rzucili swój ciężar na błotnistą ziemię przed nią i Miną. Wszyscy łypali złowrogo na asasyńkę, ale odeszli bez słowa. Już zdążyli się przekonać, jak walczy.

Rachel szybko sprawdziła szklaną zbroję Haspa i upewniła się, że jest nietknięta. Czuli alkohol w jego oddechu. Archont wypił taką ilość trunku, która zabiłaby normalnego człowieka. Dziko tocząc wokół siebie wzrokiem, usiłował wstać, ale pośliznął się i upadł z powrotem w błoto.

Asasyńska i taumaturg dźwignęły go z ziemi, wzięły z obu boków pod ręce i pomogły mu przejść po nierównym terenie w stronę Dilla. Rachel zawołała do swojego gigantycznego przyjaciela, a on, z sykiem tłoków i szczękiem metalu, opuścił wielką rękę jak trap.

Zaprowadzenie pijanego boga do szczęki Dilla wymagało wspólnych wysiłków obu kobiet. Hasp sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co się wokół niego dzieje, zataczał się, pluł, mamrotał i klął pod nosem. Kiedy w końcu wtoczyły go do środka, położył się na dywanie wśród rozrzuconych monet i zwymiotował.

--I pomyśleć, że ludzie kiedyś oddawali mu cześć -- zauważyła Mina.

--Jacy ludzie?

--Nie wiem. Jest bogiem, więc ktoś gdzieś musiał oddawać mu cześć. Inaczej po co by nim był?

--Uważaj na niego, Dill -- powiedziała asasynka.

Zostawiły Haspa leżącego na dywanie i wyszły na zewnątrz. Z tej wysokości Rachel wyraźnie widziała arkonitów Menoi. Nad palisadą górowało sześć wielkich automatów uformowanych na podobieństwo aniołów. Ich zbroje wykute w Labiryncie nadal były osmalone i zakrwawione po bitwie w Coreollis, ze spojeń buchał dym. Cienkie skrzydła przecinały zamglone powietrze. Niespiesznie otoczyli Burntwater z trzech stron i bez trudu pokonali beużyteczne umocnienia. Ich pochodowi towarzyszył trzask drewna i zgrzyt metalu.

Ulice w dole były zatłoczone ludźmi uciekającymi na nabrzeże. Oddziały Żelaznego Łba biegły w przeciwną stronę, ku zbliżającemu się wrogowi. Wielu obrońców miasta już zajęło pozycje na głównych skrzyżowaniach, ale Rachel wiedziała, że ich odwaga zda się na nic.

--Mgła rzednie -- powiedziała, kiedy Dill zaczął je opuszczać na ziemię.

Mina mocno obejmowała rękoma kciuk automatu.

--Nielatwo jest ją utrzymać -- obruszyła się i nie odzywała aż do chwili, kiedy znalazły się bezpiecznie na twardym gruncie. -- Robię, co mogę, Rachel.

--Nie twierdziłam, że nie.

Asasynka dopiero teraz uświadomiła sobie, że szklana twarz taumaturg nie zdradza zmęczenia. Mina utrzymywała czarodziejską mgłę od bitwy w Coreollis. Jej siły były na wyczerpaniu.

Od strony nabrzeża, gdzie tłum cywili i żołnierzy czekał na podplywającą barcę, dobiegły krzyki. Gdy statek przybił do kei, mieszkańcy Burntwater zaczęli wsiadać na pokład, milicja wykrzykiwała rozkazy pilotowi i przywoływała gestami kapitanów dwóch innych jednostek.

Tymczasem płomienie objęły pobliskie magazyny i wysoko w górę wzbil się skłębiony czarny dym. Przerażone dzieci wyły i tuliły się do matek, podczas gdy żołnierze lawirowali wśród ludzkiego mrowia. Czterej uzbrojeni mężczyźni przebiegli wzdłuż nabrzeża, tocząc przed sobą wielką beczkę. Jakiś starzec stał oparty o pacholek do cumowania, palił fajkę i ze spokojem obserwował zamieszanie. Inni obrońcy pędzili z powrotem do miasta, ściskając płonące pochodnie, długie kije, łuki i miecze.

Rachel rozejrzała się za Żelaznym Łbem, ale nigdzie go nie dostrzegła. Usłyszała odległy krzyk, a po nim serię głuchych huków dochodzących z południa. Arkonici Menoi niszczyli budynki w obrębie murów. Ich szerokie skrzydła lśniły we mgle, nawiewały zimne powietrze nad jezioro. Silny podmuch przegarnął włosy asasynki, zmarszczył wodę.

--Nie ma czasu. -- Rachel spojrzała w górę i zawołała, przekrzykując wrzawę: -- Dill, pomóż tym ludziom wsiąść na łodzie!

Wielka czaszka obróciła się w stronę jeziora, ziemia się zatrzęsła, kiedy automat ruszył do przodu. Po kolejnym kroku wszedł we wzburzoną wodę, tak że linia brzegowa znalazła się między metalowymi kolumnami jego nóg. Dudniąc silnikami, golem pochylił się, wziął w ręce po jednej barce i podniósł je z jeziora ociekające wodą. Kiedy się poruszył, jego skrzydła przecięły niebo jak ogromna karuzela. Czekający na nabrzeżu krzyknęli z przerażenia i rzucili się do ucieczki.

Dill postawił oba statki na promenadzie. Ich kadłuby wylądowały na ziemi z głuchym stukiem i przekrzywiły się na bok. Automat odwrócił się po następne.

W powstałym zamieszaniu uciekinierzy nie wiedzieli, co robić. Wielu pobiegło na brzeg i próbowało wsiąść na przycumowaną barkę, ale ta już była przeładowana. Napierający tłum wepchnął wielu pechowców do jeziora. Inni czepiali się burt i byli wciągani na pokład przez pasażerów. Powietrze wypełniły rozpaczliwe krzyki, ale zagłuszyły je coraz głośniejsze odgłosy niszycielskiej furii dobiegające od strony miasta.

Rachel bezskutecznie próbowała wykrzykiwać polecenia, bo spanikowane masy nie zwracały na nią uwagi. Dostrzegła trzech ludzi Orana popychających dwie dziwki w stronę zachodnich doków. Potem nadbiegł oddział milicji i zasłonił jej widok.

Chwyciła mijającego ją żołnierza.

--Zabierz swoich ludzi na te barki. -- Pokazała jednostki stojące na promenadzie. -- Wróć na wodę, jak tylko zostaną załadowane.

Młody mężczyzna gapił się na nią przez chwilę, a potem na statki wyrzucone na brzeg. Gdy zorientował się w sytuacji, zawołał kolegów. Chwilę później wzięli się razem do zaganiania cywili na przechylone pokłady.

W ten sam sposób ludzie Żelaznego Łba zapelnili wszystkie pozostałe barki, a Dill kolejno przeniósł je z powrotem na wodę.

Tymczasem całe magazyny stały już w płomieniach. Gdy nad keję nadpłynął skłębiony dym przemieszany z iskrami, Rachel pociągnęła Minę i poprowadziła za portowy dźwig. Tam ukucnęły po zawietrznej, żeby oddychać świeższym powietrzem. Z ulic tuż za dokami, gdzie przeniosły się pożary, dobiegły kolejne huki. Pośród słupów popiołu unoszących się nad zaatakowanym miasteczkiem Rachel zobaczyła ogromne postacie obwiedzione migotliwymi zielonymi aurami.

Większość żołnierzy już wsiadła na barki, a Dill wypychał je teraz na głębsze wody. Asasynka nie widziała jednak ani śladu ludzi, którzy poszli walczyć z aniołami Menoi.

Nawet ze swojego punktu obserwacyjnego zauważyła, że taktyka dywersji obmyślona przez Żelaznego Łba zawiodła. Nie zmusiła sześciu gigantów do zbiegania z drogi. Teraz stali nieruchomo nie dalej jak dwieście jardów od brzegu jeziora, półkrygiem otaczając Dilla.

--Król Menoa pragnie negocjować rozejm -- przemówił jeden z nich. -- Jego warunki są wspaniałomyślne. Ty, Dillu, nie musisz przyłączyć się do naszej sprawy. Pan Labiryntu po prostu chce uniknąć dalszego rozlewu krwi i uchronić cię przed zniszczeniem. Twoja wolna wola czyni się podatnym na nasz atak. Król Menoa będzie z tobą mówił, jeśli zechcesz go wysłuchać.

Rachel próbowała ostrzec przyjaciela, ale jej krzyk zaginął w ogólnym chaosie. Rzekoma niezwyciężoność Dilla miała źródło w jego silnej wierze, że arkonitów nie da się zniszczyć. Podczas gdy *Rotsward* czerpał siłę z połączonej woli Cospinola i Kotwicy, Dill brał ją z tego przeświadczenia. Ale w przeciwieństwie do pozostałych arkonitów zachował wolną wolę. Zwątpienie we własne możliwości mogłoby bardzo je nadważyć.

Dill zrobił krok do jeziora, ukucnął i delikatnie przyciągnął do siebie jedną z barek. Tuż za nim pływało teraz po jeziorze kilkadziesiąt statków.

--Tym ludziom nie stanie się krzywda -- ciągnął anioł Menoi. -- Rozejrzyj się, Dill. Czy wojownicy króla zabili kogoś, kto próbował uciec. Przeszkadzili w ewakuacji?

Wykorzystaliśmy nasz wpływ na Haspa? Król pragnie pokoju. Prosi jedynie, żebyś go wysłuchał. -- Automat powiódł wzrokiem po brzegu. -- Wszystko zostanie ci przebaczone. Wszelkie nieporozumienia zostaną zażegnane. Naprawimy nawet słabość w twojej konstrukcji, żebyś mógł funkcjonować bez strachu, że złamiesz kończynę albo skorodujesz. Nie chcemy powodować więcej krzywd czy nieszczęść.

Dill wyciągnął spod „Zardzewiałej Piły” tasak. Jego ostrze było dwa razy większe od każdej z barek. W porysowanej metalowej powierzchni odbił się blask płomieni. Automat przerzucił narzędzie z jednej ręki do drugiej.

--Zwróć uwagę na te rysy -- powiedział anioł Menoi. -- Twojej broni brakuje woli, żeby zachować czystość formy. Ta wada tkwi również w tobie, Dill. Jeśli będziesz z nami walczył, zostaniesz zniszczony.

--Nie słuchaj go! -- krzyknęła Rachel. -- On próbuje zasiać wątpliwości w twoim umyśle. Już raz pokonałeś jednego z tych drani.

Kątem oka dostrzegła ruch. Sześciu ludzi Żelaznego Łba wybiegło sza rogu gospody, a za nimi kapitan. Byli zakrwawieni i wyczerpani, ale gnali jak ludzie ścigani przez diabły. Kiedy zbliżyli się do nabrzeża, stary żołnierz dostrzegł Rachel i Minę. Zaczął gwałtownie machać do nich rękami.

Rachel wstała i rozłożyła ręce.

--O co chodzi?

--Uciekajcie! -- krzyknął. -- Zaraz wybuchnie.

--Co się dzieje...?

Rozległ się donośny huk, a potem seria potężnych eksplozji. Nad ulicami pojawił się łańcuch pomarańczowych rozbłysków. Tony gruzu poleciały w niebo, spadły na gigantów Menoi. Na chwilę całkowicie przesłonił ich gęsty szary dym. Potem drugi wybuch wstrząsnął powietrzem. Ogromne słupy pyłu wzniosły się spiralą nad Burntwater.

Silny podmuch uderzył Rachel jak pięść. Zadzwonilo jej w uszach. Dwaj z sześciu arkonitów przewrócili się do tyłu na skupisko domów, machając rękoma. Trzeci gigant zatoczył się w bok na swojego towarzysza, po czym obaj upadli. Ziemia zatrzęsała się pod nogami asasynek.

Żelazny Łeb zatrzymał się obok niej z poślizgiem i poprawił młot zamieszony na plecach.

--Koks i sałtra -- wyjaśnił. -- Niestety, było mało siarki, ale wykorzystaliśmy tę, którą mieliśmy.

Grad żwiru posypał się na włosy Rachel, kiedy spojrzała w górę na kolumny popiołu i dymu.

--Kiedy to wszystko przygotowaliście? -- spytała. -- To musiało zająć...

--Gdy tylko usłyszeliśmy o Coreollis, zgromadziliśmy beczki z prochem. Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy musieli uciekać... Nasi saperzy mai nie podłożyli jednej pod twojego przyjaciela Dilla, a ja bym na to pozwolił, gdyby nie zachował się tak dziwnie. -- Zmarszczył brwi, patrząc z posępną miną na zniszczenia. Pokręcił głową. -- Niestety, nie wyrządziliśmy im wielkiej szkody. To twarde dranie.

Miał rację. Mimo wybuchów dwaj arkonici Menoi nadal stali, a czterej, którzy upadli, już się podnosili z ziemi. Sadza pokrywała ich zbroje i wielkie miecze, ale poza tym wyglądali na nieuszkodzonych.

Żelazny Łeb nagle pomachał ręką i krzyknął:

--Tutaj! Spindle!

Żołnierze opuścili zadymione ulice i wycofali się na nabrzeże. Zajęli całą długość promenady. Szary kurz pokrywał ich twarze, buty i zbroje. Wróciła zaledwie połowa ludzi, którzy wyruszyli do walki z arkonitami.

Spindle był o stopę niższy od kapitana, cały pokryty pyłem i sadzą. Podbiegł do dowódcy, otrzepał kurz z rękawic i wysapał:

--Za mało siarki, kapitanie.

--Wycofujemy się natychmiast. Wiesz, co masz robić.

--Tak jest.

Spindle odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy do swoich ludzi. Żołnierze z innych oddziałów również ściągali na keję, pomagając iść rannym towarzyszom. Odczepiali cumy mniejszych skiffów i wsiadali na pokłady. Inni zebrali się przy piramidzie beczek ułożonych pod portowym dźwigiem, zaczęli je ściągać na dół i toczyć po drewnianym pomoście.

Żelazny Łeb zwrócił się do Rachel i Miny:

--Możemy liczyć na to, że wasz duży przyjaciel osłoni nasz odwrót? -- Wskazał brodą na ogromną postać stojącą na płyciźnie. -- To jego ostrze wygląda tak, jakby mogło wyrządzić trochę szkód.

--Nie sądzę, żeby pan musiał o to pytać.

Najwyraźniej Dill zauważył wysiłki obrońców miasta, bo ruszył na spotkanie wroga. Ostrożnie przekroczył ludzi i łodzie, wszedł na promenadę z potężnym metalicznym szczęknięciem. Strumienie wody ściekły z jego zbroi i popłynęły deptakiem. Dill wolno obrócił głowę i przyjrzał się sześciu przeciwnikom.

--Porządny gość -- mruknął Żelazny Łeb, prowadząc Rachel i Minę dc mniejszego statku przycumowanego do kei.

Wiele innych skiffów, wyladowanych żołnierzami, już odpłynęło. Wiosła przecinały ciemnobrązowe wody. Kapitan, taumaturg i asasyńska weszli po trapie do małej rozkołysanej łodzi. Pies Miny obwąchał mole i pobiegł za nimi.

Po niebie znowu przetoczył się grzmiący głos najważniejszego arkonity Menoi:

--Na pewno widzisz, że to szaleństwo, Dill. Po co umierać w obronie tej drewnianej osady? Spójrz, czego już dokonała przemoc. Miasto leży w popiołach, a nas sześciu pozostaje nietkniętych. -- Wszyscy arkonicy już podnieśli się z ziemi i teraz stali bez ruchu wśród kłębiącego się dymu. -- Nikogo tutaj nie zaatakowaliśmy, ale ty nadal odrzucasz nasze próby dojścia do porozumienia. Mamy skruszyć ci kości czy staniesz między nami i wysłuchasz warunków króla Menoi?

Dill zrobił dwa ogromne kroki naprzód i wbił wielki tasak w szyję arkonity.

Sama siła ciosu powaliła automat na kolana. Opancerzone golenie zmiażdżyły płonące szczątki dwóch domów.

Dill uderzył kolanem w twarz golema i pchnął go w tył na trzy rzędy kamienic. Podmuchał zamienił okoliczne budynki w proch. Następnie Dill ponownie zamachnął się tasakiem, obracając go bokiem. Zmiotł zniszczone dachy i końcem ostrza trafił drugiego arkonitę w udo. Rozległ się przeraźliwy huk, noga się ugięła, gigant runął na ziemię.

Walczących zasłonił kurz i dym. Rachel widziała tylko poruszające się wielkie skrzydła,

monstrualne cienie i gejzery wirującego gruzu. Słyszała donośne trzaski, łoskoty, potworne metaliczne zgrzytnięcia, podczas gdy ludzie Żelaznego Łba pracowali wiosłami, a ich mała łódź odpływała w mgłę.

--Nie może ich pokonać -- szepnęła Rachel.

Kapitan uniósł głowę znad steru.

--Co to miało znaczyć?

--Wojowników Menoi nie można zniszczyć -- powiedziała asasynka. -- Nie mają własnych umysłów, więc nie grozi im utrata pewności, że są niezwyciężeni. Ale Dill jest inny. -- Spojrzała w mgłę. -- Może przegrać, jeśli straci wiarę w siebie.

--Jak każdy żołnierz -- odparł kapitan. -- Pewność siebie to dobra zbroja. -- Odchrząknął.

-- Pandemiańska stal jest oczywiście lepsza, ale kto może sobie na nią pozwolić?

* * *

Rachel siedziała na skrzypiącej ławce między dwoma, żołnierzami i obejmowała rękami kolana. Plan Miny, żeby Dill zaatakował bramy Nieba, prowokując w ten sposób boginię Ayen do zniszczenia wszystkich arkonitów, legł w gruzach. Nie mieli innego wyjścia, jak go tutaj zostawić i mieć nadzieję, że dzięki niemu zyskają dość czasu, żeby dotrzeć do zamku Sabora. Teraz wszystko zależało od boga zegarów.

Jak długo Dill zdoła walczyć?

Żołnierze z Burntwater wiosłowali z całych sił. Flotylla skiffów wypłynęła na głębsze wody, kierując się ku barkom z koksem. Żołnierze z większych jednostek byli zajęci dorzucaniem do pieców łopat paliwa, koła zamachowe obracały się szybciej, w miarę jak rosła temperatura. Czarny dym buchał z wysokich kominów i snuł się nad głowami kobiet i dzieci, które kucały albo siedziały na załadowanych pokładach, stały przyklejone do burt. Pośród szurania i zgrzytania łopat oraz szumu kół uciekinierzy w milczeniu patrzyli, jak nad ich roztrzaskanymi domami unosi się popiół. Kadłuby pod ich stopami obracały się powoli wokół własnej osi, ciemna woda burzyła się za żeberkami chłodzącymi.

Rachel nie widziała za sobą nic oprócz czarnoksięskiej mgły Miny. Łodzie dryfowały we własnym szarym świetle, który wydawał się bardzo odległy od lądu. Nawet łoskot walki dobiegający z brzegu był przytłumiony i nierzeczywisty.

Kiedy dwie floty, skiffów i barek, spotkały się na jeziorze pod osłoną koksowych dymów, rzucono mokre liny, chwycono je w powietrzu i przywiązano. Dudnienie silników wstrząsało pokładami i burtami.

Ludzie Żelaznego Łba pomogli przejść części uciekinierów z bardziej zatłoczonych jednostek na mniejsze łodzie, między innymi Roselli i jej mężowi Abnerowi. Rachel zauważyła, że ludzie Orana i dziwki z „Zardzewiałej Pily” siedzą na dwóch barkach, i w duchu podziękowała milicji z Burntwater, że rozdzieliła te grupy.

Wkrótce silniki nabrały pełnej mocy i dudniły dziarsko, zmieniając kurs statków. Ludzie Żelaznego Łba mocniej napaarli na wiosła, lawirując między większymi łodziami. Cała flotylla wykonała stosowne manewry w zaskakująco regularnej formacji, a potem ruszyła przez jezioro.

Powietrze się poruszyło, we mgłę z hukiem przeleciał nad nimi niewidoczny obiekt i chwilę później z głośnym pluskiem wpadł do wody. Niskie fale wytoczyły się z szarości i zakolysały łodziami.

Między prowadzącymi barkami rozbrzmiały nawoływania.

--Co to było?

--Wyglądało jak kawał nabrzeża.

--Widzicie coś jeszcze?

--Nic.

Na jeziorze zapadła cisza. Ludzie pochylili się nad wiosłami. Przez dłuższy czas płynęli przed siebie w ten sposób: niewyraźne ciemne kształty barek niczym siniaki przesłonięte mgłą, równomierne dudnienie silników i szuranie łopat, uderzenia drewna o drewno i chlupot wody.

Liny rozciągnięte między statkami napinały się i jęczały, lekko korygując kurs.

Z czasem odgłosy bitwy ucichły w oddali.

Nagle z przodu dobiegł okrzyk:

--Herikanie... Ahoj! Kto tam? Płyniemy na was.

Rachel uniosła głowę i spojrzała pytająco na Żelaznego Łba.

Kapitan wzruszył ramionami; drzewce młota powędrowało w górę i opadło za jego plecami.

--Rybacy z drugiej strony jeziora -- powiedział. -- Byłbym zaskoczony, gdyby przybywali z pomocą. Ci Herikanie nie utrzymują z nami kontaktów, nie licząc okazjonalnego handlu.

--Są przyjaźni?

--Dość porządni ludzie, nie z rodzaju tych gwałtownych. Chyba że chodzi o prawa do połowu. -- Wstał i spojrzał w mrok. -- I pewnie nawet wtedy nie...

--Kapitanie, mamy tutaj coś dziwnego! -- dobiegł znowu głos z przodu.

--Co widzisz, człowieku?

--Tratwy.

I wtedy Rachel też je zobaczyła, najpierw jedną, potem dwie, dryfujące prosto na nich. Zbudowane z powiązanych ze sobą bali, obie były bez załogi, puste, nie licząc dymiących kotłów umieszczonych po jednym na środku każdej z nich. Wlano do nich smołę albo coś innego, bo wydzielały cuchnące czarne opary.

Bazyliś zawarczał cicho. Mina przytuliła go do piersi.

--Kolejne trzy z prawej burty! -- krzyknął niewidoczny marynarz. -- Na tych ogień pali się na blasze. I jeszcze dwie z przodu, chyba na północnym zachodzie.

--Pułapka? -- zapytała Rachel.

Żelazny Łeb zmarszczył brwi.

--Wygląda mi to raczej na dywersję. Można by sądzić, że Herikanie próbują pomóc nam w walce, dezorientując naszych prześladowców. Można by tak pomyśleć, gdyby się ich nie znało.

Niewidoczny żeglarz znowu zawołał we mgle:

--Ahoj! Wy tam! Pokażcie się. -- Nastąpiła pauza, a po niej kolejny okrzyk: -- Kapitanie, to kobieta. Zbliżyła się do nas.

--Czym?

--Łodzią wiosłową.

Zapadła długa cisza. Potem marynarz zameldował:

--Kapitanie, ona chce rozmawiać z Rachel Hael.

--Ze mną? -- Rachel wyprostowała się na ławce. Nikt nie mógł wiedzieć, że ona jest tutaj.

Wyteżyła wzrok, próbując coś dostrzec we mgle, ale widziała tylko niewyraźne kształty.

--Skieruj ją do nas! -- odkrzyknął Żelazny Łeb.

Czekali jeszcze chwilę.

--To ktoś z rodziny Rachel Hael, kapitanie! -- zawołał marynarz.

Uśmiechając się szeroko, Żelazny Łeb odwrócił się do Rachel i szepnął:

--Muszę coś wyznać, panno Hael. Spodziewałem się tego. Jest tutaj pani siostra.

Rachel wytrzeszczyła oczy.

--Ja nie mam siostry -- powiedziała. -- Moja rodzina nie żyje. -- Machnęła ręką. -- Nigdy nie miałam siostry. Nie ufam tej kobiecie. Ona nie jest tym, za kogo się podaje.

Kapitan zachichotał.

--Mam wszelkie powody wierzyć, że jest dokładnie tym, za kogo się podaje. Jej obecność tutaj jest dla nas wszystkich dobrym omenem. Pani, panno Hael, zaraz spotka kogoś, kto przeszedł przez labirynt czasu. -- Wskazał przed siebie. -- Zbliża się. Wkrótce sama pani zobaczy.

Uzurpatorka, która twierdziła, że jest siostrą asasynek, odplynęła małą łódką od jednej z barek. Wyprowadziła ją na otwarte wody, zmieniła kurs i powiosłowała szybko w ich stronę. Sunęła do przodu, pochylona nad wiosłami. Miała na sobie identyczną skórzaną zbroję jak Rachel. Trzy tratwy dryfowały za nią we mgle, buchając kłębami atramentowego dymu.

W końcu łódka obila się o dziób skifru. Żelazny Łeb przeszedł na przód ich jednostki, wyciągnął rękę i pomógł gościowi wsiąść na pokład.

Kobieta odwróciła się do Rachel.

Serce asasynek zamarło.

Minęła chwila, zanim ktoś się odezwał.

--Widzę podobieństwo -- stwierdziła Mina.

Rachel nie mogła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła na twarz, którą tak dobrze знаła. Ta kobieta mogłaby być jej bliźniaczką: zielone oczy, szczupła twarz, jasne włosy związane mocno z tyłu. Skórzana zbroja Spine była nie tylko podobna, ale właściwie nieodróżnialna od stroju Rachel. Kobieta miała nad uchem częściowo wygojoną ranę... dokładnie w miejscu, gdzie trafiła kula Abnera. Nawet na jej szczęce widniała opuchlizna po ciosie Haspa.

--Miałaś rację co do Sabora, Rachel -- powiedziała Mina. -- Najwyraźniej nasz bóg coś majstruje przy czasie. Ta kobieta to ty... wróciłaś do nas z przyszłości.

Rachel mogła dostrzec tylko jedną różnicę między sobą a swoim lustrzanym odbiciem. Bliźniaczka miała dodatkowy siniak -- żółtą plamę pod lewym okiem. Gdyby nie ta skaza, ktoś obcy nie umiałby powiedzieć, która jest która.

--Jesteś mną? -- zapytała z niedowierzaniem. -- Mną z przyszłości?

Bliźniaczka zmrużyła oczy.

--Nie. Jestem oryginałem. Ty, siostrzyczko, jesteś wcześniejszą wersją mnie. Dokładnie mówiąc, jakieś dziesięć godzin wcześniejszą. Stałam tutaj, gdzie ty stoisz teraz, i mówiłam dokładnie to, co zaraz powiesz.

--Ale to nie może być...

--Tak, mniej więcej właśnie to powiedziałam.

W głowie Rachel kłębiły się myśli.

--Nie... ja nie... Nie możesz być mną. Jesteś uzurpatorką. Siniak na twojej twarzy...

Bliźniaczka prychnęła.

--Powiedzieli mi, że to konieczne, żebym zrozumiała. Paradoks. A oto jak do tego doszło. -

- Zamachnęła się pięścią i uderzyła Rachel prosto w lewe oko.

Rozdział 9

ZAMEK BOGA ZEGARÓW

Przyszła Rachel powiedziała im, że tratwy zbudowano z pomocą Herikanów, żeby odwrócić uwagę arkonitów. Ten pomysł rzekomo podsunął jej Żelazny Łeb po tym, jak pierwszy raz był świadkiem zastosowania tej sztuczki. Niestety, tego paradoksu uzurpatorka nie potrafiła wyjaśnić.

--Zamek Sabora łamie zasady logiki. Pozwala, żeby w tym samym momencie istniały różne wersje danej osoby. Tak twierdzi bóg zegarów. -- Rachel z przyszłości westchnęła. -- Nie całkiem go rozumiem, ale Sabor mówi, że ma to coś wspólnego z kolapsem wszechświatów. Sama wkrótce możesz go zapytać.

--Jesteśmy tak blisko?

--Niedaleko od brzegu, siostrzyczko.

Z mgły wyłoniła się kamienista plaża. Nad porośniętym zielonosrebrną trawą brzegu, który wznosił się stromo tuż za nią, pochylały się liściaste drzewa o białych pniach należące do jakiegoś dawno wymarłego gatunku, być może pozostałość pierwotnego boru. Za nimi wyrastała ściana drzew iglastych, na pierwszy rzut oka nieprzenikniona. Dopiero po chwili Rachel wypatrzyła ledwo widoczny szlak w tej wyblakłej od słońca gęstwinie. Dukt dzielił sosnowy las, równo jak cięcie nożem.

Ludzie Żelaznego Łba wyciągnęli łodzie na ląd. Kadłuby szorowały o kamienie z takim odgłosem, jakby marcowyły się koty. Wkrótce wzdłuż całego brzegu jeziora ciągnęły się ciemne kształty ponad czterdziestu statków różnej wielkości. Wszyscy uciekinierzy wysiedli. Rosella i Abner stali blisko kapitana, Rachel i Miny, ale Oran i jego drwale zagonili swoich współziomków na jedną stronę, najwyraźniej po to, żeby zachować strukturę władzy.

Taumaturg puściła psa i podeszła do bliźniaczki Rachel, która stała samotnie i patrzyła na mgły spowijające Kwiatowe Jezioro. Tu i ówdzie unosiły się nad wodą ciemne smugi dymu, zdradzając położenie tratw.

--Musiałaś ją uderzyć? -- odezwała się Mina.

--Zasłużyła sobie.

--Czym?

Bliźniaczka wzruszyła ramionami.

--Jej przyszła wersja wpakowała mnie w ten bałagan. A może to była dawna wersja, nie wiem. Próby rozwikłania paradoksów przyprawiają mnie o ból głowy. W ogóle nie spałam, bo ostatnie dziesięć godzin spędziłam po kolana w lodowatej wodzie, wiążąc pnie razem cholernymi Herikanami. -- Prychnęła. -- Wszystkie zbudowaliśmy własnymi rękami. I po co? Widziałaś gdzieś arkonitów? Nadal załatwiają swoje porachunki po drugiej stronie jeziora. Cały wysiłek poszedł na marne, a to jej wina. Albo wina innej jej wersji. Niepotrzebnie w ogóle tutaj wracałam. -- Spojrzała Minie w oczy. -- Przykro mi, że ją uderzyłam. Byłam zła na siebie. A teraz ty mi powiesz, że sama zrobiłam sobie tego siniaka.

--Cóż, jesteś nią -- powiedziała Mina. -- Od teraz za dziesięć godzin.

--Ona jest mną sprzed dziesięciu godzin -- upierała się bliźniaczka. -- Ja jestem prawdziwą Rachel... zdecydowanie jedyną. Opuściłam was pół dnia temu, a teraz patrzysz na mnie jak na obcą.

--Obie jesteście tą samą osobą.

Asasynka potrząsnęła głową.

--Nie podoba mi się, że jest nas dwie. Ta myśl przyprawia mnie o dreszcze. Ona ma zadanie do wykonania. Podobno musi teraz wrócić do przeszłości i zrobić wszystkie te bezsensowne, męczące rzeczy, które właśnie zrobiłam, zanim naprawdę stanie się mną... -- Zgrzytnęła zębami. -- Przynajmniej tak sędzę. Widzisz, jaka to zwariowana sytuacja? Powinnam zignorować Sabora.

--Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę jego zamek.

Przyszła Rachel odchrząknęła.

--Nie jest taki, jak sądzisz. Zaskoczy cię i rozczaruje. Pamiętam dobrze to wrażenie. Podróż w czasie to dużo cięższa praca, niż się spodziewasz. Wymaga strasznie dużo chodzenia. -- Sapnęła ze złością i ruszyła plażą. -- Chodź. Zamek jest tam. Obejrzała się na Minę. -- I nie pytaj, jak znalazłam drogę. Po prostu szłam za sobą po tym, jak podbiłam sobie oko i... To w ogóle nie ma sensu! Paradoxy! Samo myślenie o nich może doprowadzić do szaleństwa. Niech bóg zegarów jeszcze raz wszystko nam wyjaśni!

Taumaturg zamierzała coś powiedzieć, ale bliźniaczka Rachel uniosła rękę i rzuciła, nie oglądając się:

--To również Sabor wyjaśni, Mino. Możemy podróżować daleko wstecz, ale, jak sama zobaczysz, wiążą się z tym kłopoty.

Asasynka dogoniła taumaturg i razem z resztą uciekinierów zaczęły się wspinać na żwirowy brzeg.

--O co zamierzałaś ją spytać?

--Zamierzałam pytać, dlaczego Sabor albo jakiś jego przedstawiciel nie mógł po prostu cofnąć się dostatecznie daleko w czasie, żeby zapobiec bitwie w Coreollis. Gdyby powstrzymał rzeź, brama by się nie otworzyła i arkonicy króla nadal byłiby w Piekło.

Rachel tylko potrząsnęła głową. Logika tych wydarzeń była dla niej całkowicie niezgłębiona. Zaczynała rozumieć paskudny nastrój uzurpatorki. Naprawdę musiała wrócić i znowu skonfrontować się ze sobą? A gdyby postanowiła tego nie zrobić?

Ewakuowani z Burntwater posuwali się wolno gęsiego wąskim szlakiem. Ze wszystkich stron otaczał ich gęsty las, pogrążony w głębokiej szarej ciszy. Przed nimi teren stale się wznosił, wkrótce po obu bokach pojawiły się zwietrzałe góry. Powietrze się ochłodziło, pachniało świeżością i górskim deszczem.

Rosella i Abner Hillowie trzymali się blisko żołnierzy Żelaznego Łba, milicja Orana podążała w pewnej odległości za nimi. W tej ostatniej grupie mężczyźni milczeli z ponurymi minami, ale ich dziwki szeptały i narzekały w swoim gronie. Mimo więzów rodzinnych łączących Żelaznego Łba i Orana, dwaj bracia i ich żołnierze nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Nawet bliźniaczka Rachel szła ze zwieszoną głową i zaciśniętymi ustami.

Pokonawszy niecałe ćwierć mili przez las, dotarli do drugiego brzegu z podobną kamienistą plażą. Wyglądało na to, że przecięli wąski półwysep i znaleźli się po jego przeciwnej stronie. Tutaj woda była nieruchoma jak szkło, bo ta część Kwiatowego Jeziora tworzyła naturalny port. Na srebrzystym żwirze spoczywało kilka małych metalowych łodzi. Za nim wyrastało skupisko prostych drewnianych chat i szop.

Na skraju osady czekali Herikanie, mali, twardzi ludzie o ogorzałych twarzach, podobni do

sąsiadów z Burntwater. Najwyraźniej byli zajęci ścinaniem drzew. Świadczyła o tym wielka liczba nierównych pni zgromadzonych za linią wody. Żelazny Łeb uściśnął dłoń przywódcy.

--Doceniam pracę, którą włożyliście w budowę tratw, Kevinie.

Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na kapitana głęboko osadzonymi oczyma.

--Ta pani obiecała, że Sabor nam zapłaci -- powiedział. -- Tyle miedzi, ile ważyło całe żelazo, które poświęciliśmy na budowę pieców. W wiosce nie został ani jeden kociołek, a mamy tysiąc sześćset kilogramów ryb do przetworzenia, zanim zgniją. Niech więc twój brat Eli przypomni lordowi Saborowi, którym Herikanom z której linii czasu ma zapłacić, i do diabła z jego paradoksami. Zbyt często słyszeliśmy tę wymówkę.

--Masz moje słowo. Sam porozmawiam z Elim. Mężczyzna pokiwał głową.

Żelazny Łeb spojrzał na pozostałych wieśniaków i niewielką osadę za nimi.

--Macie pomysł, jak uchronić się przed arkonitami? -- zapytał. -- W końcu tutaj dotrą.

Kevin ziewnął.

--Pewnie ukryjemy się w lesie. Co te monstra zamierzają? Zdobyć Kevin's Jetty w imieniu Piekla?

Żelazny Łeb zmarszczył brwi.

--W porządku, Kevin. Zostawimy was w spokoju.

Rachel i Mina wymieniły spojrzenia, po czym taumaturg szepnęła jej do ucha:

--Podróże w czasie muszą mieć swoje konsekwencje. Prawdopodobnie Sabor zniszczył jakąś część wszechświata.

--Świetnie.

Taumaturg nachyliła się do Rachel i szepnęła:

--Podróże w czasie muszą...

--Mina!

Panna Greene się uśmiechnęła.

--Przepraszam. Nie mogę się powstrzymać.

Bliźniczka Rachel poprowadziła grupę przez Kevins Jetty, małą, smętną osadę, w której fasady drewnianych domy posmarowano olejem albo tranem dla ochrony przed wiatrem i deszczem. Cała wioska cuchnęła rybami. Po jej drugiej stronie szlak prowadził dalej wokół wąskiej zatoczki na kolejny cypel. W pewnym momencie Rachel wyczuła czyjąś obecność u boku, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Rosellę i jej męża.

--Zostajemy tutaj -- oznajmiła żona oberżysty. -- Herikanie już się zgodzili. Możemy ukryć się razem z nimi, kiedy przyjdą arkonici.

Abner tylko lypał nią spode łba.

--Przepraszam za wszystko, co się wydarzyło -- powiedziała Rachel. -- Nie powinnam była was w to mieszać.

--Właśnie -- zgodziła się Rosella. -- Nie powinnaś była przychodzić i kopniakiem wyważać naszych drzwi. -- Zawahała się. -- Straciliśmy wszystko: dom, interes i zapasy, nawet oszczędności, które zakopaliśmy w ziemi za „Zardzewiałą Piłą”.

Rachel nie wiedziała co powiedzieć.

--Abner uważa... że chyba należy się nam jakieś wynagrodzenie. Masz przecież całe to złoto.

Asasyńska westchnęła.

--Monety są w ustach Dilla -- przypomniała. -- Przykro mi, Rosello, nic nie możemy wam dać.

--Nic?

Rachel pokręciła głową.

Para odwróciła się i ruszyła z powrotem do herikańskiej osady.

--Och, chyba nie pozwolisz, żeby cię to przygnębiło? -- Taumaturg głaskała Bazylisa szklaną ręką. -- Jeszcze nigdy nie widziałam u ciebie takiej żalostnej miny. Toczy się wojna, Rachel. Takie rzeczy się zdarzają. -- Zmarszczyła lekko brwi. -- A pani Abner przypadkiem nie zaatakowała cię siekierą? Nie pamiętam... to było przed tym czy po tym, jak jej mąż strzelił ci w głowę?

--Ona tylko broniła swojej własności.

--A ty egzekwowałaś swoje prawo, żeby zarekwirować tę własność.

--Moje prawo?

--Dał ci je Cospinol, bóg morza i mgły, żebyś mogła urzeczywistnić jego wspaniałą wizję wolności.

Rachel wcale nie poczuła się lepiej.

--A kto jemu dał taką władzę? -- rzuciła ostro.

--Jest potężniejszy od nas. Może nas zgnieść, zwykłych śmiertelników, swoim słonym kciukiem. Odpręż się. Na tym polega urok wojny. Całkowite poddanie się dowódcy rozgrzesza żołnierza z wszelkich konsekwencji jego działań. Wyzbądź się poczucia winy. Łatwiej będzie ci zasnąć w nocy.

--Przestań! -- warknęła Rachel. -- Mówisz tak, żeby mnie zirytować. To ja podejmowałam decyzje, a nie Cospinol. Wszystko schrzaniałam, przy okazji niszcząc życie tej kobiecie. Świadomość, że jesteśmy na wojnie, wcale nie poprawia mi nastroju.

Bazylis nagle zawarczał. Mina spojrzała na psa, a potem się uśmiechnęła.

--On uważa, że jesteś marną asasyneką, ale bardzo dobrym żołnierzem. Pamiętaj, że adepci Spine z Deepgate, hartowani chemicznymi torturami, są mocno ograniczeni. Po praniu mózgu nie potrafią bardziej rozwinąć swoich umiejętności. Ale ty potrafisz. Tylko musisz pomyśleć o wojnie jako o rozłożonym w czasie procesie hartowania. Możesz się załamać albo zmienić. -- Potarosiła uszy psa. -- Jest zadowolony, że nie zniszczyły cię igły Spine.

--Co on tam wie? -- odburknęła Rachel. -- Jest tylko psem.

Przyspieszyła kroku, wyprzedzając taumaturg.

Zirytowana i bardzo przygnębiona, chciała być teraz sama. Wyrzuty żony oberżysty pozostawiły cierń w jej sercu. Niewiele rozmawiała z tą kobietą, nie wiedziała, jakim jest człowiekiem, i do niedawna wcale jej to nie obchodziło. A czy z jej mężem w ogóle zamieniła słowo?

Nagle pojawił się przed nią Oran, przerywając jej rozmyślania. Za nim stało dziesięciu jego ludzi. Rachel była tak oderwana od rzeczywistości, że nawet nie zauważyła, jak się zbliżają.

--Jesteś nam winna zapłatę -- oświadczył przywódca drwali ochryplym głosem. -- I rekompensatę za tych dwóch, których zabiłaś.

Rachel się obejrzała. Żelazny Łeb i jego żołnierze właśnie opuszczali Kevins Jetty, więc jeszcze nie widzieli, co się dzieje.

--Wasze pieniądze są w ustach Dilla -- odparła asasyneką. -- Idźcie po nie, jeśli chcecie.

W oczach Orana błysnął gniew.

--Tylko na nią spojrzcie -- warknął. -- Nogi nadal się jej trzęsą. Jest za słaba, żeby drugi raz wyciąć taki numer jak w tawernie.

Wyciągnął rękę.

Rachel z łatwością się uchyliła, a potem cofnęła o krok. Jej ponury nastrój szybko przeradzał się we wściekłość. Oran i jego ludzie rozproszyli się, żeby ją otoczyć, ale ona nie miała zamiaru dać się złapać w pułapkę. Była teraz czujna, gotowa na każdy atak.

Drgnęła, czując dłoń na swoim ramieniu. Nie słyszała, żeby ktoś się do niej podkradał. Odwróciła się...

... i spojrzała w oczy swojej bliźniaczki.

--Moje nogi się nie trzęsą, Oranie -- oświadczyła przyszła Rachel. -- Odwołaj swoich ludzi. Widziałeś, co zrobiłam w „Zardzewiałej Pile”. A teraz wyobraź sobie nas dwie w akcji.

Drwale zatrzymali się i wymienili ponure spojrzenia. Oran otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał mu okrzyk dobiegający ze ścieżki.

--O co chodzi, bracie? -- Żelazny Łeb zbliżał się szybko. -- Chyba nie zamierzasz walczyć z kobietami, co? -- Roześmiał się. -- To niepodobne do męczyzny, którego znalazłem.

--Nie mieszaj się do naszych spraw, Reed -- odburknął Oran. -- Moi dwaj ludzie zginęli, broniąc honoru lorda Rysa.

--Honoru Rysa? -- powtórzył kapitan z pogardą. -- Kiedy to bóg kwiatów i noży mianował cię swoim czempionem? Czyżbym przegapił twoją obecność na jego dworze?

--Walka była uczciwa, dopóki ona nie wkroczyła.

Żelazny Łeb odchrząknął.

--Słyszałem o twojej ostatniej uczciwej walce. Na drodze do Deepcut, tak? Obrabowałeś siedemnastoletniego chłopca i jego starego dziadka.

--Klusowników -- warknął Oran. -- Lord Rys postawił nas na straży prawa w jego lasach. To jego ziemia, jego jelenie i ptactwo, nie twoje, Reed. Ci, którzy go okradają, zasługują na to, co ich spotyka.

Żelazny Łeb już dotarł do ich grupy. Nie wyciągnął broni. Krótki miecz trzymał schowany w pochwie przy pasie, młot miał przewieszony przez plecy.

--Tak, słyszałem. Ale zapomniałem, ile wróbli ukradli Rysowi ten chłopiec i jego dziadek?

Blizna na czole Orana poczerwieniała. Drwal odwrócił się i skinął gniewnie na swoich ludzi, po czym ruszyli dalej w las.

Stary żołnierz odwrócił się do dwóch asasynek.

--Trzymajcie się od niego z daleka -- ostrzegł. -- Przy pierwszej okazji przystawi wam nóż do pleców.

--Dotrzemy bezpiecznie do zamku, kapitanie -- uspokoiła go przyszła Rachel. -- Tyle pamiętam.

Dowódca milicji pokręcił głową.

--Niech pani na to liczy, panno Hael. To może, ale nie musi być ta sama przeszłość, którą pani zapamiętała. Wszyscy byliśmy ostatnio świadkami wielu... niezwykłych wydarzeń. W tych stronach historia ma zwyczaj się zmieniać, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa.

Bliźniaczka Rachel wzruszyła ramionami i poszła dalej szlakiem.

Teren stale się wznosił. Długim pojedynczym szeregiem wspinali się wąską ścieżką przez las, a potem przez skalisty cypel za zatoką. Czując się nieswojo w towarzystwie swego przyszłego ja, Rachel zwolniła, pozwalając, żeby jej bliźniaczka wysforowała się do przodu razem z Żelaznym Łbem. Coś w tej kobiecie wyprowadzało ją z równowagi. Może spojrzenia, które wymieniały, bliskość i zrozumienie, które widziała w jej oczach, jakby doskonale знаły swoje myśli. Było tak, jakby ostrożnie zaglądały nawzajem w swoje dusze.

Jedną duszę czy dwie?

Rachel nie miała ochoty rozmyślać o metafizycznych aspektach obecnej sytuacji. Wystarczała jej świadomość, że tamta kobieta czuje się równie nieswojo. Obie uważały siebie za prawdziwą Rachel Hael, jedyną Rachel Hael, i żadna nie chciała, żeby druga naruszała tę pewność.

Kiedy się odwróciła, żeby odszukać wzrokiem Minę, promień słońca oświetlił skrawek ziemi po jej lewej stronie, tak że przez chwilę na tle szarych skał zajaśniał żółty mech. Rachel spojrzała w górę i zobaczyła, że słońce świeci teraz bezpośrednio nad ich głowami. Mgła, która towarzyszyła im od Coreollis, powoli się rozplywała.

Asasynka dostrzegła Minę trochę niżej na szlaku. Taumaturg szła wolno, zatrzymując się co kilka kroków, żeby odpocząć, podczas gdy Bazylis wyprzedzał ją, skakał po skałach, a potem czekał na swoją panią.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Rachel sięgała wzrokiem aż po przestwór srebrnej wody i luk zatoki, nad którą leżała Kevins Jetty. Mgły cofnęły się daleko nad Kwiatowe Jezioro i w połączeniu z pióropuszcami czarnego i ochrowego dymu z herikańskich tratw utworzyły w oddali szarawy całun. Wiatr albo prąd zniósł te toporne konstrukcje daleko na wschód. Rachel próbowała dojrzeć Burntwater, ale miasteczko przesłaniały resztki oparu.

Niebo szybko się przejaśniało. Ciepły blask słońca oblewał zielony las i kamieniste plaże ciągnące się wzdłuż brzegu jeziora. Wśród drzew śpiewały ptaki. Po raz pierwszy od długiego czasu Rachel zobaczyła prawdziwe kolory. Nigdzie nie było śladu Orana ani jego ludzi, więc usiadła na skale, żeby poczekać na Minę.

--Przynajmniej jest ładny dzień -- powiedziała taumaturg, kiedy w końcu do niej dotarła. -- Prawie zapomniałam, jak to jest czuć słońce na twarzy. -- Zatrzymała się, położyła dłoń na skale i wzięła głęboki wdech. -- Mogę utrzymać mgłę tylko do pewnego momentu. I obawiam się, że nadszedł.

--Dobrze się spisalaś -- pocieszyła ją Rachel. -- Jesteśmy prawie na miejscu.

Mina skinęła głową w stronę chmur dymu unoszących się nad jeziorem.

--Tratwy już niebawem przestaną odwracać uwagę. Arkonici Menoi wkrótce je zauważą.

--Nigdy nie były zbyt skutecznym kamuflażem -- stwierdziła asasynka. -- Cały ten wysiłek okazał się stratą czasu. Zbudowanie tratw nie pomogło nam w ucieczce. Dillowi również. Tamta druga powinna była przepłynąć jezioro i uprzedzić Żelaznego Łba, żeby nas oczekiwali. Gdyby nie zwłoka w Burnwater, już dawno dotarlibyśmy do zamku Sabora. Dill i Hasp byłiby bezpieczni.

--Nie wiem -- rzekła z powątpiewaniem Mina. -- Lepiej nie zmieniać tego, co już się stało, jeśli można tego uniknąć. Nasz obecna sytuacja mogłaby być dużo gorsza. -- Spojrzała na zadymiony horyzont. -- Myślę, że powinnaś zrobić dokładnie to, co zrobiłaś: zwerbować Herikanów do pomocy, zbudować tratwy... -- uśmiechnęła się -... i podbić sobie oko.

--Nic nie zrobię -- oświadczyła Rachel. -- Jeśli dotrzemy do zamku, zostanę tam, dopóki nie wymyślimy sposobu, jak dostać się do Nieba. Mamy zadanie do wykonania. Po co miałabym tutaj wracać?

--Wróciłaś. I znajdujesz się teraz sto jardów dalej na tym szlaku.

--Ona to nie ja.

--Przykro mi, Rachel, ale ona to jak najbardziej ty.

Asasynka prychnęła.

--Więc niech jeszcze raz odbędzie podróż w czasie. Nie widzę sensu w tym wszystkim.

Mina posłała jej współczujący uśmiech.

--Może z czasem go dostrzeżesz.

Szlak przecinał cypel, a dalej meandrował w dół do płytkiej doliny. Potem teren znowu zaczął się wznosić. Przez następną godzinę maszerowali przez gęsty sosnowy las. Po obu stronach kryły się w gęszczu zielone polany, zasłane dywanem z brązowych igieł. W tym miejscu ścieżka, zrobiona ze stopni wyciętych w skale, biegła pod górę stromym wąwozem. Wspinaczka nie sprawiała Rachel żadnych trudności, ale Mina nadal się męczyła. Z wdzięcznością przyjęła jej pomocne ramię.

Mimo silnego słońca powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Gdy dotarli na szczyt wzniesienia, powiał silny górski wiatr. Tutaj las kończył się na skalnym płaskowyżu. Za nim wyrastały strome, niebotyczne urwiska o czarnych, szklistych zboczach popękanych w jakimś straszliwym kataklizmie. U ich stóp iskrzyły się w słońcu obsydianowe rumowiska.

Właśnie tam, na poszarpanym wzniesieniu pośrodku płaskowyżu stał zamek boga zegarów.

Nie przypominał żadnej z fortec, która Rachel dotąd widziała: labirynt połączonych ze sobą brył, kwadratowych wież i kul wyrastających w górę i na boki z masywnego skalnego fundamentu. Dziwne ekstruzje okazały się całymi budynkami, przyczepionymi do zasadniczej konstrukcji w przypadkowy sposób, tak że całość miała wygląd dziwnego geometrycznego drzewa. Zamek był zbudowany z tego samego miejscowego obsydianu, który leżał rozrzucony po całej okolicy, ale był najeżony metalowymi dźwigarami i rombami z płonącego szkła. Był rzeczywiście ogromny, lecz nie dało się dokładnie ocenić jego rozmiarów, bo powietrze wokół niego migotało i rozmazywało się, jakby wichry wyjące wokół twierdzy, zakrzywiały światło.

Po plecach Rachel przebiegł chłodny dreszcz, kiedy na jej oczach niektóre części czarnego zamczyska stawały się jasne, przezroczyste, prawie niewidoczne. W jednej chwili forteca wydawała się jeszcze większa i dużo bardziej imponująca, w następnej odzyskiwała w miarę normalne proporcje. Wieże i fasady znikaly i się pojawiały. Na brzegach fortecy ukazywały się czerwone, różowe i fioletoworóżowe rozbłyski. Zamek kurczył się, a potem, w całkowitej ciszy, znowu był masywny. Górował nad okolicą, niepewny i migotliwy jak pustynny miraż.

Blizniaczka Rachel skrzywiła się, chwyciła za brzuch i pospieszyła w stronę łukowatego portalu we frontowej ścianie twierdzy.

Asasynka się zawahała. Mimo oślepiających kolorów forteca wytwarzała wokół siebie głęboko niepokojącą aurę. Nieprawdopodobne fasady wywoływały u niej zawroty głowy, iskrzące się światła drażniły oczy i mroziły skórę jak płynny eter. Powietrze smakowało dziwnie, jakby brakowało w nim jakiegoś elementu, a jego nieobecność najbardziej odczuwały płuca. Wszystkie zmysły wydawały się dziwnie pomieszane, zmacone, odurzone.

Rachel odwróciła wzrok, bo nie mogła dłużej patrzeć na migoczącą fortecę.

--Wrażenie minie, kiedy pani wejdzie do środka -- pocieszył ją Żelazny Łeb. -- Pewnie odbiera je pani z podwójną siłą.

--Skąd się ono bierze?

--Silniki zamku zakrzywiają wokół niego przestrzeń. On istnieje jednocześnie w różnych kieszeniach czasu, co oznacza, że musi być tutaj i jeszcze gdzieś w przestrzeni, a to jest niedopuszczalne. Sabor potrzebuje ogromnych ilości energii, żeby utrzymać fortecę na tej górze. -- Skinął na nią ręką. -- Chodźmy do środka, panno Hael.

Silniki zamku?

Rachel zerknęła w górę na deliryczne fasady twierdzy. Kamienie falowały jak tysiące flag na silnym wietrze, rażące kolory kurczyły się, a potem strzelały na taką wysokość, że wyglądały tak, jakby wyskakiwały nad okoliczne góry.

Mieszkający tutaj bóg zegarów oczekiwał, że Rachel Hael wejdzie do jego dominium, a potem, dzięki jakiejś sztuczce z czasem, cofnie się o dziesięć godzin, żeby spotkać się ze swoim drugim ja. I co dalej? Ma zmusić tę drugą Rachel, żeby tutaj wróciła? A jeśli jakaś część jej duszy pozostanie na wieki uwięziona w pętli stworzonej przez Sabora? Rachel mąciło się w głowie od tych rozważań. Czowała się zła, zmęczona i chora.

Przelknęła ślinę i weszła za kapitanem do potężnej budowli.

* * *

Rzeka Przebranych nie chciała się poddać. Carnival również. Ciągnęła za sobą skrzydła przez krwawe wody i demonicznym mieczem cięła wrogów, którzy przeciwko niej stawali.

Było ich bez liku.

Pojawiali się wciąż nowymi falami, całymi tysiącami. Podobni do Wisielców Cospinola, wojowników z nieznanymi kontynentów i dawnych wieków, karmazynowi giganci i anioły stworzone na jej podobieństwo, dziwne zwierzęce istoty wymyślone przez samą rzekę. Krzyczały i wyły. Straszyły ją, prowokowały, szarpały pazurami i zębami, atakowały krwawą bronią utworzoną ze skryzalizowanej cieczy. Powinna wlecieć poza ich zasięg i przebić się z powrotem do Piekła.

Ale nie zrobiła tego. Została w rzece, bo tutaj była rzeź, a swojej wściekłości w żaden inny sposób nie mogła ukoić.

Bila się niestrudzenie, nie dbając o to, czy naprawdę robi krzywdę rzece, bo ci, których zabijała, wstawali znowu i atakowali ją w nowych postaciach. Byli przebiegli i szybcy, ale ona bila ich wszystkich na głowę szybkością i podstępnością. Mordowała z wprawą nabytą przez eony.

Mieli jednak nad nią przewagę liczebną i czasami te wodniste ostrza kaleczyły jej ciało. Anielica była przyzwyczajona do bólu i zadawała swoim przeciwnikom dziesięć razy więcej ran.

Walczyła dla samej walki, nie mając innego motywu niż rozpaczliwa, nienasycona potrzeba, żeby ranić świat wokół siebie. Jej ręką kierowała zimna furia, ale Carnival nie miała wyznaczonego żadnego ostatecznego celu. W morderczym szale podążała tam, gdzie niosły ją prądy, i zabijała wszystko, co napotykała na swojej drodze.

W górze majaczyło Piekło, sklepienie z cegieł, żelaza i szkła. Przez miriady jasnych okien dusze przeklętych patrzyły na nią z góry. Widziała, jak się wzdrygają i odwracają wzrok, ale nic do nich nie czuła. Przeklęci jej nie interesowali.

Nie potrafiła powiedzieć, jak długo walczy. Wydawało się, że wiele dni i nocy. Rzeka była

nieskończenie długa, a istoty, które rodziła, niezliczone. Ta armia nie miała kresu swoich możliwości, podobnie jak anielica.

Zaczął natomiast zawodzić demoniczny miecz.

Z broni wydobywał się cichy jęk. Zmiennokształtny był zmęczony, jego stalowy brzeg się stępił. Carnival wkładała coraz więcej siły mięśni w ciosy, które zadawała. Nie żądała więcej od miecza, tylko po prostu walczyła jeszcze bardziej zażarcie. Jej gniew rósł, żeby nadrobić słabość chłopca. Czerwone postacie padały jeszcze liczniej niż do tej pory. Anielica rozkoszowała się ich krzykami, wycinając sobie wśród nich ścieżkę.

Wkrótce dostrzegła zmiany w swych wrogach. Teraz większość nich przybierała skrzydlate postacie. Czyżby to była drwina z anielicy? Carnival nie rozumiała motywów rzeki ani nie dbała o nie, bo jej furia potrzebowała wroga... jakiegokolwiek wroga. Jej własna brutalność przewyższała gwałtowność tych karmazynowych istot, gdyż właśnie przeciwko nim skierowała swoje pragnienie destrukcji.

Z czasem miecz całkiem stracił ostrość. Zmiennokształtny osiągnął kres swoich możliwości i klinga już nie była w stanie przeciąć ciała. Metal jęczał żałośnie w jej garści. W rękach śmiertelnika ta zawodna broń mogłaby jedynie łamać kości. Natomiast Carnival po prostu wkładała więcej siły w każdy cios. Miecz krzyczał w agonii, ale ona go ignorowała. Milion wrogów nadal czekało na zabicie.

Stopniowo ataki przeciwko niej osłabły. Skrzydlaci przeciwnicy okazywali wahanie. Często całkiem się wycofywali, żeby nie zostać następnymi, którzy zetkną się z jej ostrzem.

W Carnival na nowo zawrzała furia. Skoro nie chcieli z nią walczyć, zamierzała ich do tego zmusić. Rzuciła się na wrogów i zaczęła kłaść ich pokotem. Fontanny krwi podążały w ślad za jęczącym mieczem. Wlokąc skrzydła przez słabnący nurt, parla przed siebie. Uśmiechała się desperacko, próbując wykrzesać żądzę krwi u swoich niechętnych przeciwników.

Ale oni nagle zrezygnowali z dalszej walki.

Ruszyła na nich jak burza, a rzeczne stwory zapadły się w krwawe wody. Odwróciła się do innych wrogów, ale ci też rozplynęli się w nicość.

--Walczcie ze mną! -- krzyknęła.

Nie chcieli. Miriady istot wróciły do krwawej rzeki. Woda się cofnęła, opadała, wsączyła do pobliskich kanałów. Wkrótce Carnival stała samotnie w śliskim, czerwonym korycie rzeki.

--Walczcie! -- żądała natarczywie.

Jednakże Rzeka Przegranych ją odrzuciła.

Anielka poczuła drżenie miecza. Demoniczna broń westchnęła z ulgą i wysunęła się jej z ręki. Zmiennokształtny przybrał na powrót ludzką postać.

Znowu stał się dzieckiem. Ukucnął u jej stóp. Najwyraźniej nie mógł ustać na nogach. Wyglądał, jakby nie miał kości. Cienkie metalowe palce rozpostarł na wilgotnej ziemi i lypnął na nią w górę jednym okiem. Drugie podążyło za pierwszym chwilę później.

--Sprawdzała cię -- powiedział Może John.

Carnival popatrzyła na niego.

--Po co miałyby dalej walczyć? Nie można jej zniszczyć. Nie można nawet zrobić jej krzywdy. Po prostu cię sprawdzała.

--Dlaczego?

Zmiennokształtny chciał wrzucić ramionami, ale jego barki poruszyły się pod różnymi

kątami.

--Cospinol powiedział, że ta rzeka to dziecko. Sam słyszałem, jak to mówił. Twierdził, że ona sama nie wie, czym jest, że nadal się uczy, czym ma się stać. Chyba dlatego uformowała się w te wszystkie anioły. Próbowwała cię naśladować.

Carnival powędrowała wzrokiem po podziemnym królestwie. Dwadzieścia kroków dalej płynęły czerwone kanały, ale nie zbliżały się do niej. Stojąc na płyciźnie, anielica odniosła wrażenie, że rzeka na coś czeka.

--Jestem zmęczony -- poskarżył się chłopiec. -- Chcę iść do domu. -- Odchylił się do tyłu i zamknął oczy.

Anielica sapnęła z irytacją. Jej serce nadal dudniło, blizny mrowiły i swędziały. Bitwa z rzeką jej nie wystarczyła, nadal była głodna wojny. Spojrzała na demoniczne dziecko i nagle wściekłość ścisnęła jej trzewia. Calej siły woli wymagało od niej powstrzymanie się od rozerwania mu gardła.

Rozpaczliwie potrzebowała miecza.

Na szczęście zmiennokształtny nie zauważył jej gniewu. Pobladły na twarzy, patrzył w niebo rozszerzonymi oczami.

--Nie, nie, nie. Nie tutaj.

Carnival podniosła wzrok.

Sklepienie wyglądało inaczej. Zamiast masy cegieł i żelaza ujrzała serię czarnych przewodów prowadzących do Labiryntu. Mury wokół tych rur wydawały się gładkie i jednorodne, nie przypominały zwykłego chaotycznego nagromadzenia niezliczonych dusz. Były uporządkowane, jak fundamenty pojedynczej, starannie zaprojektowanej i wykonanej budowli.

--Nie! -- jęknął chłopiec. -- Nie wrócę tam.

--Co to jest?

--Dziewiąta Cytadela -- wyszlochał Może John. -- Tam mnie zrobili!

--Kto cię zrobił? Co tam jest?

Chłopiec wytarł łzy z oczu.

--Tam jest król Menoa, wszystkie jego armie i Ikaraci. -- Pociągnął nosem. -- Rzeka przyprowadziła cię tutaj na spotkanie z ojcem.

* * *

Żelazny Łeb zostawił swoich ludzi w wysokiej kamiennej stróżówce, a Rachel i Minę wprowadził przez masywne miedziane drzwi do zamku boga zegarów.

Kapitan pchnął ramieniem wrota, a one zamknęły się za nimi z donośnym hukiem. Wzbudzone echa sugerowały, że znaleźli się w ogromnej sali, ale Rachel niewiele widziała w mroku oprócz pojedynczego słupa światła padającego na okrągły stół, który znajdował się pięćdziesiąt kroków przed nią. Zewsząd dochodziło tykanie zegarów, szcęknięcie ciężkich trybów, delikatne pobrzękiwanie, metaliczne dzwonienie i głośnie kuranty. Oprócz tej orkiestry Rachel słyszała cichy syczący dźwięk, jakby przesypującego się piasku.

Jej przyszłe ja stało obok boga zegarów. Sabor miał siwe włosy i siwe skrzydła, był odziany w matową kolczugę, która nadawała mu sztywny, władczy wygląd. Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na stół. Nie podniósł wzroku na trójkę nowo przybyłych, tylko sięgnął pod blat i pociągnął za jakiś niewidoczny mechanizm.

--Garstone! -- zawołał bóg zegarów. -- Przystaw, proszę, obiektyw numer sześćset i

dwadzieścia trzy na poziom dziewięćdziesiąt dwa. Komnata Jaskrowa powinna się tam znaleźć siedemnaście minut temu, ale zdaje się, że coś powoduje zniekształcenia. Wyczyściłeś szybę, Garstone? Sprawdziłeś pieczęcie służby czasowej?

Z góry dobiegł chór wielu głosów:

--Okna są nieskazitelnie czyste, panie... Jeden z nas będzie od tej pory sprawdzał obiektyw... Obawiam się jednak, że już jest za późno... Komnata Jaskrowa zaraz skończy obecny cykl. -- Ukryci mówcy wypowiadali słowa w idealnej harmonii.

--Witamy cię, Saborze... -- zaczął Żelazny Łeb.

--Chwileczkę, Reed -- przerwał mu bóg. Wyjął spod stołu jakąś księgę, przekartkował ją szybko i zawołał donośnie: -- Zaczekaj, aż pokój dokończy cykl, zanim zmienisz pieczęcie, Garstone! Ma się cofnąć o dziewięć tygodni, trzy dni dziesięć godzin i... -- przewrócił stronicę -- trzy minuty. To czas nocny.

--Tak, panie!

Sabor zamknął księgę i skierował uwagę z powrotem na okrągły stół.

Kiedy Rachel podeszła bliżej, wyraźnie zobaczyła obiekt zainteresowania ich gospodarza. Była to płytka, biała misa. Na jej gładkiej ceramicznej powierzchni poruszały się maleńkie figurki. Bóg zegarów studiował ruchomy obraz ulic i domów widzianych z lotu ptaka, spowitych dymami.

Camera obscura?

Rachel słyszała plotki o takich urządzeniach. Pewna szlachecka rodzina z Deepgate podobno zamówiła taką ciemnię optyczną, żeby obserwować swoich sąsiadów w Noc Blizn, ale potem zrobiła wielką awanturę, kiedy instrument nie chciał działać w godzinach całkowitej ciemności. Teoretycznie łatwo było go skonstruować. Seria soczewek i luster umieszczona na wysokim budynku rzucała obraz otoczenia w dół do zaciemnionego pokoju.

Sabor w końcu spojrział na gości. Na widok Żelaznego Łba zawołał, unosząc głowę:

--Twój brat Reed jest tutaj, Garstone! Na pewno chce z tobą rozmawiać.

--Wiem, panie -- odparł wielogłos. -- Jeden z nas się nim zajmie.

--Nie ma potrzeby, Eli -- odezwał się kapitan. -- Widzę, że jesteś zajęty.

--Jeden z nas zawsze ma dla ciebie czas, bracie -- zapewnił rozmówca. Po krótkiej pauzie odezwał się pojedynczy głos: -- Zaraz będę na dole.

Żelazny Łeb się skrzywił.

Tymczasem Rachel z ciekawością przyglądała się ceramicznej depresji. Obraz był zniekształcony i miejscami rozmazany, ale od razu rozpoznała okolicę.

Burntwater.

Ogień pochłonął całe nabrzeże, w powietrze wzbijały się skłębione chmury czarnego dymu. Miasteczko było pokryte kurzem i też całkowicie zniszczone. Tu i ówdzie szalały mniejsze, odizolowane pożary. Dachy setek budynków się zapadły, ściany zawaliły. Stosy gruzu zalegały ulice. Rachel nigdzie nie dostrzegła śladu Dilla ani pozostałych wielkich automatów. Burntwater całkowicie opustoszało.

--Gdzie jest Dill? -- Asasynka chwyciła za brzeg stołu.

Sabor poprawił coś w mechanizmie ukrytym pod stołem. Rachel usłyszała dźwięk obracających się kół. Obraz raptem podskoczył, a następnie przewinął się szybko po blacie. Rachel zauważyła linię brzegową uciekającą jej spod palców, po czym widok przeniósł się na

jezioro. Przez kilka uderzeń serca nie widziała nic oprócz wody, ale później obraz znieruchomiał. Pokazywał przeciwny brzeg, tę stronę Kwiatowego Jeziora. Oddech uwiązł Rachel w krtani.

Z wody wygramolił się arkonita i poczołgał w stronę lasu. Serce Rachel krzyknęło, że to nie Dill, że to nie może być on, że to musi być jeden z aniołów Menoi. Ale rozum mówił jej, że ta nieszczęsna istota to naprawdę jej przyjaciel. Jego skrzydła i pancerny napierśnik zostały oderwane. Roztrzaskany kręgosłup wyglądał jak zerwany łańcuch, ledwo trzymający się razem dzięki płataninie rur. Jednej z nóg całkiem brakowało, druga kończyła się na kolanie. Lewe ramię zostało zmiażdżone w trzech miejscach i ciągnęło się żałośnie za nim po błotnistym brzegu. Szczeka odpadła, w otwartej czaszce było widać maszynierię i lśniące kryształki. Chemiczna krew wyciekała z silnika umieszczonego w piersi i plamiła wodę na czarno.

Ale Dill nadal żył.

Pomagając sobie kikutem ręki, doczołgał się do pierwszych drzew, wlokąc po ziemi połamane, bezwładne ciało.

Siedemnaście minut temu?

Obraz zniknął. Została po nim tylko zwykła biała powierzchnia.

--Co się stało?! -- krzyknęła Rachel. -- Dajcie to z powrotem.

Sabor uniósł głowę i zawołał:

--Garstone?!

--Tak jak się obawiałem, panie -- odpowiedział mu chór. -- Cykl właśnie się skończył.

Teraz nakręca się od nowa.

Bóg zegarów pokiwał głową. Spojrzał na asasynkę, a potem na jej przyszłe ja.

--Ten konkretny widok przestał istnieć.

--To się działo siedemnaście minut temu? -- zapytała Rachel. -- Więc Dill teraz tam jest.

Musimy wracać. -- Zwróciła się do kapitana: -- Potrzebuję pańskiej pomocy.

--Proszę zaczekać -- odezwał się Sabor.

Rachel się zatrzymała.

--Nie ma czasu -- ciągnął bóg. -- Komnata, która może panią przenieść do tego ranka, wkrótce dokończy swój cykl. Musi pani wrócić teraz albo straci pani okazję.

--Nie. -- Asasynka ruszyła do wyjścia.

--Zapalcie lampy! -- rozkazał Sabor.

Wysoko w górze zabłysło światło, a zaraz po nim kolejne. Po chwili cała sala była jasno oświetlona.

Rachel nagle zakręciło się w głowie.

Wnętrze zamku przypominało skręcony cylinder, wir albo trąbę powietrzną. Składało się z setek poziomów, każdy z mnóstwem drzwi. Wzdłuż zakrzywionych ścian spiralnie wznoszącej się galerii biegły schody z ozdobną metalową balustradą, łączące poszczególne piętra. Główna sala kończyła się wysoko w górze szklaną półkopułą, której środek zajmował skomplikowany instrument optyczny złożony z mosiężnych rur, luster, soczewek i trybów. Niebotyczne, lśniące metalowe kolumny stojące na środku pomieszczenia tworzyły coś w rodzaju długiego kręgosłupa, od którego odchodziły w bok liczne połączenia znikające w ścianach. Ta dziwna konstrukcja ze szkła i metalu zajmowała większość przestrzeni między galeriami. Obraz Dilla pochodził z najniższej rury, zawieszanej parę jardów nad stołem Sabora.

--Wybaczcie mi nieuprzejmość, ale po prostu nie mamy czasu na spory czy dyskusje -- rzekł bóg zegarów. -- Panno Hael, musi pani natychmiast wrócić do przeszłości, żeby reszta z nas mogła zająć się kwestią pani gigantycznego przyjaciela. Jeśli pani odmówi i postanowi tu zostać, zagrozi pani wszystkiemu, co do tej pory osiągnęliśmy i co jeszcze osiągniemy.

Asasynka spojrziała na swoją bliźniaczkę i z zaskoczeniem dostrzegła strach w jej oczach. Druga Rachel podchwyciła jej pytające spojrzenie i rzuciła krótko:

--Posłuchaj go.

--Ona ma rację -- odezwała się Mina. -- My zajmiemy się Dilem.

--Nie mogę go tak po prostu zostawić -- oświadczyła Rachel.

--Nie zostawiasz go -- uspokoiła ją bliźniaczka. -- Przecież ja tu jestem. Na litość boską, po prostu idź i pozwól nam działać.

--Gdzie mam iść?

--Tędy. -- Sabor wskazał jej najbliższe schody. -- Proszę się pospieszyć, wyjaśnię pani wszystko po drodze.

Rachel spojrziała na Minę. Taumaturg skinęła głową.

Mała grupka ruszyła za gospodarzem, który wchodził na metalowe kręte schody prowadzące na pierwsze piętro jego zamku. Żelazne stopnie dźwięczały pod jego stopami.

--Ta forteca umożliwia badanie ścieżek biegnących wstecz przez czas -- powiedział Sabor, wskazując na liczne drzwi umieszczone na galeriach. -- Prowadzą do śluz czasowych, za śluzami znajdują się komnaty, a każda z nich istnieje w innym momencie przeszłości: godzinę temu, trzy godziny, dwa dni w przeszłości, rok, miesiąc. Wszystko zależy od cyklu, w którym akurat znajduje się dany pokój. Silniki *Obscure* utrzymują całość w ruchu. -- Wyjął spod kolczugi mapę i szybko ją rozłożył. Okazało się, że jest bardzo duża. -- Zasięg czasowy każdej komnaty zmienia się wraz z upływem czasu. Ich cykl podlega różnym permutacjom. Sporządzenie tej mapy to dzieło mojego życia. -- Dźgnął palcem w ogromną płachtę papieru. -- Teraz, na przykład, Komnata Larollen znajdująca się na trzynastym piętrze wychodzi na księżyc w nowiu sprzed czterech miesięcy. Ale kiedy za rok skończy się jej cykl, będzie mogła przenieść podróżnego wstecz zaledwie o pięć dni.

Dotarli do pierwszej galerii. Ten poziom wielkiej sali okrążał pomost z balustradą z gładkiego ciemnego drewna. Na następną galerię prowadziły drugie schody. Kilkanaście par drzwi znajdujących się na tym piętrze miało pośrodku okrągłe szklane okienko, takie jak bulaj na statku, oraz tarczę ze zmatowiałego złota, podobną do mechanizmu szyfrowego umieszczanego na sejfach. Niektóre bulaje były ciemne, przez inne wylewało się światło. W ściany zagłębiały się rury instrumentu optycznego Sabora.

Tutaj Rachel zobaczyła zegary, które wcześniej słyszała z dołu. Na ścianach między drzwiami wisiały wszelkiego rodzaju czasomierze, od skromnych po bardzo wymyślne. Wskazówki przesuwaly się krótkimi skokami po cyfrach, datach i rysunkach słońca i księżyca. Wysoki stojący zegar zadźwięczał metalicznie, jego srebrny towarzysz wiszący naprzeciwko odpowiedział mu sekwencją małych dzwoneczków.

Kiedy mijali pierwsze drzwi, Rachel zajrzała przez szybkę. Za śluzą czasową dostrzegła wygodny pokój pełen zegarów, okazałych mebli, biblioteczek zastawionych starymi woluminami, szafek z instrumentami astronomicznymi. Pod zewnętrznym oknem stało na trójnogu ogromne mosiężne urządzenie -- fragment ciemni optycznej Sabora -- wycelowane w

rozgwieżdżone niebo.

--Jak to możliwe? -- zapytała asasynka.

Sabor spojrział na tarczę, a potem sprawdził mapę.

--Ten konkretny pokój istnieje czterdzieści lat temu -- powiedział. -- Rejestr czasowy jest zgodny z zegarami znajdującymi się w środku. Dlatego komnata należy do tej linii czasu, stanowi część naszej historii. -- Bóg uniósł głowę. -- Garstone? Gdzie jesteś, Garstone?

Rachel popatrzyła z nabożnym lękiem na okienko w drzwiach.

--Więc wchodząc tam, przeniosę się wstecz o czterdzieści lat? -- Musiała przyspieszyć kroku, żeby dogonić grupę. -- Dlaczego ktoś nie wróci do przeszłości, żeby ją zmienić i nie dopuścić do otwarcia bramy w Coreollis?

--Już na to za późno -- odparł Sabor. -- Ta twierdza miała być z założenia obserwatorium, a nie wehikulem dla podróżników w czasie. Można bezpiecznie cofnąć się do zarania dziejów, dopóki pozostaje się w zamku. Ale w chwili, gdy postawi pani stopę na zewnątrz tych murów, zagrozi pani naturalnemu biegowi czasu. Każde działanie, które pani podejmie, choćby najbardziej blahe, może zmienić historię i w ten sposób stworzyć równoległą rzeczywistość. Czas rozdzielił się jak gałąź. Ten pokój stanie się skrzyżowaniem, węzłem między dwoma światami, tym, który pani zostawiła za sobą, i tym, który sama pani stworzyła. -- Bóg spojrział na zegarek kieszonkowy. -- Szybciej, cykl zmieni się lada chwila.

--Skoro to takie niebezpieczne, po co mam wracać?

Sabor wyrzucił ręce w górę.

--Bo nasza linia czasowa już została zakłócona. Psuje się, rozpada. Wszechświat na zewnątrz tych murów umiera powolną śmiercią i nic, co teraz zrobimy, nie pogorszy sprawy. Może przetrwać kolejne sto lat albo dziesięć czy tysiąc, ale już toczy go rak. Możemy jedynie wyciąć go nożem, żeby zyskać trochę czasu. Teraz pani jest tym nożem.

Gdy dotarli do drugich schodów, jedne z drzwi na tym poziomie otworzyły się i wyszedł przez nie przygarbiony stary mężczyzna w garniturze w brązowe i czerwone prążki. Miał nos utkwiony w książce, ale kiedy zauważył ich grupkę, skinął głową najpierw Saborowi, potem kapitanowi i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Chwilę później ten sam człowiek pojawił się w trzecich drzwiach po przeciwnej stronie kolistej galerii. Tym razem był ubrany w prostą niebieską szatę i bazgrał coś w książce. Znowu uklonił się dowódcy milicji i bogu zegarów, po czym zniknął za kolejnymi drzwiami.

--Kto to był? -- zapytała Rachel.

Żelazny Łeb odchrząknął.

--To mój brat Eli. Niech pani zwraca się do niego po prostu Garstone. Jest jedynym z nas, który używa nazwiska naszego staruszka.

--Tak -- wtrącił Sabor, jeszcze raz zerkając na zegarek kieszonkowy. -- Chociaż nie jest to ta wersja Garstone'a, której szukałem. Do naszego zadania potrzebujemy dużo młodszego człowieka.

--Ale jak on może być jednocześnie w dwóch różnych okresach życia? -- zdziwiła się Rachel.

--Nie tylko w dwóch -- odparł kapitan. -- Jeśli przeniesie się pani w tym miejscu o dziesięć minut wstecz, spotka pani siebie sprzed wejścia do tej śluzy czasowej. I jeśli już nie będzie powodu, żeby pani oryginalne ja weszło do komnaty, wtedy nagle będziecie dwie. Mój brat jest

w każdym wieku od tej chwili aż do śmierci. Wciąż się powiela.

--Garstone nakręca zegary -- dodał Sabor -- ale coraz trudniej znaleźć właściwego wśród nich wszystkich. ›

Gospodarz poprowadził ich kolejną kondygnacją schodów na wyższą galerię. Była identyczna jak pierwsza, z takim wyjątkiem, że tutaj na ścianach wisiało jeszcze więcej różnego rodzaju zegarów. Garstone też tu był, tyle że w jeszcze większej liczbie. Rachel naliczyła trzy różne wersje starca, który nakręcał zegary, otwierał i zamykał drzwi, przemieszczając się między pokojami. W milczeniu zajmował się swoją pracą, marszcząc brwi nad księgami, ale z niezmienną uprzejmością kłaniał się Saborowi i bratu oraz swoim bliźniakom.

--Ilu ich tutaj jest? -- zapytała Rachel.

--Pewnie już kilka miliardów -- odparł bóg. -- Pracuje w tym labiryncie czasu od ponad trzydziestu lat swojego życia. -- Zerknął po raz kolejny na zegarek i przyspieszył kroku. -- Trzy minuty do zmiany cyklu.

Rachel patrzyła za nim zdezorientowana, ale Żelazny Łeb wziął ją pod rękę i poprowadził dalej.

--Tyle czasu mamy do chwili, kiedy skończy się okno, przez które może pani przenieść się w przeszłość -- wyjaśnił. Ich kroki dźwięczały na metalowych stopniach. -- Wszystkie komnaty zmieniają swoją pozycję w czasie. Reorganizują się, uwzględniając ruch naszej planety po niebie.

Duży zegar w dole zaczął wybijać godzinę. Jego głośny dźwięk odbijał się echem w wielkiej sali. Kilka mniejszych zegarów odpowiedziało mu chórem srebrzystych nut, ptasimi trelami.

--Zbyt duże napięcie w czasoprzestrzeni rozerwałoby fortecę na kawałki! -- zawołał Sabor, przekrzykując jazgot. -- Żeby zachować równowagę w kosmosie, silniki *Obscure* dokonują stałych poprawek czasu w pewnych pokojach, zmian cyklu. Ty! -- Zatrzymał się i wskazał na jedną z galerii w górze. -- Zejdź tutaj natychmiast.

Ponad balustradą na jednym z wyższych poziomów ukazała się głowa. Ta wersja Garstone'a była dużo młodsza od pozostałych.

--Ja, panie? Już biegnę.

--Dwie minuty -- poinformował Sabor. -- Pospieszmy się. Mamy jeszcze jedno piętro do pokonania. -- Schylił się pod mosiężną rurą obiektywu i ruszył dalej galerią, muskając czubkiem skrzydła rzędy zegarów.

Rachel miała mętlik w głowie. Nie wiedziała już, czy postępuje właściwie. Cała grupa koniecznie chciała pchnąć ją w przeszłość bez żadnego dobrego powodu. Żeby zbudowała tratwy, które i tak nie pomogły Dillovi w ucieczce? Nawet druga Rachel sama to przyznała. Czy nie byłoby rozsądniej zostać i tutaj bronić przyjaciela?

I nagle zrozumiała, jaka jest głupia. Dziesięciogodzinne okno było okazją, którą należało wykorzystać, żeby zmienić bieg ostatnich wydarzeń.

Nadal jeszcze mogła uratować Dilla.

--Co jeszcze powinnam wiedzieć? -- zapytała Sabora.

--Jak rąbać drzewo i wiązać pnie -- odparł bóg.

--Nie, mam na myśli czas... i ten zamek.

--Nic.

--Nazwał go pan labiryntem w czasie, co oznacza, że są setki drzwi prowadzących w przeszłość. Jeśli jeden plan zawiedzie, nie możemy po prostu spróbować innego?

--Proszę nie odstępować od obecnego planu -- uprzedził Sabor. -- To najlepszy sposób, żeby ograniczyć już wyrządzone szkody. Każde nasze wyjście poza fortecę pociąga za sobą określone skutki, powoduje nieprzewidziane paradoksy i dalsze naprężenia w całym continuum.

-- Zerknął na czasomierz i zmarszczył brwi. -- Musi pani zrozumieć, że sama *Obscura Redunda* jest wieczna i niezniszczalna, nie może istnieć tylko w jednym punkcie czasu. W każdym momencie duża liczba jej pokoi znajduje się w przeszłości. Zatem, jeśli zamek istnieje w czasie X, inne jego części istnieją w czasie X minus jedna godzina albo X minus dziesięć lat. A ponieważ te pokoje prowadzą z powrotem do tej właśnie sali, cała forteca niesie ze sobą całą historię swojego istnienia, dokądkolwiek zmierza.

--Sabor ma na myśli, że jest starsza, niż na to wygląda -- wtrącił Żelazny Łeb.

--Starsza? -- Bóg dotarł do trzecich schodów i zaczął po nich wbiegać. -- Są tutaj ścieżki prowadzące przez ogromną pustkę kosmosu do czasów sprzed narodzin tej galaktyki -- rzucił przez ramię. -- Tymi drogami nie mogą podróżować ludzie, tylko bogowie. Kilka moich kopii obecnie próbuje sporządzić ich mapę. Inni bogowie bez wątpienia też. Od eonów. Miliardy odkrywców! A ponieważ ten zamek istniał w chwili powstania wieloświata, można przesunąć go do każdego punktu w przestrzeni. Obserwacje doprowadziły mnie do wniosku, że przestrzeń zapada się w samą siebie, a wieloświat się kurczy. W którymś momencie może stać się nie większy od samej fortecy, co rodzi pytanie: czy wszystkie możliwe wszechświaty zostały stworzone w tym zamku? -- Dotarłszy na szczyt schodów, obejrzał się na swoich gości. -- Tędy!

--Ale jeśli to prawda, to kto stworzył zamek? -- zapytała Rachel.

--Ayen.

--Po tym, jak został stworzony wieloświat!

Sabor spojrział na nią z wyrazem lekkiego niezadowolenia na twarzy.

--Niższe klasy mają kłopoty ze zrozumieniem tego paradoksu. Ayen, jak pani sama zauważyła, jest częścią wszechświata, ale tworząc ten zamek, równie dobrze mogła stworzyć rzeczywistość, którą on teraz zajmuje. Trudno to pojąć, upierając się przy myśleniu o czasie jako o czymś linearnym. Ta twierdza to osobliwość. Co, niestety, bardzo nam utrudni dotarcie do Nieba.

--Wie pan, dlaczego tutaj jesteśmy?

--Oczywiście, że wiem. Już mi pani to powiedziała wcześniej... albo później. -- Sabor z frustracją machnął ręką. -- Zresztą w tej chwili to nieistotne. Oto śluza czasowa, o którą nam chodziło, wejście do Komnaty Renklodowej!

Podszedł do najbliższych drzwi i sprawdził odczyt na tarczy.

--Mniej niż minuta -- oznajmił. -- Zdążyliśmy w ostatniej chwili. -- Pociągnął w dół dużą mosiężną dźwignię. -- Przeniesie się pani dziesięć godzin wstecz.

Oszołomiona Rachel potrząsnęła głową.

--Nadal nie rozumiem. Powiedział pan, że wszechświat wokół nas szwankuje, ale zamek jest wieczny i niezniszczalny. Dlaczego nie można go wykorzystać, by dotrzeć do chwili, zanim Ayen zapieczętowała bramy Nieba?

Sabor westchnął.

--Kiedy Ayen zabrała fortecę z Nieba i postawiła ją na ziemi, wraz z nią przeniosła czas. Zamek nie może zniknąć, ale czas owszem. Właśnie to się teraz dzieje.

--Czas umiera? Dlaczego?

--Trzydzieści dwie sekundy! -- ostrzegł Sabor. -- Musi pani już iść.

Rachel nadal miała wątpliwości. Przeniosła wzrok z kapitana na Minę, a potem na swoją bliźniaczkę. Nagle ogarnął ją lęk.

--Co się ze mną stanie? -- zapytała.

--Skończysz w tym miejscu, próbując nakłonić swoje dawniejsze ja, żeby przeszło przez te cholerne drzwi -- powiedziała taumaturg i dźgnęła ją palcem w ramię.

Sabor znowu sprawdził godzinę.

--Dwadzieścia sekund.

Rachel zajrzała do śluzu czasowej. Zobaczyła mały cylindryczny pokój z identycznymi drzwiami i bulajem po przeciwnej stronie, a za nim bibliotekę z częścią instrumentarium Sabora i oknem wychodzącym na zamglony krajobraz. Sądząc po fakturze światła, na zewnątrz był raczej wczesny ranek niż późne popołudnie, tak jak w tej chwili.

Już miała wejść do środka, kiedy jej przyszła wersja powiedziała:

--Bez obrazu, siostrzyczko, ale jedna ja całkiem wystarczy.

Zrobiła krok do przodu, wciągnęła ją do śluzu czasowej i zatrzasnęła za nimi obiema drzwiami. Zasyczało powietrze, bliźniaczka szybko otworzyła drugie drzwi i brutalnie wypchnęła przez nie Rachel.

Asasynka wylądowała na podłodze. Zerwała się natychmiast i odwróciła, ale druga Rachel już zdążyła zamknąć za sobą drzwi biblioteki, pomachała jej przez szybkę i wyszła ze śluzu czasowej.

Potem zniknęła. Podobnie jak Mina i Sabor. Zewnętrzny bulaj był pusty. Podest również. Po galerii przeszedł Garstone z księgą w ręce i uprzejmie skinął jej głową.

Rachel podeszła do okna i przycisnęła dłonie do chłodnego szkła. Mgła spowijała góry, tworząc wyblakły arras w czerniach i szarościach, który przypominał jej kamieniołom. Nawet nie widziała stąd jeziora. Nisko na wschodzie słońce świeciło słabo jak miedziak.

Rachel odwróciła się od okna, zła na swoją bliźniaczkę, że odmówiła jej prawa do powzięcia samodzielnej decyzji. Postanowiła znaleźć Sabora. Przebiegła przez bibliotekę i otworzyła obie pary drzwi śluzu czasowej.

Na podeście stał Garstone.

--Dzień dobry, panno Hael -- powiedział. -- Przykro mi, że po południu nie mogłem się z panią przywitać. Sabor potrzebował wtedy mojej młodszej repliki.

Rzeczywiście, ta wersja asystenta Sabora była dość młoda, choć nie aż tak bardzo jak ta, która niedawno wychylała się przez poręcz. Raczej w średnim wieku. Pognieciony brązowy garnitur wisiał na bezkształtnych ramionach, z kieszonki na piersi wystawał łańcuszek zegarka. Wszystko w tym człowieku, od wyczekującej postawy po wodniste niebieskie oczy, tchnęło łagodnością. Garstone stał na galerii otoczony przez tykanie, dzwonienie, kurantowe melodyjki i szmer niezliczonych zegarów.

--Skąd się pan tutaj wziął? -- zapytała Rachel. -- Nie było pana w pokoju.

--Nie, proszę pani. Spóźniłem się odrobinę, więc musiałem dotrzeć tutaj alternatywną trasą.

--Alternatywną trasą?

Rachel ogarnął gniew. Więc jednak istniała inna droga. Cała ta bieganina miała jedynie namącić jej w głowie i w ten sposób zmusić ją do podjęcia się szalonego zadania, które Sabor uznał za konieczną część swojego wielkiego planu.

--Początkowy skok o dziewięćdziesiąt cztery dni przez Komnatę Lawendową, cofnięcie się o cztery dni i jeszcze sześć miesięcy, zanim odkryłem właściwą linię czasową -- wyjaśnił Garstone. -- Potem musiałem jedynie czekać. Chwila odpoczynku w głównej sali *Obscurey*. Później znowu w drogę przez Komnatę Farthing. -- Skłonił głowę. -- Cała podróż zabrała mi nie więcej niż czternaście lat.

--Czternaście lat?

Asystent zrobił niezadowoloną minę.

--Przegapiłem jedno połączenie, co kosztowało mnie jedenaście dni. Obawiam się, że już nie jestem młodszą wersją siebie, której Sabor powierzył to zadanie.

Rachel przyjrzała mu się uważnie.

--Ile jest tu obecnie różnych linii czasowych?

--Trudno powiedzieć, proszę pani. Są dwie główne linie, ale ostatnie zmiany doprowadziły do powstania mniejszych odgałęzień każdej z nich. Oczywiście powinien istnieć tylko jeden kurs wydarzeń, bo każde zaburzenie czasowe rozprzestrzenia się na całe continuum. Proszę mi wybaczyć, ale pani jest panną Rachel Hael, tak?

Asasynka skinęła głową.

--A pan naprawdę jest bratem Żelaznego Łba?

--Jego imię brzmi Reed, proszę pani. Reed Garstone. Nie podoba mi się ten wulgarny przydomek nadany mu przez żołnierzy. Ale, tak, jest moim bratem. Starszym o rok, trzy miesiące, dziewięć...

--W porządku -- przerwała mu Rachel ze zniecierpliwieniem. -- Jak mam wrócić do Burntwater? Będę potrzebowała łodzi, żeby przepłynąć przez Kwiatowe Jezioro.

--Burntwater? Przecież mamy dotrzeć tylko do Kevin s Jetty. Sądziłem, że wszystko pani wyjaśniono. Po naszym przybyciu na miejsce ja będę negocjował z Herikanami umowę na budowę flotyli małych łodzi. Potem...

--Tak -- wycedziła asasynka. -- Wiem, ale tego nie zrobię. Budowanie tratw było stratą czasu.

--Jeśli odstąpi pani od planu, zmieni pani historię -- ostrzegł Garstone. -- Obliczenia Sabora są dokładne. Musimy zbudować...

--Jego oryginalny plan nic nie dał, a też zmienił historię -- odparowała Rachel podniesionym głosem. Nie mogła przepędzić z głowy obrazu Dilla, wlokącego roztrzaskane ciało po plaży. Teraz miała szansę temu zapobiec.

--Ale... Panno Hael, w naszej przyszłości to się już stało. My mamy tylko dopilnować, żeby to wszystko się wydarzyło albo żeby nadal się działo, jeśli pani woli. Jeśli nie dopuścimy do tych zdarzeń, wieloświat wytworzy nową odnogę, żeby wchłonąć nasze niepowodzenie, i w rezultacie całe continuum zostanie jeszcze bardziej osłabione.

--Gdzie jest Sabor? -- zapytała Rachel.

--Mam parę rysunków tratw... -- ciągnął wyraźnie zmartwiony Garstone. -- Jeśli... panno Hael, gdzie pani idzie?

Rachel zamierzała odszukać boga zegarów. Nie dość, że zmusili ją do powrotu w przeszłość, nie pytając jej o zgodę, to jeszcze oczekiwali, że ona będzie trzymać się ich niedorzecznego planu. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że jej złośliwa bliźniaczka wepchnęła ją do służby czasowej tylko po to, żeby się jej pozbyć. Ona sama byłaby w stanie coś takiego zrobić.

Powinam była zdzielić ją pięścią!

Dotknęła siniaka pod okiem. Na jej usta wypłynął gorzki uśmiech.

Założę się, że teraz się śmiejesz, siostrze.

Nie zatrzymywała się już więcej, póki nie dotarła do stołu Sabora. Boga zegarów nie było w głównej sali.

Garstone dogonił ją i oznajmił:

--Pan jest niedysponowany, panienko.

--Gdzie on jest?

--Nie tyle gdzie, ile kiedy.

--Kiedy?

--Zdaje się, że w jednej z tych kieszeni czasu, których jeszcze nie sprawdził. Sabor woli poruszać się między krytycznymi albo interesującymi momentami w historii. *Obscura Redunda* pozwala mu omijać co bardziej... przyziemne części continuum.

--Więc mnie unika?

Garstone wbił wzrok w podłogę.

--Mój pan się zjawi, zanim pani wróci do zamku dziś po południu. Musi to zrobić, bo inaczej pani by go nie spotkała.

Asasynka bez słowa popędziła do drzwi. Nie zamierzała czekać na Sabora i z pewnością nie zamierzała spędzić następnych dziesięciu godzin na ścinaniu drzew, żeby zbudować tratwy. Miała czas, żeby dotrzeć do Burntwater, zanim przybędą tam Dill, Mina i jej drugie ja. Teraz musiała jedynie wymyślić sposób, jak nie dopuścić do zbliżającej się bitwy i uratować wszystkich.

* * *

John Kotwica i Harper chodzili po wraku *Rotswarda*, szukając pereł dusz. Niewiele zostało z ogromnego drewnianego statku. Prawdziwym źródłem jego mocy była mentalna więź łącząca Cospinola i jego niewolnika, ale śmierć boga morza i mgły spowodowała jej zerwanie. Statek zmienił się w zwykłą kupę drewna.

Harper przesunęła lokalizatorem po plątaniu lin i połamanych desek. Srebrne urządzenie wydało ostry dźwięk.

Kotwica podniósł wzrok.

--Nic -- powiedziała metafizyczka. -- Lokalizator się tutaj gubi... wszystkie te zagubione dusze. Trudno znaleźć coś tak małego jak perła wśród całej tej... posoki.

--Ale jest mniej krwi niż przedtem -- zauważył wesoło Kotwica. -- Z każdą chwilą coraz mniej, więc nie traćmy nadziei.

Rzeka Przebranych znowu zaczęła płynąć w stronę, w którą udała się Carnival. Miriady kanałów podążały za anielicą.

Zostawiały za sobą czerwone wilgotne koryta o niskich brzegach, głębokie do kostek strumienie i śmieci. Ustępująca woda odsłaniała coraz więcej wraków. Kotwica znalazł szczątki

zbroi i broni, należące kiedyś do Wisielców. Wszędzie leżały stosy mokrych desek, jakby ktoś przygotował je na ognisko. Wielkolud natykał się na jakieś pocięte żelazne części, zawiasy i gwoździe, a nawet meble. Tylko nigdzie nie było ciał. Uniosły je prądy.

Kotwica odruchowo sięgnął do pasa, jednak w skórzanej sakiewce nie została ani jedna perła. Ogarnęło go dziwne uczucie irytacji, ale natychmiast je zwalczył. Będzie musiał po prostu na razie obejść się bez dusz.

--John, popatrz.

Kotwica podążył za wzrokiem Harper. W górze majaczył Labirynt w całej swojej straszliwej glorii. Z niezliczonych okien w nierównych ceglanych murach padało światło lamp. W miejscu, gdzie rusztowanie *Rotswarda* zostało przeciągnięte przez spód Piekła, ziała ogromna dziura. Otaczało ją pocięte żelastwo, roztrzaskane fasady domów, odsłonięte mieszkania, teraz obficie krwawiące. Na skraju przepaści stało kilka postaci i zaglądało w głąb dziwnego królestwa.

--Tak, ja też byłbym ciekaw -- skomentował Kotwica. -- W Piekle dzieje się pewnie niewiele rzeczy, o których warto by poplotkować.

--Nie, spójrz tam -- ponagliła go Harper.

Olbrzym podniósł wzrok i zobaczył stożkowaty obiekt wystający z roztrzaskanych pokoi. Był szary i nie pasował do czerwonej cegły i czarnego żelaza. Pod nim stała na półce dziewczynka i machała do nich.

--Isla? -- zdziwił się Kotwica.

--Jej statek może nas stąd wydostać -- stwierdziła Harper.

Kotwica zmarszczył brwi.

--Muszę znaleźć perły Cospinola.

--Lepiej o nich zapomnij -- poradziła metafizyczka. -- Rzeka je wszystkie pochłonęła. -- Spojrzała na małą postać i uniosła ręce, pokazując jej, żeby została tam, gdzie jest.

--Nie -- upierał się wielkolud. -- Bez nich stracę siły. Musimy dalej szukać. -- Podniósł duży fragment szubienicy i cisnął go na bok. Pod spodem nie było nic oprócz gęstego czerwonego błota.

--Już nie potrzebujesz tyle siły -- stwierdziła Harper. -- Nie możemy tutaj zostać, John. Musimy wracać do Piekła.

Kotwica odwrócił się do niej rozeźlony.

--Nie słyszałaś, co powiedziałem? Potrzebuję więcej dusz! Użyj swojego przeklętego lokalizatora, żeby mi jakieś znaleźć, zanim... -- Kopnął stos desek, posyłając je we wszystkie strony.

Metafizyczka zmierzyła go wzrokiem.

--John, co się z tobą dzieje?

--Nic -- burknął wielkolud.

Podszedł do kolejnego stosu śmieci. Czuł się dziwnie. Minęła chwila, zanim zrozumiał, o czym świadczą skurcze w brzuchu.

Głód.

Wziął się za usuwanie kawałków drewna i zwojów lin. Pod nimi leżały na pół zagrzebane w ziemi pocięte części wielkiego żelaznego kotła, jeszcze jeden hełm, ołowiana rura i łuk. Kotwica obejrzał je kolejno i cisnął na bok. Bezużyteczne śmieci. Odruchowo znowu sięgnął do

pasa, zanim sobie przypomniał, że sakiewka jest pusta. Prychnął i zaczął przeszukiwać śmietnisko energiczniej. Płachty blachy, rozlupana belka, garnek, kolejne deski i jeszcze więcej cholernych desek. Rozrzucił śmietnisko na wszystkie strony i przez dłuższą chwilę stał, dysząc ciężko.

Nagle coś ogromnego spadło z nieba i rozbiło się na ziemi sto jardów dalej. Kawał ceglaneanego muru. W ślad za nim poleciał w dół deszcz krwi.

Olbrzym podniósł wzrok.

Podstawa Labiryntu pękała, rozrywana przez metalowy, jajowaty obiekt, który przedzierał się przez nią pod płytkim kątem. Od sklepienia odrywały się cegły i żelastwo. Leciały w dół w chmurach kurzu i kaskadach iskrzącego się szkła. Pokład statku Isli zadygotał i w końcu cały przebił się przez mur. Wielki stalowy cylinder, zwężający się i zaokrąglony na końcach, zawisł na chwilę pod piekielnym niebem. Z przewodów w tyle kadłuba buchnęły przezrocyste opary, powietrze wokół nich zadrżało jak na pustyni.

Łódź podwodna zaczęła powoli opadać ku nim.

Kotwica wziął głęboki wdech, potem drugi. Mięśnie szczęk miał tak napięte, że aż bolały go zęby. Stał nieruchomo jak skała i obserwował statek opuszczający się w dół z nieba.

W samą porę, pomyślał.

Rozdział 10

ZMIANA PLANU

Garstone deptał jej po piętach.

--Sabor dał nam wyraźne instrukcje, panno Hael. Tratwy muszą być zbudowane, bo mają pani pomóc w ucieczce przez Kwiatowe Jezioro. Nietrzymanie się planu spowoduje nieznane konsekwencje.

Rachel objęła się rękoma, chroniąc przed zimnem. Uparcie wbijała wzrok w ścieżkę przed sobą, żeby nie oglądać się na dziwny eteryczny zamek Sabora.

--Tratwy nie były konieczne -- oświadczyła z uporem. -- To Dill zatrzymał arkonitów Menoi, a nie wasze żalosne kamuflaże.

--Jest pani pewna, panno Hael? To znaczy, we mgle...

--Dość tego, Garstone. Zrobimy to po mojemu.

Nadal była wściekła, że zmuszono ją do cofnięcia się w przeszłość, ale postanowiła nie kierować się gniewem. Jej bliźniaczka znajdowała się teraz w ustach Dilla razem z Miną i zbliżała się do Burntwater. Co dobrego wynikłoby z tego, że pozwoliłaby wydarzeniom rozwijać się swobodnie? Sabor oczekiwał od niej, że pozyska pomoc Herikanów z Kevins Jetty, zbuduje te głupie tratwy, a potem wypłynie na jezioro, gdzie spotka samą siebie i podbije sobie oko. Ale nawet gdyby zrobiła to wszystko, arkonici i tak zniszczyliby Dilla. Musiał istnieć lepszy sposób, żeby temu zapobiec.

Po godzinie schodzenia stromym szlakiem dotarli do Kevins Jetty. Domy tłoczyły się na skraju wody, jakby zostały wyrzucone z gęstego lasu i teraz czepiały się jedyne skrawka ziemi, który im przydzielono. Tłusty dym snuł się z kominów, zagęszczał powietrze wokół chat i starego moła. Wszystko przenikał mocny zapach gotowanych ryb. Między domami biegła błotnista ścieżka, zupełnie pusta, nie licząc parchatego białego kota.

Rachel nie miała trudności z kradzieżą łodzi.

Mała, ale na pierwszy rzut oka mocna, leżała między wieloma innymi, wyciągniętymi na kamienistą plażę za osadą. Rachel oparła się o dziób i zaczęła pchać. Kadłub ze zgrzytaniem przesunął się o kilka stóp w stronę wody. Garstone spojrział na zegarek kieszonkowy, a potem na zabudowania, najwyraźniej niepewny, co robić.

--Proszę, panno Hael... -- zaczął z wahaniem. -- Sabor poświęcił kilka godzin studiów, żeby ułożyć pierwotny plan. On uważa, że to był najlepszy sposób, żeby ta linia czasu pozostała stabilna.

--Pomóż mi, człowieku.

--Proszę rozważyć konsekwencje tego, co pani robi, panno Hael. Pochopna decyzja spowoduje, że czas znowu się rozdzieli. Stworzy pani całkiem nowy wszechświat, którego przyszłości nie możemy przewidzieć.

--Nie może być gorszy niż ten ostatni.

--Tego pani nie wie, panno Hael. Kiedy wychodziliśmy, arkonici Menoi jeszcze nie dotarli do fortecy. Pani przyjaciel Dill był ranny, ale żywy. Jeszcze istniała nadzieja na znalezienie drogi do Nieba.

Asasynka wyężyła siły. Szorując dnem po kamieniach, łódź przesunęła się trochę bliżej jeziora, nieruchomego jak lustro.

--Jaka nadzieja? -- wysapała Rachel. -- Widział pan, co arkonicy Menoi zrobili Dillowi? Jak miałby szturmować bramy Nieba w takim stanie?

Garstone wzruszył ramionami.

--Nie wierzę, żeby Sabor zamierzał wykorzystać pani przyjaciela do ataku. Pracował nad własnym rozwiązaniem problemu mesmerystów. Przynajmniej...

Asystent umilkł gwałtownie.

--Co przynajmniej?

--Nic, panno Hael. -- Garstone znowu zerknął na zegarek. -- Mamy dziewiętnaście minut, żeby rozpocząć negocjacje z Herikanami. Jeszcze nie jest za późno, żeby zmieniła pani zdanie.

Po kolejnym pchnięciu rufa łodzi zsunęła się z pluskiem do wody. Rachel wypchnęła ją trochę dalej i wsiadła od strony dziobu.

--Idziesz, Garstone?

--Proszę pani?

Łódź zaczęła dryfować. Rachel wbiła wiosło w dno, żeby ją zatrzymać.

--Jeśli mam zmienić historię, przydałaby mi się pańska pomoc, żeby zrobić to we właściwy sposób -- powiedziała.

Asystent Sabora kolejny raz sprawdził godzinę na zegarku kieszonkowym.

--Obawiam się, że już zmieniła pani historię.

Potem zdjął buty i skarpety, podwinął spodnie i wszedł do jeziora.

Rachel nie wiedziała, jak dotrzeć do Burntwater we mgle, ale przypomniła sobie, że jezioro nie jest zbyt szerokie. Zresztą miała jeszcze jakieś osiem godzin do przybycia Dilla. Jeśli utrzyma właściwy kurs, powinna wkrótce przepłynąć na drugą stronę. Stamtąd mogła płynąć dalej wzdłuż brzegu.

Ona wiosłowała, a Garstone opierał się o ster i co chwila zerkał na zegarek, marszcząc brwi.

--Minęły dwadzieścia trzy minuty od chwili, kiedy miała pani skontaktować się z Herikanami -- oznajmił. -- Właściwie już dwadzieścia cztery.

--Chyba nie zamierza pan ogłaszać mi godziny przez całą drogę do Burntwater?

Garstone posłał jej spojrzenie pełne nagany.

--Już nie jesteśmy w naszym poprzednim wszechświecie, panno Hael. Sama pani stworzyła swoją odnogę wieloświata. W tej chwili pędzi ona na oślep ścieżką nieoznaczoną na mapie. Gdybyśmy teraz wrócili do fortecy, moglibyśmy zapobiec niektórym przyszłym wydarzeniom. -- Sprawdził czas. -- Dwadzieścia cztery minuty i dziesięć sekund.

--Chce pan wracać?

--Byłaby to w tej chwili najrozsądniejsza decyzja.

--Nie wracamy.

Garstone znowu powędrował wzrokiem do zegarka. Już otwierał usta, ale Rachel krzyknęła, mocniej napierając na wiosła:

--Nie obchodzi mnie, która jest godzina!

Nie licząc pluskania wody i poskrzypywania wiosel w dulkach, Kwiatowe Jezioro nadal było ciche i nieruchome. Mgła otaczała ich delikatną szarą zasłoną, która jakby tłumiała wszelkie inne dźwięki. Nie było słyhać śpiewu ptaków. Gładkiej toni nie marszczyła najmniejsza bryza. Powietrze pachniało sosnami i metalicznym chłodem bijącym od jeziora.

Przez długi czas płynęli w milczeniu.

W końcu Rachel dostrzegła przed nimi we mgle drzewa, a niedługo potem skalisty brzeg. Las dochodził do samej wody i ciągnął się w obie strony jak bariera z gęstego cienia. Rachel zatrzymała łódź i wciągnęła nosem powietrze. Najślabszy zapach dymu drzewnego mógłby jej podpowiedzieć, gdzie leży osada, ale go nie wyczuła. Wyteżyła słuch, ale nic nie usłyszała.

--W prawo czy w lewo? -- zapytała.

--Nie wiem, panno Hael. -- Kolejne zerknięcie na zegarek. -- Spędziliśmy czterdzieści minut i dziesięć sekund na pokładzie tej łodzi. Raczej jest już za późno, żeby zmienić bieg wydarzeń w tym wszechświecie, ale nadal możemy wrócić do zamku, a tam znaleźć ścieżkę powrotną do wcześniejszego czasu. Może wystarczy tylko kilka dekad podróży przez labirynt czasu, żeby wrócić do tego poranka. A gdyby stworzyła pani kilka wersji siebie...

--Nie. I tak jest już mnie za dużo.

--Kolejna Rachel Hael mogłaby być bardziej skłonna do współpracy z Herikanami. Jeszcze dałoby się wprowadzić w życie plan Sabora.

--Nie ma mowy. Płynę w lewo.

Gdy tylko powzięła decyzję, z brzegu dobiegł głos:

--Prąd zniósł was na wschód od Burntwater. Musisz skrócić w prawo, siostró.

Rachel gwałtownie odwróciła głowę.

Na brzegu siedziała na glazie kobieta w białej koszuli i bawełnianych jasnobrązowych spodniach. Była o jakieś dziesięć lat starsza od Rachel, ale ona i tak rozpoznała tę bladą twarz i jasnozielone oczy. Patrzyła na swoją kolejną tymczasową wersję.

--Niech cię diabli! -- krzyknęła. -- Śledziłaś mnie!

--Nie. No, dobrze, tak. Ale inaczej, niż myślisz. Nie jestem tą kobietą, którą zostawiłaś w zamku.

Garstone z westchnieniem wzniósł oczy do nieba.

--*Obscura Redunda* i jej zawilości... -- mruknął. -- Niedobry znak. Ja też jestem z panią, panno Hael?

Starsza Rachel uśmiechnęła się smutno.

--Nie tym razem, Eli. Przybyłam tutaj sama.

--Żeby zapobiec nieszczęściu, jak przypuszczam?

--Może.

Tymczasem Rachel przyglądała się swojej replice. Doszła do wniosku, że tamta całkiem nieźle się postarzała. Siniaki i rany zniknęły, ale zauważyła zmarszczki na czole i wokół oczu. Włosy były trochę rzadsze, skóra wyglądała na zmęczoną, piersi...

Asasynka westchnęła.

--Nie gniewaj się na mnie, siostró -- powiedziała cicho starsza Rachel. -- Przebyłam bardzo długą drogę, żeby tutaj dotrzeć. Naprawdę mnie teraz potrzebujesz.

--Dlaczego?

Kobieta potrząsnęła głową.

--Im mniej wiesz, tym większe masz szanse, że ci się uda. Wydarzenia powinny biec w sposób jak najbardziej zbliżony do tych w moim wszechświecie. Pewnie istnieje chwila, kiedy można spowodować zmianę, ale nie wiem dokładnie, kiedy ona nastąpi. Jednak wiele od niej zależy. Tyle mogę ci powiedzieć.

--Ale coś musiało pójść źle... bardzo źle, bo inaczej by cię tu nie było. -- Rachel nagle opuścił gniew. Wyczuła w starszej kobiecie aurę smutku, nawet rozpacz. Jakby jej replika ukrywała jakiś bolesny sekret. -- Schrzaniałam, tak? Zmieniając historię, tylko pogorszyłam sprawę. Tratwy Herikanów jednak musiały mieć znaczenie.

Kobieta nie odpowiedziała.

Rachel powzięła decyzję.

--Dobrze. Co robimy, żeby wszystko naprawić?

W ponurym milczeniu popłynęli we trójkę na zachód. Rachel wciąż zerknęła na starszą kobietę i przyłapywała tamtą, że się w nią wpatruje. Ich spojrzenia często się spotykały, ale też szybko się rozdzielały.

--Jest w ogóle coś, o czym możesz mi powiedzieć? -- zapytała asasynka.

Jej drugie ja wygładziło przód białej koszuli.

--Chciałabym ci powiedzieć tysiąc rzeczy, ale nie mogę ryzykować. Nie psujmy już bardziej tej linii czasu. Obserwujmy, co się dzieje. Będę wiedziała, co zrobić, kiedy nadejdzie ten moment.

--Nie możesz mi nawet zdradzić, czy udało się nam znaleźć Niebo i powstrzymać arkonitów Menoi?

Starsza Rachel zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

--Istnieje wiele wszechświatów i wiele możliwości. Ale teraz obchodzi mnie tylko ta jedna, siostrze.

--Siostrze? W twoich ustach to słowo jakoś nie wydaje się obraźliwe. Ale dlaczego obchodzi cię, co się stanie z tym światem, skoro gdzie indziej są lepsze?

--Wiesz dlaczego.

Rachel wiedziała. Jeśli decyzje, które dzisiaj powzięła, doprowadziły do ogromnego cierpienia na tym świecie, czy nie próbowałyby wrócić, żeby mu zapobiec?

--Patrzcie na mnie, jedyne w Spine zabójcę filantropa -- rzuciła z ironią.

Ten świat?

Już zaczęła myśleć o tym miejscu jako o części dużo większego Labiryntu Czasu. Miała nadzieję, że ten korytarz nie jest ślepy.

--Przynajmniej mi powiedz, jak Sabor uciekł z Coreollis. Nie miałam okazji go zapytać.

Starsza Rachel zrobiła niepewną minę.

--Nie uciekł, panno Hael -- odezwał się Garstone. -- Rys, Mirith, Hafe i Sabor, wszyscy oni zginęli tamtego dnia.

Asasynka zmarszczyła brwi.

--Ale najpierw postarali się o swoje czasowe repliki?

--Tylko Rys i Sabor istnieli w wielu wersjach w jednym miejscu -- odparł Garstone. -- Hafe i Mirith po prostu wierzyli, że są replikami swoich prawdziwych ja. Sabor przekonał ich o tym pewnego wieczoru przy kolacji. W rzeczywistości ci dwaj bogowie byli wyjątkowi, jedyni tacy w całym wszechświecie. Teraz są martwi i tacy pozostaną, jeśli Sabor nie wróci, żeby wyrwać ich z historii.

--Jestem zaskoczona, że nawet kopia Rysa zgodziła się poświęcić.

Garstone się uśmiechnął.

--Bystra uwaga, panno Hael. Czasowa replika uważa siebie za prawdziwą osobę i

oczywiście w pewnym sensie nią jest. Tak jak wszystkie. Rysa z pewnością nie można uznać za wielkodusznego. Tę cechę charakteru dzielił ze swoją repliką. Obaj byli zupełnie niezdolni do poświęcenia życia dla dobra innych. -- Asystent Sabora odruchowo sięgnął po zegarek kieszonkowy, ale w ostatniej chwili się powstrzymał i uśmiechnął. -- Mój pan znalazł jednak sposób na rozwiązanie tego problemu. Tamtego pamiętnego dnia obie wersje Rysa przebywały w bastionie. Każda knuła, żeby zdradzić drugą i w ten sposób zapewnić sobie ucieczkę. Niestety, walcząc ze sobą w środku, obie zginęły, kiedy budowla się zawaliła.

Rachel się roześmiała.

--Więc naprawdę widziałam ich tam dwóch. Twój pan to cicha woda.

--Jest przyzwyczajony do myślenia paralelnego, panno Hael.

W końcu dotarli do Burntwater. W szarej mgłę majaczyły mola i drewniane budynki. Przycumowali do nabrzeża na wschodnim krańcu miasteczka i wspięli się na błotnistą promenadę, wzdłuż której ciągnęły się stare domy kryte gontem. Nadbrzeżna ulica biegła do magazynów portowych. Rachel rozpoznała je z wcześniejszej bitwy, która się tutaj rozegrała... rozegrałaby się. Walka, masowa ewakuacja... nic z tego jeszcze się nie wydarzyło.

--Masz plan -- powiedziała starsza Rachel.

--Tak, ale teraz nie wiem, co robić. Każde moje działanie może zniszczyć przyszłość.

--Trzymaj się swojego planu. Ja będę czekać na właściwą chwilę, żeby wkroczyć.

--Ale przecież ty nie wiesz, jaki jest mój plan.

--Zamierzasz spotkać się z Żelaznym Łbem i ostrzec go przed tym, co ma się stać.

Będiesz go błagać, żeby nie atakował Dilla i żeby zachował wszystko w sekrecie przed tą wersją ciebie, która właśnie się zbliża do Burntwater. Poprosisz go o przekazanie wiadomości Dillowowi, żeby nasz gigantyczny przyjaciel wiedział, jak uciec wrogom.

Asasynka rozdziawiła usta.

--Skąd to wszystko wiesz?

--Bo właśnie tak postąpiłam.

--Ale... przecież ty zostałam w Herice i zbudowałam tratwy. Nigdy tutaj nie byłam.

Dруга Rachel pokiwała głową.

--Zatrudniłam Herikanów do budowy tratw, ale czy naprawdę myślisz, że zostałam z nimi i ścinałam drzewa, mając świadomość, że do Burntwater jest zaledwie godzina drogi przez jezioro? -- Uniosła koszulę i wyciągnęła spod niej nóż. Sprawdziła ostrze i wsunęła broń z powrotem za pasek. -- Nie, siostrze, podczas gdy Herikanie tyrali, ja przyplłynęłam tutaj i zrobiłam dokładnie to, co ty teraz zrobisz. Czekalam w Burntwater, kiedy ty dopiero do niego zmierzałaś. Nie zdziwiło cię, że Żelazny Łb użył twojego nazwiska, zanim zdążył je poznać?

„A więc to prawda, panno Hael?”. Rachel przypomniała sobie słowa kapitana. W rzeczywistości zauważyła jego błąd, ale ze względu na kryzysową sytuację nie poświęciła mu należytej uwagi.

--I nie zastanowiło cię, po co chciał wejść do czaszki Dilla? -- spytała starsza Rachel. -- Dostarczył wiadomość, którą zaraz mu przekażesz. Powiedział Dillowowi, jak ma uciec przed arkonitami Menoi. -- Zrobiła pauzę, podczas gdy asasynka przetrawiała jej słowa. -- Kiedy spotkałaś mnie na jeziorze, byłam w drodze powrotnej do Kevins Jetty.

Rachel mąciło się w głowie. Czula się w jakiś sposób zdradzona.

--Więc teraz moja kolej, żeby zrobić to, co ty zrobiłaś? Z tą różnicą, że tym razem nie

skontaktowałam się z Herikanami. Na jeziorze nie ma żadnych tratw. Mogłaś spotkać się ze mną w Kevin's Jetty i powiedzieć mi prawdę. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Jej replika nie odpowiedziała.

--Co ukrywasz? -- drażyla asasynka.

Tamta pokręciła głową.

--Przykro mi, siostrze.

Garstone spojrzal na zegarek.

--Panie, czy mogę zasugerować...

--Wiem! -- powiedziały obie jednocześnie.

Rachel wzięła głęboki wdech.

--Gdzie znajdziemy kapitana?

--Nie mogę ci powiedzieć. Kto wie, co jeszcze by się zmieniło, gdybym to zrobiła? Sama go znajdź, siostrze.

Tak więc Rachel podeszła do pierwszego domu na ulicy i zabębniła do drzwi. Po chwili w progu pojawiła się stara kobieta.

--Gdzie znajdę kapitana Żelaznego Łba? -- zapytała Rachel.

--Kapitana jakiego?

--Garstone'a. Reeda Garstone'a, kapitana milicji Burntwater.

Stara kobieta zmrużyła oczy.

--Oczywiście na murach. Gdzie indziej mógłby być w taki czas? Zapytaj o niego w kwaterze głównej. Będą wiedzieli, gdzie dokładnie jest.

Po krótkim marszu główną ulicą dotarli do kwatery głównej milicji, mieszczącej się obok południowej bramy Burntwater. Przysadzisty prostokątny budynek z trudem pomieściłby czterdziestu ludzi stojących ramię przy ramieniu. W przybudówkach trzymano świnię i kury. Drzwi były niestrzeżone, więc Rachel po prostu weszła do środka. Jej replika postanowiła zostać na zewnątrz, „żeby zachować integralność linii czasowej”, jak wyjaśniła.

Kiedy Rachel otworzyła drzwi, odetchnęła z ulgą na widok kapitana siedzącego przy jedynym stole w pomieszczeniu. Żelazny Łeb zdjął wcześniej płytki hełm, odsłaniając szopę prostych, ciemnych włosów. Miecz i młot wisiały na hakach wbitych w ścianę. Dowódca milicji podniósł wzrok znad mapy i zmarszczył brwi.

--W czym mogę pomóc?

Rachel już miała się odezwać, kiedy sobie uświadomiła, że właściwie nie przemyślała, co ma powiedzieć.

Tak czy inaczej wiadomość, którą miała do przekazania, musiała zabrzmieć jak bredzenie wariatki.

W tym momencie do pokoju wszedł Garstone.

Żelazny Łeb uniósł brwi. Zerknął na Rachel i wrócił spojrzeniem do brata.

--Eli! -- zawołał. -- Dawno cię nie widziałem.

Asystent Sabora sprawdził godzinę na zegarku.

--Właściwie, Reed, to niecały dzień, odkąd...

Kapitan uniósł rękę.

--Nie kłopot się, Eli. Wciąż to samo za każdym razem, kiedy się spotykamy. Zawsze mnie to denerwuje, gdy wspominasz o rozmowach ze mną, do których jeszcze nie doszło. --

Uśmiechnął się szeroko do Rachel. -- Ale nigdy nie pamięta o moich urodzinach.

Asasynkę zalała fala ulgi.

--Mam coś... dziwnego do powiedzenia -- oznajmiła.

Żelazny Łeb odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie za głową.

--Nie pierwszy raz -- skwitował.

* * *

Król Menoa siedział w nowo utworzonej bibliotece na szczycie Dziewiętej Cytadeli, kiedy nagle cała forteca zaczęła wyc. Odłożył książkę, którą czytał, i powiedział:

--Oświeć mnie, proszę.

Ściany i podłogi fortecy, podobnie jak książki w bibliotece, zostały utworzone ze zmarłych, żeby służyć najróżniejszym celom przewidzianym dla nich przez Menoę. Ale w przeciwieństwie do ikarackich kapłanów te proste konstrukty miały ograniczoną inteligencję albo były obłąkane. Podłoga, która nie umiała zdefiniować przyczyny czy natury swojego cierpienia, po prostu plotła bzdury.

--Wieść od fundamentów! -- krzyknęła szarymi ustami znajdującymi się pośrodku powierzchni wyłożonej płytkami. -- Zapadanie się i ogień! Obecność. Cytadela jest zalana. Było trzęsienie ziemi, panie. Piorun uderzył w wieżę zegarową. Twoja cenna biblioteka płonie.

--Biblioteka nie płonie -- rzekł król. -- Taka rzecz jest tutaj niemożliwa.

Ale książki jęczały i dygotały nerwowo na półkach. Menoa zastanawiał się przez chwilę, ile z zawartych w nich historii mogło się zmienić w tej chwili paniki. Strach często bywał źródłem przeinaczania faktów, a zmarli kłamali nie mniej niż żywi. Władca pochwalał zmiany -- chaos odpowiadał jego naturze -- ale nie mógł przejść do porządku nad nieznanym wydarzeniem, które spowodowało tę konkretną zmianę. Niespodzianki go irytowały.

--Gwiazda przeleciała przez trzewia fortecy. -- Podłoga jęknęła. -- Jesteśmy teraz zdani na łaskę intruzów.

Król wstał z krzesła.

--Jakich intruzów?

--W środku jest wielka armia, panie.

--W Piekło nie ma żadnej wrogiej armii! Czy Dziewięta Cytadela postradała rozum? Niech moi Ikaraci się tym zajmą.

Może pozwolił, żeby budowla zbyt szybko się rozrosła w zbyt krótkim czasie. Teraz miała trzy tysiące trzy poziomy, dzięki czemu miał oszalamiający widok na całe Piekło. Ale, czy wymuszając taki wzrost, nie naraził na szwank zdolności fortecy do racjonalnego myślenia?

--Zamordowani, wszyscy zamordowani! -- wyla podłoga. -- Ich umysły wysrane przez czerwoną wodę.

Czerwona woda? Serce Menoi ścisnął chłód. Czyżby Rzeka Przegranych wdarła się do jego fortecy? Skąd wzięła na to dość odwagi i rozumu?

--Schody, na dół! -- warknął.

Podłoga nagle zafalowała i rozsunęła się, tworząc spiralne schody prowadzące na niższe poziomy Dziewiętej Cytadeli. Król pstryknął palcami i na całej drodze w dół zapłonęły pochodnie, oblewając sufit biblioteki migotliwym blaskiem. Menoa już miał odłożyć książkę, ale powstrzymał się i zerknął na ostatnią stronę.

... utworzyła schody prowadzące na niższe poziomy wspaniałej fortecy króla. Jego

Wysokość, pan i władca całego Labiryntu, zamachnął się, żeby odrzucić na bok biedną, wystraszoną, ale lojalną książkę, lecz w swojej mądrości pohamował się i rzucił spojrzenie na ostatnią stronę.

Bezużyteczne tomiszcze. Teraz próbowało na swój lizusowski sposób opisać wydarzenia, których było świadkiem. Król cisnął nim z całej siły o ścianę biblioteki i pobiegł w dół schodami, które właśnie stworzył, zastanawiając się, jak książka zinterpretuje to zachowanie.

Wszystkie pomieszczenia w dole były mocno ożywione. Menoa kroczył do serca cytadeli obok wijących się ścian bezokich konstruktów, trzymających kamienne płyty, których używał jako stopni. Inne oświetlały mu drogę żółtymi latarniami albo tylko wyciągały do niego ręce jak żebracy. Tym, które śmiały za bardzo się zbliżyć, zmieniał postać. Tworzył drzwi, kiedy miał taki kaprys, i portale, żeby zajrzeć do mijanych pokoi. Schody drżały pod jego butami, ślepe postacie w murach jęczały i kulily się ze strachu. Były przerażone, ale nie jego się bały.

Nie jego!

Pan Labiryntu słabo znał uczucie gniewu. Wolął oddzielić się od swoich emocji, bo tylko wtedy mógł je analizować i zmieniać tak, żeby służyły jego celom. Ale teraz szklana maska wykrzywiła się w wyrazie furii niemal wbrew jego woli. Menoa czynił wysiłki, żeby się uspokoić.

Czy Rzeka Przegranych naprawdę mogła wedrzeć się do najpotężniejszej fortecy Piekła? Z pewnością miała dość siły, żeby to zrobić, ale wątpił, czyby chciała. Mimo swej potęgi była tylko dzieckiem. Odkąd się dowiedziała, kto jest jej ojcem, Menoa podjął kroki, żeby ją zdyscyplinować. Nie potrafiłby jej skrzywdzić, ale zamierzał wymusić na niej szacunek.

Zatrzymał się na schodach, nagle ogarnięty wątpliwościami. A jeśli Cospinol zdołał nastawić rzekę przeciwko niemu? Odkąd zawałiła się brama, nigdzie nie było śladu po statku boga morza. Czyżby *Rotsward* zszedł pod ziemię?

Menoa nakazał jęczącym ścianom zamilknąć. Setki głosów ucichły, ale lampy nadal drżały.

Po raz pierwszy od dojścia do władzy pan Labiryntu poczuł strach. Spojrzał w górę na wielką spiralę w sercu budowli, na miriady drzwi, które nieświadomie stworzył wokół szybu. Dlaczego to zrobił? Spojrzał w dół w zamgloną głębię. Od niewidocznych w ciemności fundamentów cytadeli dzieliło go sto poziomów.

Gdzie są wszyscy jego Ikaraci? Powinni już zareagować na krzyki budynku.

Staął twarzą do ściany i wykonał gest ręką. Konstrukty rozstąpiły się z cichym odgłosem darcia.

Menoa znalazł się w pustym mieszkaniu, w którym stare meble, pozostawione samym sobie od wieków albo eonów, stłoczyły się w jednym kącie, jakby próbowały uciec. Król przesunął je machnięciem ręki na pierwotne miejsca i otworzył drzwi w przeciwległej ścianie.

Chwilę później dotarł do zewnętrznej fasady Dziewiętej Cytadeli. Tutaj nakazał muirowi się wyrzucić i wyszedł na nowo powstały balkon.

Szklanymi pazurami chwycił za ścięgna i kości świeżej balustrady. Z tej wysokości sięgał wzrokiem daleko na kanały Piekła. W czerwonej mgie świątynie i zigguraty ze zmurszałego czarnego kamienia stały przycupnięte jak wielkie martwe pająki. Ciężkie barki przewoziły ładunki dusz do każdego zakątka Labiryntu. Król zauważył z roztargnieniem, że na niebie roi się od Iolitów.

A potem spojrzał w dół.

Ikaraci rzeczywiście zareagowali na błaganie cytadeli. W wielkich liczbach zebrali się wokół wielkiego Procesora w kształcie piramidy, zaganiając przed sobą tropicieli, Non Morai i wszelkiego rodzaju demony czy zjawy. Tysiące innych stworzeń wlewało się do samej fortecy.

Potem uwagę króla przyciągnął nagły błysk światła na jego własnym poziomie. Na balkonie wylądował jeden z wielu królewskich szpiegów -- Iolita pod postacią jaszczurki ze szklanymi skrzydłami. Z cichym szczęknięciem złożył przezroczyste, lśniące pióra i oznajmił spokojnym, miłym głosem:

--Dziewiąta Cytadela została zaatakowana, panie.

--Przez kogo? -- zapytał Menoa. -- Przez rzekę?

--Rzeka jej towarzyszy -- odparła jaszczurka. -- Podąża za nią jak pies, wchłania demony i Ikaratów, którzy padają pod jej mieczem.

--Jej?

--To anielica, panie.

Szklana maska Menoi przybrała marsową minę.

--Z Pierwszej Cytadeli?

--Nie jest martwa, panie.

Menoa zrozumiał. Anielica ukryta na pokładzie statku Cospinola? Może jednak nie docenił starego boga...

Ale kim ona jest? Gdzie Cospinol znalazł wojownika na tyle potężnego, żeby ten w pojedynkę zaatakował największą twierdzą w Labiryncie?

--Jesteś pewien, że ona nie pochodzi z Piekła? -- zapytał.

--Ona żyje -- odparł ze zniecierpliwieniem Iolita.

Maska króla znowu zaczęła się zmieniać. Kąciki szklanych ust uniosły się w zimnym uśmiechu. Potem Menoa wrócił do fortecy i bez wahania ruszył dalej w dół centralnym szybem, bo Cospinol właśnie dał mu nieoczekiwany i wspaniały prezent.

* * *

--Nie mamy materiałów wybuchowych -- odparł Żelazny Łeb, poprawiając hełm.

--Musicie je mieć -- upierała się Rachel. -- Sam pan powiedział, że przygotowaliście je jeszcze przed bitwą w Coreollis.

--Najwyraźniej skłamałem. Ile ich pani widziała?

--Ile bomb? -- Asasynka próbowała sobie przypomnieć sekwencję eksplozji, które zniszczyły miasto. -- Nie wiem... Co najmniej dwadzieścia.

Kapitan zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

--To by się zgadzało. Powinniśmy zbierać tyle prochu, zanim przybędą automaty Czerwonego Króla. Mamy dosyć koksu i saletry, ale brakuje nam siarki.

Garstone zamknął wieczko zegarka i powiedział:

--Jeśli oryginalna panna Hael, to znaczy wersja, która obecnie zbliża się do miasta w szczęce arkonity, ma na czas dotrzeć do fortecy Sabora, żeby wrócić do tego momentu, musimy ewakuować Burntwater szesnaście minut po trzeciej po południu.

Kapitan pokiwał głową.

--Więc mamy jakieś cztery godziny. -- Wstał z krzesła, zdjął ze ściany młot i pochwę z mieczem. -- Wydam stosowne rozkazy. Panno Hael, pokaże pani jednemu z moich poruczników, gdzie dokładnie rozmieścić beczki z prochem? Chciałbym, żeby znalazły się jak

najbliżej miejsc, gdzie widziała pani eksplozje.

Rachel nie była zaskoczona, kiedy po wyjściu z budynku nigdzie nie zobaczyła swojego starszego ja. Wymieniła spojrzenie z Garstonem, a asystent Sabora przyłożył palec do ust. Zachowanie integralności tej linii czasu. Bez wątplenia druga Rachel była gdzieś w pobliżu i uważnie obserwowała rozwój wydarzeń.

Tymczasem kapitan zebrał swoich ludzi i wydał im rozkazy. Wkrótce cała osada rozpoczęła przygotowania do bitwy i ewakuacji.

Przez następne dwie godziny w Burntwater wrzała praca. Rachel chodziła po ulicach z Garstonem i jednym z podwładnych Żelaznego Łba, pilnym młodym człowiekiem, który kawalkiem kredy robił notatki na tabliczce. Wybrali miejsca rozmieszczenia beczek jak najbliżej tych, w których Rachel widziała eksplozje. Żołnierze w zbrojach mieszały proch, a potem toczyli beczki błotnistymi alejkami i gromadzili je pod drewnianymi ścianami szczytowymi domów. Inni biegali między tymi stosami i zakładali zapalniki. Marynarze i rybacy szykowali łodzie do wypłynięcia na jezioro. Mieszkańcy byli informowani o planie ewakuacji i pouczani, że mają zabrać ze sobą tylko jedzenie i wodę. "

Późnym popołudniem do miasteczka dotarł ten sam wartownik z wieży strażniczej, któremu Rachel pozwoliła uciec. Ona już czekała na niego z kapitanem i Garstonem przed kwaterą główną milicji. Kiedy młody mężczyzna ściągnął wodze i zsunął się z siodła, porucznicy Żelaznego Łba odprowadzili spienionego konia na bok, żeby go oporządzić.

Młodzieniec ubrany w za duży skórzany strój, jeszcze prawie dziecko, zaczął składać meldunek, dysząc ciężko:

--Arkonitą... kapitanie, zniszczył naszą wieżę... zabił Bennetta i Simonsa. Był ogromny... kapitanie... Uzbrojony w ostrze wielkie jak barka... Idzie tutaj.

--W porządku, synu -- powiedział Żelazny Łeb. -- Spodziewałem się takiego ataku, odkąd padło Coreollis. Idź do portu i zamelduj się Cooperowi. Wsadzi cię na łódź. -- Po chwili dodał: -- Dobrze się spisalesz, synu. Ostrzegłeś nas. -- Gdy chłopiec odszedł, kapitan powiedział do Rachel: -- Teraz obsadzamy mury, panno Hael, więc na pani miejscu ulotniłbym się stąd w tym momencie. Proponuję, żeby wzięła pani łódź, wypłynęła na jezioro i poczekała tam na mnie, aż zjawię się z pani drugim ja.

--Nie może pan jej o niczym powiadomić -- przypomniała mu Rachel. -- To ja mam jej wszystko wyjaśnić. -- I podbić oko. Asasynka się skrzywiła.

Znalazła się teraz w prawie tej samej sytuacji co jej bliźniaczka, którą spotkała na jeziorze.

Prawie.

--Proszę się nie martwić, panno Hael. Nigdy wcześniej pani nie widziałem. Wypuścimy grad strzał w golema i będziemy unikać pocisków, którymi on nas zarzuci.

Rachel pokiwała głową. Musiała teraz odnaleźć swoją starszą kopię, choć przy odrobinie szczęścia w ogóle nie będzie potrzebowała jej pomocy. Beczki z prochem były rozmieszczone, a jej replika zbliżająca się do Burntwater nie wiedziała, jakie przygotowania tu dzisiaj poczyniono. Wszystko wskazywało na to, że powtórzą się wydarzenia, które zapamiętała.

I może uda się jej uratować Dilla.

--Jeszcze jedno, kapitanie -- powiedziała. -- Jak głębokie jest jezioro?

--Jakieś sto pięćdziesiąt sążni. A co?

Dostatecznie głębokie. Rachel poczuła przyływ nadziei.

--Niedługo po tym, jak się poznaliśmy, wszedł pan do czaszki Dilla. To znaczy... stało się to w czasie bitwy, która się zbliża. Powiedział pan, że chce sam zajrzeć do środka arkonity.

Wtedy nie rozumiałam, po co, ale teraz wiem. Przekazuje pan Dillowi wiadomość ode mnie.

--Jaką wiadomość?

--W całym tym dymie i zamieszaniu, które nastąpi, Dill może mieć szansę uciec przed gigantami Menoi...

--Jeśli zanurzy się pod wodą i przejdzie po dnie jeziora?

Rachel zmrużyła oczy.

--Mówiłam panu wcześniej o tej części mojego planu?

Czyżby tu była wcześniej jeszcze jedna jej wersja?

--Nie, panno Hael, ale to wydaje mi się oczywiste. Pani gigantyczny przyjaciel nie musi oddychać. -- Kapitan podrapał się po brodzie. -- Jeśli Dill ma uciec pod wodą, najlepszym miejscem dla pani przyjaciela Haspa będzie kieszeń powietrzna w czaszce anioła.

Oczywiście. To miało sens. Hasp mógłby oddychać w trakcie ucieczki Dilla. Uratowałyby ich obu.

--Poradzę pani, żeby umieściła tam Haspa, zanim przybędą arkonicy króla -- dodał Żelazny Łeb. -- Do tego czasu pozwolimy, żeby wszystko toczyło się zgodnie z pani planem przechytrzenia Orana.

Z jednej z wież strażniczych na murach Burntwater dobiegł dźwięk rogu.

--Te automaty mają silniki, tak? -- zapytał Żelazny Łeb.

--Silniki to tylko atrapy. One jedynie wzmacniają mesmeryckie uwarunkowanie duszy anioła. W rzeczywistości nie działają, więc woda im nie zaszkodzi.

--Nie. Chodziło mi o to, że produkują dym, a on może zdradzić wrogom pozycję pani przyjaciela pod wodą. -- Kapitan zmarszczył czoło. -- Gdybyśmy mieli więcej czasu, wymyśliłbym jakiś sposób, żeby zamaskować ten ślad, odwrócić od niego uwagę.

Róg rozbrzmiał po raz drugi.

--Pora rozpocząć komedię, panno Hael -- rzekł kapitan i ruszył pospiesznie w stronę murów. Oddalając się, zawołał jeszcze przez ramię: -- Do rychłego zobaczenia.

Rachel zmartwiała. Tratw nie zbudowano po to, żeby osłonić ewakuację mieszkańców Burntwater. One miały zamaskować dym z silników Dilla uciekającego po dnie jeziora. Jednakże teraz, bez tej osłony, jej przyjaciel będzie dobrze widoczny. Nie miał szans uciec po dnie jeziora.

Ale jej starsze ja musiało już to wiedzieć.

--Wiem, o czym myślisz, ale mylisz się, siostró -- usłyszała za plecami znajomy głos.

Spod okapu najbliższego budynku wyszła jej bliźniaczka.

--Tu pani jest, starsza panno Hael -- powitał ją z uśmiechem Garstone.

--Możesz już dać sobie spokój z tą „starszą”, Eli -- rzuciła kobieta.

--Przepraszam, panno Hael.

Starsza Rachel podeszła do młodszej.

--Nie byliśmy pewni, jaki wpływ na los tego wszechświata będą mieć tratwy Herikanów -- powiedziała. -- Skutki, które Sabor zaobserwował, okazały się dla nas zbyt... drastyczne, żeby ryzykować. Zbudowanie tratw mogło zmienić bieg wydarzeń do takiego stopnia, że nie

wiedzielibyśmy dokładnie, kiedy wkroczyć, żeby naprawić sytuację.

--Więc pozwalacie, żeby wszystko toczyło się tak, jak to, czego byliście świadkami, bo już dokładnie wiecie, kiedy interweniować?

Jej replika milczała.

--Nie możesz mi powiedzieć? -- nalegała asasynka.

--Nie, to zbyt wielkie ryzyko.

Rachel rozłożyła z irytacją ręce.

--Zatem skoro nie chodziło o tratwy... W jaki sposób tak wszystko schrzanię?

Jej bliźniaczka powędrowała wzrokiem ku portowi.

--Musisz trzymać się swojego planu. Ja będę blisko, o ile nie uznam, że moja obecność źle wpłynie na bieg wydarzeń.

--Zamierzałam się stąd wynieść.

--Więc chodźmy.

Ledwo zdążyły dotrzeć do nabrzeża Burntwater, kiedy Dill rozpoczął pozorowany atak na miasteczko. Rachel usłyszała głuchy huk, a gdy się odwróciła, zobaczyła, że gigantyczny automat zbliża się do palisady. Płyty zbroi wykutej w Labiryncie jaśniały we mgle nieziemską zielenią, wielkie postrzępione skrzydła obejmowały niebo. Golem trzymał w rękach „Zardzewiałą Piłę”, teraz jeszcze bardziej zniszczoną i przechyloną na bok. Zawahał się, otoczony czarnymi oparami buchającymi z jego ramion, i pustymi, martwymi oczami przyjrzał się umocnieniom Burntwater.

Czy ostatnim razem Dill też się tak zatrzymał? Rachel nie mogła sobie przypomnieć. W jej umyśle zawirowały niejasne wspomnienia i niezliczone możliwości. Wiedziała, że coś pójdzie źle, że sama miała doprowadzi do tego niefortunnego wydarzenia. Spojrzała w górę na wyszczerzoną szczękę automatu, z której teraz wyglądała inna Rachel, którą ona sama była tak niedawno.

Od strony obrońców poleciały strzały. Chwilę później nastąpił drugi atak łuczników. Arkonita uniósł tawernę nad głowę i ryknął.

--Nie przesadzaj, Dill -- mruknęła Rachel.

Jak zaczarowana obserwowała rozwój udawanej bitwy. Dill miażdżył palisadę, ryczał, wybijał kratery w ziemi, uważając, żeby nikomu nie zrobić krzywdy, podczas gdy bez jego wiedzy milicja Burntwater odgrywała własne przedstawienie. Obrońcy walczyli przekonująco, zasypywali arkonitę gradem strzał, bo wiedzieli, że nie można zrobić mu krzywdy. Wszystko działało się dokładnie tak, jak Rachel zapamiętała.

Nagle poczuła, że Garstone ciągnie ją za ramię.

--Panno Hael, uważam, że nie jest rozsądnie tutaj stać. Może automat postanowi pójść tą drogą.

--Tak, Garstone. Idzie prosto na nas.

--Tym bardziej powinniśmy się oddalić.

Pobiegli za róg najbliższego domu i wpadli w ślepy zaułek w chwili, kiedy Dill ruszył z loskotem główną ulicą. Dotarłszy na nabrzeże, podniósł z jeziora małą łódź, po czym odwrócił się i cisnął ją w zbliżające się wojsko.

--Wszystko dzieje się tak, jak zapamiętałam -- stwierdziła asasynka. -- Nie ma żadnej różnicy. -- Spojrzała na swoją replikę, ale druga Rachel była zbyt zajęta obserwowaniem bitwy,

żeby zareagować.

Dill zaryczał znowu i wszedł do jeziora. Jego masywne żelazne buty miażdżyły mola i łodzie na drzazgi.

Nagle zamarł, jęknął i powoli opadł na kolana. Fala, którą spowodował, wyrzuciła statki na suchy ląd. Zimna woda spryskała twarz Rachel. Ludzie Żelaznego Łba wzniesli triumfalne okrzyki i ruszyli do ataku.

W tym momencie Rachel usłyszała wołanie o pomoc dobiegające z wnętrza arkonity. Nie zabrzmiało w jej uszach zbyt przekonująco.

Garstone najwyraźniej się z nią zgadzał.

--Zdaje się, że to pani dzieło, panno Hael -- zauważył. -- Całe szczęście, że nie musiała pani płakać, żeby wypaść bardziej autentycznie.

Żelazny Łeb i jego ludzie dobrze odegrali swoje role. Zebrani wokół szczęki powalonego giganta, gapili się na niego ze szczerym lękiem i jednocześnie podziwem. I rzeczywiście większość zapewne po raz pierwszy widziała taką istotę. Chwilę później zjawił się sam kapitan. Rachel nie słyszała dokładnie rozmowy, która wywiązała się między Żelaznym Łbem a jej wcześniejszym ja, ale te strzępy, które do niej dotarły, brzmiały mniej więcej tak, jak je zapamiętała.

Przez szeregi milicji Burntwater przedarł się goniec, wołając kapitana. Chwilę później rozpętało się piekło.

--Przybyli arkonici Menoi -- powiedziała Rachel do swoich towarzyszy. -- Właśnie w tym momencie udawana bitwa przeradza się w prawdziwą.

Garstone dyskretnie zerknął na zegarek.

--Może to dobra pora, żebyśmy skierowali się do łodzi -- zaproponował. -- Jeśli zamierza pani spotkać się ze sobą zgodnie z planem, nie zostało nam wiele czasu.

Asasynka musiała przyznać mu rację, choć niechętnie stąd odchodziła. Wcześniejsza Rachel właśnie wyszła z ust arkonity na promenadę. Tuż za nią pojawiła się Mina z psem na rękach. Bazylis od razu zaczął szczekać.

--To jest ewakuacja! -- zawołał Żelazny Łeb. -- Kobiety i dzieci na barki i skiffy. Holden, daj znak pilotom. Spindle, weź swoich ludzi i... już wiesz, co robić. Chcę mieć dwanaście oddziałów, cztery na wschód...

Rachel przywarła do ściany budynku, ale pies Miny zaczął się wrywać z objęć swojej pani, szczekając i wpatrując się małymi oczkami w trójkę intruzów.

--... Bernlow, Maik, Cooper, Geary, Wigg i ktoś jeszcze... ty, Thatcher, postarajcie się rozdzielić atakujących i trzymać ich dala od nabrzeży. Nękajcie ich, a potem zróbcie odwrót, żeby was nie zmiażdżyli.

Rachel nie wiedziała, co robić. Pamiętała, że Bazylis szczekał, kiedy razem z Miną wyszły z ust Dilla. Na razie nie dostrzegła żadnych istotnych różnic między dawną a obecną sytuacją. Obejrzała się.

Mina patrzyła prosto na nią. Ich oczy spotkały się na chwilę. Potem taumaturg odwróciła wzrok i powiedziała coś do drugiej Rachel.

„Nic. Najwyraźniej szczeka na ciebie”.

„Mino! Przez cały czas wiedziałas, że tu jestem!”.

Scena rozwijała się dokładnie tak, jak asasynka ją zapamiętała. Z południa dobiegała seria

potężnych huków. Dill postawił tawernę na drugim końcu promenady. Z gospody wypadł Oran i zaczął się klócić z bratem. W reakcji na nowe zagrożenie żołnierze popędzili w stronę murów obronnych Burntwater. Trzy dźwięki rogu obwieściły ewakuację.

Asasynka wrosła w ziemię, obserwując, jak razem z Miną wloką Haspa na otwartą dłoń arkonity, a potem Dill unosi rękę do nieba. Kiedy ponownie ją opuścił, zeszły z niej tylko Mina i wcześniejsza Rachel.

--Właśnie umieściliśmy Haspa w szczęce Dilla -- powiedziała.

Garstone zakaszał cicho.

--Fascynujące -- powiedział bez przekonania. -- Wycofujemy się na łódź, panno Hael?

--Mam zrobić to, co uznam za słuszne, bo w przeciwnym razie mogłabym zepsuć tę linię czasu -- przypomniała mu Rachel. -- A ja chcę to obejrzeć. -- Odwróciła się do swojej starszej wersji. -- Musiałaś zwlekać z odejściem, bo ja tak bym postąpiła. I, do diabła, właśnie tak zamierzam zrobić. Wyruszymy zaraz po eksplozjach. Zostanie mi jeszcze dużo czasu, żeby wypłynąć na jezioro i spotkać siebie.

--Dobrze, panno Hael -- bąknął Garstone.

Nagle asasynce coś przyszło do głowy.

--Nie było pana na łodzi -- stwierdziła.

--Nie?

--Nie. Byłam sama na jeziorze.

Asystent Sabora zrobił zdziwioną minę.

--Pewnie ta wersja mnie musiała umrzeć. Po prawdzie, to bardzo niebezpieczna okolica.

Rachel zmierzyła go wzrokiem.

--A może po prostu postanowił pan tutaj zostać?

--Nie, raczej mało prawdopodobne, panno Hael. Nie mam zamiaru pani opuszczać. Sabori bardzo by się to nie spodobało.

--Mógł pan być ranny.

--To oczywiście jest możliwe, panno Hael. Ale musiałaby to być bardzo poważna rana. Jeśli nie można iść, pełznie się, jeśli nie można...

--A gdyby wcale nie był pan śmiertelnie ranny, tylko nieprzytomny? -- przerwała mu Rachel. -- Nie mógłby pan wtedy ze mną pójść.

Garstone spojrział na zegarek.

--Tak, bez wątplenia, panno Hael -- rzekł naburmuszonym tonem. -- To doskonale wyjaśnia moją nieobecność na łodzi.

--Owszem -- przyznała Rachel i zdzieliła go mocno pięścią w bok głowy. Mały człowieczek w wyblakłym brązowym garniturze osunął się nieprzytomny na ziemię. Asasynka chwyciła go pod pachy i powiedziała do swojej repliki: -- Pomóż mi go zanieść na którąś z łodzi.

--Wiesz, że nie mogę się wtrącać, siostrzo.

Rachel jęknęła.

--Kiedy stanę się tobą, nie spodziewaj się ode mnie pomocy. -- Zastanawiała się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową. -- Zapomnij, że to powiedziałam.

Zawlokła Garstone'a w drugi koniec zaułka, z dala od Dilla i „Zardzewiałej Piły”. Oparła go o ścianę, wyprostowała się i powiodła wzrokiem po promenadzie. Wszyscy ludzie Orana i ich dziwki już wyszli ze zniszczonej tawerny. W porcie kłębiły się setki uciekinierów. Rachel

zauważyła Rosellę i Abnera Hillów. Poczwała ukłucie żalu. A gdyby tak zgarnęła dla nich trochę złota, dopóki miała okazję?

Nie, nie wolno jej było ryzykować. Każda jej decyzja mogła sprowokować wydarzenia prowadzące do końca tego świata.

Jej starsza kopia trzymała się z tyłu i wszystko uważnie obserwowała.

--To nie w tym momencie schrzaniłam -- doszła do wniosku Rachel. -- Każda wersja mnie zrobiłaby dokładnie to samo. Żadna z nas nie zostawiłaby go tutaj na śmierć.

Na nabrzeżu roily się tłumy, z głębszych wód przyływały barki i cumowały do mołu. Jeden z oddziałów milicji Burntwater kierował ludzi na mniejsze jednostki, ale większość żołnierzy pędziła z powrotem do miasta albo zaczynała rzucać pochodnie w zabudowania portowe. Ściany najbliższego magazynu już lizwały płomienie.

Rachel odczekała, aż grupa uciekinierów przebiegnie obok wlotu zaułka, i wtedy zaciągnęła nieprzytomnego Garstone'a na promenadę. Zasapana dotarła do jednego z trapów, przed którym ustawiła się kolejka do wejścia na pokład.

--Czy mogliby państwo go zabrać? -- zwróciła się do starszej pary stojącej z przodu.

Mężczyzna był siwy, ale wysoki, szczupły i na pierwszy rzut oka dostatecznie silny, żeby sobie poradzić. Już dźwiżył całkiem spory plecak.

--Słucham?

--Niech państwo się nim zajmą, proszę -- nalegała Rachel. -- Ja muszę wracać, żeby poszukać dzieci.

Kłamstwo okazało się skuteczne. Mężczyzna wrzucił plecak na pokład statku, przełożył rękę nieprzytomnego przez swoje plecy i z pomocą rosłej kobiety, która już wcześniej wsiadła na barkę, jakoś wtaszczył go po trapie.

Teraz płonęły już wszystkie magazyny. Dill wszedł do wody i przeniósł dwie puste barki na promenadę. Ogromne skrzydła arkonitów Menoi lśniły pośród dymu i mgły. Ich opancerzone nogi górowały nad ulicami jak stalowe wieże. Z południa dochodziły odgłosy walki. W pewnym momencie ponad wrzawę wybił się głos arkonity Menoi:

--Król Menoa pragnie negocjować rozejm...

Rachel pobiegła do wlotu zaułka, gdzie stała jej replika.

--Co jest, do diabła?

Głos należał do jednego z ludzi Orana. Na początku uliczki stał brodaty wielkolud z dwiema dziwkami z „Zardzewiałej Piły” uwieszonymi jego ramion. Wszyscy byli rozchelstani i pijani. Drwał przez chwilę gapił się na dwie asasynki dużymi ciemnymi oczami, a następnie przeniósł wzrok na promenadę, gdzie obok taumaturg stała wcześniejsza kopia Rachel. Po chwili olbrzym uwolnił się od swoich towarzyszek i wyciągnął miecz.

--Siostry, hę? Czego tu szukacie? -- Popchnął jedną z dziwek. -- Idź, powiedz Oranowi, co tutaj mamy.

Kobieta lypnęła na niego spode łba, ale uniosła spódnice i pobiegła w stronę „Zardzewiałej Piły”.

Tymczasem nad miastem przetaczał się jak grzmot głos arkonity:

--Czy wojownicy króla zabili kogoś, kto próbował uciec. Przeszkodzili w ewakuacji?

Wykorzystaliśmy nasz wpływ na Haspa?

Druga dziwka uniosła butelkę do ust i pociągnęła z niej duży łyk.

--Bliźniaczki -- powiedziała. -- Zobacz, obie mają nawet taką samą bliznę nad uchem.

Drwal odchrząknął.

--Jakie jest prawdopodobieństwo czegoś takiego? Wygląda mi to na kawał.

--Kawał -- zawtórowała jego kompanka.

Rachel wymieniła spojrzenie ze swoją starszą repliką. Na tę chwilę czekałaś? To jest ten moment, kiedy wszystko zaczyna iść źle? Druga Rachel musiała zrozumieć niewypowiedziane pytanie, bo opuściła wzrok.

Nagle eksplodowały beczki z prochem.

Wybuch zmiotł dachy budynków po obu stronach alejki, nad promenadą przeleciała wielka chmura pyłu i wirujących gontów. Rachel ukucnęła błyskawicznie, ale coś mocno uderzyło ją w głowę. Zadzwonilo jej w uszach.

Do głosu doszedł instynkt.

Musiała znaleźć osłonę.

Zaczęła się podnosić.

--Nie ruszaj się! -- warknął drwal.

Chwycił ją za włosy i przycisnął głowę Rachel do ziemi. Błoto dostało się jej do nosa. Dostrzegła błysk ostrza.

Nagle mężczyzna ją puścił. Rachel spojrzała w górę i zobaczyła, że napastnik szybuje w powietrzu i uderza w ścianę budynku. Jej replika stała obok i właśnie opuszczała nogę po wymierzonym kopniaku.

--Interweniowałaś! -- krzyknęła asasynka.

--Tak.

--A co z przyszłością?

--Zmieniam ją. -- Bliźniaczka pomogła Rachel się dźwignąć. -- Musimy biec, zanim... --

Urwała, patrząc w stronę wlotu zaułka.

Drogę ucieczki zagradał im Oran wraz z dużą grupą jego ludzi, uzbrojonych, gniewnych, pokrytych szarym pyłem. Dziwka, która ich sprowadziła, siedziała na ziemi i bezmyślnie gapiła się na swoje ręce.

Przywódca drwali łypnął drwiąco na dwie asasynki.

--Siostry? -- Roześmiał się i potrząsnął głową. -- Ale ja znam prawdę. Twoja inna wersja nawet nie wie, że tutaj jesteś, prawda? Jeszcze nie dotarła do zamku Sabora, żeby stać się tobą. Jaka jest różnica w czasie między wami? Kilka dni? I co najmniej dwadzieścia lat między tobą a nią. -- Wskazał mieczem na starszą kopię Rachel. Potem odwrócił się do swoich ludzi i rozkazał: -- Brać je.

Replika cofnęła się, przesuwając wzrokiem po zbliżających się żołnierzach, oceniając szanse. Rachel nawet nie wiedziała, czy ta asasynka Spine potrafi się skoncentrować. Zachowała swoje dawne umiejętności przez te wszystkie lata? Jeśli tak, mogłaby za jednym razem zabić pięciu albo więcej wrogów. Zostaloby mniej niż pięćdziesięciu dla mnie.

Bywała w gorszych opalach.

Ale starsza Rachel nie wykonała żadnego ruchu. Po prostu opuściła głowę i wystąpiła do przodu, poddając się ludziom Orana.

Przy całym chaosie panującym w miasteczku nikt nie zauważył, że drwale prowadzą jeńców, oddalając się od jeziora. Skręcili w pustą ulicę biegnącą równolegle do promenady.

Stojące tutaj domy zostały zmiecione przez wybuchy beczek z prochem. Jeden z arkonitów Menoi wypełniał swoją sylwetką pół zadymionego nieba. Z drugiej strony górowała nad nimi wielka postać Dilla. Oran skierował swoją grupę między nich.

Po niebie niósł się grzmiący głos:

--... ale ty nadal odrzucasz nasze próby dojścia do porozumienia. Mamy skruszyć ci kości czy staniesz między nami i wysłuchasz warunków króla Menoi?

Rachel wiedziała, co się zaraz stanie, ale i tak aż podskoczyła, kiedy Dill wbił ogromny tasak w szyję arkonity, powalając go na kolana. Golenie automatu przebiły się przez gruz zaledwie kilka jardów od uciekającej grupy. Jeden z ludzi Orana krzyknął i upadł, przygnieciony walącą się ścianą. Inni zasłonili głowy rękami przed spadającym pyłem.

Kłęczący, ale nadal wysoki jak góra arkonita zauważył ludzi hen w dole pod sobą. Jego czarne oczodoły jakby zaglądały wprost do duszy Rachel.

Oran krzyczał do niego:

--... Menoę, żeby zawiązać! Musimy...

Dill uderzył kolanem w twarz przeciwnika, a kiedy ten upadł do tyłu, odwrócił się nagle i zamachnął tasakiem. Broń przecięła niebo nad głowami uciekinierów i zniknęła gdzieś na wschodzie. Podmuch poderwał kurz z ulic. Cios trafił z ogłuszającym brzękiem w cel kilka przecznic dalej.

--... z nim porozmawiać -- dokończył Oran. Warknął ze złości, po czym rozkazał swoim ludziom ruszyć w głąb zniszczonego miasta.

Rachel znalazła okazję, żeby szepnąć do swojej repliki:

--Mam nadzieję, że twój moment dopiero ma nadejść, siostrze. Hamulce tego wszechświata się zepsuły. Pędzimy na oślep drogą zagłady.

--Wiem.

--Potrafisz się skoncentrować?

--Tak.

--To przynajmniej jedna z nas. Nie będę szybka, ale cię wesprę...

Jeden z prześladowców pchnął ją do przodu. Kilkunastu jego towarzyszy podążyło za nimi. Byli poturbowani i szarzy na twarzach, jak ludzie, którzy ocaleli z trzęsienia ziemi. Kaszleli, pluli i przecierali oczy skórzanymi rękawicami. Za nimi szalała bitwa między gigantami, w niebo wzbijały się snopy iskiei i kłęby dymu. Na kolejnym skrzyżowaniu grupa skręciła na południe.

Rachel nie potrafiła stwierdzić, gdzie są, z Burntwater bowiem zostały tylko gruzy i zgliszcza. Zastanawiała się, czy jej poprzednie ja już uciekło razem z Miną. Przepłyną przez jezioro pod osłoną mgły, ale ona nie będzie czekała w łodzi, żeby je zaprowadzić do zamku Sabora. Nie zdzielił pięścią swojej kopii.

Dotknęła siniaka, nadal wrażliwej i obolalej skóry wokół oka. Ciekawe, kto zadał cios, skoro jej tam nie było?

Oczywiście to wszystko wydarzyło się w innym wszechświecie. W tym świecie wszystko poszło źle, a przyszłość okazała się tak koszmarna, że Rachel postanowiła wrócić z innego czasu, żeby spróbować naprawić własny błąd. Spojrzała na swoją starszą kopię i zapytała:

--Czy to naprawdę będzie miało jakieś znaczenie, jeśli teraz powiesz mi, co naprawdę się stało?

Druga Rachel się zawahała.

--Dill cię kocha -- rzekła w końcu. -- Zrobiłby dla ciebie wszystko, nawet gdyby sam miał zginąć. Nawet gdyby to oznaczało koniec tego świata.

--Nie rozumiem.

--Nie pozwól, żeby mesmeryści wzięli cię żywą.

Rachel pokiwała głową. Teraz nareszcie rozumiała.

Z przodu dobiegł rozkaz, żeby się zatrzymać. Grupa dotarła do stosu gruzu, wokół którego unosiły się opary. Oran wdrapał się na szczyt tej przeszkody, złożył ręce przy ustach i zaczął coś mówić, przekrzykując loskot stali dobiegający z nieba. Wszystko przesłaniały kłębiące się chmury dymu.

Nagle Rachel dostrzegła, że za przywódcą drwali pojawia się w zadymionym powietrzu jakiś wielki cień. Odgłosy bitwy ucichły.

Jej replika krzyknęła i odepchnęła ją mocno na bok. Ale nie dość szybko. Pięć monstrualnych kościstych palców zamknęło się wokół dwóch kobiet, ryjąc czubkami głębokie bruzdy w błocie. Ziemia zadrżała, Rachel upadła na siostrę.

Poczuła, że coś unosi ją w górę pośród kłębow duszącego pyłu. W dole Oran nadal coś krzyczał, ale nie mogła zrozumieć słów.

--Dill! -- zawołała Rachel. -- Dill, to ty?

Z bardzo bliska dobiegł grzmiący głos:

--Doniesiono mi, że nazwisko Rachel Hael coś ci mówi, Dill. -- Po chwili pauzy arkonita przemówił łagodniej: -- Mam ją teraz w ręce, ale jej nie skrzywdzimy. Król zawsze pragnął pokoju między nami.

Serce Rachel dudniło młotem. Walczyła o oddech.

--Mam nadzieję, że nie będziesz tęsknić za tą chwilą, siostró -- powiedziała, wycierając łzy z piekących oczu. -- Przyszłość jeszcze nie jest pewna.

Poczuła, że starsza Rachel ściska jej dłoń.

--Nie jest.

Przez dym i kurz dostrzegła szkieletową twarz Dilla. Ale czy to rzeczywiście był on? Już sama nie wiedziała. Zewsząd otaczali ją arkonici. Słyszała loskot ich kroków, dudnienie silników. Czula zapach Labiryntu przy każdym drżącym oddechu.

--Uklęknij -- rozkazał wojownik Menoi.

I wtedy go zobaczyła. Twarz miał pozbawioną wyrazu, ale wiedziała, że to on, kiedy opadł na ziemię pośród dymiących zgliszcz Burntwater.

--Odlóż broń -- rozkazał arkonita.

Dill położył kradziony tasak na rzędzie dachów. Częściowo zniszczone budynki załamały się pod jego ciężarem.

--Król jest zadowolony, ale zachowuje ostrożność -- rzekł arkonita. -- Domaga się, żebyś w geście dobrej woli i poddania pozwolił nam zabrać lorda Haspa do Labiryntu. Potrzebujemy jego pomocy, żeby załatwić pewną drobną sprawę. Zrób to dla króla, a masz jego słowo, że Rachel Hael nie stanie się żadna krzywda.

Asasyńska rzuciła się do palców arkonity i krzyknęła:

--Nie!

--Jeśli się zgadzasz, wystarczy, że skłonisz głowę -- ciągnął wojownik Menoi.

Rachel znów krzyknęła, ale nie zdołała powstrzymać przyjaciela. Dill pochylił głowę.

Arkonita Menoi uniósł miecz i opuścił go na jego czaszkę.

Szczęka Dilla uderzyła w ziemię z siłą skalnej lawiny. Wielka chmura pyłu wzbiła się w górę i przesłoniła całe miasto.

Kiedy kurz opadł, Rachel zobaczyła z przerażeniem, że wątpliwości, które arkonici Menoi zasiali w duszy Dilla podczas bitwy, skutecznie go osłabiły. Był ranny. Od czubka jego czaszki do szczęki biegło głębokie rozcięcie. Udało mu się jednak unieść głowę. Spomiędzy zębów na brodę ciekła krew.

--Hasp?! -- krzyknęła Rachel.

--To jest ta chwila, siostrzo.

Asasyńska poczuła dłoń na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła swoją starszą kopię wysuwającą nóż za paską. Jej replika wyglądała na zmęczoną. Zdawało się, że dzieli ją więcej niż dwie dekady.

--Co się stanie, jeśli tego nie zrobisz? -- zapytała Rachel.

--Wielu ludzi ucierpi.

Asasyńska wzięła głęboki wdech.

--Zastanawiam się, czy nie przegapiliśmy kolejnej okazji... Gdybym coś zrobiła inaczej...

--Zawsze istniał tylko jeden sposób, żeby zyskać tę pewność. Pobyt tutaj jest dla nas zbyt niebezpieczny. -- Powoli obróciła nóż w rękach. -- Zrobię to szybko. Żadna z nas nie będzie cierpieć.

--Ale Rachel, która jest na jeziorze, uda się uciec, prawda?

--Dill nie zatrzyma arkonitów. Nie wie, że tamta Rachel uciekła. Dopóki Menoa ma jedną z nas jako zakładniczkę, Dill będzie go słuchał. Ta linia czasu jest dla nas ślepym zaułkiem.

--Ale musimy gdzieś przeżyć -- nie poddawała się Rachel. -- Wszechświat, w którym spotkałam siebie na jeziorze, nadal istnieje, prawda? Ta inna wersja mnie nadal przebywa w zamku Sabora.

Druga Rachel pokiwała głową.

--Ona jest tobą -- przyznała. -- Przeżyje i zestarzeje się. I pewnego dnia zrozumie, że żaden świat nie zasługuje na cierpienie, nawet przeklęty. -- Uśmiechnęła się ze smutkiem. -- To nie ułatwia sprawy, co?

Rachel wytarła łzy z oczu.

--Nie.

--Żegnaj, siostrzo.

--Żegnaj.

Rozdział 11

CARNIVAL I MENOA

Rachel w końcu poczuła ulgę. Komnata Renklodowa, do której weszło jej poprzednie ja, była teraz pusta. Przeszła kolejną zmianę cyklu i teraz wychodziła na zupełnie inny czas. Rachel zerknęła przez bulaj i zobaczyła pokój obłany blaskiem księżyca.

W tym momencie zjawiła się młodsza wersja Garstone'a w pomiętym brązowym garniturze. Asystent skinął głową najpierw swojemu bratu, a potem Saborowi.

--Wzywaleś mnie, panie?

--Spóźniłeś się, Garstone -- stwierdził bóg zegarów. -- Chciałem, żebyś towarzyszył pannie Hael dziesięć godzin w przeszłość, ale przegapiłeś okazję. Ona już poszła.

Mały człowieczek wyjął mapę z wewnętrznej kieszeni marynarki i rozłożył ją.

--Dziesięć godzin? Hm. -- Asystent zmarszczył brwi. -- To jest pewien problem. -- Podrapał się po głowie i westchnął. -- Jest jedna trasa, ale obawiam się, że będę o czternaście lat starszy, kiedy się z nią spotkam.

--Czternaście lat to nic -- powiedział Sabor. -- Nadal będziesz dostatecznie sprawny. A, dziękuję... -- Wyjął kopertę z ręki drugiego, znacznie starszego Garstone'a, który akurat przechodził obok niego, i oddał ją młodszemu asystentowi. -- Oto twoje instrukcje wraz z rysunkami tratw. i które trzeba zbudować, żeby nasz przyjaciel arkonita uciekł swoim prześladowcom. Masz czternaście lat, żeby je przeczytać, i mniej niż dziesięć godzin, żeby wykonać polecenia.

--Budowa tych tratw to strata czasu -- odezwała się Rachel -- a Dill potrzebuje naszej pomocy już teraz.

Garstone wziął dokumenty od boga zegarów.

--Dziękuję, panie. Teraz, jeśli mi wybaczycie, już pójdę. Pierwsza komnata zaczyna cykl... -- zerknął na zegarek -... za pięćdziesiąt trzy sekundy. -- Oddalił się pospiesznie i zniknął za jednymi z wielu drzwi.

Wokół nich rozdzwoniły się zegary, jakby dla uczczenia jego odejścia.

--Chodźmy -- powiedziała Rachel.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, nie patrząc, czy inni idą za nią. Minęło zbyt wiele cennego czasu od chwili, kiedy zgromadzili się wokół stołu Sabora i byli świadkami, jak Dill wypelza z jeziora. Jej przyjacielowi mogło się już coś stać.

Żelazny Łeb zauważył go pierwszy. Stali przy szklistej bazaltowej wychodni, na skraju płaskowyżu otaczającego fortecę. Lodowaty wiatr świstał im w uszach, za nimi ściany zamku migotały i pulsowały. Z tego miejsca mieli rozległy widok we wszystkich kierunkach: na północny brzeg Kwiatowego Jeziora, cypel, półksiężyc srebrnych plaż, smugę dymu nad Kevin's Jetty, zielone wzgórza wznoszące się łagodnymi kopcami od samej wody po groźne Góry Świątynne. Pół mili dalej, w dole zbocza, dostrzegli Dilla.

Podpierając się jedynym ocalałym ramieniem, arkonita ciągnął wielkie ciało po zalesionym zboczu. Za jego zmiażdżoną miednicą wlokło się, szorując po ziemi, kłębowisko rur, kości i części maszyn powiązanych drutami. Za sobą ranny golem zostawiał rów wypełniony olejem i połamane drzewa.

Rachel ruszyła biegiem w stronę ścieżki prowadzącej do jeziora, ale Sabor zatrzymał ją,

wołając:

--Nie może mu pani pomóc!

--Muszę! -- odkrzyknęła asasynka.

--Nie da rady pani go tutaj przynieść ani naprawić -- dodał bóg zegarów. -- Musi sam sobie poradzić.

--Może i przywlecze się tutaj o własnych siłach, ale to nie oznacza, że ma tę podróż odbyć samotnie -- odparła Rachel i popędziła w dół leśnym szlakiem.

Zdażyła pokonać zaledwie dwieście jardów, kiedy dogonił ją Żelazny Łeb. Gdy usłyszała za sobą poskrzypywanie skórzanej zbroi i tupot ciężkich butów, odwróciła się i zobaczyła jego szeroki uśmiech.

--Dała pani Saborowi lekcję współczucia -- powiedział kapitan.

--Nigdy nie spotkałam boga, który by jej nie potrzebował -- odparła Rachel. -- Z wyjątkiem Haspa, a on próbował mnie zabić.

Z tyłu dobiegł okrzyk. Rachel obejrzała się i zobaczyła, że Mina z trudem podąża stromym szlakiem w pewnej odległości za nimi. Jej szklane stopy ślizgały się na kamieniach, Bazyliś dreptał obok niej. Nigdzie nie było śladu Sabora. Najwyraźniej bóg zegarów postanowił im nie towarzyszyć.

Trzymali się tego duktu przez godzinę, zanim Rachel usłyszała odgłosy świadczące o tym, że coś wielkiego i ciężkiego przedziera się przez las. Poprowadziła dwójkę towarzyszy w ich stronę między gęsto rosnącymi sosnami, przez zaciszny półmrok, w którym tu i ówdzie martwe gałęzie tworzyły nieprzebyte chaszczce. Wszędzie panowała cisza, nie licząc regularnego trzasku łamanych drzew i rytmicznego dudnienia kości uderzających o ziemię.

Dill znieruchomiał, kiedy ich zobaczył. Jego masywne ramię opadło na ziemię z głuchym lupnięciem, pozbawiona szczęki czaszka oparła się o zbocze. Arkonita skierował ku nim puste oczodoły, leżąc bezwładnie.

Rachel wybuchnęła płaczem. Podbiegła do głowy Dilla i przytuliła się do niej. Martwa kość była szorstka i twarda pod jej dłońmi, bardzo zimna. Wielki szkielet arkonity ciągnął się daleko w dół zbocza masą poskręcane metalu, rur i żeber. Miejscami nadal buchały z niego kłęby pary, z rozbitej maszyneryi wyciekały piekielne chemikalia i łączyły się na podszyciu w cuchnące strumyki.

Rachel poczuła dłoń na ramieniu, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Minę.

--On nie może mówić -- powiedziała taumaturg. -- Znajdźmy jego duszę.

Wąskie przejście prowadzące do wnętrza głowy arkonity zostało odsłonięte po utracie szczęki przez Dilla, tak że nie miały trudności z wpełnięciem do środka. W komorze, częściowo oświetlonej przez smugi światła dziennego wpadające przez dziury w czaszce automatu, było mroczno. Szklaną kulę z duszą anioła otaczały stosy połamanych części maszyn i niebieskich odłamków kryształów.

Na podłodze siedziała oparta o nią plecami zakapturzona postać z pustą butelką whisky w ręce.

--Hasp! -- krzyknęła Mina, podbiegając do niego.

Pan Pierwszej Cytadeli ścisnął głowę szklanymi rękami i jęknął.

--Trzymaj się ode mnie z daleka, taumaturgu -- ostrzegł. -- Nie wiem, gdzie jestem ani kim jestem. Zdaje się, że toczyła się bitwa, ale jej nie pamiętam.

--Masz kaca -- stwierdziła Mina.

--To też. -- Hasp odchylił głowę i zamknął oczy.

Rachel przekroczyła gruz i położyła dłonie na szklanej kuli. Duchy zamknięte w środku dryfowały przez siebie nawzajem i przez zjawę Dilla. Ich głosy zaatakowały jej umysł:

Za późno... za późno... On umiera... Nie powinien był walczyć, a teraz... Zabija nas... Za późno, cios z góry... miazdzący... jaki ból, kurz i ciemność... Zostaw nas w spokoju...

--Dill?

Jego głos zabrzmiał słabo. *Przybyłem, żeby spotkać się z tobą w zamku Sabora.*

--To niedaleko.

Przyjaciel milczał przez chwilę. *To wzgórze prawie mnie wykończyło.*

--Boli cię?

Trochę.

Asasynka przycisnęła twarz do chłodnego szkła.

--Ale uciekłeś im. Udało ci się dotrzeć aż tutaj.

Zgubiłem tasak.

--To nieważne.

Łza spłynęła po gładkiej powierzchni kuli i spadła jej na rękę. Rachel nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogli go wyleczyć, nie mogli zabrać do fortecy Sabora. Gdyby udało mu się wpełznąć na szczyt góry, musiałby tam zostać, podczas gdy reszta weszłaby do środka.

Mina przycisnęła dłoń do szkła cał od twarzy Rachel.

--Zdajesz sobie sprawę, w jakim jesteś stanie, Dill? -- zapytała. -- Kompletnie cię zniszczyli.

Mina?

--Mina! -- Rachel spiorunowała ją wzrokiem. -- Musisz zawsze być taka niewrażliwa?

--Tylko spójrz na niego albo raczej na to, co z niego zostało -- powiedziała taumaturg. -- Nie ma nóg, jednej ręki, a reszta wygląda jak pelzający złom. Nawet nie da rady dotrzeć do *Obscurey*.

--Da radę -- upierała się Rachel.

--A co potem? -- odparowała Mina. -- Będzie leżał na zewnątrz i rdzewiał. Nie zostało z niego nic, co można by uratować.

Nad nimi rozległ się trzask i kawał czaszki Dilla wielkości stołu runął na stos rozbitych kryształów w głębi komory. Hasp drgnął i chwycił się za głowę.

Rachel złapała Minę za ramiona i oderwała ją od kuli.

--Co robisz?

Taumaturg zmrużyła ciemne oczy, nachyliła się i szepnęła asasynce do ucha:

--Mówię, jak jest. On nie przeżyje w takim stanie, a ja uważam, że powinien o tym wiedzieć. -- Wyprostowała się i uśmiechnęła zimno. -- Rusz głową, Spine.

I nagle Rachel zrozumiała. Wojownicy Menoi osłabili Dilla, zasiewając w nim wątpliwości. Moc ogromnego kościano-metalowego ciała zależała od wiary golema we własne siły, więc pozostali arkonicy uczynili swojego przeciwnika podatnym na zranienie, po prostu wmawiając mu, że można go zniszczyć. Teraz Mina próbowała dokończyć za nich robotę.

Rachel spiorunowała ją wzrokiem.

--Co się stanie z jego duszą, jeśli zdołamy ją uwolnić?

--Większość duchów przeżywa na ziemi krótki czas, a Dill jest o wiele potężniejszy niż przeciętna zjawia -- wyszeptała Mina. -- Kiedy był w Piekło, połknął fragment Irila, kawałek duszy Haspa i -- uśmiechnęła się -- trochę mojej.

--Jak długo może istnieć poza tym ciałem?

Taumaturg wzruszyła ramionami.

--Jest dość niezwykłą osobą, nawet jak na anioła -- odparła. -- Może go stąd zabierzemy i zobaczymy, co się stanie?

* * *

--Jesteś tego pewna?

--Nie -- przyznała Mina. -- Ale i tak to zrobimy.

Żelazny Łeb zamachnął się młotem i z głośnym trzaskiem uderzył w szklaną kulę. Sprawdził maleńkie białe draśnięcie, które zrobił na gładkiej powierzchni, potrząsnął głową i znowu uniósł broń. Po drugim ciosie szkło się roztrzaskało.

Uwolnione duchy zaczęły się miotać po komorze w wirze bezcielesnych rąk, oczu zębów. Rachel zachwiała się, kiedy z wyciem przeleciały tuż obok niej, szarpnęły ją, smagnęły po twarzy. W głowie usłyszała ich krzyki.

Nie w Piekło... zimno... to życie, ciepło... spojrzcie na poświatę... tak zimno... skarby...

Mina stała z zaciśniętymi powiekami w głębi komory, głaskała psa i mruzczała coś pod nosem. Po chwili otworzyła oczy i wypuściła Bazylisa z objęć.

Pies zaczął biegać po pomieszczeniu, warcząc.

--Trzymajcie się z dala od moich przyjaciół -- ostrzegła taumaturg. -- Opętajcie któreś z nas, a mój pan pośle was tam, gdzie naprawdę nie chcielibyście iść. Dobrze wiecie, co on potrafi zrobić z duszą. -- Uśmiechnęła się ponuro. -- Jeśli uważaliście, że w Piekło jest źle, poczekajcie, aż zobaczycie dom Bazylisa.

Wiatr duchów wzmógł się nagle. Krzycząc, gazowe postacie utworzyły ciaśniejszą spiralę i pomknęły w górę do otworu w czaszce arkonity. Chwilę później zniknęły. W komorze został tylko jeden duch.

--Odzyskałeś skrzydła -- powiedziała Rachel.

Tak jakby.

Przezroczyste pióra jaśniały w mroku słabym błękitem. Dill wyglądał na dużo silniejszego i wyższego niż anioł, którego Rachel pamiętała z dawnych czasów w Deepgate, ale miał na sobie tę samą podartą kolczugę i spodnie oraz ten sam stary, tępy miecz, którego używali jego przodkowie. Jego czoło znaczyło teraz kilka zmarszczek, ale oczy emanowały spokojną pewnością siebie. Uniósł rękę przed twarzą i spojrzał przez nią z uśmiechem.

Jestem również chudszy stwierdził.

* * *

Hasp otworzył wielkie miedziane drzwi zamku i ryknął:

--Sabor! Gdzie jesteś? Jestem obolały, głodny i bardzo potrzebuję drinka.

Bóg zegarów z wyraźną pogardą zmierzył wzrokiem młodszego brata.

--Witaj, Hasp -- powiedział. -- Jak było w Piekło? Straciłeś skrzydła, jak widzę. I skórę.

--Ten drań Menoa mnie pokonał -- odburknął archont. -- Wysłał tylko milion demonów, ale to był koniec męczącego tygodnia.

Sabor popatrzył na brata chłodnym wzrokiem spod półprzymkniętych powiek.

--Jestem pewien, że bitwa była imponująca.

Dalej rozmawiali w ten sposób, ale Rachel przestała ich słuchać. Kątem oka uważnie obserwowała Dilla. Stojąc między Miną i Żelaznym Łbem, młody anioł przyglądał się rzędom rur i obiektów zainstalowanym w wysokiej sali. Jego ciało stało się bardziej przezroczyste czy tylko się jej wydawało? Odnosiła wrażenie, że w jasnym świetle blaknął, ale kiedy wchodził w cień, stawał się bardziej materialny.

--Duchy nie potrzebują strawy, jednak reszta z nas umiera z głodu, bracie -- powiedział Hasp. -- Nie jedliśmy nic, odkąd Dill porzucił „Zardzewiałą Piłę”.

Sabor westchnął.

--Każę Garstone'owi przygotować kolację.

--Jest na to czas? -- zapytała Rachel. -- Gdzieś tam czeka jedenastu arkonitów -- wskazała skinieniem głowy na główne drzwi -- a my nie mamy teraz jak się przed nimi bronić. Nie mamy żadnego planu, pojęcia, gdzie jest Niebo ani jak sprowokować Ayen, nawet gdybyśmy zdołali do niej dotrzeć.

Sabor tylko uniósł brwi.

--Czas? -- powiedział z niedowierzaniem. -- Pytasz mnie, czy mamy czas?

Zasiedli do kolacji w wyłożonej boazerią, ponurej jadalni, która na szczęście istniała tu i teraz. Przyległa kuchnia natomiast skakała przez pół godziny w tę i z powrotem w czasie, co oznaczało, że główne dania dostali przed przekąskami, a pudding pojawił się trzy minuty przed tym, jak został zamówiony.

Dill, jaśniejac słabo, stał w pewnej odległości od stołu i z półuśmiechem na ustach zadowalał się obserwowaniem, jak inni uczują.

Nikt jednak nie mógł się skarżyć na jedzenie. Garstone jednocześnie gotował i obsługiwał całą czwórkę gości, mijając się ze swoimi różnymi wersjami, które przynosiły gotowe dania i zabierały puste talerze. Wciąż przechodził przez Dilla, ale zawsze przepraszał.

--Drzwi do Nieba -- powiedział Sabor między kęsami piezzonego jagnięcia -- znajdują się w świątyni na szczycie tej góry.

Rachel drgnęła.

--Tutaj?

Sabor pokiwał głową.

--To, że znamy ich fizyczne położenie, nic nam nie pomoże. Tych wrót nie da się otworzyć. -- Przez chwilę żuł w zamyśleniu kęs jedzenia. -- Ayen wyrzuciła nas, swoich prawowitych synów, z Nieba po tym, jak zdławiła nasze powstanie przeciwko niej, ale tę fortecę usunęła z zupełnie innego powodu.

Żelazny Łeb wysączył wino. Garstone nachylił się, żeby dolać mu trunku z karafki, ale kapitan wyrwał naczynie z rąk brata i sam napełnił swój kieliszek.

--Nie chcę, żebyś mi usługiwał, Eli -- oświadczył. -- To nie w porządku. -- Następnie zwrócił się do Sabora: -- Ayen nie mogła pozwolić, żeby ten zamek istniał w Niebie. Nigdy nie czułaby się bezpieczna przy tych wszystkich drzwiach prowadzących w przeszłość i kto wie ilu wersjach ciebie, panie, żyjących w fortecy.

--Właśnie -- powiedział Sabor. -- Przeniosła *Obscure Redundę* do tego świata, a robiąc to, usunęła całą historię i przyszłość zamku ze swojego królestwa. On już nie istnieje w Niebie i nigdy tam nie istniał.

Hasp pochylił się nad stołem, oderwał zębami mięso od kości i wytarł zatłuszczoną szklaną rękawicę w obrus.

--To wymagało od niej wielkiej siły -- wymamrotał.

--Wysilek ją wyczerpał -- dodał Sabor. -- W chwili wściekłości stworzyła drzwi w swojej ziemskiej świątyni i wyrzuciła przez nie wszelkie ślady naszej obecności w Niebie. Usunęła wszystko: nasze armie, archontów, broń, kuźnie, maszyny oblężnicze. Nie mieliśmy pojęcia, że potrafi nagromadzić w sobie tyle... gniewu.

--Ale dlaczego? -- zapytała Rachel. -- Czym ją tak rozgniewaliście?

Hasp prychnął do kieliszka wina.

Bóg zegarów uśmiechnął się słabo.

--Jesteśmy jej prawowitymi synami -- powiedział. -- Ulcis, Cospinol, Rys, Mirith, Hasp i ja, wszyscy zrodzeni z Ayen i jej męża Irila. Zgodnie z prawem mieliśmy odziedziczyć Niebo. -- Napił się wina. -- Ale matka nigdy nas nie kochała. Nigdy nas nie hołubiła tak, jak swojego ulubieńca.

--Ayen miała jeszcze jedno dziecko?

Sabor pokiwał głową.

--Bękarta, półludzkiego chłopca poczętego już po tym, jak Iril wziął sobie naszą matkę za żonę. Zdradziła naszego ojca w najgorszy możliwy sposób. Ze śmiertelnikiem, więc może sobie pani wyobrazić, jak zareagował na to Iril.

Hasp znowu prychnął z pogardą i podsunął Garstone'owi kielich do napełnienia.

--Niedobrze -- odezwała się Mina. Powąchała swój pucharek. -- Czy to wino nie jest zwietrzałe?

U jej boku natychmiast pojawili się dwaj Garstone'owie.

--Bardzo przepraszam, panno Greene. W naszej piwnicy trudno jest być na bieżąco z rocznikami. Pani pozwoli, że je wymienię. -- Jeden z asystentów wyjął jej kieliszek z ręki i odpłynął z nim do kuchni, a drugi zniknął, żeby poszukać świeżej butelki.

--Niedobrze -- zgodził się Sabor. -- Iril zabił kochankę naszej matki i zjadł go.

Zamordowałby również bękarta, gdyby Ayen go nie ukryła. Nasz ojciec zażądał, żeby wydała chłopca, ale odmówiła. I tak zaczęła się Wojna w Niebie.

--Więc dziecko przeżyło? -- zapytała Rachel.

--Krótco -- odparł Sabor. -- Ayen była osłabiona po wojnie. Zużyła całą swoją moc, żeby nas przepędzić. Tak więc jej syn opuścił Niebo, poświęcił życie, żeby zapieczętować drzwi za sobą. Skazał się na Piekło, żeby ją chronić.

Żelazny Łeb odchrząknął.

--Niektórzy mogliby to uznać za szlachetny gest.

Sabor i Hasp posłali mu ponure spojrzenia.

--Niektórzy -- dodał kapitan. -- Głupcy i zdrajcy.

--Ale Piekłem rządził Iril -- zauważyła Rachel. -- Co więc się stało tam z bękartem?

--Nasz ojciec nigdy nie widział syna Ayen -- wyjaśnił Sabor. -- Żaden z nas nie znał nawet jego imienia. Zanim odkryliśmy jego tożsamość, było już za późno. W Piekło bękart wyrósł ponad szeregi wyznawców Irila. Wyróżniał się, należał do elity, ale przez cały czas knuł upadek naszego ojca. -- Usta boga zegarów zacisnęły się w wąską kreskę. -- Ósmy, ulubiony syn Ayen to Alteus Menoa, który teraz nazywa siebie panem Labiryntu.

W pokoju zapadła cisza. Chwilę później zakłóciło ją przybycie Garstone'a z kuchni.

--Pudding! -- oznajmił asystent.

--Nikt go nie zamawiał -- powiedziała Mina.

--Zamówi pani, panno Greene, gdy tylko pani go spróbuje.

Przez jakiś czas jedli w skupieniu, ale pewna kwestia nie dawała Rachel spokoju.

--Jeśli drzwi do Nieba są nie do sforsowania, dlaczego po prostu nie cofnie się pan w czasie i nie powstrzyma Menoi przed ich zapieczętowaniem?

Sabor wpatrywał się z ponurą miną w pudding. Hasp parsknął śmiechem i wysączył kieliszek do dna.

--Mam im powiedzieć, panie? -- spytał Garstone po dłuższej chwili. Bóg zegarów kiwnął głową.

--Już tego próbowano -- rzekł asystent Sabora, zwracając się do Rachel. -- Lord Rys wykorzystał Labirynt Czasu, żeby wrócić do momentu, kiedy Alteus Menoa opuścił Niebo. Próbował przeszkodzić draniowi w zabiciu się w świątyni jego matki.

--Nie udało mu się -- wtrącił Sabor. -- Opuszczając zamek, Rys zakłócił naszą linię czasu i naraził cały kosmos na niebezpieczeństwo. Mieszanie w historii spowodowało narodziny drugiego wszechświata, równoległego do naszego.

--I teraz oba się psują -- dodał Garstone. -- Wszędzie widać tego oznaki: zaburzenia i bąble w miejscach, gdzie nakładają się oba strumienie. -- Wzruszył ramionami. --

Wprowadzaliśmy poprawki tu i tam, żeby nasza linia czasu całkiem się nie załamała, ale szkoda została wyrządzona trzy tysiące lat temu.

--Nie można wyjść z długów, pożyczając więcej pieniędzy -- stwierdził Sabor. -- Próbowałem wyjaśnić to Rysowi, ale nie chciał mnie słuchać. Głupiec po raz drugi chciał wrócić do źródła problemu, żeby pokrzyżować plany Menoi!

--Więc zabił pan Rysa? -- spytała Rachel.

Bóg zegarów odchrząknął.

--Im dalej cofamy się w przeszłość, tym poważniejsze są skutki takiej podróży. Trzecia próba powstrzymania Menoi mogłaby zniszczyć cały kosmos.

Mina zmarszczyła brwi.

--Czy pan Labiryntu jest tego świadomy?

--Tak i nie -- odparł Sabor. -- W tej linii czasu nikt nie przeszkodził Menoi w odebraniu sobie życia w świątyni matki. Ale w drugiej, stworzonej przez Rysa, on rozumie, co się stało. W tamtym wszechświecie jego arkonicy już dotarli do *Obscure Redundy*. Jeśli tutaj nas pokona, zyska dostęp do Labiryntu Czasu i dzięki temu będzie mógł swobodnie skakać zarówno po swojej przeszłości, jak i naszej.

Garstone nagle przekrzywił głowę.

--Ktoś jeszcze to poczuł?

Przez podłogę przebiegło drzenie. Gdy tylko minęło, nastąpiła druga, silniejsza wibracja. I kolejna.

Sabor porwał mapę ze stołu i zawołał do licznych Garstone'ów stojących na balkonach:

--Obiektów zero, zgaś światła i pokaż nam, co się dzieje na zewnątrz.

Lampy przygasły. W ciemności eteryczna postać Dilla emanowała własną niebieską poświatą. Z góry dobiegła seria terkotów, a po nich trzask. Rachel, Mina i Żelazny Łeb zebrali

się wokół stołu, na którym powoli formował się zamazany obraz. Stojący za nimi Hasp wychylił następny kieliszek wina, a jego brat Sabor sięgnął pod blat i pociągnął za dźwignię. Obraz od razu się wyostrzył. Był to widok z wyższych pięter zamku. Żółte wieczorne światło padało ukośnie na górskie zbocze, tak że powstałe cienie były równie czarne jak skały. W dół do Kwiatowego Jeziora ciągnęła się wielka połać zielonego lasu, a z kolei srebrna woda sięgała aż po posępny horyzont zasnuty chmurami burzowymi. Na końcu głębokiej bruzdy, którą on sam wyrył wśród drzew, leżał ogromny, roztrzaskany trup Dilla. Obok jego czaszki płonęło wielkie ognisko. Unosiły się z niego kłęby szarego dymu. Rachel zobaczyła ludzi dorzucających gałęzie do ognia.

--Oran -- stwierdził ponurym tonem Żelazny Łeb. -- Rozpalił ognisko sygnałowe.

Dla kogo? - zapytał Dill.

Rachel pokazała na skraj obrazu.

--Dla nich.

Ze spienionej toni Kwiatowego Jeziora wyłoniło się dziewięciu arkonitów. Z ich ociekających skrzydeł zwieszały się kępy wodorostów. Nisko pochyleni wyszli na brzeg, ciągnąc potężne miecze po powierzchni jeziora. Strumienie wody wylewały się ze szczelin w ich parujących zbrojach i kościach.

Sto jardów dalej na jeziorze nagle pojawiły się wielkie bąble, z głębin buchnął dym i dwie kolejne ogromne czaszki wychynęły nad powierzchnię wody.

--Razem jedenastu -- powiedziała Rachel.

Hasp przez chwilę patrzył na tę scenę z posępną miną, a potem rzekł:

--Powiedz mi, że masz plan, bracie.

Sabor wpatrywał się w stół, ściskając blat. Zerknął na Dilla, który stał trochę z boku, jaśniejąc w mroku, po czym wrócił spojrzeniem do wyświetlonego obrazu. -- <

--Widziadła -- mruknął. -- Widziadła... -- Nagle się wyprostował. -- Wracamy -- oznajmił. -- Natychmiast. Do momentu, kiedy bękart Ayen zapieczętował Niebo.

--A nie mówił pan, że kolejna próba powstrzymania Menoi może zniszczyć cały wszechświat? -- przypomniała Rachel.

Mina ziewnęła.

--Ja pamiętam, że tak mówił.

--Nie mamy wyboru -- odparł Sabor.

Hasp ryknął w ciemność:

--Więcej wina!

* * *

Dziewiąta Cytadela wyglądała na zbudowaną głównie z ludzi. Nie miała drzwi ani okien. Usta osadzone w podłogach i sufitach coś do niej krzyczały, a ściany... Wystawało z nich mnóstwo szarych, bezokich ciał. Stwory kłapały zębami, łapały Carnival za skrzydła, miauczały, spluwały na nią i chichotały. Do czasu.

Gdy zaczęła je zabijać, całą tę szaloną fortecę wypełniły krzyki przerażenia i paniki. Błyskając demonicznym mieczem, Carnival wycięła sobie ścieżkę między wijącymi się postaciami i przedarła się do drugiego pokoju. Potem do trzeciego i czwartego.

Nagie istoty drapały się nawzajem pazurami w szaleńczych próbach ucieczki, ale były tak ze sobą splecione, że żaden ratunek nie był możliwy. Wyły więc i ginęły pod ostrzem anielicy.

Carnival odcinała im ręce, głowy, kawałki ciała, żeby zrobić sobie przejście.

W ten sposób przedarła się do dużo większego pomieszczenia, w którym bijące się ze sobą stworzenia dotarły na niebotyczną wysokość. Wiele ścisnęło płyty jasnego kamienia, tworzące toporną, krzywą klatkę schodową wijącą się wokół pustego środka wieży. Inne machały cynowymi latarniami, oblewając wnętrze chybottliwym żółtym światem.

Czy to było centrum cytadeli?

Carnival usłyszała plusk i ciurkanie, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Rzeka Przeegranych wsącza się przez pęknięcia w podłodze. Szybko wypełniła pokoje, przez które anielica już przeszła* ale nie zbliżyła się do niej. Wbrew swojej naturze ściana wody drżała przed nierówno wyciosanym wejściem do dużej komnaty, jakby czekała, aż Carnival pójdzie dalej.

Anielica nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tutaj jest. Ona jedynie podążała wraz z nurtem rzeki. Ale powód czy motyw nie miał znaczenia, bo krew w jej żyłach domagała się walki. Wszystko wokół niej było teraz wrogiem. Musiała zranić to miejsce.

Postacie w murach syczały i zawodziły. Nagle od strony stłoczonych ciał dobiegł straszliwy dźwięk darcia. Miejscami Istoty rozstąpiły się, tworząc portale w trzech niezniszczonych ścianach pokoju.

Carnival uniosła miecz. Poczula, że broń drży ze strachu.

Istoty, które wbiegły, wtoczyły się, wgramoliły albo wkuśtykały do wieży, nie przypominały żadnych, które anielica wcześniej widziała. Carnival zatoczyła mieczem nad głową, sprawdzając jego ciężar, a następnie rzuciła się do ataku.

Cięła wojowników w jasnych ceramicznych zbrojach, które trzaskały i sypały iskrami, postacie bez skóry, z czaszkami pełnymi zębów, i skrzydlate cienie, które można było dostrzec tylko kątem oka, ludzi zakutyh w mosiężne pancerze terkoczące koła z kości, maszyny najeżone obracającymi się ostrzami, czarne szakale, tury, wyjących kapłanów na metalowych szczudłach, karły o lustrzanych oczach i żelaznych kończynach, z mieczami, pikami, maczugami, włóczniami, pałkami, biczami...

Wyrznęła wszystkich.

Ale wciąż napływali nowi, aż w końcu stała na stercie trupów i z góry siekła przeciwników. Jej blizny płonęły z żądz walki, włosy oblepiły twarz czerwoczarną siecią. Carnival warczała, śmiała się, zataczała koła mieczem, cięła, patroszyła, malowała ściany krwią. Wdychała ostatnie tchnienia wrogów, rozkoszowała się nimi. Broń w jej ręce jęczała z bólu.

Horda nagle się zatrzymała.

Z góry dobiegł cichy męski głos:

--Te dusze w twoich żyłach... wszystkie są niezłomne?

Carnival uniosła wzrok.

Jakieś dwadzieścia stóp nad nią siedział na jedynym schodku wysoki wojownik. Miał na sobie zbroję wyrzeźbioną z ciemnego szkła, najeżoną kolcami i wyrostkami, jakby wiatr lekko pofałdował lodowe pole. Nieprzezroczysta maska była uformowana w twarz młodego mężczyzny o wydatnych kościach policzkowych i wąskiej, trójkątnej brodzie, ale Carnival zdawało się, że widzi pod nią inną, jeszcze piękniejszą twarz. Żółte oczy spoglądające przez szkło? Światło padało nań w dziwny sposób, jakby przezroczysty strój subtelnie zmieniał refleksy.

--Przejrzałem cię -- powiedział. -- Moi Ikaraci powinni być mądrzejsi i nie spełniać twoich pragnień. Przyszedłeś tutaj specjalnie na rzeź, tak?

Carnival tylko na niego patrzyła.

--Na pewno nie po to, żeby rozmawiać, prawda? -- dodał mężczyzna łagodnie. -- Jestem Alteusem Menoą, synem Ayen i Irila... -- Zrobił pauzę. -- I ojcem rzecznego boga, który cię tutaj sprowadził. -- Rękawicą wskazał na zalaną komnatę. -- Biedactwa kochają mnie jak szczeniaki, ale widzę, że ciebie też lubią. -- Wybuchnął melodyjnym śmiechem. -- Całe Piekło należy do mnie, a ty jesteś tutaj najmilej widziana. Przespacerujesz się ze mną po balkonach cytadeli? Widok jest nadzwyczajny.

Carnival stała z dudniącym sercem na pryzmie swoich ofiar, po kolana w posoce. Odór śmierci wypełniał jej nozdrza, zakrwawione skóry wsiąły na niej w strzępach. Nie mogła oderwać wzroku od tej dziwnie pociągającej postaci. Coś w nim... Nagle przypomniała sobie o bliznach. Przesunęła się niezgrabnie w bezcelowej próbie ukrycia ich przed tym pięknym mężczyzną. Demoniczny miecz zadrżał w jej ręce i zaszlochał.

--Do cna wykorzystalaś szybkozmiennego -- zauważył uprzejmym tonem Menoa. -- Sądząc po tym, jak drży, powiedziałbym, że jest nieprzyzwyczajony do wymagań, które mu narzuciłaś. Pozwól, że wykuję ci lepszą broń, miecz z najczystszych wspomnień o wojnie.

--Tnie -- rzuciła krótko Carnival i raptem poczuła się zawstydzona własnym głosem. Co się z nią działo? Niechęć do samej siebie na nowo rozpalila w niej gniew. Załopotala skrzydłami i warknęła: -- Zejdź tutaj, to pokażę ci, jak dobrze tnie.

Miecz wydał z siebie straszliwy jęk.

Alteus Menoa wstał. Od nagolennic po helm jego zbroja zniekształciła się i zafalowała, po czym na powrót ustaliła wokół jego ciała. Urósł? Wydawał się jeszcze bardziej imponujący niż przed chwilą.

Zdjął maskę i helm.

Jego twarz była piękna. Wyraźnie zarysowane kości policzkowe i łuki brwiowe, oczy w kształcie migdałów, lśniące jak złoto, blada, nieskazitelna skóra. Menoa odrzucił głowę do tyłu i jego włosy spłynęły kaskadą na szklany obojczyk i naramienniki jak wypolerowane srebro. Uśmiechnął się do anielicy.

--Wszystkie dusze przybywają tutaj nagie, uwolnione od naturalnych więzów, które ograniczały je w życiu -- powiedział. -- W twoim świecie istnieją tylko po to, by przetrwać, ale taki porządek jest prymitywny i animalistyczny. Natura nie ma innego celu niż kontynuacja samej siebie. -- Zatoczył krąg rękawicą, wskazując wszelkiego rodzaju demony otaczające Carnival. -- Zwróć uwagę na te konstrukty. Dano im wyższy cel, możliwy tylko dzięki niedeterministycznej naturze Piekła. Twój własny miecz jest piękniejszy od ciebie pod każdym względem. Dzięki boskiej woli ma swój cel, w przeciwieństwie do ciebie.

Wykonał gest ręką.

Serce Carnival przestało bić. Poczula, że mięśnie jej ramion i nóg drżą. Pięść się otworzyła, broń wypadła z ręki. Blizny stwardniały i zaczęły pełznąć po jej ciele. Anielka opadła na kolana i gwałtownie wypuściła ustami powietrze, ale płuca odmówiły zaczerpnięcia następnego oddechu.

--Wszystkie dusze w twojej krwi może dają ci moc, lecz nigdy nie były w harmonii z tobą -- stwierdził Menoa. -- Są uwięzione w piekle, którym ty jesteś, ale czego mogą od ciebie się

spodziewać oprócz wściekłości i mordowania? -- Potrząsnął głową. -- Jednak, skoro już tu są, możesz im zaoferować dużo więcej.

Carnival próbowała oddychać, próbowała krzyczeć, próbowała się poruszyć, ale mięśnie nie słuchały jej poleceń. Na jej oczach palce zagięły się w szpony. Nie mogła ich rozprostować. Stare blizny wily się po nadgarstku i dłoni niczym czerwone, cienkie robaki. Ciało zbladło i zaczęło się robić przezroczyste.

W coś się zmieniała.

* * *

Sabor rozłożył mapę na stole. Papier był stary i gęsto pokryty atramentowymi liniami, kołami oraz miniaturowymi tabelkami pełnymi dat i liczb.

--Tu mamy wszystkie trasy, jakie znaleźliśmy w ciągu ostatnich trzech miesięcy -- powiedział. -- Jednak wiele z nich prowadzi teraz do bękarciego świata, więc trzeba ich unikać, jeśli to możliwe. Ponieważ będziemy coraz dalej zagłębiać się w historię, musimy mieć dodatkowe mapy.

--Gdzie one są? -- zapytała Mina.

--W podziemiach. Niestety, jest ich za dużo, żeby wziąć je ze sobą. Po prostu będziemy je brać w miarę potrzeby.

Rachel patrzyła z nabożnym podziwem na skomplikowane wzory. Mieli cofnąć się w czasie o trzy tysiące lat -- do momentu, kiedy Ayen wypędziła synów z Nieba -- żeby uratować życie Alteusa Menoi, wroga, który nawet teraz próbował ich zniszczyć.

Co za ironia losu! Jedynym sposobem, żeby powstrzymać pana Labiryntu, było niedopuszczenie do tego, by umarł i wszedł do Pieła.

Sabor przekreślił wiele kół na rozłożonej przed nim mapie. Twierdził, że prowadzą one do równoległego, „bękarciego świata”, który stworzył Rys, kiedy podróżował wstecz w czasie, żeby spotkać się z Menoą, i niechcący zmienił bieg historii. Kosmos nie był w stanie poradzić sobie z tak wielkim zniekształceniem, więc oddzielne linie czasu miejscami stykały się ze sobą, powodując różne skutki w czasoprzestrzeni. Zamek Sabora istniał w obu wszechświatach, a łączyło je wiele drzwi.

W sali nagle rozdzwoniły się zegary.

--To zmiana cyklu, na którą czekaliśmy -- oznajmił Sabor. -- Musimy ruszać. Garstone, potrzebuję jak najwięcej twoich kopii. Również w trakcie podróży możemy wygenerować trochę dodatkowych replik... Milicja z Burntwater wie, co robić?

--Żelazny Łeb zarygluje drzwi zamku i będzie ich pilnował, jak długo się da -- odparł asystent.

--Dobrze. W takim razie chodźmy.

Gospodarz poprowadził Rachel, Minę, Haspa i Dilla przez galerie zamku, balkony, kolejne schody. Wspinali się coraz wyżej. Każda wersja Garstone'a, którą mijali, dołączała do grupy, tak że zanim dotarli do odpowiednich drzwi na jednym z wyższych poziomów, szła za nimi grupa złożona z dwudziestu asystentów.

Tworzyli osobliwą świtę złożoną z przygarbionych, szurających nogami mężczyzn w sfatygowanych garniturach. Rachel zastanawiała się, skąd brali te ubrania. Może sami je sobie szyli. Byli w różnym wieku, od średniego po podeszły, ale każdy miał na twarzy ten sam mdły uśmiech.

Hasp lypał na nich spode lba.

Gdy zbliżyli się do drzwi jednej z komnat, Sabor zerknął na mapę.

--Tak jak sądziłem, Komnata Grenadierska jest cofnięta w czasie o piętnaście dni. To dobry start. -- Otworzył służbę czasową i pokazał im gestem, żeby weszli do środka.

Grupa musiała podzielić się na trzy mniejsze, żeby zmieścić się w ciasnym pomieszczeniu. Komnata Grenadierska okazała się nieduża, ściany miała obite podniszczonym, zielonym aksamitem. Mosiężna rura urządzenia optycznego kończyła się tuż za oknem grubymi soczewkami. Na zewnątrz było szare popołudnie.

Gdy tylko ostatni Garstone zamknął za sobą drzwi, cała dwudziestka nastawiła kieszonkowe zegarki. Jeden z asystentów nakręcił zegar stojący pod ścianą, inny ponownie otworzył służbę.

--Naprzód -- zarządził Sabor.

Mina trąciła asasynkę łokciem.

--Trzy tysiące lat? -- wszeptwała. -- Na bogów, Rachel, nie wiem, czy to wytrzymam. Jak myślisz, kiedy zatrzymamy się na kolację?

--Gdzie Bazylis?

Taumaturg odgarnęła szatę. Z głębokiej wewnętrznej kieszeni wystawała głowa jej pupila.

--Zawsze blisko mnie -- powiedziała Mina.

Pies zawarczał.

--Lepiej, żeby nie sikał -- burknął Hasp. -- Będziesz brzydko pachnieć.

Mina tylko się uśmiechnęła i z powrotem otuliła się szatą.

Rachel wkrótce straciła rachubę, ile komnat odwiedzili. Za oknem widziała świt, zmierzch i wszelkie inne pory dnia, następujące po sobie bez określonego porządku, zależnie od drogi, którą Sabor wybierał na mapie. Na kolację w jadalni zatrzymali się po sześciu godzinach podróży w czasie, a bóg zegarów oznajmił, że cofnęli się o dwa lata w przeszłość.

Hasp siedział z dala od reszty grupy przy drugim końcu stołu i pił dużo wina. Kiedy Garstone zbliżył się do niego po raz kolejny, żeby napelnić mu kielich, archont wyrwał mu karafkę z ręki i huknął:

--Zostaw ją tutaj, cholerny imbecyłu! Ile razy muszę ci to powtarzać?

Sabor zeszywniał na krześle.

--To, co w Piekło zrobił ci Menoa, błednie w porównaniu z tym, co sam sobie zrobiłeś, bracie -- stwierdził.

--Co to miało znaczyć?

--Już nie jesteś tym bogiem, którego pamiętam.

Hasp prychnął gniewnie.

--Więc zabij mnie tak jak pozostałych, Saborze. Przynajmniej moje ręce są czyste.

Do grupy regularnie dołączali nowi Garstone'owie, podczas gdy inni zostawali gdzieś po drodze albo czekali, aż będą dostępne kolejne komnaty. W ten sposób mogli znowu wrócić do przeszłości, żeby zwiększyć swoją liczebność. Zamek roił się od replik asystenta Sabora. Im dalej podróżowali, tym więcej Garstone'ów pojawiało się w fortecy.

Po kolacji podjęli wędrówkę w przeszłość. Tym razem Sabor kazał, by grupie towarzyszył tylko jeden asystent, reszta miała zostać i dołączyć do nich we wcześniejszym momencie w Czasie, jeśli to będzie możliwe. Sam zaprowadził Rachel, Minę i Dilla na najwyższy poziom i

tam oznajmił, że wchodząc do Komnaty Astrowej, wykonają skok wstecz o cztery lata.

Hasp włócił się z tyłu, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

Dopiero po wyjściu ze służby czasowej Rachel zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Ten pokój wyglądał na dużo bardziej zaniedbany niż pozostałe. Z gipsowych gzymsów zwisały pajęczyny. Przegnile meble, stoczone przez korniki, pokrywała gruba warstwa kurzu. Nawet lebki gwoździ w deskach podłogowych były zardzewiałe. Ale silny odór wskazywał na coś o wiele gorszego niż brak ręki gospodyni.

Tutaj, Rachel.

Dill stał obok starej sofy z końskiego włosia i wskazywał na trupa leżącego na podłodze.

Była to wersja Garstone'a ubrana w strzępy granatowego garnituru. Asystent Sabora musiał nie żyć od dłuższego czasu, bo ciało, które pozostało na kościach, było częściowo zmumifikowane, a włosy suche i łamliwe. Głębokie wgłębienia w czaszce świadczyły o gwałtownej śmierci. Biedaka ktoś zatłukł.

Jeden z Garstone'ów wyjął zegarek z kieszeni na piersi swojej martwej repliki. Sprawdził godzinę i powiedział:

--To bardzo niezwykle.

Sabor zmarszczył brwi.

--Kiedy został zabity?

Asystent znowu spojrzął na zegarek zamordowanego.

--Przestał go nakręcać za sześć miesięcy od tej chwili, ale stan ciała wskazuje na to, że zmarł dawno temu. Albo ciało zostało tutaj przyniesione, żebyśmy je znaleźli, albo...

--Zapomniał nakręcić zegarek? -- podsunęła Mina.

Garstone pokręcił głową.

--Nie -- rzekł z całkowitym przekonaniem. -- To niemożliwe. Ja nigdy nie zapominam. -- Zastanawiał się przez chwilę. -- Sądzę, że zrobiłem to celowo, żeby przekazać wiadomość.

--Nie łatwiej byłoby napisać liścik?

--Liścik mógłby wziąć zabójca, panno Greene. Ale kto zadalby sobie trud, żeby spojrzeć na zegarek? -- Asystent pokiwał głową. -- Gdybym kiedyś stanął tutaj twarzą w twarz z wrogiem, bez wątpienia zapisałbym czas tego spotkania w bardziej subtelny sposób. Co więcej, gdybym uważał, że moje życie jest w niebezpieczeństwie... Tak, teraz, kiedy o tym myślę, właśnie tak bym postąpił.

Sabor stał z ponurą miną nad trupem.

--Mówisz, że ta wersja ciebie trafiła na intruza za sześć miesięcy od tej chwili i uciekła wstecz w czasie, żeby nas ostrzec?

--Tak sądę. Niestety, osobnik, na którego się natknąłem, najwyraźniej podążył za mną.

--I teraz jest dalej w przeszłości niż my?

Asystent pokiwał głową.

--Co oznacza, że wybrał bardziej bezpośrednią i niebezpieczną trasę. Żeby nas wyprzedzić, ta wersja mnie i jej prześladowca musieli podróżować przez bękarciego świat.

Hasp splunął na podłogę.

--Co za bzdury! -- warknął. -- Nie rozumiem ani słowa z tego, co obaj bredzicie. Jeśli istnieje szybsza droga do przeszłości, dlaczego nią nie idziemy?

Sabor przez dłuższą chwilę patrzył na brata, aż w końcu wyjaśnił:

--Bękarci świat jest niebezpieczny, bo ta wersja Menoi, która go zamieszkuje, wie o naszych planach. W jego świecie Rys pojawił się z przyszłości i próbował go porwać. Ponieważ pan Labiryntu wie, że *Obscura Redunda* stanowi dla niego zagrożenie, wysłał bezpośrednio do niej arkonitów i swoich agentów.

Hasp zmrużył oczy.

--Więc cały zamek może już się roić od mesmerystów?

--Tak.

Pan Pierwszej Cytadeli opadł na sofę i westchnął, po czym ujął głowę w dłonie i powiedział cicho:

--Przynieście mi whisky.

--Alkohol nie pomoże -- odezwała się Mina. -- Nigdy nie pomógł.

--Co ty, do diabła, o tym wiesz? -- warknął Hasp.

Rachel zrobiła krok do przodu.

--Ta kłótnia jest bezsensowna. Nie wiemy, kto zabił Garstone'a i czy nie wpadniemy na mordercę, ale możemy przyjąć, że to najprawdopodobniej był człowiek. Arkonita po prostu nie zmieściłby się w zamku, a mesmeryści potrzebują krwawej ziemi, żeby przetrwać.

--Ona ma rację -- poparła ją Mina.

Hasp westchnął ze znużeniem.

--W porządku. -- Pokiwał głową. -- W porządku.

Gdy znaleźli się z powrotem w głównej sali, Sabor spędził kilka minut pochylony nad stołem, szukając dla nich najbezpieczniejszej trasy.

--Musimy unikać komnat znajdujących się na skrzyżowaniu dwóch światów, bo przez nie nasz wróg może znaleźć drogę do tej linii czasu -- rzekł w końcu.

Garstone przygasił światła, a jego pan zaczął majstrować przy maszynierii ukrytej pod stołem. Pociągał za dźwignie, wprawiał w ruch koła i pstrykał przełącznikami. Jego głos rozbrzmiewał echem na galeriach:

--Obiektów 904... Komnata Zielona... Cykl od jednego do siedmiu... Dwa dni wstecz, Garstone... Straciliśmy ten poranek na dobre, więc zarygluj drzwi.

Wydawało się, że w mroku panującym w górze pracuje milion ludzi. Garstone'owie biegali między pokojami, nakręcali zegary, przynosili mapy, otwierali śluzy czasowe, trzaskali drzwiami, odczytywali tarcze i regulowali soczewki, podczas gdy ich pan operował wielkim mosiężnym urządzeniem optycznym.

Po okrągłym białym stole przesuwają się najróżniejsze widoki i sceny. Ku swojemu przerażeniu Rachel widziała głównie zniszczenie. Obrazy płonącego lasu i arkonitów, wielkie armie maszerujące w blasku pochodni przez karmazynowy świat, Burntwater starte o światło z powierzchni ziemi, domy zamienione w stosy popiołu rozwiewanego przez wiatr, ogromne postacie kroczące pod czarnym i żółtym niebem, w piekielnych zbrojach płonących czerwienią i zielenią w przedwieczornym świetle, zwęglone szczątki łodzi dryfujące po Kwiatowym Jeziorze.

Na twarzy Sabora malował się wyraz ponurej determinacji.

--To nie są wizje z naszego, tylko z bękarckiego świata -- wyjaśnił bóg. -- Równoległa wersja Alteusa Menoi wdarła się do tej fortecy w którymś; momencie przyszłości i teraz wykorzystuje Labirynt Czasu, żeby wrócić do własnej przeszłości. Dokonuje zmian, żeby jego

arkonici docierali do *Obscure Redundy* coraz wcześniej. Cofnął się dalej w czasie niż my, więc teraz nas wyprzedza. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy go dogonić.

Nagły huk wstrząsnął budowlą. Ruchome obrazy zgasły, zamek pogrążył się w ciemności. Chwilę później rozbłysły małe płomyki, kiedy dziesiątki asystentów Sabora zapaliły świece na wszystkich galeriach. W ich słabym, migotliwym blasku mechanizm optyczny zajmujący środek sali wyglądał jak wielki mosiężny szkielet. Jego górną część spowijał dym.

--Ktoś tutaj jest -- stwierdził Sabor.

--Mesmeryści? -- zapytał Hasp.

--Nie wiem, ale cokolwiek to jest, nie pochodzi z naszego świata.

* * *

--Lubię myśleć, że w jakimś innym świecie wszystko byłoby inaczej.

Echo głosu mężczyzny ucichło, w polu widzenia pojawiła się biała pościel. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do światła, Carnival zobaczyła, że leży w czystym, miękkim łóżku. Promień czerwonego światła wpadający ukośnie przez pojedyncze okno stanowił jedyny kolorowy akcent na podłodze wyłożonej białymi płytkami. Białe ściany oświetlał blask pochodzący z niewidocznego źródła. Anielica dostrzegła komodę, wysokie lustro, stół i krzesło, wszystko białe.

W pokoju nie było drzwi.

Usiadła na łóżku. Czuliła się dziwnie. Odnosiła wrażenie, że jest lżejsza, ubrana w luźny, źle dopasowany strój. I rzeczywiście jej stara skórzana zbroja zniknęła. Zamiast niej miała na sobie prostą płócienną suknię z materiału tak jasnego i gładkiego jak skóra na jej nadgarstkach.

Przez chwilę wpatrywała się w wierzch swoich dłoni, zanim zrozumiała, co jest nie tak. Do jej serca wkradł się strach.

Nie miała blizn.

Gwałtownie podciągnęła rękaw i popatrzyła na smukłe, jędrne przedramię, na nieskazitelną białą skórę. Zauważyła, że jej włosy sięgające ramion są czarne i jedwabście gładkie.

--Trochę lepiej, nie uważasz?

Carnival obejrzała się błyskawicznie, ale za nią nikogo nie było.

--Gdzie jesteś? -- warknęła.

Cisza.

Wyskoczyła z łóżka. Gdy dotknęła bosymi stopami zimnych białych płytek, nagle zakręciło się jej w głowie. Straciła równowagę i próbowała rozpostrzeć skrzydła. Jedynym rezultatem jej wysiłków było silne uczucie paniki.

Nie miała skrzydeł.

Stała bez ruchu przez dłuższą chwilę, kompletnie dezorientowana, z galopującym sercem. Spojrzała na okno, na ognisty prostokąt światła na podłodze. Przeniosła wzrok na wysokie lustro znajdujące się w kącie pokoju. Ze swojego miejsca widziała w nim tylko odbicie przeciwległej ściany. Ogarnął ją jeszcze większy strach.

--Wiesz, że to tylko kwestia czasu.

Rozpoznała miękki, tkliwy głos Alteusa Menoi. Odniosła wrażenie, że dochodzi z odległego kąta pokoju, z...

Znowu spojrziała w lustro.

Zbliżyła się do niego ostrożnie.

Ujrzała go w miejscu swojego odbicia. Zamienił szklaną zbroję na białe spodnie i biały wutowany kaftan. Uśmiechał się do niej, jego złote oczy i srebrne włosy lśniły.

--Większość dusz adaptuje się całkiem szybko do nowych postaci, ale twoja jest dużo od nich starsza -- powiedział. -- Widok twarzy, którą ci dałem, może być... traumatycznym przeżyciem;

--Pokaż mi.

Syn Ayen uniósł brwi.

--Żadnych gróźb ani furii, tylko zwykła prośba? -- Roześmiał się. -- Wciąż mnie zaskakujesz, Carnival. Tyle tajemnic ukrytych pod oceanem gniewu i szaleństwa. Nawet dusze uwięzione w twojej krwi niewiele o tobie wiedzą. Poza imieniem. I nawet ono, jak podejrzewam, jest fałszywe. Kim jesteś naprawdę?

Carnival nie odpowiedziała.

Menoa wzruszył ramionami.

--Dotrzemy do prawdy stopniowo.

Uniósł smukłą rękę. W lustrze, przed jego postacią, zaczął się formować obraz. Ludzkiej dziewczyny o kruczoczarnych włosach i intensywnie niebieskich oczach, drobnej, smukłej, ubranej w prostą płócienną suknię. Była najpiękniejszą istotą, jaką Carnival w życiu widziała, ale dlaczego Menoa stworzył tę zjawę, jeśli nie po to, żeby kontrast z wyglądem anielicy okazał się jeszcze bardziej bolesny? Ta druga kobieta, stojąca przed odbiciem Menoi, sięgała mu głową do piersi. Pan Labiryntu pochylił się, przysuwając usta do jej ucha.

Carnival poczuła jego oddech na karku. Tym razem, kiedy przemówił, dokładnie wiedziała, gdzie on jest.

--Podoba ci się? -- wyszeptał.

Instynkt liczący sobie trzy tysiące lat uruchomił mięśnie anielicy, zanim jej serce czy umysł zdążyły zareagować. Okręciła się błyskawicznie, zamachnęła pięścią...

Za sobą miała tylko powietrze.

Odwróciła się do lustra, pewna, że piękna kobieta zniknęła, że w wypolerowanej powierzchni zobaczy swoją twarz straszliwie oszpeconą bliznami. Spodziewała się, że ujrzy ból i szaleństwo.

Ale jej wzrok napotkał to samo jasne oblicze. Pana Labiryntu za nią nie było, smukła, niebieskooka dziewczyna została sama. Zarumieniona i zdyszana, patrzyła na Carnival z wyrazem nabożnego lęku.

Cichy głos Menoi wypełnił pokój jak muzyka.

--Nie ma tutaj nikogo do zabicia i nikogo, kto by cię osądzał. Nie ma już powodów, żebyś nosiła blizny.

Z gardła Carnival wyrwał się szloch. Anielica kopnęła z wściekłością lustro, roztrzaskując je na kawałki. Podniosła jeden z odłamków i przeciągnęła nim przez ramię. Potem jeszcze raz i jeszcze. W wąskich nacięciach wezbrała krew. Przeszył ją ból, ale powitała go czymś w rodzaju dzikiej desperacji. Opadła na kolana, upuszczając szkło. Zaczęła go szukać po omacku zakrwawionymi rękami. Podniosła szklane ostrze i wbiła je w udo. Krzyknęła z bólu.

Zadała sobie następny cios i jeszcze jeden.

--To nie twoje dzieło, żebyś mogła je niszczyć. -- Tym razem w głosie Menoi brzmiał gniew. -- Rozumiesz mnie? Nie ty masz prawo je niszczyć.

Ale Carnival, owładnięta strachem i cierpieniem, nie panowała nad sobą. Kierował nią przymus, którego nie potrafiła w pełni zrozumieć. Potrzebowała swoich blizn, jej dusza się ich domagała. Dlatego dalej cięła się szklanym nożem, aż w końcu suknia wisiała na niej w strzępach, a ściany pokoju Menoi były pomalowane na szkarłatno jej krwią.

* * *

Z jednego z pokoi znajdujących się na najwyższych piętrach fortecy buchnął dym. Nagły błysk załwał wysoki sufit falami czerwonego i żółtego światła. Jeden z Garstone'ów zawołał do pozostałych, żeby przynieśli wodę, a potem dodał spokojnie:

--Zdaje się, że nastąpiła eksplozja w Komnacie Rumiankowej.

Dziesiątki asystentów Sabora popędziły najpierw do kuchni po wiadra, garnki i karafki, a potem na wyższe galerie. Hasp patrzył ze strachem w górę na rozszerzający się pożar, dopóki Sabor nie oznajmił:

--Te eksplozje są dziełem ludzi, a nie mesmerystów. Czy to możliwe, żeby atak pochodził z naszej przyszłości? Że to tylko beczki z prochem z Burntwater?

--W Burntwater nie zostało ani trochę prochu -- przypomniała Rachel. -- Milicja Żelaznego Łba zużyła cały.

--Zatem nasi wrogowie po prostu wzięli go przed wami -- stwierdził Sabor. -- Przestańcie myśleć, że każda przyczyna musi poprzedzać skutek. Kto wie, ile wszechświatów właśnie pączkuje z obecnej chwili? Siły Menoi znajdują się teraz w naszej przyszłości i przeszłości. I wiedzą, gdzie my jesteśmy. Musimy natychmiast opuścić tę odnogę czasu. -- Szybko rozłożył mapę i przestudiował ją ze zmarszczonym czołem.

Masywne podwójne drzwi głównej sali zatrzęsły się nagle od silnego ciosu i omal nie wyskoczyły z zawiasów.

Garstone stojący najbliżej Rachel aż podskoczył.

--Sądzę, że to taran -- powiedział, zerkając na zegarek kieszonkowy. -- Na zewnątrz muszą być nasi wrogowie.

Rachel pobiegła wzrokiem w stronę wejścia. Jacy wrogowie? Bez *camera obscura* nie mogli prowadzić bezpiecznej obserwacji.

Drugie uderzenie wstrząsnęło drzwiami, nadproże popękało. Dill wyjął fantomowy miecz, gotowy do walki.

Czy taka broń mogła wyrządzić krzywdę żywym?

Sabor zwinął mapę i ruszył przed siebie, dając znak pozostałym, żeby szli za nim. Razem z Dilem, który do nich dołączył, popędzili trzy piętra w górę i zatrzymali się przed czwartą śluzą czasową na galerii. Garstone'owie przebiegli obok nich z wszelkiego rodzaju pojemnikami z wodą, mijając inne wersje siebie, które wracały z pustymi naczyniami do kuchni.

Z dołu dobiegł kolejny huk i trzask drewna.

Bóg zegarów zajrzał przez okienko do śluzy.

--Jedenastoletni skok -- powiedział. -- Niestety, ta komnata chyba niedawno była zajęta.

Rachel osłoniła oczy stulonymi dłońmi i przycisnęła twarz do szybki. W mroku za dwoma bulajami znajdującymi się naprzeciwko siebie zobaczyła salon z antycznymi meblami, słabo oświetlony blaskiem gwiazd wpadającym przez wysokie okno. Ale po chwili dostrzegła

poczerniałą boazerię i osmalone półki biblioteczki. Ktoś rozniecił tutaj ogień, ale pożar nie wybuchł.

--Istnieje lepsza trasa od tej? -- zapytała.

Z dołu dobiegł huk rozłupywanego drzewa.

--Żadna nie zapewnia takiego długiego skoku przez czas -- odparł Sabor. -- I żadna nie jest bezpieczniejsza. Bękarci świat zajął większość tutejszych komnat, ale ta... chyba pozostała nieskażona.

--Wchodźmy -- burknął Hasp. -- Główne wrota zamku lada moment zostaną sforsowane.

Rachel przycisnęła się do Miny i Haspa, kiedy Sabor zamknął wewnętrzne drzwi. Dill zawisł przed nimi w powietrzu. Jego przezroczysta postać częściowo wchłonęła ciało taumaturg. Gdy Sabor otworzył zewnętrzne drzwi śluzy, nozdrza Rachel zaatakowała dusząca woń dymu.

Mina zakryła usta rękami i popędziła do okna.

--Wszędzie spokój -- zameldowała. -- Żadnego śladu... czegokolwiek.

I rzeczywiście, w całym zamku panowała cisza. Nie było słyhać hałasów, które przed chwilą dobiegały z zewnątrz. Znajdowali się w zimnym, pustym pokoju cuchnącym spalenizną.

Hasp spojrział na osmalone meble.

--Moglibyśmy spalić ten pokój jak należy, żeby ci dranie nie przyszli tutaj za nami -- zaproponował.

Wszyscy od razu się z nim zgodzili.

Następnie postanowili wrócić do głównej sali. Teraz wszystko wyglądało tutaj normalnie, nie było żadnych śladu dewastacji, które miały się pojawić później. Wyjrząwszy przez balkon, Rachel upewniła się, że główne drzwi są nietknięte. Sabor zawołał sześciu Garstone'ów pracujących na tym poziomie i wydał im polecenia. W ciągu paru minut asystenci w wymiętych garniturach rozlali w komnacie olej do lamp.

Mina obserwowała ich w zamyśleniu, stojąc na galerii.

--Czy ogień, który zaraz rozpalimy, może być źródłem zniszczeń, jakie widzieliśmy w tamtym pokoju? -- zapytała.

Sabor studiował inną mapę, którą dał mu jeden z asystentów.

--Nie -- odpowiedział. -- Chyba że zrobiliśmy to dużo wcześniej. Zniszczenia są widoczne teraz. -- Nagle podniósł wzrok znad mapy. -- Garstone!

U jego boku natychmiast pojawili się dwaj asystenci.

--Tak, panie?

--Znajdźcie komnatę, która przeniesie was wstecz o kilka godzin, i rozpalcie ogień wtedy, a nie teraz. W miarę możliwości zachowajmy czystość tej linii czasowej.

--Tak jest, panie.

Obaj pobiegli wypełnić rozkaz.

Rachel nadal miała trudności z rozeznaniem się w tych ciągłych paradoksach. Dwaj asystenci mieli wrócić do wcześniejszego momentu, żeby rozpalic ogień, który miał zgasnąć, zanim ich grupka tutaj dotrze, a wszystko po to, żeby wydarzenia potoczyły się tak, jak powinny, i żeby ten nieszczęsny wszechświat nie zaczął podupadać jeszcze szybciej niż do tej pory. A jednak Hasp wpadł na taki pomysł, kiedy zobaczyli skutki pożaru.

Czas, jak powiedział Sabor, nie musi być linearny.

Wkrótce z Komnaty Rumiankowej wydobył się dym, ale Rachel nie miała pojęcia, o który z pożarów chodzi. Czy te płomienie została rozniecone chwilę temu, czy dużo wcześniej?

Tak czy inaczej, rezultaty były zgodne z oczekiwaniami. Żadni wrogowie nie przeszli przez służbę czasową i przynajmniej na razie zamek wydawał się bezpieczny.

Jednak widoki z *camera obscura* nadal były ponure. Teraz dziewiętnaście pokoi wychodziło na bękarczi wszechświat i pokazywało ziemię spustoszone przez wojnę, po których kroczyli giganci, skażone Kwiatowe Jezioro o Miedziano-niebieskich wodach z plamami ochry i brzegach porośniętych lśniącymi czarnymi drzewami. Karawany zbieraczy dusz i bandy ludzkich rzeźmieszków sunęły karmazynowymi szlakami, które wyglądały jak rany przecinające popielatoszare równiny. Wśród popiołów Burntwater stały klatki z kości; ich sylwetki rysowały się na tle bladej błękitnej nieba. Obrazy były nieme, ale Rachel wydawało się, że słyszy dobiegające z nich krzyki.

--Wszechświat na zewnątrz tych murów nie wygląda dużo gorzej niż do tej pory -- stwierdził Sabor. -- Ale coraz większa liczba okien wychodzi teraz na równoległe światy, w miarę jak pan Labiryntu miesza w przeszłości. Za każdym razem kiedy dokonuje zmiany, tworzy inny kosmos, żeby przeniknęli do niego jego agenci. -- Postukał palcem w stół, a następnie dokonał kilku poprawek w mechanizmie znajdującym się pod blatem. Obecni zobaczyli chłodny niebieski świt, bujny zielony las i poranne mgły. -- Nasza linia czasowa jest teraz bezpieczna -- dodał bóg, kiwając głową. -- Poprzedni atak musiał pochodzić z jednej z naszych lokalnych przyszłości.

Rozkazał asystentom przynieść tyle miejscowych map czasu, ile zdołają udźwignąć, a kiedy spełnili polecenie, wyposażona w nie grupa pospieszyła z powrotem do przeszłości.

Cofnęli się o trzysta lat i zatrzymali, żeby odpocząć i coś zjeść. Bóg zegarów kazał otworzyć wrota zamku, tak że przy kolacji mogli podziwiać zachód słońca.

Wieczorny blask, przefiltrowany przez eteryczną postać Dilla, zmieniał kolor na zielony, tak że młody anioł lśnił jak szmaragd na tle bursztynowego nieba.

Ze schodów fortecy widzieli całą drogę w dół do Kwiatowego Jeziora. Kevin s Jetty jeszcze nie istniała. I miała nie istnieć przez kolejne dwieście dziewięćdziesiąt dwa lata, jak wyjaśnił Sabor. Las też się zmienił. Zniknął gąszcz sosen, między którymi maszerowali do *Obscure*. Na ich miejscu rosły stare drzewa liściaste.

--Ostatnie skrawki pierwotnej puszczy -- powiedział Sabor. -- Część lasu Stoopblack albo raczej tego, co z niego zostało. Ciągnął się aż do Brownslough, gdzie Hafe i ja razem polowaliśmy. Te drzewa wyginęły, kiedy świat się ochłodził.

--Ochłodził? -- powtórzyła Rachel.

--Wypędzenie nas z Nieba wywarło wpływ na całą planetę -- odparł Sabor. -- Z imperium Ayen wyciekły eteryczne siły groźne dla tego świata, tak że całe krainy zostały skażone, niebo wypalone, morza się podniosły, ziemia popękała aż do rdzenia. Zderzenie niepasującej do siebie materii zniszczyło tkankę tego wszechświata. Uzbrojeni w czystą wolę spadliśmy jak gwiazdy. -- Bóg spojrział na długie, złote promienie słońca. -- Przybyliśmy słabi i nadzy, podatni na zranienie. W tamtym czasie to obce światło mogło nas zabić.

To nie było ich miejsce, uświadomiła sobie Rachel. Ten świat był im tak obcy, że sama ziemia odrzuciła ich obecność.

--Ale się zaaklimatyzowaliście -- zauważyła.

--Staliśmy się bardziej ludzcy.

Pożerając ludzkie dusze. A teraz my wracamy do chwili waszego chrztu...

Rachel wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na wielką budowlę, która rozmazywała się jak w gorączkowym śnie, czepiając się tego jednego punktu w przestrzeni, łącząc niezliczone inne chwile w czasie. *Obscura Redunda* również nie należała do tej ziemi. Była takim samym intruzem jak bogowie.

Ale teraz stanowiła ich jedyną nadzieję.

* * *

Carnival obudziła się w tym samym łóżku w tym samym białym pokoju. Jeszcze zanim otworzyła oczy, wiedziała, że pan Labiryntu znowu usunął jej blizny. Zupełnie nie czuła fizycznego bólu, ale w sercu miała cały świat udręki.

Lustro zniknęło.

Białe pomieszczenie było puste, nie licząc łóżka. Carnival wstała i podeszła do czerwonego okna.

Nie miało szyby.

Na zewnątrz ciągnęły się bezkresne czerwone bagna i kanały oddzielone niskimi murkami. Stojące w oddali czarne świątynie, przesłonięte mgielką, wyglądały jak dziury wypalone w samej materii Piekła. Barki pokonywały liczne śluzy, na pozór pływając bez celu, po niebie przelatowały skrzydlate istoty podobne do nietoperzy. Carnival wychyliła się i spojrzała w dół.

Znajdowała się blisko szczytu niebotycznej wieży otoczonej przez budynki o dziwnych kształtach, zbudowane z tego samego obsydianu, który widziała bezpośrednio pod sobą: odwrócone piramidy i przysadziste bloki bez okien, za to z rzędami pochyłych kominów. Łączącymi je ulicami kuśtykali kalekim krokiem giganci, lawirując wśród tłumów mniejszych istot w zbrojach, szklanych postaci oraz rojów zielonych kropek, które śmigły tu i tam jak muchy.

Carnival nie miała skrzydeł, które by jej przeszkadzały, kiedy wychodziła na parapet. Poczowała na skórze dotyk nienaturalnego słońca, zimny i raczej nieprzyjemny. Jej włosy poruszył lekki podmuch o zapachu paliwa, być może wyziewy z dziwnych zakładów przemysłowych znajdujących się wiele tysięcy stóp w dole.

Skoczyła.

* * *

--Rok czterysta czterdziesty drugi według kalendarza herikańskiego -- oznajmił Sabor, otwierając zewnętrzne drzwi śluzy czasowej. -- Albo tysiąc sześćset trzeci według czasu Deepgate. Znajdujemy się teraz prawie tysiąc pięćset lat przed momentem, kiedy wyruszyliśmy. Tutaj Rys uwolnił się z ziemskich pęt naszej matki, jego wielka pandemiańska cywilizacja teraz kwitnie. Ulcis spogląda w górę głodnym wzrokiem ze swojej otchłani pod łańcuchową świątynią. Hasp dowodzi garnizonami w Piekło. Hafe nadal duma w świetle tuneli Brownslough. Cospinol podróżuje na swoim upiornym statku, a Mirith w wannie po morzach Stakebreaker. Ja...

Z głównej sali dobiegł surowy głos:

--Witam siebie i moich nowych towarzyszy w zamku zniszczonym przez wojnę.

Rachel spojrzała przez poręcz galerii i zobaczyła, że replika Sabora patrzy na nią z dołu, otoczona przez grupę półnagich dzikusów. Ludzie ci mieli ciemną skórę, jak John Kotwica, ale

pomalowaną w ochrowe esy-floresy, i równie potężną budowę. Ubrani byli w sięgające kolan spódnice w zielononiebieski wzór i szerokie pasy ozdobione kościanymi fetyszami. Konferowali z bogiem zegarów, odzianym w czerń od butów, przez kolczugę po pelerynę. Nie wyglądał na młodszego ani starszego niż obecnie, ale włosy miał bardziej siwe.

--Zniszczonym przez wojnę?! -- zawołał z góry pierwszy Sabor.

--Wokół nas są teraz setki światów -- odpowiedziała replika. -- Prawie wszystkie z nich płoną. Nawet ten został zaatakowany. Byliśmy zmuszeni dokonać kilku wypadów, żeby nie dopuścić wroga do naszych drzwi. Powiedz mi, bracie, co przywlokłeś za sobą przez czas?

Sabor uderzył otwartą dłoń o balustradę.

--My ich ścigamy -- oświadczył. -- Siły Alteusa Menoi.

--Nasi wrogowie to ludzie -- rzekł drugi Sabor.

Bóg zegarów zmarszczył brwi i milczał przez całą drogę na najniższy poziom zamku. Idąc między ciemnoskórymi gigantami, Rachel i Mina ścigały na siebie ponad cztery dziesiątki zaciekawionych spojrzeń. Na widok Dilla wielu wojowników robiło szybkie znaki na piersiach. Hasp patrzył na nich wzrokiem pełnym aprobaty.

--Z Burzliwego Wybrzeża -- powiedział. -- Gdybym był oblegany, chciałbym mieć takich ludzi u mego boku.

Sabor stanął naprzeciwko swojej repliki. Dwaj bogowie wyglądali jak własne lustrzane odbicia różniące się tylko kolorem kolczug.

--Jesteś pewien, że ci wrogowie to ludzie? -- zapytał.

--Sombrecur -- odparł sobowtór pana zamku. -- Ta sama pandemiańska sekta, która starła z powierzchni ziemi świątynie Rysa w Lorn i Logarth w czterysta jedenastym. Nie mają pojęcia, dla kogo teraz walczą, a jedynie wierzą, że ta bitwa jest spełnieniem starożytnego proroctwa.

--Więc ta земля nie jest wystarczająco krwawa dla mesmerystów? Menoa po prostu umieścił kłamstwo w przeszłości Sombrecur i pozwolił, żeby wydarzenia dalej potoczyły się same.

Drugi bóg pokiwał głową.

--W tę ziemię jeszcze nie wsiąknęła dostateczna ilość krwi zabitych, żeby mogły przez nią przejść hordy króla. Moi sojusznicy z Burzliwego Wybrzeża nie używają mieczy przeciwko Sombrecur, ale oni mają nad nami przewagę liczebną, dlatego wojownicy Hulfera muszą walczyć bez odpoczynku. Próbowałem jakoś usunąć to fałszywe proroctwo, ale...

W tym momencie podwójne wrota otworzyły się z głośnym skrzypieniem. Z przedsionka dobiegło burkliwe pozdrowienie i do sali weszła druga, mniejsza grupa mieszkańców Burzliwego Wybrzeża. Każdy ruch nowo przybyłych zdradzał wyczerpanie. Spoceni, zasapani i powłóczący nogami, przywitali się z druhami, ściskając im dłonie i klepiąc po plecach. Wszyscy zerkali na Haspa z wyraźnym podziwem i lękiem.

Wojownicy Hulfera? Rachel przypomniała sobie pieśń Johna Kotwicy. Stu ludzi przeciwko pięciu tysiącom Sombrecur... Tutaj było ich nawet mniej niż stu.

Sojusznicy Sabora rozglądali się gorączkowo wśród wycieńczonych towarzyszy, jakby szukali przyjaciół.

I wtedy Rachel uświadomiła sobie straszną prawdę. Nowo przybyli i ci, którzy na nich czekali w zamku, byli innymi wersjami tych samych ludzi. Zmęczeni bitwą wojowie pozdrawiali

samych siebie. Zjawili się z przeszłości? Asasynka zrozumiała, co miał na myśli Sabor, mówiąc o wypadach. Olbrzymi, którzy otaczali boga, kiedy na nich pierwszy raz spojrzalam z góry... Teraz mieli cofnąć się w czasie, żeby stoczyć tę samą bitwę, z której właśnie wróciły ich repliki?

W pewien pokrętny sposób to miało sens. Ale nie wszyscy żołnierze przeżyli.

Dziesięciu gigantów z Burzliwego Wybrzeża nie odnalazło siebie wśród ocalałych. Ich twarze spochmurniały.

O, bogowie, ci ludzie wiedzą, że nie wrócą.

--Garstone! -- krzyknął ubrany na czarno Sabor. -- Pospieszmy się.

Starsza wersja wciąż powielającego się asystenta, tym razem w okrągłych okularach i wyblakłym zielonym garniturze, ukloniła się swojemu panu, a następnie poprowadziła sojuszników z Burzliwego Wybrzeża do komnaty, przez którą mieli dotrzeć na pole bitwy.

Jeden spośród wojowników, którzy zostali na dole, uniósł głowę i krzyknął do swoich towarzyszy trzy słowa w języku nieznanym Rachel.

Żołnierze idący galerią zaśmiali się gromko. Któryś rzucił w odpowiedzi pojedyncze słowo. Rachel uznała je za ciętą ripostę, bo znużeni bitwą koledzy zawtórowali śmiechem swoim oddalającym się kopiom.

Gdy oddział zniknął, w sali zapadła posępna cisza. Przez kilka minut Sabor naradzał się cicho z pozostałymi sojusznikami z Burzliwego Wybrzeża, po czym zwrócił się do własnego sobowtóra:

--Hulfer zginął jak bohater. Jego ludzie przysięgli go pomścić, kiedy tylko odpoczną.

--Ile razy będą musieli wracać do walki? -- spytała Rachel.

--Dwanaście.

--Przeciwko zwykłym ludziom? -- warknął Hasp. -- Dołączę do nich i wyrównam szanse.

Pasożyt Menoi nie odbiera rozkazów od takich wrogów.

--Nie możesz -- ostrzegła go Mina. -- Jeśli będziesz walczył u ich boku, nie wrócisz.

Rozejrzyj się! Nie ocalałeś.

Hasp machnął z lekceważeniem ręką.

--To nieważne.

Mina patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

--Jeśli pójdziesz, ja też idę -- oświadczyła.

Rachel odwróciła się do niej gwałtownie.

--Mino!

--Nie pozwolę ci na to -- oświadczył Hasp. -- Rusz głową. Widzisz siebie wśród ocalałych?

Jeden z gigantów powiedział coś do Sabora w swoim języku.

--On mówi, że Hasp walczył jak za dawnych czasów -- przetłumaczył bóg zegarów. -- Zabił wielu Sombrecur. Kobiety i zjawa również dowiodły swej odwagi na polu bitwy. Bez ich pomocy *Obscura Redunda* z pewnością by padła.

Rachel poczuła chłód w sercu. Nie zamierzała walczyć ani tym bardziej poświęcać się w ciągu następnych kilku godzin. Miała inne plany. Była zdecydowana dotrzeć do Nieba za wszelką cenę.

Wielkolud z Burzliwego Wybrzeża coś dodał, Sabor znowu przetłumaczył:

--On mówi, że zeszło wam dłużej nad jeziorem, bo jeden z pandemianskich świętych

mężów dostał informację istotną dla waszej misji. Pierwsze łodzie zostały skutecznie odparte i teraz Sombrecur przegrupowują się po drugiej stronie jeziora. Już nie jesteście w niebezpieczeństwie i obiecaliście wrócić przed zmierzchem.

--Widzicie? -- powiedział Hasp. -- Już jest wieczór. Wrócę do was za niecałą godzinę.

--Wszyscy wrócimy -- potwierdziła Mina. -- Rachel? Co ty na to? -- Wy dwie zostajecie -- oświadczył Hasp, nagle rozgniewany. -- Ja idę sam.

--Ale historia...

--Do diabła z historią! -- warknął archont. -- Nie są mi potrzebne dwie wystraszone dziewczyny. Tylko będziecie wchodzić mi w drogę i przeszkadzać. -- Ruszając przed siebie jak burza, krzyknął: -- Garstone! Niech jeden z was mi pokaże, którymi przekłętymi drzwiami mam wyjść!

Mina popędziła za Haspem. Rachel wymieniła spojrzenie z Dilem, po czym oboje podążyli za taumaturg. Dogonili pana Pierwszej Cytadeli w momencie, kiedy dotarł do śluzy czasowej.

--Byliśmy tam razem -- powiedziała Mina.

--Nie.

--Co z tobą, Hasp?

Bóg otworzył drzwi śluzy.

--Idźcie do diabła i zostawcie mnie w spokoju. Jeśli spróbujecie wejść tu ze mną, zamorduję całą waszą trójkę.

Po tych słowach zniknął w śluzy czasowej i zatrzasnął za sobą drzwi.

Rachel zajrzała przez bulaj. Zobaczyła, że Hasp otwiera drugie drzwi i znika.

--Poszedł -- oznajmiła. -- Nie powinniśmy poczekać na niego na dole?

--Bez nas może nie wrócić do zamku -- sprzeciwiła się Mina. -- Byliśmy tam razem, Rachel. Jeśli z nim teraz nie pójdziemy, zmienimy przeszłość. Nie wiadomo, co mu się przydarzy.

--Dobrze. -- Asasynka wolno wypuściła powietrze z płuc. -- Jak daleko się cofamy?

--O sześć godzin, proszę pani -- odpowiedział przechodzący obok nich Garstone.

We trójkę weszli do śluzy.

Pokój nie różnił się od innych w fortecy: zakurzona graciarnia, pełna starych mebli i zegarów. Hasp już zdążył wyjść. Rachel dostrzegła jeszcze tył jego głowy, kiedy zamykał za sobą zewnętrzne drzwi.

Kiedy chwilę później go dogonili, odwrócił się do nich gwałtownie.

--Kazałem wam zostać.

--A my cię nie posłuchaliśmy -- odparowała Mina. -- Pogódź się z tym.

Krew napłynęła do szklanych lusek pokrywających twarz boga, co nadało mu przerażający wygląd.

--Wszyscy dzisiaj zginiecie.

--Ale tamten wojownik mówił...

--Niczego takiego nie mówił. Rozumiem ich język! -- Hasp wciągnął powietrze nosem i dodał ochryplym szeptem: -- Sabor nie przetłumaczył wiernie jego słów. Okłamał was. Sombrecur wyrzną nas w pień. Tylko Dill przeżyje, i to dlatego, że już jest martwy.

Rachel poczuła ściskanie w żołądku. Jej umysł zaczął gorączkowo szukać rozwiązań.

--Gdybyśmy zostali w zamku...

--Nie możemy -- przerwała jej Mina ze znużeniem. -- Biorąc udział w bitwie,

prawdopodobnie nie dopuściliśmy do zdobycia zamku przez Sombrecur, bo gdyby forteca dostała się w ręce wroga, nie mielibyśmy jak wrócić. -- Spojrzała na najbliższy zegar. -- Musimy wymyślić, co zrobić, żeby wydarzenia potoczyły się zgodnie z tym, co widzieli wojownicy z Burzliwego Wybrzeża.

Hasp gnał już jednak przed siebie jak burza. Nie oglądając się, krzyknął przez ramię: --Będzie prościej, jeśli zginiemy w bitwie!

* * *

Carnival obudziła się na podłodze w tym samym białym pokoju. Nie tylko nie było w nim lustro, ale również łóżka, innych mebli i okna. Nic oprócz pustego pudełka wyłożonego płytkami.

Alteus Menoa obserwował ją, stojąc w kącie. Miał na sobie białą togę przewieszoną przez ramię, odsłaniającą brązowy umięśniony tors i ramiona. Jego złote oczy były nieprzeniknione, ale wyraz twarzy łagodny.

--Dlaczego wciąż siebie niszczysz? -- zapytał.

Carnival usiadła, patrząc na jego gardło, jakby oceniała odległość. Szybko odwróciła wzrok.

Pan Labiryntu czekał na jej odpowiedź, a kiedy milczała, powiedział:

--Moi kapłani nie mogą się doczekać, żeby wziąć cię na tortury.

Anielica spojrzała na niego.

--Ale obawiam się, że spodobałyby ci się ich prymitywne metody. -- Król przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. -- Co mam zrobić, żebyś doceniła to, co dostałaś? Pokazując ci inne możliwości? -- Uniósł palec.

Ciało Carnival nagle zdrętwiało. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że jej skóra i ubranie stwardniały i nabrały porcelanowego połysku. Nie mogła oddychać ani poruszyć choćby powieką. Spojrzenie suchych oczu miała utkwione w szklistym białym kolanie, gładkim i kruchym. Usłyszała zbliżające się do niej kroki Menoi.

--Czym jest dla ciebie destrukcja bez bólu? -- Kopnął ją mocno.

Nic nie poczuła, tylko usłyszała dźwięk roztrzaskującej się porcelany. Świat wokół niej zawirował.

Kiedy pokój znieruchomiał, zobaczyła rozrzucone przed nią po podłodze kawałki rozbitej twarzy: usta, nos, fragment szczęki z gliny powleczonej białym szkliwem. Swojej twarzy. Nie mogła mrugnąć ani się poruszyć, tylko patrzeć.

Za nią znowu rozległy się kroki i chrzęst.

--Mam przywrócić ci czucie, żebyś się przekonała, jak smakuja takie zniszczenia? -- zapytał Menoa, spacerując po pokoju. -- A może w ten sposób dalbym ci to, czego pragniesz?

Nerwy zaczęły pulsować, kiedy połamane kawałki ciała straciły gładkość i poczerwieniały. Mrowienie się nasiliło, aż w końcu uklucia niezliczonych igieł rozpełzły się po całym ciele. Carnival poczuła, że Menoa staje na niej i zaczyna ugniatać piętami jej mięśnie...

W pokoju zapadł mrok.

Carnival klęczała, podpierając się rękami. Jej ciało znowu przybrało idealną formę stworzoną przez Menoę. Anielka wzięła głęboki wdech i odwróciła się do swojego dręczyciela.

--Sprawa jest bardziej skomplikowana -- rzekł pan Labiryntu. -- Ból nie stanowi twojego głównego celu. -- Obszedł ją wolno. -- Nie chodzi również o zwykłe odrzucenie piękna. Gdybym

zamienił cię w wiedźmę, łatwiej byś siebie akceptowała? -- Potrząsnął głową. -- Jak więc mam cię zmusić, żebyś doceniła to, kim jesteś?

--Daj mi nóż -- warknęła anielica.

Król się uśmiechnął.

--Użyłabyś go przeciwko sobie.

--Nie od razu.

Pan Labiryntu zignorował zaczepkę.

--Pragniesz cierpienia, ale nie każdego. Tylko takiego, które sama sobie zadajesz, bo chcesz się ukarać. -- W zamyśleniu podparł brodę dłonią. -- Ale dlaczego? Z początku założyłem, że twoje zachowanie jest jedynie odrzuceniem naturalnych praw. Jesteś z natury drapieżnikiem, więc powoduje tobą głód, a nie dążenie do jakiegoś wyższego celu. Twoją skłonność do autodestrukcji uznałem za odrzucenie determinizmu. -- Zatrzymał się. -- Ale już tak nie uważam. Jesteś dla mnie enigmą, Rebecca.

Carnival stężała.

--Mówisz na głos przez sen, stąd wiem, że jesteś bękartem Ulcisa, a zatem wnuczką Ayen -- wyjaśnił z uśmiechem Menoa: -- Mamy w żyłach tę samą boską krew, Rebecca.

--Carnival.

--Jak sobie życzysz. -- Pan Labiryntu wruszył ramionami. -- Ale łączy nas coś więcej wspólnego niż boskie dziedzictwo, Carnival. Ja też jestem po części człowiekiem i dla nieśmiertelnych bękartem. -- Odwrócił od niej złote oczy. -- Okoliczności naszych narodzin są takie same, zupełnie inne niż wszystkich istot na świecie, a jednak tak bardzo się różnimy. Nie rozumiem cię.

Carnival wybrała akurat ten moment na atak. Jej ciało się zmieniło, ale zachowała instynkt i wolę, tak że poruszała się z szybkością błyskawicy i brutalną siłą. Skoczyła na Menoę, chwyciła go oburącz za gardło i cisnęła na ścianę.

Król wydał zdławiony okrzyk, kiedy anielica wbiła kły w żyłę na jego szyi. Już czuła smak krwi...

Menoa zniknął w ścianie.

Zęby anielicy kłapnęły. Carnival mocno uderzyła pięściami w biały kamień. Warcząc, na próżno drapała jego powierzchnię. Pan Labiryntu znowu jej umknął.

Krzyknęła z wściekłości i frustracji, bijąc w mur zakrwawionymi rękami. Nagle znieruchomiała.

Na palcach, dłoniach, nadgarstkach i przedramionach zauważyła znajomą sieć blizn.

Rozdział 12

SOMBRECUR

Sabor uważnie studiował obraz wyświetlający się na blacie okrągłego stołu, ale podniósł wzrok, kiedy we trójkę zeszli na parter wielkiej sali.

--Ty podstępny draniu... -- zaczęła Rachel.

Bóg zegarów zmarszczył brwi.

--Kim jesteście i co robicie w moim zamku?

--Nie udawaj, że nie wiesz. Oszukałeś nas, żebyśmy pomogli wojownikom z Burzliwego Wybrzeża.

--Niczego takiego nie zrobiłem.

Mina trąciła ją łokciem.

--On ma rację. Jeszcze nie...

Asasynka poczerwieniała na twarzy. Paradoksy! Z ich powodu nie mogła przedstawić swoich racji.

--Ale to zrobisz!

Sabor przekrzywił głowę.

--Intrygujące. A w jaki właściwie sposób dokonałem tego konkretnego cudu?

Nie mów ani słowa, uprzedził ją Dill.

Rachel krzyknęła i pobiegła za Haspem, który, nie czekając na nich, ruszył jak burza do głównych drzwi zamku. Anioł podążył za nią. Mina została sama z Saborem.

Na zewnątrz był poranek późnego lata. Rachel usiadła z Dilem na schodach fortecy i spojrzała w dal. Krajobraz zmienił się, odkąd ostatnio go widziała. Szlak prowadzący od zamku do jeziora jeszcze nie istniał. Las przypominał raczej zagajnik niż prawdziwy bór. Tu i ówdzie nad młodszyimi drzewami górowały kępy mimoz o szaroniebieskich liściach przetykanych kiściami żółtych kwiatów. Pierścienie chmur na błękitnym niebie wyglądały jak rafy koralowe.

Chwilę później zjawiała się Mina i usiadła obok nich.

--Gdzie byłaś? -- spytała Rachel.

--Sabor zajął mnie rozmową -- odparła taumaturg. -- Wiesz, że w zamku są trzynaście tysięcy sto trzy zegary, w tym parę naprawdę starych egzemplarzy?

--Ciekawe, czy John Kotwica jeszcze żyje? To znaczy ten, którego znaleźliśmy. -- Rachel wzruszyła ramionami. -- Jego wcześniejsze ja pewnie tak.

--Żyje i jest rozkosznie nieświadomy naszego istnienia -- powiedziała Mina. -- Ich również. -- Skinieniem głowy wskazała na południe. -- Bardzo by się nam teraz przydał.

Po nieruchomych wodach jeziora pływały tysiące maleńkich łódeczek: kanu albo czólen. Z tej odległości wydawały się nie większe od opadłych liści. Część oddziału Hulfera maszerowała w stronę lasu i Kwiatowego Jeziora, żeby po raz trzynasty stanąć do walki z wrogiem.

Szklana zbroja Haspa płonęła w blasku słońca.

--Sombrecur -- mruknął archont. -- Rys przepędził ich z Pandemerii po tej historii z Logarth. Nieustępliwe małe dranie, używają drewnianych włóczni i strzał posmarowanych jadem ropuchy. Pamiętam, że wtedy wierzyli w inne proroctwo, ale trudno być na bieżąco. Zwłaszcza jeśli chodzi o te wszystkie pogańskie bożki, białe kruki i inne omeny.

--Sabor nazwał ich świętymi mężami -- powiedziała Rachel.

--Ja tylko wiem, że lubią robić włóczniami dziury w ludziach -- rzekł Hasp. -- Nieuzbrojeni wojownicy Hulfera będą mieli z nimi ciężką przeprawę. Ale las działa na naszą korzyść. Ta gęstwina to nie miejsce dla łuczników czy kopijników.

--Z pieśni Kotwicy pamiętam, że Stu pokonało Sombrecur. Naprawdę musimy się martwić? Mina wyjęła psa z wewnętrznej kieszeni i postawiła go na trawie.

--Nie ma żadnej gwarancji -- powiedziała. -- Jeśli dzisiaj zwyciężymy, pozostaniemy w tej linii czasu, w której historia Kotwicy jest prawdziwa. W przeciwnym razie czas znowu się rozdzieli i znajdziemy się w trochę innym wszechświecie, w którym pieśń triumfalna zmieni się w lament. -- Taumaturg potarła kosmate uszy Bazylisa. -- Najtrudniejsze będzie wygranie tej bitwy bez przelewu krwi. Menoa spodziewa się rzezi. Chce, żebyśmy przygotowali tę ziemię dla jego mesmerystów.

Rachel poczuła na udzie ciężar miecza. Bez rozlewu krwi? Nie wiedziała, czy jest dostatecznie silna, żeby się skoncentrować. Co nie znaczyło, że jej umiejętności przyda się w walce z tak licznym wrogiem. Byłaby potem zbyt osłabiona.

Dill milczał, ledwo widoczny w blasku słońca. Patrzył w dół na jezioro.

Hasp rozprostował ramiona. Zamigotały szklane luski.

--Nareszcie uczciwa walka -- powiedział. -- Żadnych demonów, zjaw czy zmiennokształtnych. I nikogo, kto mógłby mnie nastawić przeciwko moim towarzyszom. -- Uśmiechnął się szeroko i ruszył w dół zbocza, żeby dogonić wojowników z Burzliwego Wybrzeża.

--Jest sam i bez broni -- zauważyła Rachel. -- W dodatku ma niepokojąco kruchą powłokę, a jednak uważa, że walka będzie uczciwa?

W porównaniu z bitwami, w których zwykł walczyć, ta będzie uczciwa, odezwał się Dill. Sombrecur są w kłopotcie.

We trójkę ruszyli za Haspem przez górski płaskowyż, teraz rozległą, bujną łąkę porośniętą zieloną trawą, różowym furylisem, kępami wrotyczu oraz setkami innych rodzajów ziół i polnych kwiatów nieznanymi Rachel. Wiatr niósł ich upojny aromat wraz z puchem dmuchawców i nitkami pajęczyn.

Ludzie Hulfera pośpiesznie skinęli głowami nowo przybyłym, ale nie zwolnili kroku. Weszli do lasu wydeptanym szlakiem przypominającym tunel w gęstwinie drzew i w niecałą godzinę dotarli nad jezioro.

Nie było tam żadnego śladu ludzkich domostw. Kevin's Jetty miała powstać dopiero za dwieście lat. Las dochodził do samej wody. Przez gałęzie Rachel widziała flotę Sombrecur znajdującą się niecałe sto jardów od brzegu: dziesiątki kanu z pływakiem, dwoma wiosłarzami i włóczniami przywiązanymi do burt. Wojownicy z Burzliwego Wybrzeża zaczęli się skradać przez gąszcz.

Dill z mieczem w ręce trzymał się blisko asasyunki. Jaśniał w leśnym półmroku, ale był równie niematerialny jak światło. Rachel już widziała jego bezcielesną postać przechodzącą przez Minę i teraz zastanawiała się, jak będzie walczył z wrogami.

Może przynajmniej ich wystraszy.

Usłyszała cichy plusk wiosła na jeziorze.

Sombrecur byli wystrojeni w koralikowe naszyjniki i pióra, lekko ogorzali, z tatuażami w formie koncentrycznych luków na nagich torsach. Mieli gołe głowy, a pod oczami wzory

namalowane ochrową farbą.

Rachel poczuła, że coś dotyka jej nogi, a kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że to Bazylis. Pies stał bez ruchu i węszył w powietrzu, warcząc cicho.

Dając sobie znaki rękami, wojownicy z Burzliwego Wybrzeża rozstawili się po lesie. Hasp ukucnął w pewnej odległości za nimi i garściami nałożył ziemię na szklane łuski, żeby przyćmić ich blask. Dill nie mógł w podobny sposób zamaskować swojej świetlistej postaci, więc ukrył się za wystającymi korzeniami dużego drzewa. Mina przysunęła się do Rachel i szepnęła jej do ucha:

--A gdybyśmy upozorowali własną śmierć? Czy dzięki temu ta linia czasu nie byłaby zgodna z tą, którą znamy?

--Nie sądzę, żebyśmy musieli pozorować naszą śmierć -- odparła Rachel równie cichym głosem. -- Na jeziorze jest pięć tysięcy Sombrecur, może więcej.

--Mogę cię prosić o przysługę?

--Jaka?

--Musisz zdobyć dla mnie trochę krwi. Najlepiej ich krwi.

Czyżby taumaturg zamierzała spróbować magii? Może znowu koc z mgły? Rachel jednak nie sądziła, żeby Mina była zdolna do kolejnego tak ogromnego wysiłku.

--Sądziłam, że mamy nie przelewać krwi -- wyszeptała.

--Och, niewiele. Pięć albo sześć serc powinno wystarczyć. Menoa nie wyżywi tym armii.

--Zobaczę, co da się zrobić.

Lecz czego tak naprawdę mogli dokonać? Wojowników z Burzliwego Wybrzeża było nie więcej niż czterdziestu i żaden nie dorównywał Johnowi Kotwicy. Hasp poradziłby sobie z bandą niewyszkolonych drwali, ale nie z taką potęgą. Flotylla kanu ciągnęła się wzdłuż brzegu jak okiem sięgnąć. Znajdowała się zaledwie dziesięć jardów od plaży, pięć. Wioślarze odwiązali włócznie od burt, sięgnęli po luki.

Zwinnie wyskoczyli z łodzi i wyciągnęli je na brzeg, szorując kadłubami o srebrne kamyki. Gdzieś blisko zaśpiewał ptak, po chwili poderwał się pomiędzy drzew.

Wojownicy Hulfera podkradli się bliżej. Dill pozostał ukryty za kłębowiskiem korzeni.

Rachel dobytek miecza. Tylko pięć albo sześć serc.

Gęste zarośla tworzyły naturalną barierę między lasem a plażą, tak że Sombrecur musieli się przez nie przedzierać. Ich przeciwnicy tylko na to czekali, bo stoczyli tę samą bitwę już dwanaście razy.

Zanim przebrzmiało pierwsze ostrzeżenie, czterej Pandemerianie padli ze złamanymi karkami. Jeden z Sombrecur wydał z siebie ostry, zawodzący krzyk, ludzie, którzy jeszcze byli na plaży albo już przedzierali się przez gęstwinię, natychmiast odpowiedzieli wojennym zawołaniem.

Rozpoczęła się bitwa.

Hasp wyskoczył z ukrycia cały umorusany błotem, tak że jarzyły się tylko jego czerwone oczy. Najbliższy wróg w pierwszej chwili osłupiał, a potem wrzasnął z przerażenia i pchnął włócznią, ale bóg chwycił drzewce i przyciągnął napastnika do siebie. Złapał go za głowę i cisnął nim o najbliższe drzewo. Nie odwracając się, żeby sprawdzić, co się dzieje z przeciwnikiem, złamał zdobyczną włócznię i jedną połówkę rzucił Minie. Drugą też przełamał i uzbrojony w dwie palki ruszył na wrogów. W ciągu dziesięciu uderzeń serca zabił kolejnych trzech.

Ludzie Hulfera walczyli gołymi pięściami. Przyjęli technikę Haspa: unikali pchnięć włóczniami, chwyтали za drzewca, zanim przeciwnik zdążył je cofnąć. Potem mogli bezpiecznie okładać pięściami twarze wrogów albo kopniakami roztrzaskać im kolana i golenie. W zaroślach świsnęły strzały, ale nikogo nie trafiły. Kilka wbiło się w pnie.

Jeden wojownik przedarł się przez gąszcz krzaków i wypadł prosto na Rachel.

Asasynka odparowała jego cios i przesunęła ostrzem wzdłuż drzewca włóczni ku palcom wroga. Napastnik puścił broń i błyskawicznie sięgnął po ukryty nóż, żeby zaatakować jej odsłonięty bok. Rachel wbiła czubek miecza w jego nagą pachę, przecinając mięsień i nerw. Ręka z nożem opadła bezwładnie, ranny otworzył usta do krzyku. Asasynka zmieniła chwyt i wykonała pchnięcie, celując w gardło. Następnie błyskawicznym cięciem rozplatała przeciwnika od szyi do brzucha.

Jedno serce. Pchnęła ciało w stronę Miny, która już czekała przykucnięta trzy jardy dalej.

W tym momencie do bitwy włączył się Dill. Jego przezroczyta zbroja i miecz pulsowały słabo w cieniu drzew.

Dwaj kolejni Sombrecur wydostali się z chaszczki, ale na widok zjawy zatrzymali się raptownie i unieśli włócznie. Zaczęli ostrożnie okrążyć aniola, każdy w przeciwną stronę.

Dill zrobił wypad.

Pierwszy wojownik odparował cios włócznią, ale czubek eterycznego miecza przeszedł przez drzewce i wbił się w jego brzuch. Przez chwilę mężczyzna patrzył na klingę, która zagłębiła się w nim na trzy cale, ale kiedy nie trysnęła krew, cofnął się, uwalniając od ostrza. Gdy zobaczył, że nie jest ranny, uśmiechnął się szeroko i ruszył do ataku. Dill znowu wbił miecz w przeciwnika, ale stal przeszła przez niego, nie robiąc mu żadnej krzywdy. Wtedy Sombrecur po prostu ruszył dalej, przenikając przez Dilla.

Koło ucha Rachel świsnęła strzała. Asasynka okręciła się w samą porę, by zobaczyć, że Hasp chwyta łucznika za kark i pachwiny i unosi go nad głowę. Rycząc, archont cisnął wyrwijącego się człowieka na glaz, po czym natychmiast się odwrócił, żeby odeprzeć następny atak. Palką zwałił z nóg drugiego przeciwnika. Wkrótce wszędzie wokół niego leżały ciała wrogów.

Jeszcze pięć serc. Rachel ruszyła w stronę poległych, ale drogę odcięli jej dwaj Sombrecur, atakując ją z obu stron. Jeden z łukiem, jeden z włócznią. Rachel pchnęła mieczem w twarz pierwszego napastnika w chwili, gdy ten puścił cięciwę. Strzała poleciała w las. Wtedy rzucił się na nią drugi przeciwnik, ale nie dość szybko. Asasynka wykopnęła mu drzewce z rąk, złapała je w powietrzu, obróciła i przeorała metalowym czubkiem jego nagą pierś. Z zerwanego naszyjnika posypały się koraliki, na torsie wykwitła czerwona krecha i szybko wypełniła się krwią. Sombrecur opadł na kolana.

Rachel wyrwała miecz z głowy łucznika i dobiła go jednym ciosem. Potem zaciągnęła oba trupy do Miny. Jeszcze trzy.

Sombrecur wypadali z gęstwiny w coraz większej liczbie. Inni zbliżali się od wschodu i zachodu, napierając na ludzi Hulfera. Właśnie o to przez cały czas chodziło olbrzymom z Burzliwego Wybrzeża, bo wrogowie w zwartej formacji nie mogli skutecznie strzelać z łuków. Ciemnoskórzy giganci wykonywali brutalny, osobliwy taniec wśród wojowników o jaśniejszej skórze, unikając ataków, jakby dokładnie wiedzieli, gdzie i kiedy się ich spodziewać.

Ocaleli pamiętaj!

Tymczasem Rachel, chwilowo pozostawiona w spokoju, zawlokła dwa kolejne ciała do kryjówki taumaturg i rozcięła im klatki piersiowe.

--Pięć -- powiedziała.

Mina klęczała z zamkniętymi oczami i coś mamrotała pod nosem. Rachel wydawało się, że słyszy słowo „las”. Bazylis węszył wokół trupów, zupełnie niezainteresowany zamieszaniem i bitewną wrzawą.

Nagle Hasp ryknął. Zdążył już pozbyć się palek na rzecz większej broni. W jednej szklanej rękawicy trzymał bezwładne ciało wojownika Sombrecur i wywijał nim wokół siebie jak maczugą w czasie zwykłej bójki. Przeciwnicy uciekali spod jego ciosów, padali nieprzytomni albo, zataczając się, wracali do szeregów.

Tymczasem Wojownicy z Burzliwego Wybrzeża, uformowani w ciasny klin, cofali się w stronę lasu, walcząc z tylną strażą Sombrecur. Ze wschodu nadleciały strzały, jedna trafiła w kark nieuzbrojonego giganta, którego atakowali dwaj przeciwnicy. Ranny zacharczał i chwycił za drzewce. Zanim Rachel zdążyła krzyknąć ostrzeżenie, napastnik zatopił broń w jego boku.

W tym samym momencie asasynka zobaczyła, że Dill, otoczony przez czterech wrogów, nagle znika.

Nie mogąc normalnie ranić przeciwników, młody anioł zastosował dziwną, ale skuteczną taktykę. Wpłynął w jednego z Sombrecur. Wojownik drgnął gwałtownie i krzyknął. Potem, obwiedziony niebieską poświatą, okręcił się i wbił włócznię w pierś jednego ze swoich towarzyszy. Dill po prostu opanował jego ciało.

Dwaj pozostali Sombrecur cofnęli się przed opętanym towarzyszem. Dill gwałtownie zaatakował najbliższego i uniósł włócznię do następnego ciosu, ale wróg odpowiedział błyskawicznym pchnięciem, przeszywając bok ciała ukradzionego przez anioła.

Dill porzucił rannego gospodarza i, jak silny podmuch wiatru, przeniósł się do wojownika, który właśnie dźgnął go włócznią. Opętawszy atakującego, wbił drzewce głębiej w swoje byłe ciało, po czym odwrócił się do ostatniego przeciwnika.

Bazylis warknął.

Rachel się odwróciła.

Mina otworzyła oczy, ale spojrzenie miała nieobecne. Była blada i wyczerpana. Jej pierś szybko unosiła się i opadała pod cienką suknią. Świeża krew plamiła jej ręce.

--Zrobione -- oznajmiła.

--Co?

--Wezwałam las.

Rachel zmarszczyła brwi.

--Już jesteśmy w lesie, Mino.

Taumaturg wstała z ziemi i rozejrzała się, jakby widziała tę okolicę po raz pierwszy. Powietrze wypełniały odgłosy bitwy, postękiwania i okrzyki walczących, jęki agonii.

--O, bogowie, spójrz na Dilla -- powiedziała Mina.

Duch anioła śmigał między wrogami, opanowując jednego wojownika po drugim i kierując ich broń przeciwko towarzyszom. Wokół niego już leżały dziesiątki poległych Sombrecur. Gdy gospodarz ginął, Dill po prostu przenosił się do nowego. Napastnicy nie mogli zabić zjawy. Sami wyrzynali się nawzajem.

--Za dużo rozlewu krwi -- stwierdziła Mina i krzyknęła do anioła. -- Dill! Nie...

Przerwał jej nowy hałas.

Rachel wydawało się, że dochodzi z samej ziemi: niski trzeszczący dźwięk, jakby jęczał kadłub statku miotanego silnym szkwalem. Sombrecur też go usłyszeli, bo z podejrzliwością i strachem spojrzeli w dół. Wojownicy z Burzliwego Wybrzeża wykorzystali okazję, żeby przebić się przez szeregi wroga i dotrzeć na bardziej otwarty teren. Dotąd tylko dwaj z nich zginęli.

Rachel poczuła, że ziemia drży pod jej nogami. Jej nozdrza zaatakował silny smród, odór rozkładu. Z leśnej ściółki wyrosły grube białe macki.

Korzenie?

Przebijały się wokół niej przez glebę, owijały wokół siebie, a także wokół pni drzew, nóg, włóczy i torsów przerażonych Sombrecur. Kłaczka drżały i rosły szybko, oplatając las wielką jasną siecią. Całkowicie otoczyły Sombrecur, unieruchamiając ich w miejscach, gdzie stali, ale jakimś dziwnym sposobem omijały wojowników z Burzliwego Wybrzeża.

W ciągu paru chwil wszystkie pnie i konary były uwięzione przez białe korzenie. Pędy przebijały się ponad kopułę lasu albo zwisały jak liany. Sombrecur krzyczeli w swoich kokonach, ale kiedy macki zacisnęły się z poskrzypywaniem, w gęstwinie zapadła cisza. Rachel wydawało się, że las został opanowany przez drugi, pasożytniczy. Zatkala nos, broniąc się przed odorem, bo twór Miny cuchnął jak rozkopany grób.

--Musimy uciekać! -- krzyknęła taumaturg. -- Wynośmy się stąd, póki nowe drzewa są jeszcze giętkie. Gdy stwardnieją, utkniemy tu na dobre.

--Drzewa? -- zapytała Rachel. -- Co to za las?

--Las kości -- odparła Mina. -- Aspekt Bazylisa. Wpadłam na ten pomysł, kiedy dotarliśmy do Heriki i zobaczyłam jego resztki na brzegu jeziora. Te lasy rozkładają się tysiące lat.

--Wiedziałaś, że tu wrócimy?

Mina chwyciła Rachel za ramię i pociągnęła ją przez dziwną białą knieję. Hasp i Dill wraz z wojownikami z Burzliwego Wybrzeża szybko podążyli za nimi. Taumaturg obejrzała się na boga, a potem szepnęła do asasyunki:

--Poprosiłam Sabora, żeby skłamał. Hasp musiał uwierzyć, że tutaj zginie, że to będzie jego chwalebny koniec.

--Dlaczego?

--Żeby odzyskał pasję życia. W starciu z Sombrecur miał okazję walczyć jak wolny człowiek... albo bóg.

Rachel zatrzymała się raptownie.

--Wciągnęłaś nas w to rozmyślnie? -- warknęła. Potem ściszyła głos: -- Zmusiłaś mnie do zabijania, żeby on mógł odzyskać swoją dawną chwałę.

--To wszystko już się stało w przeszłości naszego świata -- powiedziała Mina. -- W legendzie z Burzliwego Wybrzeża zawsze tutaj byliśmy. Nawet ostatnia zwrotka pieśni Johna Kotwicy wspomina o duchu, bogu, wiedźmie i dziewicy. -- Wzruszyła ramionami. -- Nie wiem, dlaczego uznali cię za wiedźmę, ale nie w tym rzecz... Gdybyśmy nie przeżyli tych wydarzeń, jeszcze poważniej zepsulibyśmy tę linię czasową. Nie rozumiesz? Im dalej w czasie cię cofamy, tym bardziej niebezpieczne stają się nasze działania.

--Przy czym jeszcze majstrowałaś, Mino? -- zapytała Rachel, chwytając za rękaw jej szaty. -- Jak daleko wstecz sięgają twoje ingerencje?

Taumaturg wyrwała się asasynce.

--Musimy się stąd wynosić! -- ponagliła.

--Kto nastawił Sombrecur przeciwko Saborowi? -- Nie ustępowała Rachel. -- Kto ich posłał na śmierć? Menoa?

Mina ruszyła szybko przez splątane białe korzenie.

--Menoa? -- powtórzyła asasynka.

Taumaturg nie odpowiedziała.

* * *

Carnival nie potrzebowała lustra, by ocenić zmiany, które w niej zaszły. Czula na plecach ciężar skrzydeł, a kiedy nimi machała, na barkach napinały się potężne mięśnie. Długie włosy, teraz suche i postrzępione, powiewały jej wokół ramion. Serce dudniło z oczekiwania.

Przyjrzała się siatce blizn na dłoniach. Skóra mrowiła ją od wspomnień starych ran. Anielica była jak nowa, zła, niebezpieczna.

Zupełnie jakby smak krwi piekielnego boga zadziałał niczym klucz, który wyzwolił jej umysł z klatki.

W Piekle forma zależała od woli. Carnival zyskała wolność, żeby istnieć w wybranej przez siebie postaci. Odzyskała nawet starą skózaną zbroję i lekkie buty. Zbutwiały, wystrzępiony strój przylegał do jej zwinnej sylwetki, a ona z przyjemnością wdychała zapach rozkładu.

Jednak dostrzegła pewne różnice.

Czy kiedyś była aż taka wysoka i silna? Mięśnie rąk i nóg wydawały się dużo większe i lepiej zarysowane. Skóry ciasno opinały się na udach i ramionach. Czy do głosu doszła podświadoma próżność, czy tylko instynkt, żeby się stąd wydostać?

Otaczały ją cztery białe ściany. Nie miała innego wyjścia, niż posłużyć się brutalną siłą.

Uderzyła piętami w zewnętrzną ścianę, choć zdawała sobie sprawę, że nawet kamień jest amalgamatem żywych, czujących dusz. Mur był tak mocny, za jaki się uważał, a Carnival podejrzewała, że Menoa skutecznie przekonał go o tym, że jest nie do sforsowania. Kopniak nie wyrządził żadnej szkody gładkiej powierzchni.

Anielica cofnęła się o krok i przyjrzała ścianie. Uświadomiła sobie, że nie pokona tej bariery w swojej obecnej fizycznej postaci. Tak więc skupiła się mocno i nakazała sobie większą siłę i wytrzymałość. Poczula, że jej skrzydła i mięśnie rosną, kości stają się grubsze i gęściejsze. Zbroja rozeszła się ze skrzypieniem na nowej, potężniejszej sylwetce. Skóra pociemniała, jakby się pokryła warstwą patyny.

Wszystko jest kwestią woli.

Anielica kopnęła powtórnie. Ściana zadrżała, pojawiła się w niej rysa sięgająca od podłogi do sufitu. Carnival zrobiła następny wymach stopą i tym razem biały kamień skruszył się na jej oczach.

Ściana jęknęła.

Carnival przebiła ją pięścią na wylot. Na podłogę spadły duże kawałki muru, w wielkiej dziurze ukazało się czerwone niebo i rozległa połać Labiryntu.

Cela więzienna znajdowała się blisko szczytu Dziewiątej Cytadeli. Z nowego otworu w zewnętrznej ścianie Carnival spojrziała w dół na osobiwą, żyjącą metropolię króla Menoi. Woda wystąpiła z kanałów i zalala ulice, karmazynowa maź otaczała pochyle budowle z czarnego kamienia, pokrywała całe dziedzińce, oblepiała mury/Ale wszystko wyglądało na

bardziej ożywione niż zwykle. Domy syczały i parowały, między nimi śmigały roje istot o szklanych skrzydłach. Setki stworzeń w pękatych zbrojach brnęły przez gęste błoto, pchając, ciągnąc albo tocząc przed sobą dziwne maszyny. Te kanały... było w nich coś dziwnego.

W wodzie stały czerwone postacie.

Rzeka Przeegranych otoczyła fortecę Menoi jak fosa i popłynęła dalej, zatapiając najbliższe ulice. Małe strumyki zaczęły się przesączać na sąsiedni, jeszcze suchy teren. Broniły domu swojego pana.

Ale przed czym?

I wtedy Carnival zauważyła zbliżające się wojsko, już tak blisko cytadeli, że anielica na chwilę zwątpiła w swoją spostrzegawczość. Wcześniej omiotła je wzrokiem, nie zdając sobie sprawy, na co patrzy. Gdyby nie dostrzegła ruchu, nie spojrzalaby po raz drugi w tamtą stronę. Całe miasta nie mogły przecież pełznąć po ziemi.

Awangardę tej osobliwej armii stanowiły dziwne maszyny. Pojazdy z grubsza przypominały sterówce, ale ich zwężające się kadłuby były wykute z metalu. Ślizgały się po powierzchni Piekła, przebijając się przez miriady ścian, ryjąc drogi dla głównych sił. Carnival wypatrzyła dwie postacie stojące na pierwszym wehikule: rudowłosą kobietę i ciemnoskórego giganta, nadal w drewnianej uprzęży na plecach.

* * *

Gdy ocaleli z setki Hulfera wmaszerowali z powrotem do zamku Sabora, Mina poinstruowała Haspa i Rachel, żeby poczekał z nią na zewnątrz, aż będą pewni, że ich przyszłe ja zgodnie z planem już odeszły.

Rachel miała ochotę wpaść do środka i powiedzieć swojej bliźniaczce prawdę. Wiedziała jednak, że Mina w pewnym sensie ma rację. Musieli zadbać o właściwy bieg wydarzeń historycznych, żeby nie zakłócić tej linii czasowej.

Gdyby Sombrecur pozwolono zająć zamek Sabora, Rachel znalazłaby się w nowej odnodze wieloświata, wobec bardzo niepewnej przyszłości.

Jednakże ingerencje Miny prawdopodobnie spowodowały śmierć pięciu tysięcy ludzi, a chodziło jej wyłącznie o zmobilizowanie Haspa do walki z jego mentalnym pasożytem. Oczywiście taumaturg nie przejmowała się takimi subtelnościami, nie wiedziała, co to są rozterki moralne.

Gdy długie czerwone promienie słońca zniknęły za horyzontem, weszli do zamku i zastali gospodarza w głównej Sali, pochylonego nad mapą. Rachel odczuła lekką ulgę, kiedy stwierdziła, że jest to oryginalny Sabor, ale nie była pewna, skąd u niej taka reakcja. Wszystkie wersje były tym samym bogiem zegarów, więc nie mogła żywić urazy tylko do jednej z nich. Galerie w górze roily się od jego asystentów, drzwi słuz czasowych zamykały i otwierały się z trzaskiem. Odgłos licznych kroków wybijał się ponad tykanie i dzwonienie wszystkich zamkowych zegarów.

--Moje drugie ja właśnie przeniosło się do wcześniejszych czasów -- oznajmił Sabor, zerkając na taumaturg. -- Nasi przyjaciele z Burzliwego Wybrzeża jedzą kolację w jadalni.

Rachel spojrzała na Minę, a ona niezręcznie udawała, że tego nie widzi. Czyżby już podpowiedziała Saborowi, żeby wzbudził gniew Sombrecur? Czy ta niepotrzebna bitwa miała powtarzać się bez końca?

Tak czy inaczej, machinacje taumaturg najwyraźniej odniosły pożądany skutek, bo Hasp,

cały pokryty zaschniętym błotem, był w dobrym humorze.

--Czterysta czterdziesty drugi to był dobry rok, ale zostało nam jeszcze wiele lat do przejścia -- powiedział wesołym tonem. -- Ruszajmy, zanim ten bękart bardziej napsoci.

Napsoci? Rachel była zła, ale musiała się zgodzić, że powinni wkrótce ruszać, choćby tylko po to, żeby Mina nie spowodowała więcej kłopotów.

Sabor spojrział na mapę, w poszukiwaniu komnaty, która przeniesie ich w przeszłość o całe sześć lat. Podniósł wzrok i rozejrzał się po licznych asystentach, z których wielu wychodziło teraz głównymi drzwiami zamku, zapewne po to, żeby zrobić miejsce innym i poczekać na właściwą służbę czasową.

--Formujesz tutaj własną armię, Saborze? -- rzucił Hasp.

--Nie. To już nie jest zwykła procedura mnożenia, tylko operacja ratunkowa, ponieważ bękarcie świat Menoi nadal się wokół nas rozrasta. Pan Labiryntu tworzy tysiące odnóg swojej linii czasowej i teraz dużo więcej pokoi prowadzi do tych zniekształconych rzeczywistości. -- Odchrząknął. -- Garstone dostał polecenie, żeby zlokalizować jak najwięcej swoich kopii i sprowadzić je do tej linii czasowej. Mają rozkaz dotrzeć wszelkimi dostępnymi trasami do roku zerowego. Ergo, im bliżej celu, tym więcej Garstone'ów spotkamy.

--W twoim zamku robi się tłoczno.

--Istotnie.

Liczba asystentów Sabora wciąż rosła, ale wkrótce okazało się, że jakaś inna siła stara się zmniejszyć ich szeregi. W jednej z komnat znaleźli trzy kolejne trupy. Ofiarami znowu były różne wersje małego człowieczka w pogniecionym garniturze. Wszyscy zostali zabici jakimś szerokim ostrzem, a rany świadczyły, że dopadnięto ich, kiedy próbowali uciec. Następnie sprawca po prostu zostawił zwłoki na środku pokoju.

Zaraz po tym, jak dokonali ponurego odkrycia, Rachel podbiegła do drzwi służby czasowej i wyjrzała przez bulaj. Galerię przechodziły tłumy Garstone'ów, najwyraźniej niczego nieświadomych.

Mina kucnęła przy jednym z ciał i wyjęła zegarek z kieszeni garnituru.

--Wskazuje właściwy czas -- powiedziała. -- Zabito go niedawno, ciało nie zostało przeniesione.

Inne zegarki kieszonkowe opowiadały tę samą historię. Trzej Garstone'owie zginęli w tym wszechświecie, podczas gdy za drzwiami kręciło się tysiąc innych ich wersji.

Po szybkiej naradzie z przechodzącymi asystentami okazało się, że nikt nic nie widział. Zabójca umknął niepostrzeżenie.

Sabor zmarszczył czoło w głębokim zamyśleniu.

--Albo zabójca był niewidzialny, albo jeden z was nas zdradził... w ten sposób również siebie -- rzekł w końcu do asystentów, którzy zebrali się na wszystkich balkonach nad główną salą.

Po chwili grobowej ciszy ze wszystkich poziomów zamku dobiegły okrzyki protestu i zaprzeczenia. Nigdy w życiu czegoś takiego by nie zrobili. Mordercą mógł być jedynie duch, zjawą, zmiennokształtny.

Zmiennokształtny?

Rachel zobaczyła, że na twarzy Haspa pojawił się kwaśny wyraz. Jeśli w fortecy znajdował się zmiennokształtny, oznaczało to, że mesmeryści zyskali dostęp do tej linii

czasowej. Przyszłość już musiała zostać zmieniona.

Sabor zawołał o ciszę, ostrym tonem rozkazał przygasić światła i uruchomić urządzenie optyczne. Podczas gdy tysiąc par oczu obserwowało go z galerii, bóg zegarów zaczął włączać obiektywy przekazujące obrazy ze wszystkich komnat zamku.

Rozdęte pomarańczowe słońce na płonącym fioletowym niebie... kości dryfujące po Kwiatowym Jeziorze... wielka czarna budowla w środku nieznannej wioski na drugim brzegu jeziora, czerwony dym buchający z jej kominów... ciemność, gwiazdy przestłonięte przez tłuste wyziewy... blask świtu na spopieliałych równinach... maszyny czekające w gęstwinie drzew na brzegu jeziora... samotny gigant stojący jak bóg na tle zasnutego nieba.

Wszystkie oprócz czterech soczewek ukazywały podobnie skażone wszechświaty, miejsca, gdzie zmiany w historii dokonane przez Menoę zrodziły chaos. Labirynt wkroczył do świata ludzi, jeszcze zanim Niebo zostało zapieczętowane.

--Jak on to robi? -- zapytała Rachel.

--Zdobyl kontrolę nad *Obscurą Redundą* w swoim własnym bękarcim wszechświecie. Jego mesmeryści, cofając się przez Labirynt Czasu, rozprzestrzenili się jak zaraza, wszędzie wnosząc ze sobą chaos. Za każdym razem, kiedy Menoa zmienia historię, tworzy kolejny wszechświat, a ten napiera na nasz. Możliwe, że nasza linia czasowa już zapadła się za nami, a przyszłość, którą opuściliśmy, może już nie istnieć w takiej postaci, jaką znamy. -- Sabor porwał mapę ze stołu i krzyknął: -- Szybko.

Zaczęli biegać od jednej śluzy czasowej do drugiej, pokonując coraz bardziej skomplikowaną trasę przez Labirynt Czasu. Sześć miesięcy w przeszłość. Trzy dni. Dwie godziny. Dwadzieścia lat. Pojedynczy skok o dwie i pół minuty. Pędzili po galeriach, przepychając się przez tłumy Garstone'ów. Rachel była wyczerpana, Hasp miał ponurą minę, taumaturg przyciskała Bazylisa do piersi. Nawet Dill czasami znikał z powodu nadmiernego wysiłku. W górę i w dół po schodach. Główna sala była pełna asystentów w wygniecionych garniturach.

Pokonali siedmioletni odcinek czasu z kilkusekundowym zapasem. Dwa i pół tysiąca dni zniknęło w mgnieniu oka. Ale oni dalej gnali przed siebie w dzikim pędzie. Sabor wykrzykiwał daty:

--Trzysta pięćdziesiąty piąty... Dwieście dziewięćdziesiąty szósty... Sto czterdziesty drugi...

Rok dziewięćdziesiąty dziewiąty.

Znaleźli tutaj pokój pełen ciał. Czterdziestu martwych Garstone'ów, ściany pomalowane łukami krwi.

--Nie ma czasu! -- zawołał Sabor. -- Nie mamy czasu na szukanie mordercy. Zostawmy zabitych i biegnijmy.

Rok osiemdziesiąty pierwszy.

Obscura Redunda roila się od niezliczonych wersji bożego zegarmistrza. A kolejni wylewali się z innych komnat, z innych wszechświatów opanowanych przez niewidzialnego wroga. Wchodzili chwiejnym krokiem do głównej sali zamku, ranni, umierający, poparzeni. Powietrze było gęste od zapachu potu, dymu i krwi.

Rok pięćdziesiąty.

Tym razem większość pokoi wypełniały trupy. Drzwi zamku stały otworem, Garstone'owie

wychodzili przez nie tłumnie i zbierali się na stoku, żeby tam poczekać na okazję powrotu do roku zerowego. W pewnym momencie Rachel usłyszała krzyk dobiegający z góry. Szczęk stali? Nie mogła zostać, żeby to sprawdzić.

Rok osiemnasty.

W biegu do właściwych służ czasowych asystenci Sabora potykali się teraz o własne ciała leżące w głównej sali. Inni pomagali iść swoim rannym kopiom. Przez podwójne wrota napłynął do fortecy skłębiony dym i, snując się wokół kolumn instrumentu, wypełnił półkoliste sklepienie. Na zewnątrz rozbrzmiały wrzaski, szczekanie Bazylisa i okrzyki:

--Zostaliśmy zaatakowani! To ludzie! Nadchodzą!

Nie mesmeryści? Rachel zastanawiała się przez chwilę, czy to dobry znak. Może w ziemi nie było jeszcze dość krwi dla istot króla Menoi. Hasp przerwał jej rozmyślania, chwytając ją za ramię.

--Ruszaj się.

Rok zero.

Cisza.

Drzwi służby czasowej zatrzęsły się za nimi, kiedy wtoczyli się do kolejnej stęchłej komnaty o górnołotnej nazwie. Tutaj nie było ciała, dymu ani zniszczeń. Okno wychodziło na bezchmurne błękitne niebo. Po położeniu słońca Rachel oceniła, że jest ranek. Ale na niebie widocznym za szybą tańczyły zorze, migotliwe kurtyny jasnej zieleni i fioletu. Zbliżyła się do okna, żeby mieć lepszy widok.

Góry Świątynne lśniły jak wypolerowany gagat, kolorowe niebo odbijało się w nich, jakby w niezliczonych ciemnych, szklistych fasetach płonął ogień. W wyższych partiach leżało trochę śniegu, ale w dole krajobraz płał się w jasnym blasku słońca. Nie było nawet śladu lasu, podnóża ciągnęły się aż do jeziora serią łagodnych wzniesień, gęsto porośniętych polnymi kwiatami.

Rachel jeszcze nigdy nie widziała takiej feerii barw: skupiska złota i czerwieni mieszały się z lawendowymi kręgami, plamami bieli i różu, smugami indygo, miedzi i umbry. Efekt był taki, że wszystkie kolory wyglądały, jakby się stapiały w pasy tęczy.

Jest pięknie, powiedział Dill, stojąc przy oknie. Kwiaty przeświecały przez jego eteryczną postać.

Po chwili dołączył do nich Hasp.

--Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś to zobaczę -- powiedział.

--Ale to nie może być naturalne -- stwierdziła Rachel. -- Dlaczego nie ma tutaj drzew?

Żadnych krzewów ani zarośli?

--To ogród Ayen -- wyjaśnił Sabor. Zerkał z obawą na drzwi, jakby nad czymś się zastanawiał. -- Zamek jest bardzo cichy.

--Nie ma Garstone'ów -- dodała Mina. -- Powinny być ich tutaj tysiące. Miliony.

Ale w tym momencie w bulaju służby czasowej pojawiła się twarz. Otworzyły się zewnętrzne, a potem wewnętrzne drzwi. Stała w nich znajoma postać: niski mężczyzna w średnim wieku w pogniecionym brązowym garniturze.

--Cieszę się, że wam się udało, panie. -- Wykonał ręką zapraszający gest. -- Proszę ze mną...

--A gdzie inni?

--Wszystkie śluzы czasowe są zablokowane, a więc ta również jest odcięta. Proszę pójść ze mną do głównej sali. Ma pan gości.

Galerie były opustoszałe, wszystkie drzwi zaryglowane sztabami, tak jak powiedział Garstone. W sali na dole czekało na nich ośmiu mężczyzn. Ich przywódca był dużo starszy, niż Rachel zapamiętała, ale rozpoznała bliźnię biegnącą przez jego czoło.

--Oran.

--Mamy ze sobą porachunki -- burknął przywódca drwali.

Jego towarzysze, oparci na mieczach i siekierach, roześmiali się. Rachel przypomniała ich sobie z „Zardzewiałej Pily”, ale nie potrafiła przypisać nazwisk do twarzy. Byli potężni, brodaci, w tych samych zbrojach z lakierowanego drewna.

--Jak tutaj wróciliście?

Za Orana odpowiedział Sabor:

--To nie ci ludzie, których pani знаła, panno Hael. Pochodzą z innej rzeczywistości.

Oran prychnął.

--Tak twierdził również pan arkonitów, ale według mnie wszystko wygląda tak samo. -- Łypnął na Rachel. -- Przez ciebie nie dostałem nagrody od króla. Dostarczyłbym tego twojego giganta do jego rąk, gdybyś nie zrobiła tego, co zrobiłaś. Przeszedłem bardzo długą drogę, żeby cię znaleźć i wkupić się na powrót w jego łaski. Teraz cię dopadłem, więc zobaczymy, że Menoa podtrzyma swoją ofertę.

--Nie wiem, o czym mówisz -- oświadczyła Rachel. Odmówiła temu draniowi zapłaty w złocie, ale to wszystko. Nie miała pojęcia, jak Oran zamierzał dostarczyć Dilla panu Labiryntu.

--Tak, mówiono mi, że nie będziesz pamiętać. Pójdiesz teraz z nami do świątyni. Po tylu latach król chce się z tobą spotkać.

--Pójdziemy tam, ale nie z tobą -- burknął Hasp. -- Odsuń się, drwalu, albo wezmę ten miecz i wsadzę ci go w tyłek.

Dill uśmiechnął się słabo i wyszedł z za archonta.

Oran posłał niepewne spojrzenie Garstone'owi.

--Nikogo nie skrzywdzisz, chyba że ci rozkażemy -- rzekł asystent Sabora, zwracając się do Haspa. -- Będziesz trzymał usta na kłódkę, dopóki nie dotrzemy do świątyni Ayen.

Szklany bóg krzyknął z bólu i złapał się za głowę.

--To ty jesteś tym zmiennokształtnym -- stwierdził Sabor, patrząc na asystenta.

--Nie, panie. Jestem człowiekiem, ale, podobnie jak mój brat, oddałem się sprawie mesmerystów. Pasożyt czuje na nas zapach Piekła.

Oran parsknął śmiechem.

--I to rzeczywiście działa. No dalej, Hasp. Uklęknij przed lepszymi od siebie. -- Kiedy bóg nie zareagował, wrzasnął: -- Ugnij kolana!

Pan Pierwszej Cytadeli warknął, próbując stawić opór pasożytowi Menoi, ale po chwili przeraźliwie jęknął i opadł na kolana.

Dill ruszył do przodu, ale Rachel go powstrzymała. Wymienili spojrzenia, po czym asasynek ledwo dostrzegalnie skinęła głową. *Zaczekaj, aż dotrzemy do świątyni.*

--Wyrażaj się ściślej, Oranie -- poradził Garstone bratu. -- Hasp nie uważa ciebie za lepszego od siebie. Nigdy nie posłuchałby twojego pierwszego rozkazu.

Drwal chrząknął.

--Więc spróbujmy jeszcze raz -- powiedział. -- Weź miecz asasyunki. Zabij ją, jeśli będzie stawiać opór.

Hasp wyciągnął rękę do Rachel.

--Nie! -- krzyknął Garstone. -- Weź miecz, ale jej nie zabijaj. Nie zabijaj nikogo, dopóki nie rozkaże ci pan Labiryntu. -- Podrapał się po głowie. -- Ale zabij Sabora, jeśli próbuje uciec. -- Pokiwał głową. -- Tak. Tak będzie dobrze.

Rachel i tak nie zamierzała się opierać. Pozwoliła, żeby Hasp zabrał jej miecz.

Garston odetchnął z ulgą.

--Nie igraj z nim, Oranie -- ostrzegł. -- Król Menoa wyraźnie polecił nam dostarczyć ich żywych.

--Kiedy zwróciłeś się przeciwko mnie? -- zapytał Sabor.

--Dawno temu, panie.

--Akurat ty? Z was wszystkich?

Mały człowieczek się uśmiechnął.

--Z każdym dniem jest nas coraz więcej, panie. Nawet teraz, kiedy rozmawiamy, jestem zajęty rekrutacją.

--Więc niektórzy nadal są lojalni?

--Trudno uwierzyć, że kiedyś byłem tak naiwny, panie.

Mała grupka, otoczona przez drwali, opuściła zamek i ruszyła pod górę w łagodnym blasku zorzy jaśniejącej na niebie. Stromy szlak wił się po spękanej czarnej skale, wytarte stopnie świadczyły o tym, że świątynia stoi tu znacznie dłużej, niż Rachel się wydawało. Zawsze była poświęcona Ayen? Drzwi jej dominium zawsze w tamtym czasie stały otworem?

Asasyunka stwierdziła, że ta myśl jest zarazem przerażająca i radosna, bo świat ludzi nie został całkiem odcięty od królestwa Niebios. Czy dobre dusze zostaną do niego wpuszczone? Świetliste kurtyny migotały nad czarnymi szczytami, wskazując na istnienie świata większego niż ten.

--To skutki Wojny Między Bogami -- powiedziała Mina. -- Płonące niebo, wezbrane morza... Sabor i jego bracia właśnie zostali wypędzeni z Nieba. I teraz gdzieś tutaj są.

--Czy tamten Sabor nie powinien być w swoim zamku?

--Byłem -- odezwał się bóg zegarów. -- W przeciwieństwie do tych zdrajców. Nic z tego nie wydarzyło się w moim wszechświecie.

--Więc mesmeryści zmienili ich wszystkich?

Bóg pokiwał głową.

--Od tego momentu w czasie biorą początek niezliczone przyszłości, obawiam się, że wszystkie równie złe. Nasza oryginalna linia czasowa została opanowana przez bękarci świat Menoi. Kiedy pan Labiryntu się zabije, pójdzie do Piekła, ale zostawi swoich mesmerystów, żeby przejęli kontrolę nad moim zamkiem. Będą mieli dostęp do całego czasu, póki będzie istnieć to skazane na zagładę continuum.

Podczas gdy ludzie Orana klęli i skarżyli się na palące słońce, Sabor rozpostarł skrzydła, jakby chciał skąpać pióra w jego ciepłe. Odbicie Rachel spoglądało na nią ze szklistej czarnej skały. Podobne formacje widziała w ciemnej otchłani pod Deepgate, bardzo dawno temu. Ona i Dill patrzyli wtedy na siebie, jakby byli jedyni ludźmi, którzy zostali na świecie. Czy łańcuchowe miasto w ogóle powstanie? Czy ona sama się kiedyś urodzi? Albo Carnival? Dill?

Duch jej przyjaciela szedł górską ścieżką obok niej, martwy trzy tysiące lat przed swoimi narodzinami, które teraz mogły nigdy nie nastąpić. Dill dostrzegł wzrok asasyunki i posłał jej uśmiech.

Pod nimi ciągnęły się ziemie Heriki i Pandemerii, zielone wzgórza i równiny na zmianę ze srebrnymi jeziorami, ale nie było widać żadnych osad, żadnych dróg, nic, co wskazywałoby, że kiedyś pojawi się tutaj człowiek.

Pokonali ostatnie wzniesienie i wreszcie dotarli na szczyt góry. Stała tam świątynia Ayen.

Był to niezbyt imponujący, szary kamienny kopiec, niewiele większy od rudery pasterzy. Po obu stronach niskiego, ciemnego otworu drzwiowego wznosiły się dwa słupy z grubo ciosanego granitu. Ułożone w stos kamienie tworzyły dach.

--To jest to? -- zapytała Mina. -- Bogowie i ich armie, starożytna technika... wszystko rozpoczęło się tutaj?

--Po co Ayen miałyby przyciągać uwagę do tego miejsca? -- rzucił Sabor. -- Wspaniała budowla byłaby widoczna z daleka.

Hasp lypnął na mroczne wejście z przerażeniem w oczach. Ścisnął w dłoni miecz tak mocno, że Rachel przestraszyła się, że zmiażdży szklaną rękawicę. Wydawało się, że bóg próbuje coś powiedzieć przez zaciśnięte zęby, ale wydał z siebie tylko cichy jęk.

--Do środka, proszę. -- Garstone wskazał na portal.

Znaleźli się w małej, stożkowatej izbie zbudowanej z kamieni. W przeciwległej ścianie znajdował się otwór wyjściowy, tym razem ze źle dopasowanymi drzwiami z luźnych desek powiązanych sznurem. Przez szpary sączyło się dzienne światło.

Obok drzwi czekał Alteus Menoa.

Niezwykle przystojny, miał bursztynowe oczy, siwe włosy opadające na ramiona, zgrabnie zarysowany podbródek, wydatne kości policzkowe i miękkie usta. Był boso, w samej koszuli i prostych spodniach z białego płótna. Uśmiechnął się miło na powitanie.

Mina wymieniła spojrzenie z Rachel. Bazylis zwinął się przy nodze swojej pani i zawarczał. Ciało Dilla pociemniało, ale jego oczy pozostały spokojne.

--Jedno z was wkrótce mnie zabije -- przemówił Menoa -- nie będę jednak żywił do tej osoby urazy. Powiedz mi, Saborze, ile już razy zdarzył się ten moment?

--To samo pytanie zadałeś mi ostatnim razem -- odparł bóg zegarów.

--Wybacz, jeśli jestem nudny. Zawsze mi odpowiadasz?

--O ile wiem, to drugi raz, Alteusie.

--Ale tym razem jest inaczej, prawda? Mam sojuszników. Ludzi z mojej przyszłości.

--Z wielu przyszłości.

--Więc ostatecznie wszyscy bogowie przegrają? -- Jego wzrok na dłuższą chwilę spoczął na Haspie, potem wrócił do brata. -- Powiesz mi...?

--Nie żyją, Alteusie. Twoi przyrodni bracia, Rys, Hafe, Mirith, Ulcis i Cospinol, wszyscy nie żyją.

Menoa pokiwał głową.

--Rozumiem. Jakie to dla ciebie nużące, że musisz wciąż mi to wyjaśniać. Moi agenci przekazują mi nowiny, ale brakuje im prawdziwej wiedzy. -- Wrócił spojrzeniem do Haspa, który teraz stał bezpośrednio za bogiem zegarów. -- Zabij Sabora! -- rozkazał.

--Zaczekaj! -- Bóg zegarów uniósł rękę.

Hasp krzyknął w proteście, ale uniósł miecz jednym ruchem, w którym kryła się ogromna siła.

Dill skoczył na pana Pierwszej Cytadeli, ale jego ciało przeszło przez niego bez najmniejszego oporu. Zdezorientowany, odwrócił się w chwili, kiedy ostrze Haspa przebiło kolczugę Sabora i zagłębiło się w jego plecach.

Bóg zegarów zrobił dwa kroki do przodu, jakby został popchnięty. Blady jak popiół, odwrócił się do swojego szklanego brata. Nikt się nie poruszył. Nawet zdrajca Garstone wyglądał na wstrząśniętego.

Hasp wbił miecz w kark Sabora.

Bóg zegarów upadł.

Szeroka pierś archonta unosiła się i opadała szybko. Czerwone oczy spoglądały dziko z umorusanej błotem twarzy.

--Teraz zabij taumaturg -- rozkazał Menoa.

Rachel czekała na ten moment przez trzy tysiące lat. Skoncentrowała się.

Świat wokół niej zwolnił, nawet drobinki kurzu uwięzione w promieniach światła dziennego znieruchomiały. Serce i płuca asasynki przestały pracować. Brwi Miny lekko drgnęły ku górze, rozgorączkowane spojrzenie Haspa wbiło się w taumaturg. Sierść na grzbiecie Bazylisa wyprostowała się powoli, pysk się wykrzywił.

Jak odepchnąć Minę, nie rozbijając jej szklanej skóry?

A gdyby tak zająć się Haspem? Mogłaby jednym ciosem roztraskać jego zbroję, wymieniając życie boga na życie przyjaciółki. Albo spróbować uratować oboje...

Z pyska Bazylisa zwisała nitka śliny. Czy ten pies potrafiłby coś zrobić dla swojej pani? Rachel nie miała pojęcia ani nie знаła się na taumaturgii.

Hasp powoli unosił miecz.

Lepiej najpierw rozbroić jego i w ten sposób zyskać trochę czasu. Niech Mina wyczaruje kolejny upiorny las. A może Dill...?

Dlaczego nie zdołał opętać Haspa?

Bo pan Pierwszej Cytadeli jest bogiem? Bo w ciągu swojego długiego życia pochłonął mnóstwo dusz? A może po prostu mesmerycka zbroja chroniła go przed tego rodzaju atakiem? Rachel wiedziała tylko tyle, że nie może liczyć na przyjaciela.

Zbliżyła się do Haspa i położyła dłonie na płazie jego miecza. Spróbowała wypchnąć mu broń z ręki, ale archont ścisnął ją mocno. Gdyby włożyła w ten ruch zbyt dużo siły, złamałaby mu palce.

Nie spieszyła się.

Gdy uniósł broń nad głowę, Rachel udało się wytrącić mu ją z dłoni. Miecz na chwilę zawisł w powietrzu.

Teraz Mina.

Bazylis sprężył się do skoku, a taumaturg dopiero teraz zaczęła się kulić przed spodziewanym ciosem. Hasp jeszcze nie zdążył zauważyć, że już nie ma miecza w garści.

Rachel odepchnęła Minę do tyłu, uważając, żeby nie zrobić tego za mocno. Miała nadzieję, że przy normalnej szybkości byłoby to niewiele więcej niż silne szturchnięcie.

Odwróciła się z powrotem do Haspa.

Jego ramię nadal się unosiło. Miecz zaczął obracać się w powietrzu. Rachel chwyciła

rękojeść i ściągnęła ją do siebie, starając się nie poruszać zbyt szybko, żeby nie złamać sobie kości. Przesunęła ostrze tuż obok ucha Miny, obróciła i cięła nim Orana przez szyję. Z tętnicy za chwilę miała trysnąć krew.

Ale w stanie koncentracji Rachel nie mogła pozwolić sobie na czekanie. Otoczyła dłońmi rękojeść i wbiła miecz w drewniane drzwi, o włos omijając Menoę. Cienkie deski nie stawily najmniejszego oporu. Zaczęły osuwać się na ziemię.

Przez dziurę w drzwiach Rachel weszła do Nieba.

*** * ***

Kotwica przyprowadził klientów pana D do władcy Labiryntu, całe miasto. Domy, w których mieszkały demony, pełzły albo wlokły się po powierzchni Piekła, fundamentami burzyły mury dzielące kanały, zawadzały o narożniki dziwacznych budowli. Menoi, przyprawiały je o wycie.

Gigant z Burzliwego Wybrzeża, uśmiechając się szeroko, stał na długim, metalowym kadłubie podwodnego statku Isli. Alice Harper znalazła gdzieś leżak i teraz siedziała na nim rozparta, jednym ze swoich mesmeryckich urządzeń badając zabutelkowaną duszę, którą zabrała z imperium pana D. Dziesiątki innych butelek toczyły się w przewróconej szafce, znalezionej wśród ruin. Nie były tak wyrafinowane jak perły dusz, którymi posilał się Kotwica, ale lepsze niż nic.

--Udało się? -- zapytał wielkolud.

Harper machnęła ręką.

--Jest nietknięty i śpi -- odparła. -- Ale nadal muszę znaleźć dla niego gospodarza.

--Czy to Dziewiąta Cytadela? -- Podniecona Isla wyjrzała zza leżaka metafizyczki. -- Jest naprawdę duża, prawda?

--Tak przypuszczałem -- odparł Kotwica. -- Menoa wygląda mi na takiego boga.

Isla zmarszczyła nos.

Wokół łodzi podwodnej sunęły z loskotem statki innych demonów, które zbierały dusze dla pana D. Harper twierdziła, że są to najstarsze i najpotężniejsze istoty, jakie kiedykolwiek badała, ale patrząc na nie, trudno byłoby się tego domyślić. Żyłaści starcy, dzieci, krótkowzroczni uczeni i omdlewające panny nie wyglądali na wojowników zdolnych poprowadzić okręty do boju. Kotwica protestował, ale Harper się uparła, żeby pozyskać ich pomoc. Wielkolud nie mógł jednak im odmówić tego prawa, bo naprawdę palili się do walki.

Klienci pana D należeli do zupełnie innego gatunku istot. Demony utuczone po latach handlowania w jego dziwnym imperium, nosiły na sobie zamki, tak jak ludzie noszą ubrania: wszelkiego kształtu wieże i pochyle kominy z kamienia lub szkła. Sami je stworzyli z żywych wspomnień i teraz poruszali nimi siłą woli, aż ziemia drżała pod ich ciężarem. Ikaraci i zbieracze dusz uciekali przed nimi, wielu padało pod falą gruzu, którą wehikuly toczyły przed sobą.

Kotwica odwrócił się do Harper.

--Dobrze byłoby zobaczyć zamek Haspa. Jest taki wspaniały jak te?

--Wspanialszy i bardziej niebezpieczny -- odparła inżynier. -- Nigdy podobnego nie widziałam. Uciekł dalej, niż ktokolwiek przypuszczał, a potem stanął, do walki z łowcami Menoi.

--Ha! -- Kotwica wyjął następną butelkę z szafki, odkorował ją i wychylił zawartość.

Dusza w płynie wkrótce zaspokoila jego apetyt, przywracając mu wigor. Olbrzym poczuł się znowu silny.

--Nie powinieneś tyle pić -- stwierdziła Isla.

--Wiem, dziewczyno. -- Wyrzucił pustą butelkę. -- To paskudztwo.

Ale było to mocne paskudztwo, i tylko to się dla niego liczyło.

Awangarda tej dziwacznej, rozciągniętej armii zmiażdżyła następną ścianę. Metalowe statki wdarły się na teren pełen czarnych budowli w kształcie kopców. Tutaj Ikaraci stawili im opór.

Ludzie w brązowych zbrojach płytowych cisnęli włócznie w intruzów. Sądząc po wyglądzie, byli to gladiatorzy, zbudowani z ciała i metalu. Kotwica widywał areny, na których walczyli zbieracze dusz. Teraz błyskawicznie otoczyli *Księżniczkę*, szukając jej słabych punktów, miejsc, gdzie mogliby wdrapać się po gładkim kadłubie. Nie zatrzymując się, łódź podwodna wspięła się na jeden z kopców i zsunęła z niego po drugiej stronie. Leżak Harper zaczął się ześlizgiwać w bok, ale metafizyczka w porę chwyciła się szafki. Kotwica wziął Isłę za rękę.

--Nie spadnę -- powiedziała dziewczynka.

--Nie, ale mogłabyś.

Isla uśmiechnęła się i ścisnęła mocniej jego dłoń.

--Jest. -- Harper podała wielkoludowi jedno ze swoich mesmeryckich urządzeń. --

Przerobiłam tego Krzykacza, żeby wstrząsnął duszą Menoi. Będzie próbował cię zmienić i uda mu się, jeśli nie będziesz szybki. Masz mniej niż jedno uderzenie serca, żeby je aktywować. Powinno przerwać koncentrację króla na tyle, żebyś mógł się do niego zbliżyć.

--Ile mam czasu?

--Nie wiem. Parę chwil. Ale drugi raz go nie zaskoczysz. -- Metafizyczka spojrzała w górę.

-- Iolici.

Wielkie stado szklanych jaszczurek błysnęło na tle wściekle czerwonego nieba. Były prawie niewidzialne: rój iskier, jak refleksy słońca na wartkiej rzece, kiedy indziej jak płonący proch strzelniczy. Kotwica nagle usłyszał łopot ich skrzydeł.

Są bliżej, niż się wydaje.

Odepchnął Isłę w bok i chwycił za kryształowy pazur, kiedy jeden z Iolitów zanurkował prosto na jego głowę. Jaszczurka wrzasnęła, bijąc skrzydłami po ramionach wielkoluda. Kotwica zakręcił bestią nad głową i cisnął ją na resztę stada. Rozbłysły światelka. Choć nie widział poszczególnych osobników, usłyszał trzask, kiedy Iolici powpadali na siebie. Na *Księżniczkę* posypały się odłamki szkła.

--John!

Kolejne skrzydlate demony zaczęły szarpać pazurami uprząż na plecach Kotwicy. Drewno zatrzęsło się gwałtownie, ale był to wytwór woli i nie chciał pęknąć, dopóki olbrzym pozostawał w nim żywy.

Isla wydała płaczliwy okrzyk.

Zagłuszyło go melodyjne pobrzękiwanie skrzydeł Iolitów, a potem huk tak potężny, że wcisnął powietrze w uszy Kotwicy. Harper trzymała w górze drugie urządzenie, pozornie identyczne jak to, które dała wielkoludowi. W górze Iolici roztrzaskali się na kawałki, szklane pióra eksplodowały, ich szczątki fruwały wszędzie, odbijając blask czerwonego słońca.

--Mój drugi Krzykacz -- powiedziała Harper.

--Tylko do jednokrotnego użytku?

--Nie, ale potrzebują kilka chwil, żeby się znowu załadować. Poręczne na Iolitów i mniejsze konstrukty, ale nie zgaszą zbyt wielu Ikaratów. Czerwoni kapłani po prostu nagną wolę krzykacza do swojej. Urządzenie odmówi współpracy.

--Wolę swoje pięści. -- Mimo to Kotwica schował drugiego Krzykacza za szeroki pas, bo w starciu z panem Labiryntu chwila przewagi była lepsza niż nic.

Powolne, skrzypiące, ale niszczycielskie wojsko dotarło na przedmieścia, które Kotwica uznał za przemysłowe dzielnice otaczające Dziewiątą Cytadelę. Nad metalowym statkiem Isli majaczyły wielkie, niezgrabne budowle. Armia nadal toczyła się naprzód, okrążając je szerokim łukiem z prawej i lewej strony, miażdżąc wszystkie przeszkody na swojej drodze.

Ale tutaj natknęli się na główne siły Menoi. Ikaraci i wszelkiego rodzaju wojownicy czekali w kanałach wokół fortecy. Tysiące ludzi, zwierząt, zjaw i maszyn. I jeszcze więcej...

Harper zobaczyła czerwone postacie w tym samym momencie co Kotwica: imitacje Wisielców Cospinola i smukłe anioły.

--Na bogów, John, tego nie wzięliśmy pod uwagę -- powiedziała. -- Co, do diabła, robi tutaj rzeka?

--Chroni ojca. -- Kotwica wypił kolejną duszę, wyrzucił butelkę i klasnął w dłoń. -- Nie ma to jak dobra bitwa, co?

--Rozedrą ten statek na kawałki.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, wojska króla zaatakowały. Ikaraci strzelili batami, popędzając tury, ludzi, duchy i demony. Tropiciele węszyli w powietrzu i obnażali zęby, gotowi do walki. Non Morai, tylko trochę ponagleni przez swoich panów, zawyli i pomknęli przez powietrze jak wichura. Ich gazowe postacie były widoczne tylko wtedy, gdy nie patrzyło się na nie bezpośrednio. Rzeczni ludzie ruszyli wolniej, niemal letargicznie, brnąc przez płytkie kanały swojego własnego boga, z ociekającą czerwoną bronią i pazurami.

Harper wyszeptała rozkaz Krzykaczowi.

Kotwica uśmiechnął się drapieżnie, pobiegł wzdłuż kadłuba *Księżniczki* i zeskoczył z niego na spotkanie wrogów.

Wylądował przykucnięty na zalanej ulicy i pomaszerował przed siebie przez grząskie błoto. Non Morai dopadli go pierwsi. Śmignęli z wrzaskiem po obu jego stronach. Kotwica machnął pięściami, ale trafił powietrze. Cienie się cofnęły, wyjąc szaleńczym śmiechem. Kiedy spojrział na nie wprost, zniknęły, a potem zebrały się znowu na skraju jego pola widzenia. Wysocy skrzydlaci mężczyźni o czerwonych uśmiechach i zimnych palcach, którymi muskali jego ramiona, sprawiając mu ból.

--Cholerne osy! -- warknął Kotwica.

Nabrał w garści czerwonej wody i prysnął nią na gazowe postacie. Ciecz przywarła do nich jak farba, zdradzając ich pozycję. Kotwica rzucił się na nie, ale one rozpierzchły się w panice. Już nie chciały bezpośredniego starcia. Gdy tylko napotykał ich wzrok, po prostu odwracały się i uciekały.

Tropicielei trudniej było zniechęcić. Stado sześciu demonów pozbawionych skóry pędziło w jego stronę kanałem, klapiąc zębami jak dzikie bestie. Ale wiedział, jak rozprawić się z istotami stworzonymi z ciała i kości, czy z tego, co za nie uchodziło. Chwycił pierwszego i

złamał mu kark. Cisnął trupa na najbliższą ścianę. Kolejny, który skoczył na wielkoluda, natknął się na jego pięść. Z pluskiem wpadł do wody, a tymczasem gigant rozpruł brzuchy kolejnych dwóch i odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak inni uciekają wielkimi susami.

Ale już ku niemu szły z dudnieniem opancerzone tury, monstrualne rogate istoty wyglądające jak bogowie wszystkich byków.

Kotwica przykucnął, rozłożył ręce i własnym czołem odparł szarżę pierwszej bestii, która ruszyła na niego z opuszczonym lbem. Tur zatoczył się do tyłu o trzy kroki i zaryczał, ale Kotwica błyskawicznie otoczył ramionami jego szyję, uniósł go nad głowę i cisnął za siebie. Zwierzę na próżno usiłowało stanąć na nogach, gramoląc się w krwawej wodzie, parskając i prychając.

Kotwica odwrócił się, gotowy do następnego starcia.

Ikaraci do tej pory powstrzymywali swoich ludzkich niewolników i maszyny. Najwyraźniej, dopóki nie musieli, nie chcieli angażować więcej sił przeciwko gigantowi. Teraz rzucili do walki Przegranych.

Ci przybrali głównie postacie aniołów z mieczami, na wzór Carnival, i po raz pierwszy Kotwica się zmartwił. Wiedział, że nie zdoła pokonać tego wroga. I nie był pewien, czy rzeka zareaguje na jego rozkazy, tak jak poprzednio. Zawołał do Harper przez ramię:

--Masz coś na te stworzenia?!

--Wszystko, co zrobię, może je najwyżej wkurzyć.

Kotwica stanął zwrócony do rzecznych ludzi twarzą i ryknął:

--Stójcie! Zostańcie tam, gdzie jesteście, bo spiorę was na kwaśne jabłko!

Przegrani nawet nie zwolnili kroku.

Kotwica cofnął się o krok, rozglądając się za drogą odwrotu. W tym momencie usłyszał, że statek Isli zbliża się z loskotem i hamuje tuż za nim.

I wtedy jakiś ruch na niebie przyciągnął jego wzrok. Przemykający cień.

Carnival wylądowała twardo w kanale między Kotwicą a nadciągającymi wojownikami. W górę trysnęły strugi czerwonej wody. Anielica zwinęła skrzydła i wyprostowała się.

Przegrani wreszcie się zatrzymali.

Carnival przez dłuższą chwilę patrzyła na nich bez słowa, a potem rozkazała:

--Cofnijcie się.

Czerwone postacie się zawahały.

Anielica zrobiła krok w ich stronę i warknęła:

--Albo zostańcie.

Kotwica poczuł, że rzeka ciągnie go za golenie, cofając się w stronę cytadeli króla. Woda spieniła się i zabulgotała, kiedy dziesiątki wojowników po prostu zapadły się z powrotem w czerwoną ciecz. Wezbrana fala popłynęła kanałem, oddalając się od anielicy. Rosnąc po drodze, pochłonęła ludzkich niewolników Ikaratów.

Carnival ruszyła przed siebie.

Kapłani Menoi odwrócili się i uciekli.

* * *

Szczyt góry po drugiej stronie świątyni Ayen nie był taki sam, jak ten, który Rachel opuściła. Płaskowyż z czarnej skały wyglądał identycznie, kopiec też się nie zmienił, ale teraz poniżej wierzchołka rozciągało się morze chmur, a niebo nad nim wrzało.

Wielkie ciemnofioletowe i srebrne płomienie falowały wolno na tle wielkiej czarnej pustki pozbawionej gwiazd. Asasynka nadal poruszała się z nadnaturalną szybkością, nie mogła więc ocenić prawdziwej potęgi tych niebiańskich ogni. Ale wkrótce miała się o tym przekonać, bo jej serce już zwalniało.

Pośrodku płaskowyzu siedziała na trójnożnym zydlu stara pomarszczona kobieta odziana w podarty worek. Głęboko osadzonymi oczami wpatrywała się w intruza*

Rachel zbliżyła się odmierzonymi krokami, kontrolując napięcie mięśni. Rozpaczliwie chciała utrzymać swój stan najdłużej jak to możliwe. Wiedziała, że za chwilę czas znowu popłynie w normalnym tempie.

Staruszka uniosła rękę.

--Nie wolno ci się spieszyć -- powiedziała. -- Nie pozwalam na żadne ludzkie sztuczki. Nie tutaj.

Niemożliwe. Ta kobieta nie mogła mówić przy szybkości, z jaką poruszała się asasynka. Czyżby stan koncentracji dobiegł końca? Zatem, dlaczego Rachel jeszcze stała o własnych siłach? Posłuchała bicia swojego serca i nic nie usłyszała. Otworzyła usta.

--Ayen? -- Jej głos brzmiał normalnie.

--Naprawdę myślałaś, że potrafisz mnie zabić?

Za plecami Rachel rozległ się trzask. Asasynka odwróciła się i zobaczyła, że ze świątyni wypada Hasp. Jego czerwone oczy płonęły, kiedy pędził prosto na nią.

Rachel próbowała się skoncentrować, ale jej się nie udało.

--Stój! -- rozkazała bogini.

Hasp zatrzymał się trzy kroki od Rachel, piorunując wzrokiem Ayen. Jego twarz była niczym straszliwa maska ze szkła i krwi, oczy wyglądały jak rany.

--Pasożyt w głowie? -- powiedziała Ayen. -- Pięknie! Mogłabym mrugnąć okiem i go wyłączyć. -- Wąskie kreski pomarszczonych ust rozdzieliły się, odsłaniając małe żółte zęby. -- Mam to zrobić, demonie?

Rachel wytrzeszczyła oczy.

Ayen wstała ze stolka.

--Demon nie może mówić?

--On nie jest demonem -- powiedziała asasynka.

--Po cóż więc innego Iril miałby zasłaniać przede mną umysł, jeśli nie po to, żeby ukryć swoje mordercze zamiary?

--On...

Niebo nagle wybuchło płomienną furią. Ayen krzyknęła:

--On jest demonem i zabójcą! Czuję Labirynt na jego ciele.

--Nie.

Ognie przemknęły po czarnej pustce, skąpały szczyt góry jaskrawym blaskiem gryzących się kolorów. Bogini zamknęła z okrzykiem oczy i wysunęła przed siebie ręce, jakby chciała odpędzić dwoje intruzów.

--Wiesz, kim on jest -- powiedziała Rachel.

--Nie znam go.

Zza pleców Haspa dobiegł inny, spokojniejszy głos:

--Matko? -- W drzwiach świątyni stał Menoa.

--Alteus? -- Ayen otworzyła oczy.

--Idź spać, matko.

--Zabierz tych ludzi, Alteusie.

--Wiesz, kim on jest -- powtórzyła Rachel. -- Jego umysł jest przed tobą ukryty, ale mój nie. Wiesz, kim on jest.

Plomienie na niebie przygasły. Ayen usiadła na stolku i przez dłuższy czas wpatrywała się w swoje ręce. W końcu zapytała:

--Jak stary jest teraz świat?

Menoa się zawahał.

--Świat nadal jest młody, matko.

--Nie -- szepnęła bogini. -- Powiedz mi prawdę, Alteusie. Czekalam tutaj miliard lat i teraz wszystkie dusze w Niebie są martwe. -- Mówiła żalobnym tonem. -- Nie widzisz tego?

--Idź spać, matko.

--Nie będę znowu czekać przez całą wieczność.

Menoa podszedł do Ayen.

--Nie minęło wiele czasu, odkąd oczyściłaś Niebo -- powiedział. -- Ani jeden dzień. Po prostu jesteś zdezorientowana. Idź spać, a ja zamknę za tobą drzwi.

--Ani jeden dzień?

--Razem z nami wyrzuciłaś z Nieba czas -- odezwał się Hasp. -- Z Ulcistem... Cospinolem... Rysem... Saborem... Mirithem... Hafem... i mną.

Bogini podniosła wzrok.

--Hasp?

Bóg skinął głową.

Menoa objął staruszkę ramieniem.

--Muszę już iść, matko. Czas...

--Czas? -- Jej głos stwardniał. -- Czas tutaj nie istnieje. Alteusie. Czekalam na twój powrót. Patrzyłam, jak Niebo więdnie i umiera. Ja...

--Jeszcze tylko trochę...

--Nie! -- Bogini strząsnęła jego rękę i wstała ze stolka. -- Już dłużej nie mogę, Nie wiesz, jak to jest spędzić wieczność samotnie... z całym tym nieszczęściem i żalem.

--Żalem? -- powtórzył Menoa. -- Oni wszyscy cię zdradzili.

--Wybaczam im.

--Nie, matko.

--Wybaczam im, Alteusie. Nie chcę znowu zostać tutaj sama. -- Ruszyła przed siebie, ale potknęła się i omal nie upadła.

Rachel podbiegła, żeby ją podtrzymać. Bogini była lekka jak piórko.

Chude palce staruszki zacisnęły się z drzeniem na ramieniu wybawczyni.

--Pomożesz mi stąd wyjść? -- zapytała błagalnie bogini, patrząc na Rachel załzawionymi oczami.

Asasynka objęła ją.

--Oczywiście.

Bogini światła i życia pociągnęła nosem. Spojrzała na Haspa.

--Zobaczmy, co się stało ze światem.

* * *

Rebecca obudziła się z przeczuciem, że znowu jest w tarapatkach. Przez witrażowe okno we wschodniej ścianie do jej celi wpadał blask słońca. Minęła chwila, nim spojrzenie zaspanych oczu skupiły się na rozbitych szybkach. Zanim je strzaskała, można było na nich podziwiać uroczy obrazek ukwieconej łąki. Drobinki kurzu unosiły się przed szklanymi kwiatami, zmieniając kolor z różowego na niebieski i złoty.

Rebecca ziewnęła, wstała z łóżka i rozprostowała skrzydła. Ze stosu ubrań, obok którego leżało przewrócone wiadro na wodę, wyciągnęła skórzaną tunikę i spodnie. Ubrała się, kopniakiem otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na dwór.

Było gorące popołudnie. Kamienne płyty grzały jej bosc stopy. Dziewczyna chwyciła za żelazną poręcz i spojrzła na łańcuchowe miasto.

Dym unosił się nad dogasającymi zgliszczami Bridgeview, gdzie znowu dał o sobie znać podpalacz z Deepgate. Rebecca była pewna, że jest tam zwęglony trup, a pożar miał ukryć przyczynę śmierci. Zresztą prezbiterowi Kościoła Ulcisa nie bardzo zależało na przeprowadzeniu śledztwa i wyjaśnieniu zbrodni. Wiedzieli więcej, niż byli gotowi przyznać.

Przy łańcuchach w Lilley i Ivygarths tłoczyły się kamienice czynszowe o białych fasadach poznanych cieniami drzew. Dalej leżały przemysłowe Kolonie, które otaczały bogatsze dzielnice dymiącym pierścieniem, same kominy i szare łupkowe dachy. Liga Sznurów, pocięta szczelinami, pęknięciami i jeszcze bardziej zaniedbana niż zwykle, wyglądała tego dnia na znużoną. Sieciarze nie dbali o naprawianie szkód z poprzednich miesięcy.

Z celi dobiegł grzechoczący dźwięk, a po nim seria stuknięć do drzwi.

--Rebecca? Obudziłaś się już? Wiesz, jaki jest dzisiaj dzień?

Oczywiście jeden z kapłanów. Wciąż chcieli, żeby coś zrobiła dla Kościoła. Rebecca wspięła się na poręcz, rozpostarła skrzydła i skoczyła prosto w błękitne niebo. Czarne włosy powiewały za nią na wietrze. Nie wiedziała, co to za dzień, i wcale jej to nie obchodziło.

* * *

Bogini zamrugła w jasnym blasku słońca i spojrzła w dół na górskie zbocze, gdzie zamek Sabora migotał jak ognisko. Więc tam zostawiła czas!

Niebo wydawało się bez niego takie nieskończone. I samotne. Spędzona w nim wieczność pozwoliła jej to zrozumieć.

Dwaj synowie pomagali jej iść, trzymając ją pod ramiona, ona zaś udawała, że nie zauważa, w jaki sposób piorunują się wzrokiem. Alteus był młody, a młodzi są humorzaści. Chłopiec jeszcze się nauczy. Natomiast jeśli chodzi o Haspa...

Ścisnęła delikatnie jego szklaną rękę. Hasp zawsze był silny. Wygląd jest bez znaczenia, dużo trudniej ukoić ból. Teraz miała czas, żeby pomyśleć, jak mu ulżyć. Z czasem wszystko da się naprawić^ Asasynka na pewno jej pomoże.

Rachel Hael.

Pasowało do niej to nazwisko.

Co za dziwna zbieranina! Duch anioła, przystojny i silny młodzieniec, choć w świetle dnia niemal przezroczysty. Mały człowieczek w wymiętym garniturze ledwo mógł utrzymać się na nogach. Żołnierze nawet nie śmieli spojrzeć jej w oczy.

I była jeszcze dziewczyna o skórze takiej samej jak u Haspa, z okropnym małym psem, który wyglądał znajomo.

Większą część poranka zabrało grupie zejście po stopniach prowadzących do zamku Sabora. Ayen zatrzymywała się kilka razy, żeby usiąść i podziwiać widok: srebrne jezioro, równiny skąpane w słońcu. Jej ładne kwiaty wcale się nie zmieniły. Ale oczywiście dla niej nie minęła ani jedna chwila. Bogini wykonała subtelny gest. Znad dalekiej łąki powiała bryza, powietrze wypełnił cudowny aromat. Chyba nawet zbyt intensywny, doszła do wniosku Ayen. Może las wyglądałby tutaj lepiej?

Kiedy zbliżyli się do drzwi zamku, powiedziała:

--Tyle światów powstało z jednego błędu. Oczywiście musimy pozwolić im umrzeć naturalnie. W continuum jest miejsce tylko dla jednego.

--Tego?

--Jeśli chcesz.

Rachel spojrzała na fortecę.

--Jak długo potrwa umieranie tamtych linii czasu?

Ayen wzruszyła ramionami.

--To zależy od wyrządzonych im szkód. Większość zginie całkiem szybko, lecz inne mogą przetrwać millenia.

--Więc wszystko jeszcze może się wydarzyć w tych innych światach?

--Przynajmniej przez jakiś czas.

EPILOG

Mimo wrzawy panującej w barze Harper słyszała wybuchy śmiechu Kotwicy dobiegające z głębi sali. Byli tutaj od trzech albo czterech miesięcy, ale w Piekło trudno ocenić upływ czasu. Właśnie zamówiła następnego drinka, kiedy usłyszała okrzyk od drzwi.

--Znaleźliśmy następnego!

Do baru wtoczył się mały żyłasty człowieczek z trzydniowym zarostem. Harper rozpoznała w nim jednego z kapitanów łodzi podwodnych, które brały udział w bitwie o Dziewiątą Cytadelę, ale nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska.

Goście tłumnie ruszyli do drzwi, ale inżynier poczekała, aż dostanie zamówionego drinka. Dopiero wtedy do nich dołączyła.

Szeroki taras wychodził na Labirynt. Tawerna nadal pelzła przez rozległy obszar, który zaczęli nazywać Szachownicą, ze względu na regularny wzór utworzony z licznych dziedzińców. Murki działowe wciąż kruszyły się pod jej fundamentami, kiedy przenosili się z jednego zalanego placu na inny, zostawiając za sobą dziury w ziemi. Pół mili dalej sunęła nad okolicą krwawa mgła, kierując się ku szczątkom ikarackiej świątyni.

Klienci baru stłoczyli się wzdłuż brzegu tarasu, przepychając się i sprzecząc żartobliwie, ale Harper nie wiedziała, co tym razem chcą zobaczyć. Ostatnio ratowali najróżniejszych dziwnych uciekinierów z powierzchni Piekła: ludzi, demony, anioły, duchy i maszyny. Barman Tooki rozpoczął przyjmowanie zakładów, ale Harper nie włączyła się do zabawy. Niezbyt zależało jej na wygraniu przedmiotów, które wrzucali do garnka.

Tym razem to był tylko człowiek. Kiedy wszedł na taras, tłum się rozstał, robiąc mu przejście. Po naramienniku jego brązowej zbroi Harper odgadła, że jest to kolejny z gladiatorów, który uciekł z aren zbieraczy dusz, po tym, jak padła wielka forteca Menoi. Miał szczupłą, umięśnioną sylwetkę i niesamowicie błękitne oczy. Jeden z klientów tawerny poklepał go po plecach i zaprowadził do baru, a tymczasem pozostali krzyczeli i klócili się o wygraną w zakładach.

Harper wróciła do środka.

Nowo przybyły siedział na stolku przy kontuarze. Metafizyczka podeszła i usiadła obok niego. Gladiator łypnął na nią z ukosa. Potem prychnął i odwrócił się z powrotem do baru.

--Mogę postawić ci drinka? -- spytała Harper.

--Spróbuję trochę tego czarnego. -- Wskazał na słój zabójczej nalewki, którą Tooki sporządził z rozbitej i ugotowanej ściany Labiryntu. Ten napój często doprowadzał pijących do szaleństwa.

--To paskudztwo -- powiedziała metafizyczka. -- Mam dla ciebie coś lepszego. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła małą buteleczkę i postawiła ją na barze.

--Co to jest? -- zapytał mężczyzna.

Harper się uśmiechnęła.

--Najważniejsze, że jest dobre.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[God of Clocks](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[EPILOG](#)